

„Zniewalająca”
GRAEME SIMSION

„Zachwycająca”
DEBORAH HARKNESS

„Arcydzielo”
„THE GUARDIAN”



MATT HAIG

MATT HAIG



**Przełożył
Mariusz Warda**

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

Dla Andrei

Wstęp

Często myślę o tym, co usłyszałem od Hendricha przed ponad stu laty w jego nowojorskim apartamencie.

— Pierwsza zasada mówi, że się nie zakochujesz — rzekł. — Są również inne zasady, ale ta jest nadrzędna. Żadnego zakochiwania się. Żadnego trwania w miłości. Ani marzenia o niej. Jeśli weźmiesz to sobie do serca, będziesz miał się dobrze.

Przez spirale dymu unoszącego się z jego cygara wpatrywałem się w Central Park usłany drzewami, które powyrywał huragan.

— Wątpię, żebym kiedykolwiek znowu się zakochał — odparłem.

Hendrich uśmiechnął się tak, jak mógłby to uczynić sam diabeł.

— I dobrze. Wolno ci, oczywiście, rozkoszować się jedzeniem i muzyką, jak również szampanem i rzadkimi słonecznymi październikowymi popołudniami. Możesz kochać widok wodospadów i zapach starych książek, ale miłość do ludzi jest niedozwolona. Słuchasz mnie? Nie przywiązuj się do ludzi, a gdy już będziesz ich spotykać, staraj się czuć do nich tak niewiele, jak to tylko możliwe. W przeciwnym razie zaczniesz powoli tracić rozum...

CZEŚĆ PIERWSZA

Życie pośród jętek

Jestem stary.

To najważniejsza rzecz, jaką powinienes wiedzieć. Jest to zarazem coś, w co trudno ci będzie uwierzyć. Gdybyś mnie ujrzał, pewnie pomyślałbyś, że mam około czterdziestu lat, ale byłbyś w wielkim błędzie.

Jestem *stary* w taki sposób, w jaki stare jest drzewo, mały jadalny czy renesansowy obraz.

Aby ci to uzmysłowić: urodziłem się ponad czterysta lat temu, trzeciego marca 1581 roku, w pokoju rodziców znajdującym się na trzecim piętrze małego francuskiego zamku, który był moim domem. Jak na tę porę roku musiał być wtedy ciepły dzień, ponieważ moja matka poprosiła bonę o otwarcie wszystkich okien.

— Bóg się do ciebie uśmiechnął — powiedziała matka. Chociaż myślę, że mogła dodać, iż — o ile On istnieje — ów uśmiech musiał być od tamtego momentu naznaczony grymasem.

Matka zmarła już bardzo dawno temu. Natomiast ja wciąż żyję.

Widzisz, jestem dotknięty pewną przypadłością.

Przez pewien czas uważałem to za chorobę, ale nie jest to chyba właściwe określenie. Choroba sugeruje dolegliwości i wyniszczanie ciała. Lepiej więc powiedzieć, że cierpię na pewną przypadłość. Rzadką, lecz nie wyjątkową. Taką, o której nikt nie wie, dopóki go ona nie dotknie.

Jej opis nie znajduje się w żadnym czasopiśmie medycznym. Nie ma ona również oficjalnej nazwy. Jedną nadał jej pewien szanowany lekarz w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Nazywał ją anagerią, ale z przyczyn, które staną się wkrótce jasne, owa przypadłość nigdy nie była powszechnie znana.

Przypadłość ta rozwija się w okresie dojrzewania. A potem, no cóż, dzieje się niewiele. Początkowo „cierpiący” na anagerię nie zauważa, że go ona dotknęła. W końcu codziennie ludzie budzą się i widzą w lustrze tę samą twarz, którą widzieli w nim wcześniej. Ludzie nie zmieniają się w bardzo dostrzegalny sposób z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, nawet z miesiąca na miesiąc.

Ale z upływem czasu, w urodziny lub podczas innych corocznych spotkań, inni ludzie zaczynają zauważać, że się nie starzejesz.

Prawda jednak jest taka, że dotknięci tą przypadłością nie przestali się starzeć. Oni starzeją się dokładnie tak samo jak inni, tyle że o wiele wolniej. Prędkość starzenia się wśród osób z anagerią odznacza się niewielkimi wahaniami, ale zwykle jest mniej więcej piętnaście razy mniejsza niż u reszty osób. Czasami jeden rok dla nich oznacza trzynaście albo czternaście lat dla innych ludzi, lecz w moim wypadku wynosi on mniej więcej piętnaście lat.

Nie jesteśmy więc nieśmiertelni. Nasze umysły i ciała nie są w stanie zastoju. Chodzi tylko o to, że zgodnie z najnowszymi, ciągle zmieniającymi się trendami naukowymi różne aspekty naszego procesu starzenia się — degeneracja molekularna, wytwarzanie wzajemnych połączeń pomiędzy komórkami w tkankach, mutacje na poziomie komórkowym i molekularnym (w tym najbardziej znaczące na poziomie DNA komórkowego) — zachodzą w innych ramach czasowych.

Moje włosy siwieją. Mogę wyłysieć. Prawdopodobne jest wystąpienie u mnie osteoporozy i głuchota. Moje oczy są tak samo narażone na starcze przytępienie wzroku. W końcu utracę masę mięśniową i mobilność.

Osobliwością związaną z anagerią jest podwyższony poziom odporności i ochrona przed

wieloma (nie wszystkimi) infekcjami wirusowymi i bakteryjnymi, ale ostatecznie nawet ta cecha zaczyna zanikać. Nie chcę zanudzać cię naukowym żargonem, ale wygląda na to, że nasz szpik kostny wytwarza więcej krwiotwórczych komórek macierzystych. To one odpowiadają za powstawanie białych krwinek w kwiecie wieku. Ale trzeba pamiętać, że nie chroni nas to przed urazami czy niedożywieniem oraz że nie trwa to wiecznie.

Nie myśl więc o mnie jak o seksownym wampirze, który utknął na wieczność w szczytowym stanie męskości. Chociaż muszę powiedzieć, że mógłbyś tak się właśnie czuć, gdyby różnica w twoim wyglądzie pomiędzy śmiercią Napoleona a lądowaniem pierwszego człowieka na Księżycu sugerowała upływ zaledwie dziesięciu lat.

Jedną z przyczyn, dla których ludzie o nas nie wiedzą, jest to, że nie są gotowi uwierzyć w nasze istnienie.

Ludzie po prostu z reguły nie akceptują faktów, które nie pasują do ich światopoglądu. Można więc z łatwością powiedzieć: — Mam czterysta trzydzieści dziewięć lat. — Ale zwykle usłyszysz się na to odpowiedź w stylu: — Czyś ty oszalał? — Alternatywną odpowiedzią może być śmierć.

Innym powodem, dla którego ludzie nie wiedzą o naszym istnieniu, jest to, że chroni nas pewna organizacja. Każdy, kto odkryje naszą tajemnicę i w nią uwierzy, uczyni swoje krótkie życie jeszcze krótszym. Niebezpieczeństwo zagraża nam więc nie tylko ze strony zwykłych ludzi.

Pochodzi ono również z naszych kręgów.

Sri Lanka, trzy tygodnie wcześniej

Chandrika Seneviratne leżała w cieniu pod drzewem, około stu metrów od świątyni. Mrówki wędrowały po jej pomarszczonej twarzy. Miała zamknięte oczy. Usłyszałem szelest liści, a gdy podniosłem wzrok, ujrzałem małpę wpatrującą się we mnie z wyrzutem w oczach.

Spytałem kierowcę autorikszy o małpę, wskazując identyczną jak ta widziana w świątyni. Powiedział mi, że ów czerwono-brązowy gatunek z niemal bezwłosą twarzą to rilawa¹.

— Bardzo zagrożona — stwierdził. — Pozostało ich niewiele. To ich miejsce.

Małpa wyskoczyła jak z procy, po czym zniknęła wśród liści.

Ująłem dłoń kobiety. Była zimna. Oszacowałem, że leży tu niezauważona przez prawie cały dzień. Zaczęłem płakać, wciąż trzymając jej dłoń. Trudno było mi zapanować nad emocjami. Wzbierały we mnie fale żalu, ulgi, smutku i strachu. Byłem smutny, ponieważ Chandriki nie było już tutaj i nie mogła odpowiedzieć na moje pytania. Czułem równocześnie ulgę, że nie musiałem jej zabijać. Wiedziałem bowiem, że śmierć Chandriki była nieunikniona.

Ułga przerodziła się w coś więcej. Czy to przez stres, słońce, czy może zjedzone na śniadanie jajko sadzone zacząłem wymiotować. Był to moment, w którym stało się to dla mnie jasne. *Nie mogę już dłużej tego robić.*

W świątyni nie było recepcji z telefonem, więc zaczekałem, aż wrócę do swojego pokoju hotelowego w starym forcie w miasteczku Galle. Tam, zanim zatelefonowałem do Hendricha, skryłem się wewnątrz moskitiery, gdzie lepiłem się od upału i wpatrywałem w jałowo powolny wentylator na suficie.

— Zrobiłeś, co trzeba? — spytał.

— Tak — odparłem, tylko połowicznie wyznając prawdę. W końcu rezultat był wszystkim, o co chodziło. — Nie żyje. — Potem zapytałem o to co zawsze. — Znalazłeś ją?

— Nie — padła ta sama odpowiedź co zawsze. — Nie znalazłem. Jeszcze nie.

Jeszcze. To słowo może więzić cię w pułapce przez całe dekady.

Tym razem jednak kierowało mną nowe przekonanie.

— A teraz, Hendrichu, mam do ciebie prośbę. Chcę normalnego życia. Nie chcę już się tym zajmować.

Westchnął znużony.

— Muszę się z tobą zobaczyć. Minęło tyle czasu.

Los Angeles, dwa tygodnie wcześniej

Hendrich wrócił do Los Angeles. Nie mieszkał w tym mieście od lat dwudziestych XIX wieku, zakładał więc, że będzie to względnie bezpieczne, ponieważ nie powinien pozostawać przy życiu już nikt, kto pamiętałby go z poprzedniego pobytu. Miał okazały dom w Brentwood, który służył jako kwatera Stowarzyszenia Albatrosów. Brentwood było dla niego idealnym miejscem. Spowity wonią pelargonii teren pełen wielkich domów skrytych za wysokimi ogrodzeniami, murami i żywopłotami, którego ulice były wolne od pieszych, a wszystko, nawet drzewa, wyglądało tak idealnie, że wydawało się wręcz sterylne.

Widok Hendricha, siedzącego na leżaku obok basenu z laptopem na kolanach, nieco mnie zszokował. Zwykle wyglądał tak samo jak przy poprzednim spotkaniu, ale tym razem nie mogłem nie zauważyć zmiany. Wyglądał *młodziej*. Nadal staro i artretycznie, ale lepiej niż przez całe ostatnie stulecie.

— Witaj, Hendrichu — powiedziałem. — Dobrze wyglądasz.

Kiwnął głową, jakby nie było to dla niego nic nowego.

— Botoks. I podniesienie brwi.

Wcale nie żartował. W tym życiu był emerytowanym chirurgiem plastycznym. Jego zmyślona przeszłość opierała się na rzekomych przenosinach z Miami do Los Angeles po przejściu na emeryturę. W ten sposób mógł uniknąć problemu, jaki stanowił brak jakichkolwiek byłych klientów z tej okolicy. Tym razem nazywał się Harry Silverman. (Silverman. Nie podoba ci się? Brzmi jak podstarzały superbohater. Którym w pewnym sensie jestem).

Usiadłem na wolnym leżaku. Pokojówka Rosella przysłała z dwoma smoothie w kolorach zachodzącego słońca. Zwróciłem uwagę na jego dłonie. Wyglądały staro. Pełne plam wątrobowych, z obwisłą skórą i żyłami w kolorze indygo. Twarzą łatwiej skłamać niż dłońmi.

— Rokitnik. Istny szal, a smakuje jak gówno. Musisz spróbować.

Zadziwiająco w Hendrichu było to, że wydawał się ponadczasowy. Jak sędzę, zawsze mu to wychodziło. Z pewnością było tak od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Kiedy całe stulecie temu sprzedawał tulipany, prawdopodobnie było tak samo. Dziwne. On, starszy od któregośkolwiek z nas, zawsze odnajdywał się w teraźniejszości, niezależnie od tego, w jakiej żył epoce.

— Rzecz w tym — powiedział — że w Kalifornii jedynym sposobem na pokazanie, że się starzejesz, jest wyglądanie, jakbyś młodniał. Jeśli po czterdzieście jesteś w stanie zmarszczyć czoło, ludzie stają się bardzo podejrzliwi.

Powiedział mi, że przez ostatnie kilka lat przebywał w Santa Barbara, ale trochę się znudził.

— Santa Barbara jest przyjemna. To niebo, tylko z nieco większym ruchem ulicznym. Lecz w niebie nic się nie dzieje. Miałem posiadłość na wzgórzach i co wieczór piłem lokalne wino. Mimo to wariowałem i ciągle dopadały mnie ataki paniki. Żyję od ponad siedmiu stuleci, a nigdy wcześniej nie przytrafił mi się choćby jeden taki atak. Byłem świadkiem wojen oraz rewolucji i wszystko było w porządku. Ale dotarłem do Santa Barbara i dopiero tam zacząłem budzić się w mojej wygodnej willi z rozdygotanym sercem i poczuciem, że jestem więźniem we

własnym ciele. Los Angeles to jednak coś zupełnie innego. Mogę ci zdradzić, że to miasto mnie uspokoiło...

— Spokój. To musi być miłe.

Przez chwilę mi się przyglądał, jakbym był dziełem sztuki z ukrytym przesłaniem.

— Co z tobą, Tom? Stęskniłeś się za mną?

— Coś w tym stylu.

— W czym rzecz? Czy na Islandii było tak źle?

Zanim wyznaczono mi zadanie na Sri Lance, mieszkałem na Islandii przez osiem lat.

— Było samotnie.

— Sądziłem, że po czasie spędzonym w Toronto prag-niesz samotności. Mówiłeś przecież, że prawdziwa samotność polega na życiu pośród innych ludzi. A poza tym my właśnie tym jesteście, Tom. Samotnikami.

Nabrałem powietrza, jakby kolejne zdanie było przeszkodą, pod którą miałbym przepłynąć.

— Nie chcę już taki być. Chcę odejść.

Nie doczekałem się żadnej reakcji. Nawet nie mrugnął okiem. Spojrzałem na jego sękatę dłoń i spuchnięte kłykcie.

— Nie ma czegoś takiego jak *odejście*, Tom, i dobrze o tym wiesz. Jesteś albatrosem, a nie jętką.

Idea kryjąca się za tymi nazwami była prosta: w dawnych czasach albatrosy uważano za stworzenia długowieczne. W rzeczywistości dożywają one jednak sześćdziesięciu lat, co stanowi znacznie krótszy czas niż choćby u rekinów polarnych, które mogą żyć i czterysta lat, czy małża jadalnego nazwanego przez naukowców Ming z racji tego, że narodził się on w czasach dynastii Ming, czyli ponad pięć stuleci temu. W każdym razie byliśmy albatrosami. W skrócie albami. Wszystkich pozostałych ludzi na ziemi sklasyfikowano jako jętki. Nazwano ich tak przez analogię do krótko żyjących owadów wodnych, których cykl życia zamyka się w jednym dniu lub, w wypadku pewnego podgatunku, w zaledwie pięciu minutach.

Hendrich nigdy nie mówił o zwykłych ludziach, określając ich inaczej niż jętkami. Zacząłem postrzegać jego terminologię — terminologię, która się we mnie zakorzeniła — jako coraz bardziej niedorzeczną.

Albatrosy. Jętki. Cały ten brak powagi.

Jak na swój wiek i inteligencję Hendrich był niedojrzały. Pozostawał dzieckiem. Bardzo starożytnym dzieckiem.

To był przygnębiający aspekt poznawania innych alb. Zdawałeś sobie sprawę, że nie byliśmy wyjątkowi. Nie byliśmy superbohaterami. Byliśmy po prostu starzy. I w takich wypadkach jak Hendricha nie miało znaczenia, ile lat, dziesięcioleci czy stuleci minęło, ponieważ zawsze żyliśmy w ramach ograniczeń swoich osobowości. Nie mogły tego zmienić czas ani miejsce. Nikt nie ucieknie przed sobą samym.

— Jeśli mam być szczery, uważam, że nie okazujesz mi należytego szacunku — powiedział do mnie. — W końcu wiele mi zawdzięczasz.

— Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś... — Zawahałem się. Co on właściwie dla mnie zrobił? Nigdy nie spełnił przecież swoich obietnic.

— Tom, czy zdajesz sobie sprawę, jak *wygląda* współczesny świat? Nie jest już tak jak dawniej. Nie możesz po prostu przeprowadzić się i dodać swojego nazwiska do ksiąg parafialnych. Czy wiesz, jak wiele musiałem *zapłacić*, by zapewnić bezpieczeństwo tobie i innym członkom stowarzyszenia?

— W takim razie zaoszczędzę ci dalszych wydatków.

— Zawsze wyrażałem się jasno: mamy tu ruch jednokierunkowy.

— Wiem, że jest on jednokierunkowy, i nie proszę o zawrócenie.

Pociągnął łyk przez słomkę i skrzywił się na smak smoothie.

— Jak to w życiu, prawda? Posłuchaj, chłopcze...

— Jestem gotów zaryzykować.

— Podjąłeś decyzję. To był twój wybór, by spotkać się z doktorem Hutchinsonem.

— Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym wiedział, co się stanie.

Nakreślił kilka okręgów słomką, po czym odstawił szklankę na stojący obok niego mały stolik, aby zażyć suplement z glukozaminą mający przynieść mu ulgę w artretyzmie.

— W takim razie powinienem cię zabić. — Roześmiał się skrzekliwie, co miało sugerować, że żartował. Ale to nie był żart. Oczywiście było, że mówił poważnie. — Zawrę z tobą pewien układ, kompromis. Dam ci każde życie, jakiego pragniesz, jakiegokolwiek by ono było, ale co osiem lat, tak jak dotychczas, będę do ciebie dzwonił. Zanim wybierzesz dla siebie nową tożsamość, będę prosił cię o wykonanie pewnego zadania.

Oczywiście, nie po raz pierwszy słyszałem te słowa: „Każde życie, jakiego pragniesz” — ale tak naprawdę nigdy tego nie oznaczały. Normalnie przedstawiłby kilka propozycji, a ja wybrałbym jedną z nich. Moja odpowiedź również była mu dobrze znana.

— Masz o niej jakieś wieści? — było to pytanie, które zadawałem mu już wcześniej setki razy, ale które nigdy nie brzmiało równie żałośnie i rozpaczliwie.

— Nie — odparł, uprzednio spoglądając na swój napój.

Zauważyłem, że odpowiedział nieco szybciej, niż to miał w zwyczaju.

— Hendrich?

— Nie. Nic nie wiem. Mamy jednak niezwykłą skuteczność w odnajdywaniu ludzi. Tylko w zeszłym roku ponad siedemdziesiąt osób. A pamiętasz, jak było, gdy zaczynaliśmy? Jeśli rok był dobry, udawało się nam znaleźć pięć osób. Jeśli nadal chcesz ją odnaleźć, musiałbyś być szaleńcem, odchodząc właśnie teraz.

Usłyszałem dobiegające od strony basenu ciche plusnięcie. Wstałem, podszedłem do jego brzegu i zobaczyłem małą mysz rozpaczliwie pływającą tuż obok filtra wody. Ukląknęłam i wydostałem stworzenie z basenu. Mysz natychmiast ruszyła w stronę doskonale utrzymanego trawnika.

Miał mnie w garści i doskonale o tym wiedział. Nie było szansy, żebym wyszedł z tego cało. A nawet gdybym ją miał, to i tak łatwiej było zostać. Wiązał się z tym komfort — zupełnie jak z ubezpieczeniem.

— Każde życie, jakiego pragnę?

— Każde życie, jakiego pragniesz.

Jestem niemal pewien, że Hendrich, będąc sobą, zakładał, iż zażadam czegoś ekstrawaganckiego i kosztownego. Że mogę chcieć mieszkać na jachcie na Wybrzeżu Amalfitańskim lub w penthousie w Dubaju. Ale już wcześniej to sobie przemyślałem i wiedziałem, co powiedzieć.

— Chcę wrócić do Londynu.

— Londyn? Przecież wiesz, że prawdopodobnie jej tam nie ma.

— Wiem. Po prostu chcę tam wrócić i znowu poczuć się jak w domu. I chcę być nauczycielem. Chcę uczyć historii.

Zaśmiał się.

— Nauczyciel historii. Taki jak w liceum? W Anglii mówią na to „szkoła średnia”. Ale, tak, nauczyciel historii w liceum. Myślę, że to może być dobre zajęcie.

Hendrich uśmiechnął się i spojrzał na mnie lekko zdezorientowany, zupełnie jakbym

zamówił kurczaka zamiast homara.

— Tak, to idealne. Cóż, musimy tylko załatwić kilka spraw na miejscu i...

Podczas gdy Hendrich mówił dalej, ja obserwowałem, jak mysz znika pod żywoplotem. Pędząc w ciemność. W kierunku wolności.

Londyn, obecnie

Londyn. Pierwszy tydzień mojego nowego życia.

Gabinet dyrektora Oakfield School.

Staram się wydawać normalny. Jest to coraz większe wyzwanie. Przeszłość próbuje się przebić.

Nie.

Ona już się przebiła. Zawsze tu była. Pomieszczenie pachnie kawą rozpuszczalną, środkiem dezynfekującym i akrylowym dywanem, ale jest tu też plakat z wizerunkiem Szekspira.

To jego najpopularniejszy portret. Cofnięta linia włosów, blada skóra, puste oczy narkomana. Portret, który zupełnie nie oddaje wyglądu Szekspira.

Skupiam się na dyrektorce Daphne Bello. Nosi pomarańczowe koleczyki w kształcie obręczy. Pośród jej czarnych włosów tkwią już pojedyncze białe. Uśmiecha się do mnie. To nerwowy uśmiech. Taki, którym nie może cię obdarzyć osoba przed czterdziestką. Uśmiech, który zawiera w sobie jednocześnie smutek, wyzwanie i radość.

— Pracuję tu od dłuższego czasu.

— Naprawdę? — pytam.

Gdzieś na zewnątrz dźwięk syreny policyjnej oddała się, by zamilknąć.

— *Czas* — mówi — jest dosyć dziwnym pojęciem, nieprawdaż?

Delikatnie trzyma za brzeg jednorazowy kubek z kawą, po czym stawia go obok komputera.

— Najdziwniejszą, jaką znam — zgadzam się.

Lubię Daphne. Podoba mi się ta rozmowa kwalifikacyjna. Podoba mi się powrót tutaj, do Londynu, do Tower Hamlets². Podoba mi się również rozmowa w sprawie zwyczajnej pracy. Cóż, wspaniale jest czuć się przez chwilę *zwyczajnie*.

— Uczę już od trzech dekad, z czego dwie w tej szkole. Cóż za przygnębiająca myśl. Wszystkie te lata. Jestem już taka stara — wzdycha, wciąż się uśmiechając.

Zawsze mnie śmiesz, gdy ludzie tak mówią.

— A nie wyglądasz — jest w takich sytuacjach zwyczajową odpowiedzią, więc to właśnie mówię.

— Ale z ciebie czaruś! Za to są dodatkowe punkty! — wybucha nagle śmiechem, który narasta przez dwie oktawy.

Wyobrażam sobie ten śmiech jako egzotycznego ptaka pochodzącego z Saint Lucia (skąd wywodził się jej ojciec), wylatującego w widoczne za oknem szare niebo.

— Och, jak dobrze byłoby być tak młodym jak ty — chichocze.

— Czterdzieści jeden lat to już nie młodość — stwierdzam, podkreślając niedorzeczną liczbę.

Czterdzieści jeden. Czterdzieści jeden. Tyle właśnie teraz mam.

— Trzymasz się bardzo dobrze.

— Właśnie wróciłem z wakacji. Może w tym rzecz.

— Z jakiegoś miłego miejsca?

— Ze Sri Lanki. I tak, było tam miło. Karmiłem żółwie morskie...

— Żółwie?

— Tak.

Spoglądam przez okno i patrzę na kobietę z hałaśliwą gromadką dzieci w wieku szkolnym, ubranych w jednakowe mundurki i bawiących się na boisku. Kobieta zatrzymuje się, odwraca w moim kierunku. Widzę jej twarz, gdy wypowiada niemożliwe do usłyszenia dla mnie słowa. Nosi okulary, ubrana jest w dzinsy oraz długi sweter, który delikatnie łopocze na wietrze. Zakłada włosy za ucho. Teraz śmieje się z czegoś, co powiedział jeden z uczniów. Śmiech rozświetla jej twarz, a ja momentalnie zostaję przez nią zahipnotyzowany.

— Ach — mówi Daphne, widząc moje skrępowanie w momencie, gdy zauważa, gdzie powędrował mój wzrok — to Camille, nasza nauczycielka francuskiego. Nie ma drugiej takiej. Dzieci ją ubóstwiają. Zawsze zabiera je na dwór, by prowadzić swego rodzaju... lekcje francuskiego na świeżym powietrzu. Taki typ nauczania.

— Domyślam się, że wykonujecie tu kawał dobrej roboty — mówię, starając się sprowadzić rozmowę na właściwe tory.

— Próbuje. Jak my wszyscy. Choć czasami jest to batalia z góry skazana na porażkę. To jedno mnie martwi w twojej aplikacji. Masz niesamowite referencje. Osobiście je wszystkie sprawdziłam...

Czuję ulgę. Nie dlatego, że sprawdziła referencje, ale dlatego, że ktoś odebrał telefony od niej i odpisał na e-maile.

— ...ale to nie jest wiejski ogólniak w Suffolk. To Londyn. To Tower Hamlets.

— Dzieci to nadal dzieci.

— I to świetne dzieci. Ale z zupełnie innego środowiska. Nie miały tych samych przywilejów, co twoi poprzedni podopieczni. Obawiam się, że zwykłeś wieść raczej skryte życie.

— Mogłabyś się zdziwić.

— I wielu tutejszym uczniom ciężko jest mierzyć się z terażniejszością, nie mówiąc już o historii. Oni dbają o świat wokół. Ich zaangażowanie jest kluczowe. Co zrobisz, żeby historia stała się dla nich żywa?

Nie mogło paść łatwiejsze dla mnie pytanie.

— Historia nie jest czymś, co trzeba ożywiać. Ona *jest* żywa. My jesteśmy historią. Nie tworzą jej politycy, królowie czy królowe. Wszyscy jesteśmy historią. Ona jest wszystkim. Jest tym kubkiem kawy. Opowiadając uczniom o zwyczajnej kawie, możesz wyjaśnić im wiele na temat historii kapitalizmu, imperiów czy niewolnictwa. Ogrom nędzy i krwi, którą przelano, abyśmy mogli usiąść tutaj i wypić kawę z papierowych kubków, jest niewyobrazalny.

— Właśnie zniechęciłeś mnie do tego napoju.

— Och, wybacz. Chodzi mi tylko o to, że historia jest wszędzie. Rzecz w tym, by uzmysłwić to innym. Pozwala ci zrozumieć to miejsce.

— W porządku.

— Historia to ludzie. Wszyscy ją kochają.

Daphne patrzy na mnie z niedowierzaniem, odchyła twarz do tyłu, a jej brwi wędrują coraz wyżej.

— Jesteś tego pewien?

Kiwam lekko głową.

— To właśnie historia sprawia, że zdają sobie sprawę, iż wszystko, co mówią, robią i widzą, jest tylko tym, co mówią, robią i widzą z powodu dawnych wydarzeń. Z powodu Szekspira. Z powodu każdego człowieka, który kiedykolwiek żył.

Zerkam przez okno. Jesteśmy na trzecim piętrze i mamy niezły widok, nawet w szarej londyńskiej mżawce. Widzę stary georgiański budynek, który w przeszłości wielokrotnie

mijałem.

— To miejsce, dokładnie tam. Budynek z tymi kominami. Kiedyś mieścił się tam przytułek. A dalej — wskazuję na kolejny, niższy, ceglany budynek — była stara rzeźnia. Dawniej zabierano z niej stare kości i przerabiano je na porcelanę. Jeśli byśmy cofnęli się w czasie o dwieście lat, z jednej strony usłyszelibyśmy lament uznanych za szalonych przedstawicieli społeczeństwa, a z drugiej dźwięki wydawane przez bydło...

Jeśli, jeśli, jeśli.

Wskazuję na pokryte łupkową dachówką tarasowe dachy widniejące na wschodzie.

— A tam, w piekarni przy Old Ford Road, Sylvia -Pankhurst spotykała się z sufrażystkami ze wschodniego Londynu. Miały wielki, wymalowany złotymi literami znak z napisem: „GŁOS DLA KOBIET”, którego nie można było przeoczyć, jeśli akurat znajdowałeś się niedaleko dawnej fabryki zapalek.

Daphne coś zapisuje.

— Widzę, że umiesz także grać. Gitara, fortepian i skrzypce.

I lutnia. — Nie dodaję. — I mandolina. I cytra. I fletnia.

— Tak.

— Wpędzisz Martina w kompleksy.

— Martina?

— Naszego nauczyciela muzyki. Beznadziejnego. On naprawdę jest beznadziejny. Ledwo radzi sobie z trójkątem, a uważa, że jest gwiazdą rocka. Biedny Martin.

— Cóż, kocham muzykę. Uwielbiam grać. Ale trudno byłoby mi uczyć muzyki. Nigdy nie potrafiłem też o niej mówić.

— W przeciwieństwie do historii?

— W przeciwieństwie do historii.

— Wydaje się, że jesteś na bieżąco z programem nauczania.

— Tak — kłamię bez mrugnięcia okiem. — Oczywiście.

— I wciąż jesteś po młodszej stronie mocy.

Wzruszam ramionami i robię prawdopodobnie taką minę, jaką właśnie sam miałeś zamiar zrobić.

— Mam pięćdziesiąt sześć lat, więc uwierz mi, gdy mówię, że czterdziestojednolatek jest wciąż młody.

Pięćdziesiąt sześć to młodość.

Tak jak i osiemdziesiąt osiem.

Sto trzydzieści to młodość.

— Cóż, ja jestem z tych *starych* czterdziestojednolatek.

Uśmiecha się do mnie. Pstryka długopisem. Potem ponownie pstryka. Każde pstryknięcie jest chwilą. Pierwsze pstryknięcie, pauza między nim a kolejnym pstryknięciem. Im dłużej żyjesz, tym robi się to trudniejsze. Chwywanie ich. Każdej małej chwili, gdy ta przychodzi. Życie w czymś innym niż przeszłość czy przyszłość. Bycie tu i teraz.

Emily Dickinson powiedziała, że wieczność jest złożona z wielu teraz. Ale jak żyjesz w teraz, w którym właśnie jesteś? Jak zatrzymujesz duchy wszystkich innych teraz przed dostaniem się do tego obecnego? Jak, w skrócie, żyjesz?

Odpływam.

Ostatnio często się to zdarza. Słyszałem o tym. Mówiły mi o tym inne alby. Osiągasz optymalny punkt swojego życia, po którym natłok myśli robi się zbyt duży. Wspomnienia pękają. Bóle głowy się potęgują. Dzisiejszy nie jest tak dotkliwy, lecz mi towarzyszy.

Staram się skoncentrować. Próbuję trzymać się tego drugiego teraz, obecnego kilka

sekund temu, kiedy cieszyłem się z rozmowy. Korzystałem z poczucia względnej zwyczajności. Albo jej iluzji.

Nie ma zwyczajności.

Nie dla mnie.

Próbuję się skupić. Patrzę na Daphne, gdy ta potrząsa głową i śmieje się, ale teraz robi to cicho. Śmiesz ją coś, czego nie ujawnia. Coś smutnego. Czuję, że bije to z jej szklistych oczu.

— Dobrze, Tom. Muszę przyznać, że zaimponowałeś mi zarówno ty, jak i twoja aplikacja.

Tom.

Tom Hazard.

Moje nazwisko — to prawdziwe — brzmiało Estienne Thomas Ambroise Christophe Hazard. Taki był punkt startowy. Od tego czasu miałem wiele, wiele nazwisk i wiele, wiele osobowości. Ale po pierwszym przyjeździe do Anglii szybko pozbyłem się ozdobników i stałem się po prostu Tomem Hazardem.

Teraz, gdy ponownie używam tego imienia i nazwiska, czuję się, jakbym wrócił. Rezonuje ono echem w mojej głowie. *Tom. Tom. Tom. Tom.*

— Zaznaczyłeś wszystkie pola w kwestionariuszu. Choć gdybyś tego nie zrobił, i tak dostałbyś tę pracę.

— Och, doprawdy? Dlaczego?

Jej brwi wędrują ku górze.

— Jesteś jedynym kandydatem!

Na te słowa oboje przez chwilę się śmiejemy.

Śmiech zamiera jednak szybciej niż jętką.

Dzieje się tak za sprawą kolejnych jej słów.

— Mieszkam przy Chapel Street. Jestem ciekawa, czy wiesz cokolwiek na temat tego miejsca?

Oczywiście, wiem, o co jej chodzi, lecz to pytanie otrzeźwia mnie niczym powiew lodowatego wiatru. Ból w głowie pulsuje z większą mocą. Wyobrażam sobie pękające w piekarniku jabłko. Nie powinienem był tu wracać. Nigdy nie powinienem prosić Hendricha, żeby to się stało. Myślę o Rose, o ostatnim razie, kiedy ją widziałem, i tych rozszerzonych rozpaczą oczach.

— Chapel Street. Sam nie wiem. Nie, obawiam się, że nic nie przychodzi mi do głowy.

— To nic, nie przejmuj się. — Bierze łyżeczek kawy.

Spoglądam na podobiznę Szekspira. Wygląda, jakby przypatrywał mi się niczym stary przyjaciel. Pod obrazem znajduje się cytat.

Wiemy, kim jesteśmy, lecz nie wiemy, kim stać się możemy.

— Mam co do ciebie przecucie, Tom. A trzeba wierzyć swoim przecuciom, prawda?

— Tak przypuszczam — odpowiadam, choć sam przecuciom nigdy nie wierzyłem.

Moja rozmówczyni się uśmiecha.

Odwzajemniam uśmiech.

Wstaję i kieruję się do drzwi.

— Do zobaczenia we wrześniu.

— Ha! Wrzesień. Wrzesień. Szybko zleci. Czas, sam widzisz. To jeszcze jedna sprawa związana ze starzeniem się. Czas przyspiesza.

— Chciałbym — szepczę.

Ona mnie jednak nie słyszy, ponieważ zadaje mi kolejne pytanie:

— Masz dzieci?

— Proszę?

— Dzieci sprawiają, że życie biegnie szybciej. Mam trójkę. Najstarsza ma dwadzieścia dwa lata i w tym roku kończy studia. Jeszcze wczoraj bawiła się klockami Lego, a dzisiaj kompletuje klucze do własnego mieszkania. Dwadzieścia dwa lata w mgnieniu oka. Masz więc dzieci?

Moja dłoń zaciska się mocniej na klamce. To też chwila. A w jej środku boleśnie ożywa tysiąc innych momentów.

— Nie — odpowiadam, ponieważ łatwiej jest powiedzieć to niż prawdę. — Nie mam dzieci.

Wydaje się, że przez krótką chwilę czuje się trochę niezręcznie. Myślę, że ma zamiar skomentować moje słowa, ale zamiast tego mówi:

— Do zobaczenia, panie Hazard.

Wychodzę na korytarz, który pachnie tym samym środkiem dezynfekującym. Dwóch stojących na nim nastolatków opiera się o ścianę, wpatrując się w telefony z pobożnością starego księdza czytającego modlitewnik. Odwracam się, by zobaczyć, jak Daphne patrzy w ekran komputera.

— Tak. Do zobaczenia.

Kiedy wychodzę z biura Daphne Bello i opuszczam teren szkoły, znajduję się zarówno w XXI, jak i XVII wieku.

Przechodzę piechotą około półtora kilometra ku Chapel Street. Zmierzam ulicami stanowiącymi ciąg sklepów, chodników, przystanków autobusowych, betonowych latarni ulicznych i mało entuzjastycznych graffiti. Jestem niemal w transie. Ulice wydają mi się zbyt szerokie. Kiedy docieram na Chapel Street, odkrywam to, co od początku wiedziałem: nie ma już domów, które tu niegdyś stały. Zastąpiono je budynkami z końca XIX wieku — wysokimi, zbudowanymi z czerwonej cegły i tak ascetycznymi jak czas, w którym powstały.

W rogu, gdzie kiedyś stał mały opuszczony kościół, a ja spotkałem stróża, teraz jest KFC. Czerwony plastik rwący niczym rana. Idę z zamkniętymi oczami wzdłuż ulicy, starając się wyczuć, gdzie pierwotnie stał dom, a następnie zatrzymuję się po przejściu około dwudziestu kroków. Otwieram oczy, by ujrzeć dom bliźniak niemający żadnego fizycznego powiązania z budynkiem, który stał w tym samym miejscu przed wiekami. Pozbawione tabliczki drzwi są teraz nowoczesnie niebieskie. Okno ukazuje salon wraz ze znajdującym się weń telewizorem. Ktoś gra na nim w grę wideo. Na ekranie odbiornika eksploduje obcy.

Ból głowy uderza kolejną falą, a ja czuję się tak słabo, że muszę się cofnąć. Zupełnie jakby przeszłość była w stanie rozrzedzać powietrze lub wpływać na prawa grawitacji. Opieram się lekko o samochód, ale to wystarcza, by włączyć alarm.

A alarm jest przenikliwy, niczym bolesny lament docierający do mnie aż z 1623 roku. Odchodzę energicznie od domu, a potem opuszczam znaną mi ulicę, marząc, by równie łatwo było uciec od przeszłości.

Londyn, rok 1623

Przez całe życie zakochałem się tylko raz. Domyślam się, że w pewnym sensie czyni to ze mnie romantyka. Wyznawcę idei, że przeżywa się tylko jedną prawdziwą miłość, po której odejściu żadne uczucie nie będzie w stanie się z nią równać. Choć idea jest urocza, kryje się za nią przerażająca rzeczywistość. Rzeczywistość, w której trzeba przeżyć samotnie te wszystkie lata, jakie następują *później*. Egzystować, gdy nie ma już tej osoby, która nadawała sens twojemu istnieniu.

Dla mnie kimś takim była Rose.

Kiedy już jej jednak nie było, tak wiele dobrych wspomnień zostało przysłoniętych tym ostatnim. Końcem, który zaczął się strasznie. Tym ostatnim dniem, który z nią spędziłem. Bo to właśnie ów dzień, kiedy zmierzałem na Chapel Street, aby się z nią spotkać, zdecydował o tak wielu sprawach na przestrzeni całych stuleci.

A więc...

Stałem przed jej drzwiami.

Zapukałem, zaczekałem, a następnie zapukałem ponownie.

Stróż, którego minąłem tuż za rogiem ulicy, już się do mnie zbliżał.

— To napiętnowany dom, chłopcze.

— Wiem o tym.

— Nie wolno ci tam wchodzić... To niebezpieczne.

Wyciągnąłem rękę w jego kierunku.

— Cofnij się. Ja też jestem przeklęty. Nie podchodź bliżej.

Było to, oczywiście, kłamstwo, ale odniosło zamierzony skutek. Stróż pospiesznie się oddalił.

— Rose — powiedziałem przez drzwi. — To ja. To ja, Tom. Właśnie widziałem się z Grace. Była nad rzeką. Powiedziała mi, że tu jesteś...

Po chwili ciszy z wnętrza domu usłyszałem jej głos.

— Tom?

Minęły lata, od kiedy ostatnio ją słyszałem.

— Och, Rose. Otwórz drzwi, muszę się z tobą zobaczyć.

— Nie mogę, Tom. Jestem chora.

— Wiem, ale się tym nie zarażę. W ostatnich miesiącach żyłem wśród wielu zarażonych, a najgorszym, co złapałem, był katar. Daj spokój, Rose. Otwórz drzwi.

Tak też uczyniła.

I tak oto ją ujrzałem. Kobieta. Choć byliśmy w podobnym wieku, Rose wyglądała, jakby zbliżała się do pięćdziesiątki, podczas gdy ja przypominałem nastolatka.

Jej skóra poszarzała. Wrzody oznaczyły twarz Rose niczym terytoria na mapie. Ledwo się trzymała na nogach. Czułem się winny, że skłoniłem ją do opuszczenia łóżka, ale wydawała się zadowolona z faktu, że mnie widzi. Mówiła do mnie nieco niespójnie, gdy pomagałem jej wrócić do łóżka.

— Wciąż wyglądasz tak młodo... Ciągle jesteś młodym mężczyzną... niemal chłopcem.

— Mam małą zmarszczkę na czole. Sama zobacz.

Trzymałem ją za rękę. Nie dopatrzyła się zmarszczki.

— Przykro mi — powiedziała. — Tak mi przykro, że kazałam ci odejść.

— Postąpiłaś słusznie. Samo moje istnienie było dla ciebie zagrożeniem.

Na wypadek, gdyby wymagało to wyjaśnienia, chciałbym cię poinformować, że nie mam pewności, czy słowa, które zapisuję, są tymi, które faktycznie zostały wówczas wypowiedziane. Prawdopodobnie nie. Ale tak zapamiętałem tę sytuację, a powinniśmy zachować wiarę w swoje wspomnienia rzeczywistości, a nie zawierać rzeczywistości jako takiej. Te dwa elementy ściśle się ze sobą wiążą, ale nigdy nie są identyczne.

Doskonale zapamiętałem jednak słowa, które wtedy padły z jej ust.

— Istnieje ciemność, która obleka wszystko. Wywołuje najbardziej przerażający z zachwyków.

Uzmysłowiłem sobie odczuwaną przez nią grozę. To, jak przypuszczam, cena, którą płacimy za miłość: pochłanianie bólu innych tak, jakbyśmy sami go czuli.

Powracała do mnie i odpływała na falach delirium.

Choroba trzymała ją coraz mocniej w swych mackach, postępując niemal z minuty na minutę. Teraz Rose była moim przeciwieństwem. Moje życie ciągnęło się w kierunku niemal nieskończenie odległego punktu w przyszłości, a jej galopowało ku coraz bliższemu końcowi.

W domu panował mrok. Wszystkie okna zostały zabite deskami. Kiedy jednak Rose leżała w łóżku odziana w wilgotną nocną bieliznę, widziałem, że jej twarz lśni niczym bładym marmur, przeświecając przez czerwono-szare plamy kolonizujące skórę. Jej kark był obrzękły i pokryty guzami wielkości jaj. To, jak się zmieniła, było tak straszne, że stanowiło rodzaj profanacji.

— Wszystko w porządku, Rose. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Jej oczy rozszerzał strach, zupełnie jakby jakaś istota tkwiąca w czaszce próbowała je wypchnąć od wewnątrz.

— Cicho, cicho, cicho... Wszystko będzie dobrze...

Moje słowa były niedorzeczne. Nic nie miało być dobrze.

Rose cicho jęknęła. Jej ciało wiło się z bólu.

— Musisz już iść — głos Rose brzmiał sucho.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

— Ostrożnie — rzekła.

— To bezpieczne — choć nie miałem całkowitej pewności, czy mówię prawdę. Tak sądziłem, lecz nie mogłem tego wiedzieć po przeżyciu zaledwie czterdziestu dwóch lat (i wyglądanu raczej na szesnaście. Na tyle właśnie mój wiek początkowo oceniła Rose). Jednak się tym nie przejmowałem. Lata przeżyte z dala od Rose straciły dla mnie całą wartość.

Pomimo że nie widziałem jej od 1603 roku, miłość wciąż trwała, tak samo mocna i w tym momencie równie bolesna. Była źródłem cierpień większych niż te, jakie mógłby wywołać jakikolwiek fizyczny ból.

— Byliśmy szczęśliwi, prawda, Tom? — Na jej twarzy pojawił się teraz ledwie cień uśmiechu.

Pamiętałem, jak w pewien, jakże odległy w tym momencie, wtorkowy poranek szedłem Oat Barn, niosąc ciężkie beczki wody i ciesząc się rozmową z Rose. Pamiętałem radość zakłęta w jej uśmiechu i ciele, gdy wiła się z rozkoszy, a nie z bólu, i gdy próbowała być na tyle cicho, żeby nie zbudzić siostry. Pamiętałem długie powroty z Bankside, unikanie zbłąkanych psów i ślizganie się w błocie, kiedy to jedynym pocieszeniem była myśl, że na końcu tej podróży będzie czekać na mnie w domu, a mnie zależało tylko na dotarciu do tego celu.

Wszystkie chwile, wszystkie rozmowy, *wszystko* to zostało sprowadzone do najprostszej, najbardziej elementarnej prawdy.

— Byliśmy... Kocham cię, Rose. Tak bardzo cię kocham.

Chciałem poprawić jej stan, nakarmić królikiem w cieście i odrobiną wiśni oraz sprawić, że znów poczuje się dobrze. Widziałem, że odczuwa tak silny ból, iż jedynym, o czym może marzyć, jest natychmiastowa śmierć, lecz nie miałem pojęcia, co to może oznaczać. Nie wiedziałem, jak powstrzymać świat przed legnięciem w gruzach.

Było jeszcze coś, czego pragnąłem. Pytanie, na które miałem szczerą nadzieję znaleźć u niej odpowiedź.

— Kochanie, gdzie jest Marion? — spytałem.

Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę. Tymczasem ja przygotowywałem się na to, że usłyszę straszliwe wieści.

— Uciekła...

— Co?

— Była taka jak ty.

Potrzebowałem chwili, by ta wiadomość w pełni dotarła do mojego umysłu.

— Przestała się starzeć?

Mówiła powoli, pomiędzy westchnieniami, kaszlnięciami i kwileniem. Powiedziałem, że nie musi nic mówić, lecz ona czuła, że powinna to zrobić.

— Tak. Ludzie zaczęli zauważać, że choć mijają lata, ona się nie zmienia. Powiedziałam jej, że znowu będziemy musiały się przeprowadzić. Bardzo ją to zmartwiło, a jeszcze przyszedł do nas Manning...

— Manning?

— Tej nocy uciekła, Tom. Wybiegłam jej szukać, ale zniknęła. I nigdy nie wróciła. Nie mam pojęcia, dokąd poszła ani czy jest bezpieczna. Musisz spróbować ją odnaleźć. Musisz o nią zadbać... Módl się. Teraz musisz być silny, Tom. Znajdź ją. Nic mi nie będzie. Dołączę do braci...

Nigdy nie czułem się słabszy, a mimo to byłem gotów ofiarować jej dosłownie wszystko. Nawet mit o swojej sile i przyszłym szczęściu.

— Będę silny, moja Rose.

Jej przeciągłe oddechy były coraz słabsze.

— Będziesz.

— Och, Rose.

Musiałem wciąż powtarzać jej imię i sprawiać, by go słuchała. Potrzebowałem jej i chciałem, żeby pozostała wśród żywych.

Jesteśmy poddani czasu, a jego dary przemijają...

Poprosiła, żebym jej zaśpiewał.

— Cokolwiek płynącego z serca.

— Lecz moje serce się smuci.

— Zaśpiewaj więc coś smutnego.

Chciałem już chwycić za lutnię, ale Rose pragnęła posłuchać tylko mojego głosu. Nie byłem szczególnie dumny z tego, jak brzmię bez akompaniamentu, nawet mając tylko jedną słuchaczkę, lecz tego dnia po prostu zaśpiewałem dla Rose.

Jej uśmiechy są wiosną, w której ma radość rozkwita,

a mars na jej czole sprawia, że zapada zima niedolą spowita...

Uśmiechnęła się miękko, niespokojnie, a ja poczułem, że cały świat mi się wymyka. Chciałem wymknąć się wraz z nią i udać tam, gdzie ona zmierzała. Nie wiedziałem, jak być sobą, zachować swoją dziwną i niezwykłą tożsamość bez niej. Oczywiście, próbowałem już wcześniej to uczynić. Przez całe lata egzystowałem bez Rose, ale nie było to niczym więcej. Tylko egzystencją. Książką pozbawioną słów.

— Będę szukał Marion.

Zamknęła oczy, jakby właśnie usłyszała ostatnią rzecz, jakiej pragnęła.

Teraz jej skóra przybrała odcień szarości styczniowego nieba.

— Kocham cię, Rose.

Poszukałem jej ust oraz linii pomiędzy wyblakłymi wargami. Bezskutecznie czekałem na najłżejszą choćby reakcję, lecz Rose nie mogła już odpowiedzieć. Cisza była przerażająca. Jedynym, co się poruszało, były pyłki kurzu.

Wzywałem Boga, prosiłem, błagałem i negocjowałem, ale On się nie targował. Bóg był uparty, głuchy i niepomny na me wołania. Tak więc umarła, ja żyłem, a mroczna, bezdenna

głębina rozwarła się, bym w nią wpadł i tkwił tam przez całe stulecia.

Londyn, obecnie

Wciąż jest mi słabo. Moja głowa pulsuje. Idę. Myślę, że pomoże mi to łatwiej znieść wspomnienia z Chapel Street. Zmierzam w kierunku antidotum: Hackney. Well Lane. Teraz ta ulica nie nazywa się już Well Street. To miejsce, gdzie Rose i ja po raz pierwszy razem mieszkaliśmy, zanim nastały lata nędzy, separacji i plagi. Domki, stajnie, stodoły, staw i sady owocowe już dawno przeminęły. Wiem, że nie jest to najlepszy pomysł, by chodzić po nieznanym ulicach, szukając wspomnień, które zostały od tamtej pory utwardzone niczym nawierzchnia owych ulic, lecz muszę się na to zdobyć.

Idę dalej. To chyba jedno z najbardziej ruchliwych ulic w Hackney. Autobusy i kupujący pędzą wokół mnie. Przechodzę obok sklepu z telefonami, lombardu, baru z kanapkami. I wtedy to widzę, po drugiej stronie ulicy — miejsce, w którym niegdyś mieszkaliśmy.

Teraz stoi tam pozbawiony okien budynek z czerwonej cegły, z niebiesko-białym szyldem na froncie. USŁUGI RATOWANIA ZWIERZĄT HACKNEY. Przygnębiająca jest świadomość, że twoje życie zostało wymazane. To ten rodzaj przygnębienia, który wymaga od ciebie odpoczynku i oparcia się o ścianę w pobliżu bankomatu, co skutkuje koniecznością przeproszenia starszego pana próbującego ochronić swój numer PIN, wyjaśnienia mu, że wcale nie planujesz go obrabować, i pogodzenia się z jego spojrzeniem mówiącym, że wciąż nie jest pewien, czy powinien ci uwierzyć.

Obserwuję, jak mężczyzna z amstafem opuszcza budynek. Wtedy uświadamiam sobie, co zrobić. Jak pogodzić się nieco ze swoją przeszłością.

Mogę przejść przez ulicę i wejść do środka.

Każdy inny pies w tym miejscu szczeka. Ale ten jeden leży tylko w niewymiarowym koszu. To dziwna szara istota o szafirowych oczach. Pies, jak sądzę, jest zbyt dostojny dla tak nowoczesnego blichtru. Wygląda jak zagubiony w czasie wilk. Czuję się z nim związany.

Obok psa leży nietknięty gryzak. To jasnożółta kauczukowa kość.

— Jaka to rasa? — pytam wolontariuszkę ze schroniska (z imieniem „Lou” wypisanym na plakietce), która drapie zmiany skórne na ramieniu.

— To akita — odpowiada. — Dość rzadki. Czy nie przypomina trochę husky?

— Owszem.

Na tyle, na ile mogę ocenić, stwierdzam, że trafiłem pod właściwy adres. Ta psiarnia to miejsce, w którym spoczywa ów piękny, smutny pies, znajduje się dokładnie tam, gdzie niegdyś był nasz pokój. Ten, w którym spaliśmy.

— Ile ma lat? — pytam Lou.

— Jest już dosyć stary. Ma jedenaście lat i to jest jedna z przyczyn, dla których trudno znaleźć dla niego dom.

— Dlaczego tutaj trafił?

— Został odebrany właścicielowi. Mieszkał na balkonie. Przykuty łańcuchem. Był w okropnym stanie. Proszę spojrzeć. — Wskazuje na czerwono-brązową bliznę na jego udzie, w miejscu nieporośniętym sierścią.

— Ślad po przypaleniu papierosem.

— Wygląda tak smutno.

— I taki jest.

— Jak ma na imię?

— Nigdy go nie poznaliśmy. Mówimy na niego Abraham.

— Dlaczego?

— Wieżowiec, w którym go znaleźliśmy, nazywa się Lincoln Tower.

— Ach — odpowiadam. — Abraham. Pasuje do niego.

Abraham wstaje. Podchodzi do mnie i gapi się tymi jasnoniebieskimi oczami, zupełnie jakby chciał mi coś powiedzieć. Nie zamierzałem przygarniać psa. Nie to miałem dzisiaj w planach. Tymczasem stoję, mówiąc:

— To jego szukałem. Chcę go zabrać do domu.

Lou patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Nie chciałby pan najpierw obejrzeć pozostałych?

— Nie.

Spoglądam na zmiany skórne na ramieniu Lou — zaczerwienione i podrażnione — a mój umysł wraca do wspomnienia pewnego mroźnego zimowego dnia, kiedy to siedziałem wraz z pozostałymi pacjentami doktora Hutchinsona w poczekalni, nerwowo oczekując na postawienie diagnozy.

Londyn, rok 1860

Szalała zamieć. Po stosunkowo łagodnym i niewartym zapamiętania okresie w ostatnich kilku dniach stycznia temperatura gwałtownie spadła. Był to najzimniejszy Londyn, jaki znałem od 1814 roku, czyli roku, w którym Napoleon stał się pośmiewiskiem, wybuchł finansowy skandal i zorganizowano ostatni jarmark na zamrzniętej Tamizie, podczas którego kupcy z bazaru sprzedawali swoje wyroby na skuwającej lód rzece.

I tak jak wtedy, również tej zimy niemożliwe stawało się poruszanie mięśniami twarzy na świeżym powietrzu. Mogłeś niemal poczuć, jak twoja krew zaczyna zamarzać. Podczas trzykilometrowego spaceru do Blackfriars Road ledwo mogłem cokolwiek dojrzeć, a przebyty przeze mnie szlak prowadził od latarni do latarni. Mówię o tych czarnych eleganckich lampach ulicznych z kutego żelaza, które kiedyś wydawały się tak nowoczesne. Przy Blackfriars Road mieścił się szpital, w którym pracował wówczas doktor Hutchinson. Tu znajdowała się też Londyńska Instytucja Kosmetyczna Leczenia i Zapobiegania Niezakaźnym Chorobom Skóry. Dość chwytliwa nazwa. Przynajmniej według wiktoriańskich standardów.

Oczywiście, nie nabawiłem się żadnej choroby dermatologicznej. Nie byłem zaniepokojony stanem swojej skóry. Nie miałem wysypki. Na mojej skórze nie było nic złego, czego nie byłoby tam już dwieście siedemdziesiąt dziewięć lat wcześniej, poza tym, że wyglądała o stulecia młodziej, niż powinna. Dotyczyło to jednak nie tylko samej skóry, ale i całego ciała. Gdyby również mój umysł mógł czuć się, jakby miał trzydzieści lat.

Powodem, dla którego skontaktowałem się z doktorem Hutchinsonem, były jego odkrycia i badania podobnej, acz mającej przeciwne skutki dolegliwości niż moja. Schorzenie to znane było jako progeria.

Słowo to wywodzi się ze starogreckiego. *Pro* oznacza w tym języku nie tylko „przed”, ale i „wcześnie”, a *geras* „starość”. Przedwczesna starość. I tym właśnie jest ta przypadłość. Dziecko rodzi się i gdy jest jeszcze brzdącem, zaczynają się pojawiać dziwne objawy. Wraz z dorastaniem stają się one coraz bardziej wstrząsające: wypadanie włosów, zmarszczki na skórze, osłabienie kości, uwydatnienie się naczyń krwionośnych, sztywność stawów, niewydolność nerek i osłabienie wzroku. Chorzy umierają w młodym wieku.

Takie dzieci rodziły się zawsze. Choroba nie została jednak rozpoznana do momentu, gdy doktor Hutchinson opisał ją jako pierwszy, bazując na przypadku sześciolatniego chłopca, który tracił włosy i cierpiał na atrofię skóry.

Wyruszając na spotkanie z doktorem, byłem więc pełen uzasadnionego optymizmu. Jeśli istniał ktoś, kto mógłby mi pomóc, on z całą pewnością był taką osobą. Bo widzisz, rzeczywiście cierpiałem z powodu swojego stanu. Ostatnie dwieście lat spędziłem na przeszukiwaniu Londynu i reszty kraju w nadziei na odnalezienie Marion. Od czasu do czasu wydawało mi się, że widziałem kogoś, kto wyglądał jak ona, a następnie wychodziłem na głupca. Szczególnie zapadło mi w pamięć pobicie przez podchmielonego szewca z Shambles w York, który sądził, że nagabuję jego żonę, pytając ją, kiedy się urodziła. Grałem muzykę wszędzie tam, gdzie mogłem liczyć na wynagrodzenie, ciągle się przeprowadzałem i zmieniałem tożsamość, gdy tylko wzbudziłem czyjeś podejrzenia. Nigdy nie zgromadziłem bogactw. Pieniądze, które zarabiałem, szybko ode mnie odpływały, pokrywając koszty czynszu i ale.

Niejednokrotnie traciłem nadzieję, że prowadzone poszukiwania zakończą się sukcesem. Pragnąłem bowiem nie tylko znaleźć zaginioną osobę, ale i inną utraconą przeze mnie wartość — znaczenie. Chciałem je odzyskać choćby na chwilę. Przyszło mi na myśl, że istoty ludzkie nie żyją ponad sto lat, ponieważ po prostu nie są na to gotowe. Mam na myśli aspekt psychologiczny. Chodzi o to, że się *wyczerpują*. Nie mają wystarczających zasobów tożsamości, by podążać dalej. Dorastają do momentu, w którym są znudzone własnymi umysłami. Nudzi je powtarzalność życia. To, że po jakimś czasie nie ma już uśmiechu ani gestu, którego wcześniej się nie widziało. Nie ma takiej zmiany w porządku świata, która nie stanowiłaby echa jakiejś wcześniejszej zmiany. Nowe wiadomości przestają być nowe. Samo słowo „nowość” staje się parodią. Wszystko stanowi tylko element cyklu, który powoli zatacza koło za kołem. Gaśnie również twoja tolerancja w stosunku do ludzi, którzy setki razy popełniają te same błędy. Przypomina to słuchanie tej samej piosenki, której refren początkowo ci się podobał, ale po jakimś czasie sprawia, że najchętniej przebiłbyś sobie bębenki w uszach.

Rzeczywiście, często to wszystko wystarczy, aby zechcieć odebrać sobie życie. Sam czasami myślałem o wprowadzeniu tego pragnienia w czyn. Przez wiele lat po śmierci Rose przyłapywałem się na tym, że stoję w aptece i rozmyślam nad zakupem arseniku. Niedawno znów osiągnąłem ten stan. Zacząłem przystawać na mostach, marząc o nieistnieniu.

I pewnie zdecydowałbym się na ten krok, gdyby nie obietnice, jakie złożyłem Rose i mojej matce.

Po prostu nie lubiłem swojej przypadłości.

Przez nią byłem samotny. A gdy mówię „samotny”, mam na myśli ten rodzaj samotności, która wyje w twoim wnętrzu niczym pustynny wiatr. Nie chodziło wyłącznie o utratę ludzi, których znałem, ale również o utratę samego siebie. Utratę tego, kim się stawałem, kiedy byłem z nimi.

Widzisz, w sumie przez całe swoje życie kochałem trzy osoby: matkę, Rose i Marion. Dwie z nich zmarły, życie ostatniej zaś było zaledwie kwestią prawdopodobieństwa. A bez miłości w charakterze kotwicy dryfowałem. Wybrałem się w dwie morskie podróże, zatapiając się w alkoholu i utrzymując na powierzchni wyłącznie dzięki determinacji, by znaleźć Marion, i wierze w to, że przy okazji mogę odnaleźć również siebie.

Szedłem przez zamieć. Byłem na kacu. Trzeba było morza alkoholu, by wywołać u mnie kaca, ale zawsze dokładałem wszelkich starań, by doprowadzić się do tego stanu. Przez śnieg miasto wydawało się częściowo rozmyte jak na mglistych obrazach Londynu autorstwa Moneta, które wkrótce miały powstać. Wokół nie było nikogo, z wyjątkiem chrześcijańskiej misji, gdzie mężczyźni w obdartych, źle dopasowanych ubraniach i płaskich nakryciach głowy czekali na jedzenie. Byli tak spokojni, tak cisi, tak przygnębieni i odrętwiali z zimna.

Zdawałem sobie sprawę, że prawdopodobnie moja podróż będzie daremna. Co jednak innego mogłem zrobić? Byłem zdeterminowany, by spotkać się z doktorem Hutchinsonem, bo

jeśli ktokolwiek na świecie mógłby mi powiedzieć coś o mojej dolegliwości, wierzyłem, że to będzie właśnie on.

Pogoda sprawiła jednak, że nie mogłem być pewien, czy go w ogóle zastanę.

Gdy dotarłem do celu, pielęgniarka, panna Forster, zapewniła mnie, że doktor Hutchinson *zawsze* jest w pracy.

— Pozwolę sobie stwierdzić, że nigdy nie opuścił choćby jednego roboczego dnia — powiedziała panna Forster tak, jak zapewne mówiła już wiele razy wcześniej. Wyglądała tak nieskazitelnie czysto i była pozbawiona barw, odziana w biały czepek i fartuch, że wydawała się jakimś tworem szalejącej tego dnia zamieci. — Ma pan dzisiaj szczęście — powiedziała. — Wszyscy w Londynie chcieliby porozmawiać z panem Hutchinsonem na temat swoich dolegliwości. — Taksowała mnie wzrokiem, najwyraźniej starając się dociec, jaka to choroba skórna sprowadza mnie w to miejsce.

Poszedłem za panną Forster po trzech ciągach schodów, gdzie kazała mi czekać w miło urządzonej sypialni, pełnej drogich krzeseł o wysokich oparciach z czerwonymi aksamitnymi siedzeniami, z tapetą z adamaszku i majestatycznym zegarem ściennym.

— Wciąż jest u niego pacjent — powiedziała do mnie nabożnym szeptem, jakiego zwykło się używać w kościele. — Może się okazać, że przyjdzie panu poczekać dobrą chwilę, panie Cribbs.

(Nazywałem się wtedy Edward Cribbs, dla uczczenia byłego kumpla od kieliszka z Plymouth).

— Czekanie to moja specjalność — odparłem.

— Znakomicie, sir — powiedziała gorliwie, a następnie mnie opuściła. Pamiętam siedzących w tym pokoju ludzi, których twarze były skolonizowane przez straszne krosty i wysypki.

— Prawda, że okropna pogoda? — powiedziałem do jednej z czekających kobiet, której twarz pokrywała purpurowa wysypka.

(Jedyną rzeczą, jaka pozostała niezmienna przez cztery stulecia, było pragnienie Brytyjczyków, by wypełnić ciszę rozmową o pogodzie. Gdziekolwiek bym mieszkał, nie było wyjątku od tej reguły).

— Zaiste, sir — odparła, lecz nie podchwyciła tematu.

W końcu drzwi, przy których czekałem, otworzyły się i wyszedł przez nie pacjent. Był dobrze ubrany, niczym dandys, ale jego twarz pokrywały ostre, wypukłe krosty przypominające miniaturowe pasmo górskie.

— Miłego dnia — powiedział do mnie, uśmiechając się tak szeroko, jak tylko pozwalała na to jego twarz. Najwyraźniej doznał jakiegoś cudu (lub przynajmniej obietnicy takowego).

W poczekalni panowała cisza, jakiej zwykle nie doświadcza się w takich miejscach, a milczenie zakłócał jedynie zegar. W końcu nadeszła moja kolej.

Wszedłem do gabinetu, a pierwszym, na co zwróciłem uwagę, był sam doktor Hutchinson. Jonathan Hutchinson był z wyglądu imponującym mężczyzną. Nawet w apogeum ery imponujących dżentelmenów prezentował się onieśmielająco. Był wysoki, inteligentny i miał długą brodę. Właśnie ona cieszyła się szczególnym uznaniem. Ni to zarost greckiego filozofa, ni to broda rozbitka po katastrofie statku. Była starannie przemyślana i zaplanowana, zwężała się i wiotczała, aż przechodziła w cienki, biały, prosty ogon, który w pewnym momencie płynnie się kończył. Może to przez intensywną naturę tego ranka zacząłem dostrzegać w owej brodzie metaforę doczesnego życia.

— Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć — powiedziałem i natychmiast tego pożałowałem. To sformułowanie bowiem sprawiło, że zabrzmiałem, jakbym był zdesperowany.

Doktor Hutchinson zerknął na swój kieszonkowy zegarek. Podczas naszego spotkania zrobił to jeszcze kilkakrotnie. Prawdopodobnie nie był zaniepokojony upływem czasu. Wyglądało to raczej na nawyk. Właściwie był to dość powszechny zwyczaj. Dziś ludzie w ten sam sposób zerkają na swoje smartfony.

Wpatrywał się we mnie. Wziął z biurka list. To ja byłem jego autorem. Przeczytał mi jego fragmenty.

— *Drogi doktorze Hutchinson — jego głos był ciepły i suchy. — Jestem wielkim wielbicielem pańskiej pracy. Natknąłem się na artykuł, który napisał pan na temat nowej choroby, którą pan odkrył. Przez tę dolegliwość ciało się przedwcześnie starzeje... Sam jestem dotknięty pewną przypadłością podobnej natury, choć — jeśli to w ogóle możliwe — jeszcze bardziej niezbadaną... Wydaje mi się, że jest pan jedynym człowiekiem w całym chrześcijańskim świecie, który może znaleźć jakieś wyjaśnienie i zapewnić ulgę na resztę życia...*

Ostrożnie złożył list i odłożył go na biurko. Potem uważnie mi się przyjrzał.

— Pańska skóra wręcz promienieje zdrowiem. To skóra zdrowego człowieka.

— Bo jestem zdrowy. Przynajmniej cieleśnie. A na pewno zdrowszy od większości ludzi.

— W czym więc tkwi problem?

— Zanim cokolwiek powiem, muszę zyskać gwarancję, że moja tożsamość pozostanie tajemnicą. Gdyby pan opisał jakiegokolwiek odkrycia, które wynikną z tego, co wywnioskuje pan z mojego przypadku, moje imię i nazwisko nie znajdą się w żadnej publikacji. Ma to ogromne znaczenie. Czy może mi pan to zagwarantować?

— Naturalnie. Przyznam, że rozbudził pan moją ciekawość. Proszę zdradzić zatem, na czym polega pański problem.

Odpowiedziałem na jego pytanie.

— Jestem stary — rzekłem wprost.

— Nie bardzo...

— Jestem starszy, niż się wydaje.

Sekundę zajęło mu przetrawienie tych słów, lecz wyglądało na to, że do niego dotarły. Gdy przemówił ponownie, jego głos się zmienił. Wydawał się mniej pewny. Zawisło między nami pytanie, którego bał się zadać, lecz które musiało ostatecznie paść.

— *Jak stary?*

— Starszy niż to możliwe — odparłem.

— *Możliwe jest wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło. Celem nauki jest sprawdzenie, gdzie znajdują się granice możliwego. Kiedy to osiągniemy — a to się z pewnością wydarzy — nie będzie już magii ani przesądów, a pozostanie po prostu to, co istnieje. Niegdyś nie było możliwe, żeby ten glob, na którym żyjemy, nie był płaski. Nie jest zadaniem nauki — a na pewno nie medycyny — umniejszanie naszych oczekiwań wobec natury. Jest wręcz przeciwnie. — Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie. Potem pochylił się w moim kierunku i szepnął: — Zepsuta ryba.*

— Chyba nie wszystko zrozumiałem.

Usiadł i zacisnął usta. Bolesne było samo patrzenie na niego.

— *Nikt nie dostrzega powiązania między zepsutymi rybami a trądem, lecz ono istnieje. Jeśli jesz zbyt dużo zepsutych ryb, rozwinie się u ciebie trąd.*

— *Och — westchnąłem — Nie miałem o tym pojęcia.*

(Oczywiście, teraz, w XXI wieku mogę stanowczo stwierdzić, że jeśli jesz zepsute ryby, nie dostaniesz trądu. Żyłem jednak wystarczająco długo, aby wiedzieć, że za następne dwieście lat ktoś może udowodnić, że zepsute ryby faktycznie wywołują trąd i że doktor Hutchinson miał w tym względzie rację. Jeśli żyjesz wystarczająco długo, zdajesz sobie sprawę, że każdy

udowodniony fakt jest później obalany, a następnie ponownie udowodniany. Kiedy byłem mały, przeciętna osoba spoza środowiska naukowego nadal wierzyła, że Ziemia jest płaska, ponieważ tak wynikało z jej obserwacji. Dopiero później ludzie zaczęli w końcu rozumieć, że Ziemia jest kulista. Pewnego dnia jednak przeglądałem czasopismo „New Scientist” w księgarni WH Smith’s i natrafiłem na opis czegoś, co nazywa się „zasadą holograficzną”. Dotyczy ona teorii strun i mechaniki kwantowej oraz tego, jak grawitacja działa w sposób przypominający hologram. Najbardziej niesamowite w tej teorii jest to, że sugeruje ona, iż cały wszechświat jest tylko dwuwymiarową informacją na horyzoncie kosmologicznym i że wszystko, co myślimy, widzimy w trzech wymiarach, tak naprawdę jest iluzją niczym film 3D. W efekcie wszystko może być tylko symulacją. Tak naprawdę, świat — jak i wszystko — może być płaski. Idąc tym torem myślenia, może również wcale nie być płaski).

— Powiedz mi zatem — rzekł, przypominając mi pytanie, które wciąż wisiało w powietrzu. Pytanie, na które odpowiedź po prostu musiała paść. — Ile masz lat?

Zatem mu odpowiedziałem:

— Urodziłem się trzeciego marca 1581 roku. Mam teraz dwieście siedemdziesiąt jeden lat.

Spodziewałem się, że zacznie się śmiać, lecz nie zrobił tego. Przypatrywał mi się przez długi czas, a płatki śniegu tańczyły gorliwie za oknem, odzwierciedlając myśli kłębiące się w moim umyśle. Oczy lekarza były szeroko otwarte, a dolną wargę miał ściśniętą palcami. Następnie powiedział:

— W porządku. A zatem... To dość stanowczo rozstrzyga całą sprawę. Teraz mogę się do tego zabrać i postawić diagnozę.

Uśmiechnąłem się. To było dobre. Diagnoza była dokładnie tym, po co przybyłem.

— Aby uzyskać jednak odpowiednią pomoc, będziesz musiał udać się do Bethlem.

Pamiętałem, że mijałem to miejsce. Słyszałem dochodzące stamtąd otepiałe krzyki.

— Szpital Bethlem? Ten sam, co Bedlam⁴?

— Dokładnie ten.

— Ale to miejsce dla szaleńców.

— Tak, to miejsce dla osób psychicznie chorych. Zapewni ci pomoc, której potrzebujesz. Tymczasem ja mam na dziś zaplanowanych więcej spotkań.

Wskazał głową drzwi.

— Ale...

— Proszę posłuchać. Polecam panu odwiedzenie Bethlem. Tam będą w stanie pomóc na pańskie... urojenia.

Najbardziej modnym filozofem był wówczas Niemiec Arthur Schopenhauer, który w owym czasie nadal żył (choć nie miało to już długo potrwać). Czytałem wiele jego prac, co w moim wypadku było prawdopodobnie niewskazane. Lektura Schopenhauera, gdy ogarnia cię melancholia, była jak zdejmowanie ubrań, kiedy jest ci zimno, lecz w tamtym momencie przypomniałem sobie jeden z jego cytatów.

Każdy człowiek bierze ograniczenia własnego pola widzenia za ograniczenia całego świata.

Wierzyłem, że przychodząc do doktora Hutchinsona, spotkam człowieka o najszerszym naukowym polu widzenia, który ma największe szanse zrozumieć moją przypadłość, a teraz ta wiara mnie opuściła, pozostawiając po sobie rodzaj smutku. Smutku spowodowanego śmiercią nadziei. Znalazłem się poza wszystkimi polami widzenia. Byłem rodzajem niewidzialnego człowieka.

W rezultacie zacząłem się nieco ekscytować. Wyjąłem z kieszeni monetę.

— Proszę na to spojrzeć. Niech pan tylko popatrzy na tego pensa. Pochodzi z czasów elżbietańskich. Proszę tylko spojrzeć. Córka mi go dała, gdy musiałem opuścić dom.

— To rzadka moneta, lecz mam przyjaciela posiadającego srebrną monetę z czasów Henryka VIII. Jeśli się nie mylę, to czteropensówka. A zapewniam pana, że mój przyjaciel wcale nie urodził się w czasach Tudorów. Jego moneta jest jednak jeszcze rzadsza niż pańska.

— Przyrzekam panu, że nie mam urojeń. Pozostaję przy życiu już od długiego czasu. Byłem na tym świecie, gdy Brytyjczycy odkryli Tahiti. Znałem kapitana Cooka. Pracowałem w Trupie Lorda Szambelana... Bardzo pana proszę, musi mi pan to powiedzieć. Czy był u pana ktokolwiek podobny do mnie? Dziewczyna... kobieta... opisująca te same objawy? Ma na imię Marion, lecz mogła się przedstawić inaczej. Musi się maskować, przybierając inną tożsamość. Tacy jak my muszą to często robić, żeby przetrwać...

Doktor Hutchinson teraz wyglądał już na zaniepokojonego.

— Proszę wyjść. Widzę, że jest pan coraz bardziej pobudzony.

— To oczywiste, że jestem pobudzony. Jest pan jedyną osobą, która może mi pomóc. Muszę zrozumieć, co się ze mną dzieje. Muszę dowiedzieć się, dlaczego taki jestem.

Złapałem go za nadgarstek. Jego ręka cofnęła się z trwogą, jakby uznał, że moje szaleństwo może być zaraźliwe.

— Jesteśmy o rzut kamieniem od posterunku policji. Jeśli nie wyjdzie pan dobrowolnie, wezwę policję, by wyprowadziła pana stąd siłą.

Wtedy w moich oczach pojawiły się łzy. Doktor Hutchinson zasępił się i wyglądał jak własny duch. Wiedziałem, że muszę odejść. Wiedziałem, że przynajmniej na pewien czas muszę porzucić nadzieję. Wstałem więc, skinąłem głową i wyszedłem, nie wypowiadając choćby jednego słowa, by zachować swoją historię, mój osobisty sekret, wyłącznie dla siebie przez kolejne trzydzieści jeden lat.

Londyn i St Albans, lata 1860–1891

Po tym pierwszym spotkaniu z doktorem Hutchinsonem osiągnąłem stan, który wykraczał poza mój zwyczajowy żal, niepokój, z troskanie i rozpacz. Przestałem bowiem czuć cokolwiek. A kiedy nic nie czułem, niemal z nostalgią wspominałem smutek. Gdy czujesz ból, przynajmniej masz pewność, że żyjesz. Próbowałem to zwalczyć, zmuszając się do życia i obcowania ze zgiełkiem. Z własnej inicjatywy poszedłem na kilka wodewili, zawsze wybierając miejsca w jednym z pierwszych rzędów, w samym centrum dźwięków i śmiechu. Sam też śpiewałem i śmiałem się, próbując poczuć radość, jaka wypełniała pomieszczenie. Byłem jednak na nią odporny.

Tak więc w pewien upalny sierpniowy dzień 1880 roku przemierzyłem na piechotę drogę z Whitechapel do St Albans. Życie w Londynie było dla mnie nie do zniesienia. Zbyt wiele wspomnień. Zbyt wiele duchów. Nadeszła pora, żeby znowu stać się kimś innym. Przypuszczam, że sposób, w jaki postrzegam swoje życie, można porównać do matryoszki, której kolejne wersje znajdują się we wnętrzu większej lalki. Każda następna otacza poprzednią, przy czym poprzednie życia nie są widoczne, lecz wciąż obecne we wnętrzu następnych.

Przez lata uważałem, że najważniejsze jest budowanie nowej skorupy wokół tego, co się już przeżyło. Że trzeba pozostawać w ruchu, ciągle się zmieniać, przekształcać.

St Albans nie leżało daleko od Londynu, a zarazem było od niego wystarczająco oddalone. Było dla mnie tak nowym miejscem w Anglii jak każde inne. Zatrudniłem się tam jako kowal. Współcześni ludzie myślą o wczesnych latach osiemdziesiątych XIX wieku jako o przemysłowym okresie pełnym dymu i fabryk, ale, podobnie jak w każdym innym wieku,

stanowiły one mieszankę wielu różnych epok. Przeszłość pozostaje, a jej echa słyszeć również wtedy, gdy nowoczesność rwie naprzód. Nadal była to więc epoka konia i zaprzęgu, a kowalstwo rozwijało się lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Ale w St Albans sprawy przybrały zły obrót. Czasem całkowicie się zatraciałem i tylko wpatrywałem się w pomarańczowy żar kuźni, ledwie będąc świadomy siebie samego, nie wspominając już o czymkolwiek innym. W takich sytuacjach mój przełożony, Jeremia -Cartwright, zwykł dawać mi kuksańca łokciem lub uderzać dłonią w plecy, mówiąc, żebym „przestał bujać w obłokach”.

Pewnego razu, gdy byłem w kuźni sam, podjąłem rozpaczliwe działanie, by poczuć cokolwiek. Podciągnąłem rękaw, wyjąłem z płomieni kawałek rozżarzonego żelaza w kształcie podkowy i przycisnąłem go do lewego przedramienia. Trzymałem go tam, a skóra syczała i smażyła się pod gorącym metalem. Zaciskałem zęby i oczy, tłumiąc krzyk.

Nadal mam tę bliznę, wyglądającą jak pół uśmiechu, a gdy na nią patrzę, odczuwam dziwne ukojenie. Choć jest to zarazem jeszcze jedna rzecz, która zmusza mnie do ostrożności. Kolejna, którą muszę ukrywać. Znak rozpoznawczy zagrażający mojej anonimowości.

Jak sądzę, tamten czyn przyniósł zamierzony skutek. Poczulem dzięki niemu ból. Wszedł do mojego wnętrza i krzyczał przeze mnie z rozsadzającą umysł intensywnością. Zdałem sobie sprawę, że musiałem istnieć, bo bólu może doświadczać tylko żywa istota — w tym wypadku ja — która będzie w stanie go poczuć. Ta wiedza przyniosła mi uspokojenie, stanowiąc dowód mojej realności.

Ale nadal szukałem dowodu na to, że nie oszalałem.

Pewnego dnia przyszła mi do głowy pewna myśl. Była ona następująca: może już miałem dowód. Ja sam byłem świadectwem potwierdzającym, że czas niekiedy płynie inaczej.

Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zdecydowałem się zabrać ów dowód na jeszcze jedną, ostatnią, wizytę u doktora Hutchinsona.

Londyn, rok 1891

Doktor Hutchinson nie miał pojęcia, że to ja go odwiedzę. Nie mógł rozpoznać mojego nazwiska na liście umówionych pacjentów, ponieważ gdy mnie widział ostatnim razem, nazywałem się Edward Cribbs, a teraz, po raz pierwszy od czasów młodości, występowałem pod swoim prawdziwym imieniem. I tylko imieniem. Znowu byłem Tomem. Ale z nazwiska nie byłem już hugenockim -Hazardem czy nudnym Smithem, lecz bardziej symbolicznym Wintersem⁵.

Był ciepły dzień — czwartego czerwca — a ja przybyłem do miasta ciągniętym przez konie zaprzęgiem, który należał (zarówno zaprzęg, jak i konie) do mojego posępnego szefa Jeremiaha.

Londyńska Instytucja Kosmetyczna Leczenia i Zapobiegania Niezakaźnym Chorobom Skóry nosiła teraz nazwę Londyńska Klinika Skórna, lecz wszystko inne było dokładnie takie, jak to zapamiętałem. Piękne meble, trzy ciągi schodów. Nawet biuro doktora Hutchinsona wyglądało tak samo jak poprzednio, choć panował w nim nieco większy nieład. Jego biurko przepełniło się dokumentami i otwartymi książkami, a skórzany fotel miał w jednym miejscu rozprute obicie. To wciąż było to samo miejsce, ale wyglądało tak, jakby przeszła przez nie trąba powietrzna.

Doktor Hutchinson, podobnie jak większość ludzi, zestarzał się znacznie bardziej niż jego otoczenie. Jego niegdyś wytworna broda była teraz delikatna, siwa i przerzedzona. Miał pożółkłe białka oczu, a dłonie poskręcane artretyzmem i upstrzone starczymi plamami. A dźwięczny

niegdyś głos zaburzał teraz chrapliwy oddech. Był, krótko mówiąc, zwykłym człowiekiem, a czas zrobił w jego wypadku swoje.

— A więc, panie Winters, nie wydaje mi się, żebym miał jakiegokolwiek notatki na pański temat. — Nie podniósł wzroku, odkąd wszedłem do jego gabinetu. Po prostu wpatrywał się w stos dokumentów piętrzących się na biurku.

— Gdy umawiałem się na wizytę, nie miałem żadnych informacji do przekazania.

W tym momencie podniósł wzrok i spojrzał na mnie. Początkowo zwrócił uwagę na moją brudną odzież i poczerniałe dłonie, więc zapewne zaczął się zastanawiać, co w jego gabinecie robi prymitywnie odziany mężczyzna mojego pokroju.

— Uściłem opłatę na dole — powiedziałem, odchrząkując. — Ciekaw jestem, czy mnie pan poznaje.

Podniósł wzrok jeszcze wyżej. Nasze spojrzenia się spotkały.

— Ostatnio, gdy przyszedłem się z panem zobaczyć, uczyniłem to pod nazwiskiem Edward Cribbs. Czy pan pamięta to nazwisko? Czy pan mnie pamięta? Zalecił mi pan udanie się do zakładu dla umysłowo chorych.

Chrapliwy oddech stał się głośniejszy. Doktor wstał ze swojego skórzanego fotela i podszedł do mnie. Stał góra ćwierć metra od mojego nosa. Zaczął przecierać starcze oczy.

Następnie rozległ się szept:

— Nie.

— Ależ pan mnie pamięta, nieprawdaż? Oczywiście, że tak. Doskonale to widać. To było trzydzieści jeden lat temu.

Zaparło mu dech w piersi, zupełnie jakby uświadomienie sobie prawdy było równie trudne jak wspinaczka pod górę.

— Nie. Nie, nie, nie. To nie może być prawda. To iluzja. Mogłeś być Maskelyne'em lub Cooke'em. (Maskelyne i Cooke to iluzjoniści, którzy wspólnie dawali przedstawienia i byli niezwykle popularnymi artystami w ówczesnym Londynie).

— Zapewniam pana, że to prawda.

— Najwyraźniej opuściły mnie zdrowe zmysły.

Smutne było to, że wolał podważać własną poczytalność, niż zaakceptować moje istnienie.

— Nie, sir, zapewniam, że wszystko z panem w porządku. Przypadłość, o której panu mówiłem, mój stan, zdolność powstrzymywania fali lat, przypadłość, która wydaje się błogosławieństwem, ale stanowi również przekleństwo — jest prawdziwa. Jestem prawdziwy. Moje życie jest prawdziwe. I to bardzo prawdziwe.

— Nie jesteś duchem?

— Nie.

— Ani wytworem mojego umysłu?

— Też nie.

Wyciągnął dłoń, by dotknąć mojej twarzy.

— Jaka była dokładna data twoich narodzin?

— Urodziłem się trzeciego marca 1581 roku.

— 1581 rok — powtórzył moje słowa nie jak pytanie, lecz jak treść tak niesamowitą, że można ją zaakceptować dopiero po wypowiedzeniu na głos. — 1581. 1581. Miałeś osiemdziesiąt pięć lat podczas wielkiego pożaru Londynu.

— Czułem jego żar. Iskry z tamtego ognia naznaczyły moją skórę.

Teraz przypatrywał mi się w nowy sposób, zupełnie jakby był paleontologiem, a ja jajem dinozaura, z którego za chwilę coś miało się wykluć.

— Proszę, proszę. To wszystko zmienia. *Wszystko*. Powiedz mi, proszę, czy jesteś jedyny w swoim rodzaju? Czy kiedykolwiek spotkałeś kogoś takiego jak ty? Cierpiącego na tę... przypadłość?

— Tak! — odparłem. — Był pewien mężczyzna, którego poznałem podczas drugiej wyprawy kapitana Cooka. Był mieszkańcem jednej z wysp na Pacyfiku i nazywał się Omai. Stał się najrzadszym z darów — przyjacielem — zarówno dla mnie, jak i dla mojej córki Marion. Nie widziałem jej od czasu, gdy była dziewczynką. Jej matka zdradziła mi, że Marion odziedziczyła po mnie tę przypadłość. Przestała się normalnie starzeć około jedenastego roku życia.

Doktor Hutchinson się uśmiechnął.

— Musi to być coś trudnego do pojęcia.

Ja również się uśmiechnąłem, czując, że w mojej duszy rodzi się radość z bycia zrozumianym.

Ta radość trwała we mnie do momentu, kiedy trzynaście dni później wyłowiono z Tamizy ciało doktora Hutchinsona.

Londyn, obecnie

Wciąż doskwiera mi ból głowy.

Czasami prawie go nie ma, a kiedy indziej jest wszystkim, co istnieje. Ten ból zawsze łączy się ze wspomnieniami. W mniejszym stopniu to ból głowy, a w większym ból pamięci. Ból życia.

Niezależnie od tego, co robię, nigdy nie opuszcza mnie w stu procentach. Próbowalem już wszystkiego. Zażywałem ibuprofen, piłem litrami wodę, kąpałem się w wodzie z olejkiem lawendowym, leżałem w całkowitej ciemności, pocierałem powolnymi, okrężnymi ruchami skronie, spowalniałem oddech, słuchałem muzyki lutni i szumu fal na plaży, medytowałem, przeszedłem wideo-kurs jogi mający uwalniać stres, podczas którego około stu razy powtarzałem mantrę „Jestem bezpieczny, dobrze jest uwalniać przeszłość”, aż zaczął mnie przerażać własny głos, oglądałem odmóżdżające programy telewizyjne i zmniejszyłem poziom jasności ekranu w laptopie, lecz ból głowy pozostał, nieustępliwy niczym cień.

Jedyną rzeczą, której nie próbowałem, był sen. Mam z tym problem narastający od dziesięcioleci.

Ostatniej nocy nie mogłem zasnąć, więc oglądałem program dokumentalny o żółwiach. Nie są one najdłużej żyjącym gatunkiem, lecz znajdują się w czołówce. Niektóre żółwie „dożywają stu osiemdziesięciu lat”. W poprzednim zdaniu użyłem cudzysłowu, ponieważ są to szacunki wykonane przez jętki, a te mają tendencję do zawężania ram czasowych. Zwróć uwagę, jak bardzo pomyliły się w kwestii rekinów. Jak również, no cóż, ludzi. Mogę się założyć, że istnieje co najmniej jeden żółw, który dobija do pięćuset lat.

Tak czy owak, przygnębia mnie fakt, że ludzie nie są żółwiami. Żółwie istnieją od około dwustu dwudziestu milionów lat, a na Ziemi pojawiły się w triasie. Przez cały ten okres nie zaszły u nich żadne większe zmiany. W porównaniu z nimi człowiek istnieje zaledwie krótką chwilę.

I nie trzeba być geniuszem, aby połączyć fakty i stwierdzić: prawdopodobnie nie zostało nam już dużo czasu. Pozostałe ludzkie podgatunki — takie jak neandertalczyk, człowiek z Denisowej Jaskini czy istoty potocznie nazywane „hobbitami z Indonezji” — udowodniły swoim istnieniem bzdurność długofalowej koncepcji rozwoju ludzkości. Zapewne to samo stanie się naszym udziałem.

Dla jętek nie ma to znaczenia. Jest ci bowiem wszystko jedno, gdy wiesz, że przeżyjesz

tylko najbliższe trzydzieści lub czterdzieści lat. Możesz sobie pozwolić na myślenie w krótkiej perspektywie. Bez trudu możesz sobie wyobrazić, że jesteś istotą stałą, wewnątrz stałego narodu, ze stałą flagą i stałą perspektywą. Łatwo możesz sobie wyobrazić, że te rzeczy *cokolwiek znaczą*.

Im dłużej żyjesz, tym bardziej sobie uświadamiasz, że nic nie jest stałe. Każdy człowiek zostanie uchodzącą, o ile pożyje wystarczająco długo. Każdy uprzytomni sobie, że jego narodowość nic nie znaczy w dłuższym czasie. Każdy w dłuższej perspektywie ujrzy, jak jego poglądy są kwestionowane i obalane. Każdy zda sobie sprawę, że rzeczą definiującą istotę ludzką jest *bycie człowiekiem*.

Żółwie nie tworzą wspólnoty, jaką jest naród, nie mają flagi ani taktycznej broni jądrowej. Nie znają terroryzmu, referendum, nie wszczynają wojen handlowych z Chinami. Nie mają list utworów na Spotify wykorzystywanych podczas ćwiczeń. Nie czytają książek na temat kryzysów i upadków żółwich imperiów. Nie robią zakupów, korzystając z internetu czy kas samoobsługowych.

Mówi się, że inne zwierzęta nie doświadczają *postępu*. To samo można jednak powiedzieć o ludzkim umyśle. Pozostajemy tymi samymi chwalącymi się szympancami, tyle że te szympansy dysponują coraz bardziej zaawansowaną i niebezpieczną bronią. Mamy wiedzę, aby zrozumieć, że jesteśmy tylko masą kwantów i cząsteczek jak wszystko inne, a mimo to staramy się oddzielić od wszechświata, w którym żyjemy, żeby nadać sobie znaczenie wykraczające ponad znaczenie drzewa, skały, kota czy żółwia.

Oto więc jestem, z głową pełną ludzkich strachów i bólów, z klątką piersiową ściśniętą niepokojem na myśl o przyszłości, jaka mnie jeszcze czeka.

Jeśli mam szczęście, udaje mi się przespać trzy godziny na dobę. W dawnych czasach używałem wyciszającego syropu, mieszanki na kaszel rekomendowanej przez Hendricha, ale zawierał on morfinę, więc po delegalizacji opiatów sto lat temu zaprzestano produkcji jego składników. Teraz muszą mi wystarczać tabletki na przeziębienie, ale nigdy nie dają one w pełni satysfakcjonujących efektów.

Oczywiście, powinienem udać się do lekarza, ale się na to nie zdecydowałem. Powstrzymały mnie reguły Stowarzyszenia Albatrosów, a nie sami lekarze czy cokolwiek innego. Poza tym było to dla mnie łatwiejsze, ponieważ wciąż dręczyło mnie poczucie winy po tym, co stało się z doktorem Hutchinsonem. Zastanawiałem się, czy moje objawy mogą świadczyć o guzie mózgu, chociaż nigdy nie słyszałem o albie cierpiącej na nowotwór. Zresztą gdybym go miał, prawdopodobnie i tak powiększałby się on w niesłychanie powolnym tempie. Tak powolnym, że przede mną pewnie byłoby co najmniej tyle lat, ile trwa życie przeciętnego człowieka. Ale nie, te symptomy nie są wystarczająco podobne do objawów guza mózgu.

W każdym razie ból głowy jest ze mną teraz, gdy od rozpoczęcia nowej pracy dzieli mnie tylko jeden dzień. Piję trochę wody i jem płatki zbożowe, a potem zabieram Abrahama na spacer. Spędził noc na zjadaniu poręczy sofy, lecz nie chcę go oceniać. Ma już wystarczająco dużo kłopotów.

Podjeżdżam, że potrzebowałem psa z problemami, żeby mniej myśleć o własnych sprawach. Akity zostały wyhodowane w japońskich górach, więc wiedziałem, że mój pies jest towarzyszem stworzonym do bardziej szlachetnego otoczenia, z mniejszą liczbą zanieczyszczeń i śmieci, niż ma to miejsce na ulicach wschodniego Londynu. Nic dziwnego, że wysikał się na dywan i zjadł sofę. To nie było życie, o jakie prosił.

Idziemy więc razem, ja i Abraham, moją twarz i jego pysk owiewają spaliny aut.

— Tutaj kiedyś była studnia — mówię mu, gdy przechodzimy obok punktu bukmacherskiego. — A tutaj, dokładnie w tym miejscu, mężczyźni zwykli grać w kręgle po niedzielnym nabożeństwie.

Mija nas nastolatek w spodniach z opuszczonym krokiem i koszulce z napisem „The Hundreds” w zdecydowanie za dużym rozmiarze. Przypomina on niezbyt odległe odbicie siedemnastowiecznego rówieśnika z Londynu, noszącego wówczas dublet i wams. Chłopak podnosi wzrok znad ekranu telefonu i zmieszany spogląda na mnie krzywo. Dla niego jestem tylko kolejnym londyńskim samotnikiem, któremu pomieszało się w głowie i rozmawia sam ze sobą. Być może właśnie spotkałem jednego z uczniów, których poznam dopiero w poniedziałek.

Przechodzimy na drugą stronę ulicy. Mijamy latarnię, do której przyczepiono plakat. KLUB ŚWIATŁO -ŚWIECY. *Zakosztuj krzykliwych lat dwudziestych w londyńskim koktajl-barze, w którym nie ma prohibicji.* Ból głowy się wzmaga, zamykam oczy, a pamięć narasta niczym kaszel — odgrywam znowu *Sweet Georgia Brown* na fortepianie w paryskim barze „Ciro’s”, podczas gdy dłoń nieznajomej osoby spoczywa delikatnie na moim ramieniu.

Jesteśmy teraz w parku. Uświadamiam sobie, że od lat nie grałem na fortepianie. Przez większość czasu mi to nie przeszkadza. Już dawno przekonałem się, że fortepian jest niczym narkotyk. Uwodzicielski, silny, może zarówno wprowadzić chaos, rozbudzić martwe emocje, jak i zatopić cię w dawno utraconych wcieleniach. Jeśli jesteś bliski załamania nerwowego, fortepian będzie czynnikiem, który je na pewno wywoła. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek zagram. Odpinam smycz od obroży Abrahama, a on stoi obok i spogląda na mnie. Jest zdezorientowany, jakby zakłopotany daną mu wolnością.

Wiem, jakie to uczucie.

Kiedy rozglądam się po parku, dostrzegam mężczyznę z psem rasy bichon frise dyskretnie zbierającego odchody pupila do plastikowego woreczka. Wiewiórka skacze chaotycznymi zygzakami po koronie buku. Słońce wyłania się zza chmur. Abraham truchta przed siebie.

I wtedy ją zauważam.

Kobieta siedzi na pobliskiej ławce i czyta gazetę. Poznają ją, co samo w sobie stanowi rzadkość. Nie przywiązuję wagi do tego, jak ludzie wyglądają. Twarze rozmywają się w inne twarze. Tym razem jednak jestem pewien, że to ta sama kobieta, którą wcześniej widziałem przez okno gabinetu Daphne. Nauczycielka francuskiego. Również tym razem jest w pełni sobą, a trzeba naprawdę wiele, by zachować unikalność w gatunku posiadającym tak wielu przedstawicieli. Ona jednak ma swój styl. Nie chodzi o to, co na siebie włożyła (sztruksowy blezer, džinsy, okulary), choć nie można temu strojowi nic zarzucić. Mam na myśli łagodny sposób, w jaki odkłada książkę na ławkę i rozgląda się po parku. O sposób, w jaki nieco nadyma policzki, pogwizduje, zamyka oczy i wystawia twarz do słońca. Odwracam wzrok. Jestem mężczyzną w parku obserwującym kobietę. Mógłbym przecież być kimkolwiek. Już nie jest rok 1832.

Ale w momencie, w którym się od niej odwracam, słyszę jej wołanie.

— Masz cudownego psa.

Ma francuski akcent. Nowofrancuski. Tak. To jest zdecydowanie ta sama kobieta, którą widziałem wcześniej. Podsuwa wierzch dłoni Abrahamowi, by ten ją powąchał. Pies liże jej dłoń z wdzięcznością i nawet merda ogonem.

— Dostałaś zaszczytu.

A potem spogląda na mnie w dość intrygujący sposób. Jej spojrzenie trwa odrobinę za długo. Nie mam w sobie wystarczająco dużo arogancji, aby uwierzyć, że jestem tak atrakcyjny, iż trudno jej oderwać ode mnie wzrok. W rzeczywistości nie doświadczyłem *takiego* spojrzenia od co najmniej stu lat. W XVIII wieku, gdy wyglądałem na dwadzieścia lat i nosiłem własny smutek niczym bliznę, często byłem obiektem długich, powłóczystych spojrzeń, ale to już dawno minęło. Nie. Ona patrzy na mnie z innego powodu. I to nie daje mi spokoju. Może też widziała mnie

w szkole. Tak. Prawdopodobnie o to chodzi.

— Abraham! Abraham! Do nogi, piesku! Do mnie!

Pies podchodzi. Zapinam smycz na jego obroży i odchodzę, choć cały czas czuję na plecach jej spojrzenie.

W domu zaczynam przeglądać plany lekcji dla szóstej klasy, a pierwszy temat, który pojawia się na przyciemnionym ekranie laptopa, to „Procesy czarownic w Anglii Tudorów”, który, jak wiem, jest integralną częścią programu nauczania.

Wiem, że istnieje powód, dla którego to robię. Przyczyna, dla której zostałem akurat nauczycielem historii. Muszę oswoić przeszłość. Tym właśnie jest historia, nauczanie i opowiadanie o niej. Jest to sposób na jej kontrolowanie i porządkowanie. To metoda na uczynienie z historii uległego zwierzaka domowego. Historia, w której żyjesz, różni się od tej, o jakiej czytasz w książce lub jaką widzisz na ekranie. A niektórych spraw z przeszłości nie można oswoić.

Mój mózg nagle doznaje bólu.

Wstaję i krzątam się po kuchni, by w pewnym momencie zorientować się, że przygotowałem sobie Krwawą Mary. W wersji podstawowej. Bez selera naciowego. Słucham muzyki. Robię to tylko dlatego, że muzyka czasem pomaga. Opieram się VI symfonii Czajkowskiego, utworom Billie Holiday, jak również szantom z mojej playlisty na Spotify. Decyduję się na utwór *The Boys of Summer* Dona Henleya, który został napisany zaledwie wczoraj (a właściwie w 1984 roku). Lubię tę piosenkę, odkąd usłyszałem ją po raz pierwszy, w Niemczech w latach osiemdziesiątych. Nie wiem dlaczego. Zawsze sprawia, że myślę o swoim dzieciństwie, mimo że powstała całe wieki po nim. Przypomina mi te chwytające za serce francuskie pieśni śpiewane przez mamę. Te, na które się decydowała po naszej przeprowadzce do Anglii. Smutne i nostalgiczne. Ból głowy nie ustaje, ale myślę, że musi być nieporównanie mniej dotkliwy niż ten, który dręczył Johna Gifforda przed tak wielu laty. Zamykam oczy i czuję, jak te wczesne wspomnienia przybywają z powrotem do mnie, tnąc z impetem powietrze.

Suffolk, Anglia, rok 1599

Oto, co pamiętam. Matka siedziała przy moim łóżku, śpiewając po francusku i grając na swojej lutni z drewna wiśniowego, a jej palce przebiegały szybko po strunach, jak gdyby przed czymś uciekały.

Zwykle to muzyka stanowiła ucieczkę. Nigdy nie widziałem matki spokojniejszej niż w chwilach, w których łagodnie śpiewała *air de cour*, ale tego wieczoru coś ją denerwowało.

Miała piękny głos i zawsze zamykała oczy, kiedy śpiewała, jakby pieśni były snami lub wspomnieniami, lecz tego dnia jej oczy były otwarte. Patrzyła na mnie z tą pionową bruzdą rysującą się na czole. Ta kreska zawsze pojawiała się, gdy myślała o ojcu albo o problemach we Francji. Przerwała grę. Odłożyła lutnię. Otrzymała ją od księcia Rochefort, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

— Wcale się nie zmieniasz.

— Mamo, proszę, nie znowu.

— Nie pojawił ci się zarost, a masz już osiemnaście lat. Tymczasem wyglądasz identycznie jak pięć lat temu.

— Mamo, przecież nic nie poradzę na to, jak wyglądam.

— To tak, jakby czas się dla ciebie zatrzymał, Estienne.

Kiedy byliśmy w domu, wciąż nazywała mnie Estienne, choć dla wszystkich innych byłem Thomasem.

Próbowałem ukryć własne zatroskanie i podnieść ją na duchu.

— Czas się nie zatrzymał. Słońce wciąż wschodzi i zachodzi. Lato nadal następuje po wiośnie. A ja pracowałem tak samo ciężko jak wszyscy moi rówieśnicy.

Matka pogładziła moje włosy. Widziała tylko dziecko, którym wciąż wydawałem się być.

— Nie chcę, by znowu przydarzyło się nam coś złego.

Wróciło do mnie jedno z najwcześniejszych wspomnień, jakie miałem: matka wydająca z siebie żałobny lament i wciskająca twarz w gobelin wiszący w westybulu naszego rozległego domu we Francji. Miało to miejsce w dniu, w którym dowiedzieliśmy się, że ojciec został zabity przez ostrzał armatni na polu bitwy pod Reims.

— Dam sobie radę.

— Owszem. Wiem, że pieniądze za krycie domów strzechą są dobre, ale może powinieneś przestać pracować dla pana Cartera. Wszyscy cię widzą, gdy pracujesz na dachu Gifforda. I gadają. Teraz wszyscy o tobie mówią. Tak wygląda życie na wsi.

Jak na ironię, przez pierwsze trzynaście lat życia rozwijałem się bardzo szybko. Nie nadnaturalnie szybko, ale zauważalnie szybciej niż przeciętnie. To dlatego pan Carter mnie zatrudnił. Byłem młody, więc stanowiłem tanią siłę roboczą, a jednocześnie wysoki, dobrze zbudowany i silny jak na trzynastoletka. Problematiczne było to, że po okresie tak szybkiego rozwoju jego nagłe spowolnienie, wyglądające jak całkowite zatrzymanie, musiało być jeszcze bardziej widoczne.

— Powinniśmy byli wyjechać do Canterbury — stwierdziłem. — Albo do Londynu.

— Sam wiesz, co myślę o miastach — przerwała, na nowo rozważając ten pomysł, i jednocześnie rozprostowała zagniecenia na spódnicy.

Spojrzałem na nią. Wydawało się nie w porządku, że matka, która przeżyła większość życia w rozległej francuskiej posiadłości, musiała ograniczyć swoją przestrzeń życiową do dwuizbowej chaty w wiosce pełnej podejrzliwych mieszkańców w odległym zakątku Anglii.

— Może masz rację. Może powinniśmy...

Na zewnątrz rozległ się dźwięk. Usłyszeliśmy okropne wrzaski.

Szybko założyłem spodnie i buty, po czym podszedłem do drzwi.

— Nie, synu. Zostań w środku.

— Ktoś został ranny — odparłem. — Lepiej sprawdzę, co się dzieje.

Wybiegłem w ostatnim momencie przed nastaniem nocy, tuż po zachodzie słońca, gdy niebo przybiera barwę delikatnego błękitu przypominającego jaja zięby. Było wystarczająco dużo światła, abym mógł zobaczyć, że inni ludzie robią to co ja. Wybiegali z chat wzdłuż całej ulicy, ciekawi, co wywołało cały ten rwetes.

Biegłem przed siebie. I wtedy to zobaczyłem.

Jego. Johna Gifforda.

Znajdował się dość daleko ode mnie, lecz łatwo było go rozpoznać. Był wielki niczym stóg siana. Szedł z ramionami zwisającymi w dziwny sposób po bokach, jakby były martwymi przedmiotami przywiązanymi do jego ciała. Dwa razy gwałtownie zwymiotował, pozostawiając cuchnące kałuże na chodniku, a potem się zatoczył.

Alice, jego żona, i troje ich dzieci podążali za nim jak wystraszone łabędziątka, żałośnie lamentując.

Gdy John dotarł do trawnika, zdążyło się wokół niego zebrać chyba całe Edwardstone. Teraz mogliśmy zobaczyć krew. Wyłączyła z jego uszu, po każdym kaszlnięciu wydostawała się z ust, a także z nosa, spływając mu na brodę. Upadł na ziemię. Jego żona, która znajdowała się tuż obok, położyła jedną dłoń na ustach męża, a drugą na uchu, rozpaczliwie próbując zatamować krwotok.

— Och, John. Bóg cię ocali. Pan, och... John...

Niektórzy ludzie w tłumie się modlili. Inni przyciskali twarze dzieci do swoich ubrań, by oszczędzić im widoku tej sceny. Większość jednak gapiła się na zajście z ponurą fascynacją.

— To sprawka Lucyfera — powiedział z szeroko otwartymi oczami szlifierz Walter Earnshaw. Stał obok mnie. Do moich nozdrzy dochodził swąd chmielu oraz czegoś, co obecnie nazwano by halitozą.

John Gifford wciąż leżał nieruchomo, za wyjątkiem drżenia ramion, które poruszały się coraz wolniej. A potem umarł, na skraju zielonej murawy, na czarnej, namokłej krwią trawie.

Alice upadła na ciało męża i wstrząsały nią konwulsje żalu. Mieszkańcy wioski przypatrywali się temu w niemej ciszy.

Czułem się źle, będąc świadkiem tak osobistego bólu, więc się odwróciłem.

Kiedy jednak przechodziłem obok znanych mi twarzy, zobaczyłem żonę piekarza, Bess Small, wpatrującą się we mnie oskarżycielskim wzrokiem.

— Tak, Thomasie Hazard. Od teraz masz się trzymać od nas z daleka.

W owym czasie te słowa mnie zażenowały. Ale niedługo potem miałem wspominać je jako ostrzeżenie.

Odwróciłem się raz i zobaczyłem Johna Gifforda, nieruchomego niczym pagórek. Jego wielkie, martwe dłonie lśniły. Następnie ruszyłem przed siebie pod okiem księżycy, który wpatrywał się we mnie z nieba jak jeszcze jedna przerażona twarz.

Londyn, obecnie

— Czarownice — powiedziałem głosem nauczyciela. To ten głos, który nigdy nie jest tak naprawdę słyszany.

A więc mając do wyboru wszystkie możliwe życia, zdecydowałem się na takie. Życie mężczyzny stojącego w pomieszczeniu pełnym dwunastolatków, którzy go ignorują.

— Jak sądzicie, dlaczego czterysta lat temu ludzie wierzyli w istnienie czarownic?

Przebiegam wzrokiem po klasie. Twarze, które widzę, są ozdobione głupimi uśmiechami, zakłopotane, skierowane na smartfony lub stanowią kombinację wszystkich trzech powyższych. Jest 9.35. Lekcja trwa zaledwie od pięciu minut. Idzie źle. Lekcja, dzień, praca. Wszystko idzie źle.

Może zawód nauczyciela nie był wcale dla mnie nowym początkiem. Może tylko stanowił najnowszy element całego ciągu rozczarowań.

Przed udaniem się na Sri Lankę spędziłem osiem lat na północy Islandii, szesnaście kilometrów na północ od wioski rybackiej Kópasker. Chciałem żyć akurat tam, ponieważ przedtem kilka lat mieszkałem w Toronto. Jest ono największym i najszcześliwszym miastem na ziemi, mimo to — a może właśnie z tego powodu — czułem się nieszczęśliwy, ponieważ mieszkałem tam w apartamencie i z nikim się nie widywałem. Pewnego razu poszedłem na mecz drużyny bejsbolowej Blue Jays, ale otoczony przez tak wielu ludzi, z którymi, jak wiedziałem, nigdy nie będę mógł stworzyć więzi, doszedłem do wniosku, że muszę przenieść się na Islandię. Tymczasem całe to samotne egzystowanie w nowym kraju sprawiło, że zapragnąłem normalnego życia.

Ale normalne życie nie gwarantuje szczęścia. A, oczywiście, to — czyli bycie nauczycielem — było tylko *grą pozorów*. Może wszyscy *coś* pozorowali. Może każdy nauczyciel i uczeń w tej szkole *coś* pozorował. Może Szekspir miał rację. Może cały świat *był* sceną. Może bez grania wszystko by się rozpadło. Kluczem do szczęścia nie jest bycie sobą, bo co to tak naprawdę miałyby oznaczać? Każdy miał wiele wersji siebie. Nie. Kluczem do szczęścia jest

natomiast znalezienie kłamstwa, które najbardziej ci odpowiada.

I właśnie w tym momencie, gdy patrzę na głupawo uśmiechniętych dwunastolatków, myślę sobie, że to jest złe kłamstwo.

— Dlaczego ludzie wierzyli w istnienie czarownic? — powtarzam.

Daphne idzie korytarzem. Mijając w szybkim tempie drzwi mojej sali lekcyjnej, posyła mi uśmiech i pokazuje dwa kciuki. Odwzajemniam uśmiech, udając, że świetnie się bawię i znakomicie mi idzie. Robię to tak naturalnie, jak ktoś, kto czynił to już wiele razy wcześniej, a nie jak stary pies uczący się nowej sztuczki.

Ponawiam po raz kolejny to samo pytanie.

— Co sprawiło, że ludzie chcieli wierzyć w czary?

Początkowo wygląda na to, że dziewczyna siedząca w pierwszym rzędzie podnosi rękę, by udzielić odpowiedzi, lecz szybko orientuję się, że robi to, by stłumić ziewnięcie.

Sam więc odpowiadam na pytanie. Staram się ze wszystkich sił wyprzeć z pamięci to, o czym ten temat próbuje mi przypomnieć. Staram się zalać cementem pęknięcia pojawiające się w moim głosie.

— Ludzie wierzyli w czarownice, ponieważ ułatwiało im to pewne sprawy. Ludzie nie potrzebują tylko wrogów. Oni potrzebują wyjaśnień. W niespokojnych czasach, gdy ignorancja była powszechna, wygodnie było wierzyć w istnienie czarownic... Jak myślicie, kto w nie wierzył?

— Głupcy — pada odpowiedź. Została wymamrotana i trudno było zlokalizować jej autora.

Uśmiecham się. Pozostało pięćdziesiąt pięć minut lekcji.

— Można by tak pomyśleć, lecz nie jest to prawda. Dotyczyło to bowiem różnych ludzi. Królowa Elżbieta I uchwaliła prawo przeciwko nim. Później jej następcą — król Jakub I Stuart — który uważał się za intelektualistę, nawet *napisał książkę* na ich temat. Pierwszą technologią służącą rozpowszechnianiu fałszywych wiadomości nie był wcale internet, a prasa drukarska. Książki ugruntowały przesady. Prawie wszyscy uwierzyli w czarownice. Istnieli również łowcy czarownic, którzy podróżowali po kraju, odnajdując...

Nagle czuję ostre ukłucie wzmagające ból głowy, promieniujące z wewnętrznych partii mojego mózgu i powodujące niebezpieczne zawahanie w środku wypowiedzanego przeze mnie zdania.

Ziewająca dziewczyna z pierwszego rzędu wygląda teraz na zaniepokojoną.

— Proszę pana, wszystko w porządku?

— Tak. Trochę rozboleła mnie głowa, ale nic mi nie będzie.

Potem odzywa się ktoś inny. Kolejna dziewczyna, blisko końca sali:

— Jak sprawdzali, czy ktoś był czarownicą, czy nie? Co robili?

To pytanie trzepocze wokół mojej głowy niczym kruk w ciemnym pokoju.

Co robili?

Co robili?

Co robili?

Suffolk, Anglia, rok 1599

Matka była (jak to rodzice mają w zwyczaju) dość skomplikowaną i sprzeczną istotą. Moralistyczną, a zarazem wielką miłośniczką przyjemności (jedzenia, muzyki, piękna przyrody). Głęboko religijną, ale najwyraźniej komfortowo czującą się podczas śpiewania świeckich pieśni w charakterze modlitwy. Admiratorką świata natury, która była wyraźnie zaniepokojona za

każdym razem, gdy opuszczała mury własnej posiadłości. Kruchą, ale także twardą i upartą. Nigdy nie dowiedziałem się, jak wiele jej osobliwości wynikało z przeżytego smutku, a ile było efektem wrodzonej natury.

— Na całym świecie nie ma jednego źdźbła trawy czy choćby jednego koloru, który nie miałby na celu uszczęśliwienia — powiedziała mi pewnego razu, wkrótce po przybyciu do Anglii. — Tak twierdzi monsieur Cauvin.

Nie lubiłem monsieur Cauvina. Czy też, jak powinienem powiedzieć, Kalwina. Wydawało się bowiem, że to on jest źródłem wszystkich naszych kłopotów. A przynajmniej był. Przejąłem bowiem od niego pałeczkę. Nasze problemy jeszcze się pogłębiły, a ja wiedziałem — kiedy przyszli i zapukali do naszych drzwi — że nie mamy dokąd pójść. Nigdzie na świecie nie będziemy bezpieczni.

Łowca czarownic czy też *pricker*⁷, jak zwano jego profesję, nazywał się William Manning. Był wysokim londyńczykiem o kwadratowej twarzy. Miał przerzedzone włosy, a przy tym szerokie, silne ramiona i masywne dłonie rzeźnika. Był ślepy na lewe oko, a przynajmniej tak się wydawało z powodu zaćmy. Nigdy nie widzieliśmy, jak przybył do wioski, chociaż pamiętam, że zbudziłem się, słysząc dwa konie galopujące na wschód nieopodal naszego domu.

Drugi jeździec był sędzią pokoju. Nigdy go nie znałem pod innym imieniem niż pan Noah. Nosił eleganckie ubrania i dał się poznać jako dżentelmen. Był równie wysoki jak jego kompan, ale skóra pana Noaha była szara. Jej odcień kojarzył się ze śmiercią. Była trupio szara. (To określenie, którego nie miałem poznać przez następne dwieście lat).

Byliśmy wówczas tematem rozmów całego hrabstwa, lecz nie mieliśmy pojęcia, jakie to zainteresowanie może mieć znaczenie, dopóki nie usłyszałem twardego, szybkiego pukania do drzwi wejściowych.

William Manning chwycił mnie za nadgarstek. Miał żelazny chwyt. Wskazał wolną ręką na małą różową plamę na mojej skórze, a jednocześnie bardzo uważał, aby jej nie dotknąć.

— Diabelskie znamię — stwierdził z ponurym triumfem. — Niech pan sam spojrzy na to znamię, panie Noah.

Pan Noah rzeczywiście spojrział.

— Właśnie widzę. W najwyższym stopniu złowieszcze.

Zaśmiałem się. Byłem przerażony.

— Nie — odparłem. — Ugryzła mnie pchła.

Nadal wyglądałem na trzynaście lat, więc spodziewali się po mnie posłuszeństwa chłopca, a nie bezczelności młodzieńca. Manning spojrział na mnie spode łba. Nie było wówczas lepszego określenia na to spojrzenie i nie ma takiego do dziś. Wtedy jednak skupił uwagę na matce.

— Rozbierz się — rozkazał cichym i surowym głosem.

To w tamtej chwili go znienawidziłem. Nigdy wcześniej nie żywiłem do nikogo nienawiści. Odczuwałem tylko coś na jej kształt wobec mężczyzn, którzy zabili mojego ojca. Ale nigdy nie dowiedziałem się, jak wyglądali. A prawdziwa nienawiść potrzebuje twarzy.

— Nie — powiedziałem.

Matka była zdezorientowana. Potem, gdy zrozumiała, co się dzieje, odmówiła i zaczęła znieważać obu mężczyzn po francusku. Manning był ignorantem występującym w przebraniu człowieka nauki, więc nie miał pojęcia, w jakim języku do niego mówiła.

— Proszę to odnotować. Gada jak sam diabeł. Przywołuje złe duchy.

Wtedy właśnie poprosił o zamknięcie drzwi, jako że grupa mieszkanek — a pośród nich Bess Small, na której twarzy malowała się podszyta radością dezaprobata i która stała tuż obok biednej Alice Gifford — zgromadziła się na progu naszego domu i ekscytowała dramatem rozgrywającym się wewnątrz chaty. Pan Noah zamknął drzwi.

Stałem pomiędzy Manningiem a matką.

Manning wyjął sztylet i przytknął go do mojego gardła.

Matka się rozebrała. Płakała. Czulem, że moje oczy również wypełniają się łzami. Wzbierały we mnie strach i poczucie winy. To wszystko przeze mnie. Wszystko przez moją fizyczną odmienność, brak zdolności ciała do starzenia się.

— Jeszcze słowo, a twoja wiedźmia matka zostanie zabita tu i teraz, zanim ty bądź Marbas zdążycie zamydlić nam oczy.

Marbas. Duch piekielny, który był w stanie wyleczyć wszystkie choroby. W nadchodzących godzinach miałem usłyszeć to imię jeszcze wiele razy, nim ów koszmarny dzień dobiegł końca.

Matka była naga. Stała przy stole i cynowych miskach. Widziałam, jak Manning pożera ją wzrokiem, jednocześnie nienawidząc jej za odczuwaną przez siebie pokusę. Przyłożył czubek sztyletu do jej skóry i zrobił pierwsze nakłucie. Najpierw skaleczył ją w ramię, potem w przed-ramię, a następnie w pobliżu pępka. Małe spływające po ciele krople krwi.

— Panie Noah, proszę tylko spojrzeć, jak ciemna jest jej krew.

Pan Noah spojrzał.

Sama krew była w kolorze krwi. Nic w tym dziwnego, skoro była to normalna ludzka krew. Pan Noah zobaczył w niej jednak coś więcej. A może wyobraził sobie, że to widzi, będąc pod wrażeniem unoszącego się w powietrzu autorytetu Manninga.

— Tak. Najciemniejsza z możliwych.

Ludzie widzą tylko to, co chcą zobaczyć. Od tamtej pory ta refleksja przekonała mnie o swojej prawdziwości setki razy, lecz owego dnia stanowiła dla mnie nowość. Matka krzywiła się za każdym razem, kiedy sztylet dotykał jej ciała, ale zdaniem Manninga tylko udawała.

— Widzi pan, jaka jest przebiegła? Proszę zanotować, że widzieliśmy fałszywy ból na jej twarzy. Wygląda na to, że ma konszachty z siłą nieczystą. Podejrzana śmierć Johna Gifforda może być ceną za wieczną młodość jej syna. To dość złowieszczy pakt.

— Nie mamy nic wspólnego ze śmiercią Johna Gifforda. Pomagałem tylko w kryciu strzechą jego dachu. I to wszystko. Matka nawet go nie знаła. Przez większość czasu nie wychodzi z domu. Proszę, przestańcie!

Nie mogłem dłużej na to patrzeć. Złapałem Manninga za ramię. Uderzył mnie w głowę ręką sztyletu, a drugą ręką chwycił za gardło. Następnie wielokrotnie uderzał w to samo miejsce co poprzednio. Matka przez cały czas zawodziła, a ja pomyślałem, że czaszka może nie wytrzymać nawału ciosów.

Znalazłem się na podłodze. Oszołomiony, cichy i marzący o tym, by moje ciało było tak silne, jak powinno być w wieku osiemnastu lat.

A wtedy Manning dostrzegł inny ślad po ugryzieniu pchły, tym razem znajdujący się na ciele matki. Widniał on w pobliżu pępka, niczym mały czerwony księżyc unoszący się nad planetą.

— Takie samo znamię jak u chłopaka.

Matka drżała. Pozbawiona odzieży nie potrafiła wydobyć z siebie choćby słowa.

— To pchła! — powiedziałem. Mój chrapliwy głos rozbrzmiewał bólem i desperacją. — To zwyczajne ugryzienie pchły.

Wcisnąłem dłonie w kamienną podłogę, by się podnieść. Wtedy jednak otrzymałem kolejny cios w tył głowy.

A później wszystko spowił mrok.

*

Czasami w snach przeżywam to wszystko od nowa. Kiedy zdarzy mi się zasnąć na sofie, wspominam ów dzień. Wspominam krople krwi na skórze matki. Pamiętam ludzi zgromadzonych u wejścia do naszej chaty. I wspominam Manninga oraz jego stopę przyciskającą mnie do podłogi, a następnie wyrwijącą mnie ze snu przez całe stulecia.

Widzisz, wszystko się wtedy zmieniło. Nie twierdzę, że moje dzieciństwo było do tej chwili doskonałe, ale teraz często zdarza się, że chciałbym powrócić do tego, co było *zanim*. Zanim poznałem Rose, zanim dowiedziałem się, co się stanie z matką, zanim, zanim... Trzymać się tego, kim byłem na samym początku, kiedy byłem tylko małym chłopcem o długim nazwisku, który reagował na czas i stawał się coraz starszy, jak wszyscy inni. Ale nigdy nie istniała żadna droga do *zanim*. Wszystko, co można zrobić z przeszłością, to nosić ją w sobie, czując, jak jej ciężar powoli narasta, i modląc się jednocześnie, by nigdy nie zostać przez niego całkowicie zmiążdżonym.

Londyn, obecnie

Podczas przerwy obiadowej odwiedzam pobliski supermarket i kupuję sobie kanapkę z pastrami, trochę frytek z solą i octem oraz małą butelkę wiśniowego soku.

Do zwykłej kasy jest kolejka, więc robię to, czego normalnie unikam, i korzystam z kasy samoobsługowej.

Nie idzie mi to najlepiej, jak zresztą wszystko, co dotychczas w tym dniu zrobiłem.

Pozbawiony ciała kobiecego głos ciągle mówi mi o „niezidentyfikowanym przedmiocie w obszarze pakowania”, chociaż jedynymi przedmiotami w reklamówce są rzeczy, które przepuściłem przez skaner.

— Proszę poprosić członka personelu o pomoc — dodaje robot przyszłej cywilizacji. — Niezidentyfikowany przedmiot w obszarze pakowania. Proszę poprosić członka personelu o pomoc. Niezidentyfikowany przedmiot w obszarze...

Rozglądam się.

— Przepraszam? Mogę prosić o pomoc?

W pobliżu nie ma nikogo z personelu. Oczywiście, że nie. Jest jednak grupa nastoletnich chłopców ubrana w różne wariacje stroju z Oakfield (białe koszule oraz kilka zielonych i żółtych krawatów). Stoją w kolejce, trzymając puszkę i opakowania z żywnością, a teraz patrzą w moją stronę. Mówią coś między sobą, rozpoznając we mnie nowego nauczyciela. Następnie wybuchają śmiechem. Czuję najbardziej znajome mi uczucie: że żyję w niewłaściwych czasach. Stoję tam, patrząc na ekran, słuchając mechanicznego głosu, czując ból głowy i w duchu zastanawiając się, czy Hendrich nie miał racji. Może nie powinienem był wracać do Londynu.

Idąc korytarzem do pokoju nauczycielskiego, przepuszczam kobiety w okularach. Tę samą, którą widziałem, gdy czytała książkę w parku. Nauczycielkę francuskiego, o której opowiadała mi Daphne. Tę, która wpatrywała się we mnie w niepokojący sposób. Ma na sobie czerwone bawełniane spodnie, czarny golf i buty na płaskim obcasie bez palców. Związane włosy. Pewny siebie, cywilizowany styl. Uśmiecha się.

— To ty. Spotkaliśmy się w parku.

— Ach tak — odpowiadam, jakbym dopiero przypomniał sobie to zdarzenie.

— A więc to byłeś ty. Nasz nowy nauczyciel historii.

— Cóż za zabawny zbieg okoliczności.

— Owszem.

Jej uśmiech zakłóca lekkie zmarszczenie brwi. Zupełnie, jakbym też ją speszył. Żyję wystarczająco długo, by rozpoznać to spojrzenie. I się go bać.

— Cześć — mówię.

— Trzymaj się — mówi z lekkim francuskim akcentem.

Myszę o lesie. Moja matka w nim śpiewa. Zamykam oczy i widzę, że nasiona jaworu unoszą się pod ciemnoniebieskim niebem.

Czuję znajome ukłucie klaustrofobii. Uwięzienie. Jakby ten świat nigdy nie był wystarczająco duży, żeby się ukryć.

I tak rzeczywiście jest.

Muszę iść dalej, żebym mógł odejść od tego, o czym mogłaby sobie w tym momencie pomyśleć.

Po pierwszym dniu nauczania siedzę w domu obok Abrahama, który ułożył pysk na moich kolanach. Śpi, zagubiony w psich snach. Wzdryga się i drga jak zablokowany obraz, który utknął między dwoma momentami. Trochę popiskuje. Zastanawiam się, jakie wspomnienia go właśnie nawiedzają. Kładę na nim rękę i głaszczę, by go uspokoić. Powoli się relaksuje. Przestaje wydawać wszelkie dźwięki, nie licząc oddechu.

— Już dobrze — szepczę. — Już dobrze, już dobrze, już dobrze...

Zamykam oczy i widzę potężną sylwetkę Williama Manninga tak wyraźnie, jakby znajdował się ze mną w pokoju.

Suffolk, Anglia, rok 1599

William Manning wpatrywał się w ciemniejące niebo, podkreślające surowość jego oblicza. Było w nim coś teatralnego, jakby nieustannie uczestniczył w jakimś show. W owych czasach — epoce Marlowe'a, Jonsona i Szekspira — naturalna była teatralność dosłownie wszystkiego. Nawet sprawiedliwości. Nawet śmierci. A zwłaszcza śmierci. Byliśmy piętnaście kilometrów od Edwardstone, ale towarzyszyła nam cała wieś. Można sobie wyobrazić, że w XVI wieku procesy czarownic były czymś powszechnym. Tak naprawdę stanowiły rzadkość. Były niecodzienną rozrywką, a ludzie przybywali z daleka, by obserwować, żartować i czuć się bezpiecznie w świecie, w którym zło może być wytłumaczone, odnalezione i zgładzone.

Manning mówił zarówno do mnie, jak i do zgromadzonego tłumu. Był aktorem. Mógłby zostać członkiem Trupy Lorda Szambelana.

— Matka zadecyduje o twoim losie. Jeśli utonie, jej niewinność zostanie udowodniona, a ty będziesz mógł żyć. Jeśli przeżyje i przetrwa topienie na stołku, wtedy — jako potomstwo czarownicy — zostaniesz wysłany na szubienicę wraz z matką i tam się wami zajmą. Czy rozumiesz, co mówię?

Stałem przy matce na trawiastym brzegu rzeki Lark, oboje mieliśmy nogi i nadgarstki uwięzione w okowach. Ona, ponownie ubrana, mimo ciepłego dnia trzęsła się i drżała niczym mokry kot. Chciałem z nią porozmawiać, pocieszyć, lecz wiedziałem, że każda komunikacja między nami będzie postrzegana jako spisek lub planowanie przyzwania sił nieczystych.

Dopiero kiedy zaciągnęli ją bliżej brzegu rzeki, bliżej stołka do pławienia czarownic, słowa wyrwały się z moich ust.

— Przepraszam, mamó.

— To nie twoja wina, Estienne. To nie twoja wina. Tak mi przykro. Wszystko przeze mnie. Nigdy nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać. Nigdy nie powinniśmy byli przybywać do tego miejsca.

— Kocham cię, mamó.

— Też cię kocham, Estienne — powiedziała, podczas gdy wszelki opór momentalnie zniknął z jej ciała. Zdawała się go nawet wypłakiwać wraz ze łzami. — Też cię kocham. Musisz

być silny. Jesteś równie silny jak niegdyś twój ojciec. Chcę, żebyś mi teraz coś obiecał: musisz pozostać przy życiu. Cokolwiek się wydarzy. *Musisz pozostać przy życiu. Czy mnie rozumiesz?* Jesteś wyjątkowy. Nie bez powodu Bóg cię takim uczynił. Musisz znaleźć swój cel. Czy obiecujesz mi, że będziesz żyć?

— Obiecuję, mamó. Obiecuję. Obiecuję. Obiecuję...

Patrzyłem, jak przytwardzają ją do drewnianego stołka. Ścisnęła nogi, nie chcąc pozwolić na rozsuniecie kolan, podejmując ostatnią, daremną próbę obrony. Dwaj mężczyźni rozwarli jej nogi i siłą ustawili we właściwej pozycji, przyciskając ciało matki do siedziska. Zaczęła wierzgać i krzyczeć, bo poczuła metalowy pas przytwierdzony do siedziska.

Nie patrzyłem, gdy unieśli ją w powietrze. Kiedy jednak dotarła do najwyższego punktu, Manning kazał przytrzymać linę rozczochranemu mężczyźnie.

— Przytrzymaj. Tak, w tej pozycji.

Właśnie wtedy spojrzałem na matkę i zobaczyłem ją na tle tamtego granatowego nieba. Jej głowa opadła, więc patrzyła wprost na mnie. Pomimo upływu stuleci wciąż doskonale pamiętam przerażenie malujące się w jej oczach.

— Rozpocznij próbę — powiedział Manning, który stał teraz na samym brzegu rzeki.

— Nie!

Zamknąłem oczy i usłyszałem dźwięk stołka dotykającego powierzchni wody. Wtedy znowu otworzyłem oczy. Patrzyłem, jak się zanurza, staje się plamą zieleni i brązu pod wodą, a następnie całkowicie znika. Pęcherze powietrza unosiły się na powierzchni rzeki. William Manning uniósł i otworzył dłoń, cały czas nakazując mężczyźnie, który dzierżył przytwierdzoną do stołka potwornie luźną linę, aby nadal ją trzymał.

Patrzyłem na tę dużą, mięsistą, czerwoną dłoń brutala, modląc się, żeby w końcu zwarł palce na znak zakończenia próby. Oczywiście, cokolwiek by się stało, matka by umarła. A mimo to — choć moje własne życie w tym momencie byłoby zagrożone — chciałem, żeby wyłoniła się z wody żywa. Chciałem, żeby znowu coś powiedziała. Nie mogłem sobie wyobrazić świata bez jej głosu.

Kiedy wyciągnęli z rzeki stołek i ociekające wodą martwe ciało matki, stało się jasne, że w rzece został pogrzebany sekret. Czy wypuściła powietrze z płuc w akcie paniki, czy celowo? Czy poświęciła swoje życie, by mnie ratować? Nie wiedziałem. Miało to pozostać dla mnie tajemnicą.

Pewne było natomiast, że umarła z mojego powodu. Ja z kolei, wyłącznie dla niej, pozostałem przy życiu. Od lat żałuję obietnicy, jaką jej wówczas złożyłem.

1 Rilawa — używana w Tajlandii nazwa makaka rozczochranego. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

2 Tower Hamlets — mowa o London Borough of Tower Hamlets, jednej z dzielnic Londynu.

3 Ten i inne cytaty na potrzeby tej książki zostały przełożone przez tłumacza.

4 Zastosowano tu nieprzetłumaczalną grę słów. W Bethlem znajduje się najstarsza czynna placówka tego typu, nazywana również potocznie Bedlam, co dosłownie znaczy „dom wariatów”.

5 *Winter* — z angielskiego „zima”.

6 Popularny rodzaj świeckiej muzyki wokalnejszej we Francji w późnym renesansie i wczesnym baroku.

7 *Pricker* — z angielskiego „cierń” lub „osoba bądź rzecz, która kłuje”.

CZEŚĆ DRUGA

Człowiek, który był Ameryką

London, obecnie

I oto jestem.

Znajduję się na parkingu. Właśnie zakończył się mój drugi dzień pracy w Oakfield School, a teraz zdejmuję blokadę z roweru, który jest przymocowany do metalowego ogrodzenia obok parkingu dla pracowników. Jeżdżę na rowerze, ponieważ nigdy nie ufałem samochodom. Robię to od stu lat i sędzę, że jest on jednym z najwspanialszych wynalazków ludzkości.

Czasami zmiany wychodzą na lepsze, a czasami przeciwnie. Nowoczesne toalety ze spłuczkami są zdecydowanie zmianą na lepsze. Kasy samoobsługowe z kolei nie są zmianą na lepsze. Czasem zmiany są zarazem na lepsze, jak i na gorsze, czego przykładem jest internet. Albo keyboard. Albo siekany czosnek w słoiku. Albo teoria względności.

Takie jest życie. Nie musisz się obawiać zmian ani witać ich z otwartymi ramionami, ponieważ tak naprawdę nie masz nic do stracenia. Życie polega na zmianach. Zmiany są jedyną stałą rzeczą, jaką znam.

Widzę, że Camille zmierza do swojego samochodu. Kobieta, którą widziałem w parku. I wczoraj na korytarzu, gdzie nie rozmawialiśmy zbyt długo. Poczuję się klaustrofobicznie i musiałem odejść.

Teraz jednak nie mam dokąd uciec. Camille dociera do auta. Wsuwa klucz do zamka w momencie, gdy walczę z kłódką od roweru. Nasze spojrzenia się spotykają.

— Hej.

— Och. Hej.

— Pan od historii.

Pan od historii.

— Tak — odpowiadam.

— Jakiś problem z blokadą? Jeśli chcesz, mogę cię podrzucić.

— Nie — odpowiadam nieco zbyt szybko. — Ja... to...

(Niezależnie od tego, jak długo żyjesz, rozmowa o niczym pozostaje tak samo skomplikowana).

— Miło było cię znów spotkać. Mam na imię Camille. Camille Guerin. Jestem Francuzką. Mam na myśli, że uczę języka francuskiego. Miałam też francuskie obywatelstwo, ale kto by pozwolił, by obywatelstwo go definiowało? Poza skończonymi idiotami, ma się rozumieć.

Nie wiem dlaczego, ale lekkomyślnie mówię:

— Urodziłem się we Francji. — Jest to niezgodne z moim CV, a Daphne znajduje się zaledwie kilka metrów od nas. *Co ja wyprawiam? Dlaczego chcę, aby to wiedziała?*

Kolejni nauczyciele, których mi jeszcze nie przedstawiono, wychodzą ze szkoły, a Camille mówi do nich:

— Widzimy się jutro. — Po czym ponownie odwraca się do mnie.

— A więc... — pyta — mówisz po francusku?

— *Oui.* Ale mój francuski jest trochę przestarzały... *un peu vieillot*¹.

Przechyla głowę, marszcząc brwi. Znam to spojrzenie. To próba rozpoznania.

— *C'est drôle. J'ai l'impression de vous reconnaître*². Gdzie ja cię widziałam? Oczywiście w parku, ale jestem pewna, że jeszcze gdzieś przedtem.

— To pewnie był mój sobowtór. Moją twarz łatwo pomylić z innymi.

Uśmiecham się, wciąż uprzejmie, lecz z coraz większym dystansem. Ta rozmowa nie może spowodować niczego więcej niż tylko kłopoty. Nie sprawia również, by głowa miała w mniejszym stopniu mi doskwierać.

— Jestem krótkowidzem. Stąd okulary. Ale raz zrobiłam sobie test — stwierdza stanowczo. — Wyszedł mi wynik „superrozpoznająca”. To mój dar. Sposób, w jaki działają połączenia nerwowe w moim płacie skroniowym. Znalazłam się w górnym jednym procencie o najwyższej umiejętności rozpoznawania wzrokowego. Takie udziwienie w mózgu.

Chcę, żeby przestała mówić. Chcę być niewidzialny. Chcę być normalną, niemającą niczego do ukrycia osobą. Odwracam wzrok.

— To cudownie.

— Kiedy ostatnio byłeś we Francji?

— Bardzo dawno — odpowiadam, jednocześnie wąpiąc, by była wystarczająco zaawansowana wiekowo, by pamiętać mnie z wizyty w latach dwudziestych XX wieku. W końcu udaje mi się odblokować rower. — Do jutra.

— Rozpracuję to — mówi ze śmiechem, wsiadając do swojego kompaktowego nissana. — Rozpracuję cię.

— Ha! — odpowiadam. Kiedy drzwi auta się zatrząskują, dodaję: — Cholera.

Trąbi, gdy mnie mija, po czym przyspiesza. Odsuwam się, a potem wyjeżdżam na rowerze z myślą, że łatwo byłoby znowu zmienić tożsamość. Po prostu porozmawiać z Hendrichem i ponownie zniknąć. Ale jest część mnie — mała, lecz niebezpieczna część — która chce się dowiedzieć, skąd Camille mnie zna. A może to ta mała część, która po prostu chce być rozpracowana.

Później, gdy jestem już w domu, dzwoni Hendrich.

— Jak tam w Londynie? — pyta.

Siedzę przy małym biurku z Ikei, wpatrując się w elżbietańskiego pensa, którego noszę przy sobie od wieków. Zwykle trzymam go w portfelu, w małej, zapieczętowanej polietylenowej torebce, ale teraz mam go na biurku. Patrzę na blaknący herb i wspominam zaciśniętą na tej monecie piąstkę Marion.

— W porządku.

— A praca? Czy już... się zadowoliłeś?

Jest coś irytującego w jego tonie. Pewna protekcjonalność. Sposób, w jaki mówi „zadowoliłeś się” z dwuznacznym rozbawieniem.

— Posłuchaj, Hendrichu, wybac mi, lecz boli mnie głowa. Wiem, że u ciebie jest wcześniej, ale tutaj już robi się późno, a ja muszę jutro wcześniej wstać, by przygotować się do lekcji. Naprawdę chciałbym iść spać, jeśli to...

— Ciągle miewasz bóle głowy?

— Od czasu do czasu.

— One są typowe w naszym wypadku. Wszystkie alby w średnim wieku na nie cierpią. To ból pamięci. Musisz tylko zachować ostrożność. Współczesne życie w tym nie pomaga. Ogranicz czas wpatrywania się w monitory. Nasze oczy nie były przystosowane do sztucznego światła. Tak naprawdę niczyje nie były. Wszystko przez tę długość fal niebieskiego światła. To ona zakłóca nasz dobowy rytm.

— Racja. Tak. Dokładnie. Nasz dobowy rytm. Tak czy inaczej, muszę kończyć.

Ledwo sekundę później pada zdanie:

— Wiesz, że można to uznać za niewdzięczność?

— Co można za nią uznać?

— Twoją postawę w ostatnim czasie.

Wkładam monetę z powrotem do torebki i ją pieczętuję.

— To nie jest postawa. Nie mam żadnej postawy.

— Ostatnio dużo sobie myślałem.

— O czym?

— O początku.

— Początku czego?

— Nas. O tym, jak usłyszałem o doktorze. O tym, jak wysłałem telegram do Agnes. O tym, jak przybyła, by cię zwerbować. O tym, jak cię pierwszy raz spotkałem. O 1891 roku. O Czajkowskim. O Harlemie. O hot dogach. O szampanie. O ragtimie. O tym wszystkim. Sprawilem, że codziennie miałaś urodziny. *Wciąż* to sprawiam. Albo mógłbym to zrobić, gdybyś nie był pochłonięty obsesją na punkcie prowadzenia najbardziej przyziemnego życia, jakie można sobie wyobrazić. Gdybyś nie był trawiony obsesją na punkcie odnalezienia Marion.

— To moja córka.

— Dlatego jest to zrozumiałe. Ale spójrz na to, co miałaś. Spójrz na wszystkie te życia, które ci zapewniłem...

Jestem teraz w kuchni. Włączyłem w telefonie tryb głośnomówiący i nalewam sobie szklankę wody. Piję ją, biorąc duże hausty, i myślę o mojej matce pod wodą, wydającej swój ostatni oddech. Potem, gdy Hendrich ciągle mówi, idę do laptopa i go włączam.

— Zasadniczo byłem twoją czarodziejską matką chrzestną, czyż nie? Byłeś Kopciuszkim podkuwającym konie czy cokolwiek wtedy robiłeś, a teraz spójrz na siebie. Możesz mieć powóz, kryształowe pantofelki, cokolwiek zechcesz.

Loguję się na Facebooku. Sam utworzyłem dla siebie profil. Więcej podejrzeń powoduje nieposiadanie konta na Facebooku niż posiadanie, więc Hendrich zaakceptował ten pomysł. (Nawet on, emerytowany chirurg plastyczny, założył sobie tam konto).

Oczywiście, informacje na moim profilu są całkowicie fikcyjne. Nawet gdybym chciał napisać prawdę, nie ma opcji, by ustawić 1581 jako rok urodzenia.

— Czy ty mnie słuchasz?

— Tak, Hendrichu, słucham. Słucham cię uważnie. Jesteś moją czarodziejską matką chrzestną.

— Po prostu się o ciebie martwię. Poważnie się o ciebie martwię, Tom. Myślałem o tym, że nawet gdy mnie odwiedziłeś, w twoich oczach coś się zmieniło. Coś, co mnie zmartwiło. Jakaś tęsknota.

Parskam pełnym zmęczenia śmiechem.

— Tęsknota?

A potem coś dostrzegam.

Mam zaproszenie do grona znajomych. To ona. -Camille Guerin. Przyjmuję zaproszenie. Potem, podczas gdy Hendrich ciągle mówi, przeglądam jej profil.

Wrzuca wpisy będące mieszanką francuskiego, angielskiego oraz emotikonów. Są wśród nich cytaty osób takich jak Maya Angelou, Françoise Sagan, Michelle Obama, JFK i Michel Foucault. Ma we Francji przyjaciółkę, która zbiera pieniądze na osoby chore na Alzheimera i linkuje do strony z datkami. Napisała kilka wierszy. Przeczytałem dwa z nich, zatytułowane *Drapacze chmur* i *Las*. Przy każdym z nich klikam „Lubię to”. Następnie, ledwo myśląc, klikam na jej zdjęcia. Chcę dowiedzieć się więcej o niej i o tym, jak mogła mnie poznać. Może była albam. Może spotkałem ją *bardzo* dawno temu. Ale nie. Szybkie spojrzenie na jej zdjęcia pokazuje, że w 2008 roku, kiedy założyła profil na Facebooku, wyglądała, no cóż, na o dekadę młodszą. Wyglądała wówczas jak dwudziestokilkulatka. Była też z mężczyzną, który nazywał się Erik

Vincent. Irytująco przystojny. Na jednym ze zdjęć płynie po rzece. Na innym ma na sobie kamizelkę z numerem. Jest oznaczony na zdjęciach. Widnieje na prawie każdej fotografii na jej profilu aż do roku 2011. Później, aż do 2014 roku, nie ma praktycznie żadnych wpisów. Zastanawiam się, co się stało z Erikiem. Patrzę raz jeszcze na wiersz *Las* i zdaję sobie sprawę, że jest mu dedykowany. Jego profil na Facebooku już nie istnieje.

Czuję, że nie tylko ja mam tajemnice do rozpracowania.

— Nie możesz rzucać kotwicy, Tom. Pamiętasz pierwszą zasadę, prawda? Pamiętasz, co ci powiedziałem w Dakocie? Pamiętasz pierwszą zasadę?

Na jednym ze zdjęć z 2015 roku Camille patrzy ze smutkiem gdzieś poza obiektyw aparatu. Siedzi w ogródku jednej z paryskich kawiarni, a przed nią stoi kieliszek czerwonego wina. To jej pierwsze zdjęcie w okularach. Jest otulona jasnoczerwonym swetrem. Najwyraźniej wieczór okazał się chłodniejszy, niż sądziła. Na jej ustach gości wymuszony uśmiech.

— Pierwsza zasada jest taka — odpowiadam zmęczonym głosem — że się nie zakochujesz.

— Dokładnie, Tom. Nie robisz tego, bo byłaby to najgłupsza rzecz, jaką mógłbyś uczynić.

— Nie chcę być niegrzeczny, ale dlaczego do mnie dzwonisz? Wiesz, jak ważne jest wejście w rolę.

— Rolę jętki?

— Taaak.

Wzdycha. Wydaje przy tym nieznaczące charczenie.

— Znałem niegdyś linoskoczkę. Jętkę. Nazywał się Cedr. Jak drzewo. Dziwne imię, dziwny człowiek. Pracował w wesołym miasteczku na Coney Island. Był bardzo dobry w chodzeniu po linie. Wiesz, jak sprawdzić, czy linoskoczek jest dobry?

— Jak?

— Czy wciąż żyje. — Śmieje się z własnego żartu, zanim podejmuje przerwana opowieść. — W każdym razie zdradził mi sekret swojej profesji. Mówił, że ludzie są w błędzie, gdy sądzą, że kluczem do sukcesu jest odprężenie się i zapomnienie o pustce pod stopami. Sekret był zgoła odwrotny. Polegał on na tym, *by się nigdy nie odprężyć*. Sekret tkwił w tym, *by nigdy nie wierzyć, że jest się w tym dobrym*. Nigdy nie wolno zapominać o możliwości *upadku*. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Nie możesz zostać jętką, Tom. Nie możesz się po prostu odprężyć. Lawirujesz na zbyt dużej wysokości, by to olać.

Zabieram telefon do ubikacji i oddaję cicho mocz do muszli klozetowej, starając się nie trafić strumieniem w taflę wody.

— Nie olewać. Jasne. Ale nadal nie wiem, dlaczego do mnie zadzwoniłeś.

Patrzę w lustro i coś zauważam. Coś cudownego i ekscytującego, znajdującego się nad moim lewym uchem. Siwy włos! To mój drugi. Pierwszy pojawił się w 1979 roku. Do 2100 roku powinienem mieć ich na tyle dużo, by stały się widoczne. Zauważenie takiej zmiany (co zdarza się niezmiernie rzadko) zapewnia mi emocje nieporównywalne z niczym innym. Odkładam spuszczenie wody w toalecie na później i wychodzę z niej, czując się szczęśliwie śmiertelny.

— Dzwonię do ciebie, kiedy mam taką ochotę. A ty odbierasz. W przeciwnym wypadku bym się zmartwił. A wiem, że nie chcesz, żebym się zmartwił, bo wtedy musiałbym coś zrobić. Znaj tylko swoje miejsce w szeregu. Pamiętaj, jak wiele zawdzięczasz naszemu stowarzyszeniu. Okej, jeszcze nie znaleźliśmy twojej córki, ale pamiętaj o wszystkim innym. Pamiętaj, że przed 1891 rokiem byłeś zagubiony. Nie miałeś wolności. Nie miałeś wyboru. Byłeś po prostu oszołomionym, porażonym smutkiem mężczyzną niemającym pojęcia, kim jest. Dałem ci mapę. Pomogłem ci odnaleźć samego siebie.

Nadal siebie nie odnalazłem. — Nie mówię tego na głos. — Nawet się do tego nie zbliżyłem.

— Pamiętaj 1891 rok, Tom. Zachowaj go w swej pamięci.

Gdy rozmowa dobiega końca, robię to, co mi sugerował. Klikając w zdjęcie Camille, myślę o 1891 roku. Myślę o tej chwili, w której moje życie tak bardzo się zmieniło. Próbuję to zrozumieć. Staram się pojąć, czy wówczas wpadłem w pułapkę, czy wydostałem się na wolność. A może obie odpowiedzi są po części prawidłowe.

Drapacze chmur

Podoba

mi się,

że gdy

się pochylisz

wiersze

ze swej

strony

jawią się

jak

miniaturowe

miasta

widziane

z wielkiej oddali.

Drapacze chmur

złożone

ze

słów.

Las

Chcę,

byś zwolnił.

Chcę,

by wszystko zwolniło.

Chcę z tej chwili

stworzyć las

i żyć w nim

wiecznie.

Zanim odejdziesz.

St Albans, Anglia, rok 1891

Jeremiah Cartwright spojrział w niebo i z chmurną powagą oświadczył, że będzie padać, więc musi iść po żelazo, dopóki jest jeszcze sucho. Miało go nie być przez kolejną godzinę. Zostałem w kuźni sam i patrzyłem na metal, który świecił początkowo na czerwono, a potem na pomarańczowo. Tak jak w życiu, należało kuć żelazo póki gorące, ale nie mogło być rozgrzane do dowolnej temperatury. Należało poczekać, aż pomarańczowy zacznie się rozjaśniać, stając się czystym jasnym różowożółtopomarańczowym. To był *zar wykuwania*. *Zar* zmian. Żółć szybko przechodziła jednak w biel, a gdy metal robił się biały, było po wszystkim. Miałem więc obowiązek obserwować zmiany barwy i wylapywać moment, po którym byłoby już za późno.

Dopiero kiedy wziąłem metal i położyłem go na kowadle, by zacząć kucie, zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam.

W kuźni stała kobieta. Osobliwa kobieta.

Nadal potrafię przywołać z pamięci jej obraz z taką dokładnością jak w dniu, gdy pierwszy raz ją ujrzałem. Wyglądała na mniej więcej czterdzieści lat.

Była ubrana w długą spódnicę i bluzkę, jedno i drugie w czarnym kolorze, a jej twarz zacieniał kapelusz z szerokim rondem. Był to zbyt ciepły ubiór jak na koniec czerwca, nie mówiąc już o piekielnej temperaturze panującej w kuźni. Z powodu cienia rzucanego na twarz sekundę zajęło mi zauważenie, że na lewym oku nosi opaskę z czarnego jak krucze pióra jedwabiu.

— Witam. W czym mogę pani pomóc?

— Przekonasz się, że to ja mogę pomóc tobie.

— Co pani ma na myśli?

Potrząsnęła głową. Skrzywiła się nieco z powodu upału panującego w tym miejscu.

— Żadnych pytań. Przynajmniej na razie. Zapewniam cię, że twoja ciekawość zostanie zaspokojona. Musisz pójść ze mną.

— Proszę?

— Nie możesz tutaj zostać.

— Jak to?

— Powiedziałam: żadnych pytań.

Następną rzeczą, jaką ujrzałem, był mały drewniany pistolet wycelowany wprost w moją pierś.

— Jasna cholera. Co pani wyprawia?

— Zostałeś przyjęty do naukowego stowarzyszenia. Jest pewien instytut... Nie mam czasu na wyjaśnienia. Ale jeśli tu zostaniesz, zginiesz.

Żar kuźni często powodował jakiś rodzaj delirium, gorączkowego snu. Przez chwilę myślałem, że właśnie przeżywam jeden z tych snów na jawie.

— Doktor Hutchinson nie żyje — powiedziała. Jej głos był opanowany, lecz tkwiła w nim cicha siła, która podkreślała nie tyle stwierdzenie faktu, co jego nieuchronność.

— Doktor Hutchinson?

— Został zamordowany.

Pozwoliła słowom wybrzmieć w powietrzu kuźni. Nie towarzyszył im żaden dźwięk poza rykiem płomieni.

— Zamordowany? Przez kogo?

Wręczyła mi wycinek z „Timesa”. *Z Tamizy wylowiono ciało lekarza.*

Przejrzałem treść artykułu.

— Popełniłeś błąd. Nigdy nie powinieneś być udawać się do niego ze swoją przypadłością. Napisał na twój temat artykuł. Poświęcony twojej przypadłości. Nadał jej nawet nazwę. Anageria. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ten artykuł zostanie opublikowany. A to było nie do zaakceptowania. W żadnym razie. Obawiam się, że nasze stowarzyszenie nie miało innego wyboru. Doktor musiał umrzeć.

— Ty go zabiłaś?

Jej twarz teraz już lśniła z gorąca.

— Tak, zabiłam go, by ocalić życie innych. A teraz chodź ze mną. Na zewnątrz czeka powóz. Jest gotowy, by zabrać nas do Plymouth.

— Plymouth?

— Nie martw się, nie będziesz miał stamtąd wielu wspomnień.

— Nic z tego nie rozumiem. Kim ty *jesteś*?

— Mam na imię Agnes.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej kopertę. Podała mi ją. Odłożyłem młot kowalski i wziąłem kopertę. Nie było na niej nazwiska ani adresu, ale jej niebieski papier wypełniony został treścią.

— Co to jest?

— To twój bilet. I dokument tożsamości.

Byłem zaskoczony.

— Co takiego?

— Żyłeś już długo. Masz dobry instynkt przetrwania. Ale teraz musisz odejść. Musisz pójść ze mną. Czeka powóz. Z Plymouth udamy się do Ameryki. Znajdziesz każdą odpowiedź, jakiej kiedykolwiek szukałeś.

Potem bez słowa odeszła.

Ocean Atlantycki, rok 1891

Statki się zmieniły.

W przeszłości wypływałem już w morze, ale teraz pobyt tam nie oznaczał już tego samego co niegdyś.

Postęp ludzkości zdawał się mierzony odległością, jaką udało się nam uzyskać pomiędzy nami a naturą. Mogliśmy być na środku Atlantyku, na statku parowym, jakim była „Etruria”, i czuć się tak, jakbyśmy siedzieli w restauracji w Mayfair.

Mieliśmy miejsca w pierwszej klasie. W tamtych czasach to określenie znaczyło dosłownie pierwszą klasę i musieliśmy zachowywać pozory.

Kobieta, Agnes, dostarczyła mi walizkę pełną nowych ubrań, więc miałem na sobie elegancki bawełniany trzyczęściowy garnitur i jedwabny ascot. Byłem świeżo ogolony. Ogoliła mnie brzytwą, a gdy to robiła, poważnie zastanawiałem się nad tym, czy zamierza poderżnąć mi gardło.

Z okna restauracji widzieliśmy dolne pokłady, po których tłumy ludzi z drugiej klasy i załogi chodziły w sfatygowanych strojach. Jeszcze przed tygodniem ja też byłem tak odziany. Część z nich opierała się o poręcze i spoglądała na horyzont, zupełnie jakby mieli tam ujrzyć Ellis Island i czekający tam na nich amerykański sen.

Ze wszystkich osób, jakie kiedykolwiek spotkałem, Agnes uznałbym za najtrudniejszą do opisanego słowami. Była wyjątkowo rzadką mieszanką szczerego charakteru, amoralnych zachowań i powściągliwości. No i była zdolna do popełnienia morderstwa.

Wciąż nosiła żalobną czerń w stylu królowej Wiktorii i w każdym detalu wyglądała na damę z wyższych sfer. Nawet jej opaska na oku podkreślała elegancję. Chociaż jej wybór drinka — whisky — wydawał się nieco ekscentryczny.

Nazywała się — w tamtym okresie — Gillian Shields. Urodziła się jednak jako Agnes Wade.

— Myśl o mnie jak o Agnes. Nazywam się Agnes Wade. Nigdy nie nazywaj mnie tym imieniem, ale zawsze o nim myśl. Agnes Wade.

— O mnie z kolei myśl jako o Tomie Hazardzie.

Urodziła się w Yorku w 1407 roku. Była ode mnie starsza o ponad sto lat. Ów fakt nieco mnie martwił, a nieco cieszył. Wtedy jeszcze nie poznałem licznych tożsamości, jakie przybierała na przestrzeni lat, ale zdradziła mi, że w połowie XVIII wieku była Florą Burn, znaną piratką grasującą na amerykańskim wybrzeżu.

Właśnie zamówiła potrawkę z kurczaka, a ja pieczonego błękitka.

— Jest w twoim życiu jakaś kobieta?

Zawahałem się przed udzieleniem odpowiedzi, więc poczuła nagłą potrzebę wyjaśnienia mi charakteru zadanego pytania.

— Nie martw się. W tym względzie nie interesuję się tobą. Jesteś zbyt poważny. Lubię poważne kobiety, ale gdy decyduję się skorzystać z mężczyzn, wolę, by byli jaśni niczym dzień. To była czysta ciekawość. Musiał ktoś być. Nie mogłeś żyć tak długo i nie mieć nikogo.

— Tak, był ktoś. Dawno temu.

— Czy ona miała jakieś imię?

— Owszem, miała — było to wszystko, co zamierzałem zdradzić Agnes.

— I od tamtej pory nie było nikogo więcej?

— Tak naprawdę nie. Od tamtej pory nie było nikogo.

— Dlaczego?

— Tak po prostu.

— Koileś złamane serce?

— Miłość to ból. Łatwiej jest bez niej.

Kiwnęła głową na znak zgody, po czym przełknęła, zupełnie jakby moje słowa miały smak. Następnie zapatrzyła się gdzieś w dal.

— Tak, to prawda. Miłość to ból.

— Zatem — rzekłem — miałaś mi powiedzieć, dlaczego zabiłaś doktora Hutchinsona.

Rozejrzała się po innych osobach jedzących obiad, siedzących sztywno w tym przeklętym stylu wyższej klasy.

— Zechciałbyś uprzejmie nie oskarżać mnie o morderstwo w jadalni? Musisz nauczyć się sztuki dyskrecji. Mówienia o sprawach bez wspomniania o nich. Prawda jest linią prostą, którą czasem trzeba zakrzywić. Powinieneś być się tego dotąd sam nauczyć. To prawdziwy cud, że nadal żyjesz.

— Wiem, ale...

Agnes zamknęła oczy.

— Czy rozumiesz, że musisz dorosnąć? Wciąż jesteś dzieckiem. Teraz możesz wyglądać jak mężczyzna, ale nadal jesteś chłopcem ze zdumioną miną. Musisz szybko przekształcić się w dorosłego. Trzeba cię ucywilizować.

Jej obojętna postawa mnie przeraziła.

— On był dobrym człowiekiem.

— Był człowiekiem. To chyba wszystko, co naprawdę o nim wiesz, nieprawdaż? Był człowiekiem. Poszukującym chwały w nieszczęściu lekarzem, którego najlepsza praca była już za nim. Człowiekiem, który wcześniej szczęśliwie cię odrzucił. Miał sześćdziesiąt osiem lat. Był słabego zdrowia. Był szkieletem w tweedzie. W najlepszym razie pozostało mu kilka lat życia. Teraz, gdyby pozostał przy życiu, aby upublicznić swoje odkrycia tylko po to, by okrzyknięto go tym, który odkrył anagerię, doprowadziłby do znacznie większych szkód. I śmierci ludzi, którzy przed sobą mają nie tylko lata życia, ale całe stulecia. Prawda, że rozumiesz, dlaczego nazywam to większym dobrem? Ktoś traci życie, by ocalić więcej istnień. O to właśnie walczy stowarzyszenie.

— Stowarzyszenie to, stowarzyszenie tamto... Ciągłe o nim mówisz, a zarazem nic mi o nim nie powiedziałaś. Nie wiem nawet, jak się nazywa.

— Stowarzyszenie Albatrosów.

— Albatrosów?

Podano nasze posiłki.

— Czy mogę państwu jeszcze czymś służyć? — spytał elegancko odziany kelner o ulizanych włosach.

— Tak — uśmiechnęła się Agnes. — Możesz zniknąć.

Kelner, który wyglądał na zaskoczony, na pocieszenie pogładził wąsy.

— Znakomicie.

Wpatrywałem się w swoją apetycznie wyglądającą rybę i żołądek zaburczał mi z głodu. Byłem świadom, że nie jadłem takich pyszności od przeszło stulecia.

— Uważa się, że albatrosy żyją długo. My także żyjemy długo. Hendrich Pietersen założył stowarzyszenie w 1867 roku, by zjednoczyć takich jak my i zapewnić im ochronę przed zewnętrznym zagrożeniem. Nazywamy się „albatrosami” lub „albami”.

— Kim jest ten Hendrich Pietersen?

— Bardzo starym i bardzo mądrym człowiekiem. Urodził się we Flandrii, ale żył w Ameryce, od kiedy została Ameryką. Zarobił pieniądze podczas tulipomanii i przybył do Nowego Jorku, kiedy ten wciąż był Nowym Amsterdamem. Handlował futrami. Zbudował swoje bogactwo. W końcu udało mu się zbić fortunę. Zaczął nabywać tytuły własności. Kupował różne rzeczy. Jeśli pytasz, kim jest Hendrich, odpowiadam. On *jest* Ameryką. Założył stowarzyszenie, aby nas uratować. To błogosławieństwo, Tom.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Błogosławieństwo. Błogosławieństwo. To klątwa.

Wzięła łyk czerwonego wina.

— Hendrich będzie chciał się upewnić, że doceniasz charakter daru, jaki otrzymałeś.

— Będzie to trudne.

— Lepiej, żebyś się na to zdobył, o ile chcesz zachować życie.

— Nie jestem pewien, czy tak bardzo mi na nim zależy, Agnes.

— Nie Agnes — szepnęła ostro. Rozejrzała się po pomieszczeniu. — Gillian.

Wyciągnęła coś z torebki. Była to mieszanka na kaszel pod nazwą „Wyciszający syrop”.

Dodała nieco syropu do swojej whisky, po czym zaoferowała mi to samo. Odmówiłem, kręcąc głową.

— Czy masz świadomość, jak samolubnie teraz brzmisz? Spójrz na wszystkich wokół. Rozejrzyj się po tej jadalni. Jeszcze lepiej, pomyśl o tych wszystkich emigrantach z najtańszymi biletami. Większość z nich będzie martwa przed sześćdziesiątką. Pomyśl o tych wszystkich strasznych, powodujących śmierć chorobach. Ospa, cholera, tyfus, a nawet dżuma. Wiem, że jesteś na tyle stary, aby ją pamiętać.

— Owszem, pamiętam.

— Nam się to nie przydarzy. Ludzie tacy jak my umierają tylko na dwa sposoby. Albo odchodzimy we śnie w wieku około dziewięciuset pięćdziesięciu lat, albo umieramy wskutek aktów przemocy, które niszczą nasze serce, mózg lub powodują znaczną utratę krwi. I tyle. Zostaliśmy uodpornieni na tak wiele ludzkiego bólu.

Pomyślałem o Rose w ostatnim dniu jej życia, drżącej w gorączce i pogrążonej w spowodowanym bólem delirium. Pomyślałem o dniach, tygodniach, latach i dziesięcioleciach po tym wydarzeniu.

— Wielokrotnie myślałem o tym, że palnięcie sobie w głowę byłoby lepsze od błogosławieństwa istnienia.

Agnes delikatnie wymieszała znajdujący się w jej szklance koktajl z whisky i „Wyciszającego syropu”.

— Żyłeś przez długi czas. Wystarczająco długi, by wiedzieć, że ujawnienie prawdy na nasz temat zagraża nie tylko nam.

— Zdecydowanie. Zagraża też osobom takim jak doktor Hutchinson.

— Nie mówię o nim — zareagowała szybciej niż kot. — Mam na myśli innych ludzi. Takich jak twoi rodzice. Co się im przydarzyło?

Niespiesznie przeżulem rybę, przełknąłem, a potem wytarłem usta serwetką.

— Ojciec został zabity we Francji z powodu wyznawanej przez siebie religii.

— Ach. Wojny religijne we Francji? Był protestantem? Hugenotą?

Trzykrotnie kiwnąłem głową.

— A matka? — Oczy Agnes wpatrywały się we mnie. Wyczuła, że mnie ma. I jak sądzę, tak rzeczywiście było.

Powiedziałem jej więc prawdę.

— Sam widzisz. Ignorancja to twój wróg.

— Teraz już nikt nie ginie z powodu czarów.

— Ignorancja zmienia się przez cały czas. Zawsze jednak istnieje i pozostaje równie zabójcza. Tak, doktor Hutchinson stracił życie. Gdyby jednak przeżył, a jego praca została opublikowana, ludzie przyszliby po ciebie. I po innych.

— Ludzie? Jacy ludzie?

— Hendrich ci wszystko wyjaśni. Bez obaw, Tom. Twoje życie nie jest daremne. Masz przed sobą cel.

Przypomniałem sobie wtedy, że matka kazała mi znaleźć sobie cel. I gdy jadłem delikatną

rybę, zastanawiałem się, czy właśnie nie zacząłem go odnajdywać.

Nowy Jork, rok 1891

— Spójrz na nią — powiedziała Agnes, gdy staliśmy na górnym pokładzie „Etrurii”. — Wolność opromieniająca świat.

Widziałem wtedy po raz pierwszy Statuę Wolności. Jej prawe ramię unosiło pochodnię wysoko w powietrze. Była koloru miedzi, błyszczała i wyglądała najbardziej imponująco. Żarzyła się w słońcu, gdy zbliżaliśmy się do portu. Wydawała się ogromna — epicka i starożytna. Na miarę sfinksów i piramid. Przez wszystkie te lata, które przeżyłem, świat stał się mniejszy, na powrót bardziej skromny. Gdy jednak spojrzałem na panoramę Nowego Jorku, poczułem, że świat marzy o czymś większym. Odchrząknąłem. Dodałem sobie trochę pewności. Wsunąłem dłoń do kieszeni, by przez chwilę potrzymać w palcach monetę od Marion. Jak zawsze, tak i tym razem przyniosła mi ona pocieszenie.

— Byłam blisko niej — powiedziała Agnes. — Wygląda, jakby stała nieruchomo, ale tak naprawdę idzie. Wyrzywa się z łańcuchów przeszłości. Niewolnictwa. Wojny domowej. I zmierza ku wolności. Ale w tej chwili zostaje zatrzymana na zawsze. Spójrz sam. Czy to widzisz? Przestań patrzeć na pochodnię, a popatrz na nogi. Rusza się, lecz stoi w miejscu. Dąży do lepszej przyszłości, ale jeszcze do niej nie dotarła. Zupełnie jak ty, Tom. Sam się przekonasz. Twoje nowe życie już czeka.

Patrzyłem na Dakotę, wspaniały, ozdobny, siedmiokondygnacyjny budynek z kremowego kamienia z eleganckimi balustradami i stromym dachem. Miałem zawroty głowy spowodowane tym rzadkim poczuciem, że sprawy toczyły się niezwykle szybko i to nie tylko w moim życiu, ale i na całym świecie. Byłem od kilku godzin w Nowym Jorku i uczucie to nie znikало. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku Nowy Jork miał coś w sobie.

Coś ekscytującego. Coś tak rzeczywistego, że czułeś, iż możesz to wdychać. Coś, co sprawiało, że znowu czułem.

Zatrzymałem się na chwilę na progu.

Co by się stało, gdybym wtedy uciekł? Gdybym odepchnął Agnes i zniknął w parku albo szybko pobiegł wzdłuż 72. ulicy i jakoś się oddalił? Przypuszczam jednak, że byłem wówczas oszołomiony nowoczesnością tego miasta. To właśnie sprawiło, że poczułem się żywy, po tych wszystkich martwych latach nicości.

Pomnik amerykańskich Indian — Agnes nazwała go „czuwającym Indianinem” — spoglądał na nas uroczyście. W 1980 roku, podczas pracy w São Paulo, na ekranie telewizora o małej liczbie kolorów oglądałem wiadomości o zabójstwie Johna Lennona. Były w nich ujęcia tego samego budynku, w którym go zastrzelono. Zastanawiałem się, czy budynek może być przeklęty i wpływać na wszystkich, którzy przekroczą jego próg.

Denerwowałem się, stojąc na zewnątrz. Ale przynajmniej coś czułem. Ostatnimi czasy nie było to u mnie normą.

— On będzie cię sprawdzał nawet wtedy, gdy nie będzie tego robił. Wszystko jest testem. — Wchodziliśmy po schodach. — On odczytuje ludzi, ich ruchy, twarze, lepiej niż ktokolwiek, kogo poznałam. Hendrich na przestrzeni lat rozwinął w sobie pozornie nienaturalny instynkt.

— Jaki instynkt?

— Nazywa to po prostu instynktem. Instynktownym rozumieniem ludzi. Najwyraźniej w wieku od pięciuset do sześciuset lat możliwości twojego intelektu rosną do punktu wykraczającego poza zasięg normalnego człowieka. Hendrich obcował z tak wieloma osobami

pochodzącymi z różnych kultur, że potrafi z niezwykłą dokładnością odczytywać informacje z ich twarzy oraz ciała. Wie, czy może komuś zaufać.

Byliśmy więc tam, w przestronnym mieszkaniu w stylu francuskim — w tamtych czasach w Ameryce nie używano słowa „apartament” — znajdującym się na najwyższym piętrze Dakoty, z rozciągającym się pod nami Central Parkiem.

— Próbuję udawać, że to mój ogród — powiedział wysoki, szczupły, modnie ubrany mężczyzna stojący przy oknie. Mocno zaciskał dłoń na trzymanej w dłoni lasce. Robił to zarówno na pokaz, jak i wskutek zapalenia stawów, które wtedy dopiero zaczynało mu doskwierać.

— Bardzo imponujący widok — stwierdziłem.

— Owszem. A te budynki wyrastają jak grzyby po deszczu. Proszę spocząć.

Elegancki — w wypadku tego apartamentu — to najwłaściwsze określenie. Był tam elegancki fortepian Steinway, obok którego stała elegancka, wyglądająca na drogą, skórzana kanapa. Były też lampy podłogowe, mahoniowe biurko i zyrandol. Agnes usiadła wygodnie na sofie i wskazała mi fotel przy biurku. Hendrich znajdował się po drugiej stronie biurka, ale wciąż stał, wpatrując się w okno. Kiwnęła wyraźnie głową, by dać mi do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli natychmiast usiądę.

Tymczasem Hendrich nie przerywał kontemplacji panoramy Central Parku.

— Jak udało ci się przeżyć, Tom? — Zwrócił się twarzą w moim kierunku. Zdałem sobie wówczas sprawę, że jest stary. Gdyby był zwyczajnym człowiekiem — jętką, jak zwykła ich określać z kamienną twarzą Agnes — dałbym mu około siedemdziesięciu lat. W dzisiejszych czasach, przy uwzględnieniu wiekowej inflacji, miałby jeszcze więcej. Ponad osiemdziesiąt. Wyglądał wtedy najstarzej z całego okresu naszej znajomości.

— Żyjesz już od tak dawna i z tego, co słyszałem, nie trafiłeś na najbardziej sprzyjające okoliczności do przetrwania. Co powstrzymało cię przed rzuceniem się z mostu? Co cię napędza?

Spojrzałem na niego. Jego policzki obwisły, a pod oczami miał tyle worków, że przypominał topniejącą świecę.

Nie chciałem zdradzać mu prawdziwego powodu. Gdyby Marion żyła, nie chciałem, żeby Hendrich o niej wiedział. Nikomu nie ufałem.

— Daj spokój, jesteśmy tu, by ci pomóc. Urodziłeś się w szlacheckiej rodzinie. Przywykłeś do dobrobytu, Tom. Przywrócimy to życie. Zarówno tobie, jak i twojej córce.

Poczułem, że wszystko wokół na mnie napiera.

— Moja córka?

— Przeczytałem raport doktora Hutchinsona. O Marion. Nie martw się, będziemy jej szukać. Obiecuję ci, że ją znajdziemy. Jeśli tylko żyje, odnajdziemy ją. Znajdziemy wszystkich takich jak my. A wraz z pojawieniem się nowych pokoleń odnajdziemy także ich dzieci.

Bąłem się, lecz muszę również przyznać, że byłem nieco podekscytowany tym, iż mogę uzyskać pomoc w poszukiwaniach Marion. Nagle poczułem się mniej samotny.

Na biurku stała karafka whisky. I trzy szklanki. Nalał do wszystkich po porcji trunku, nie pytając nas, czy chcemy się napić. Kiedy to zrobił, sięgnąłem po whisky, by ukoić nerwy.

Przeczytał etykietkę.

— Spójrzcie na to. „Stara irlandzka słodowa whisky Wexford. Smak przeszłości”. Smak przeszłości! Kiedy byłem młody, whisky nawet nie istniała. — Miał trudny do określenia akcent. Na pewno nie amerykański. — Ale jestem znacznie starszy od ciebie.

Westchnął z ulgą i usiadł za ogromnym mahoniowym biurkiem.

— To dziwne, nieprawdaż? To, że żyjemy na tyle długo, by zobaczyć te wszystkie

rzeczy. W moim przypadku jest to spora lista: okulary, prasa drukarska, gazety, karabiny, kompas, teleskop... zegar wahadłowy... pianino... impresjonistyczne obrazy... fotografia... Napoleon... szampan... średnik... billboardy... hot dog...

Najwyraźniej dostrzegł w tym momencie zmieszanie na mojej twarzy.

— Ależ oczywiście, Agnes. Ten biedak nie miał nigdy okazji spróbować hot doga. Musimy koniecznie zabrać go na Coney Island. Tam mają najlepsze w mieście.

— Z całą pewnością — powiedziała Agnes, która w jego towarzystwie traciła nieco ze swej ostrości.

— To coś do jedzenia? — spytałem.

— Tak — zaśmiał się oschle. — To kiełbasa. Wyjątkowa kiełbasa. Kiełbasa w kształcie jamnika. Specjalna mała frankfurterka. To niebo zakłete w bułce. To właśnie ku temu zmierza cała cywilizacja... Gdybym wiedział, dorastając we Flandrii, że pewnego dnia zasmakuję w gorącym psie. No!

Wydawało mi się to niezwykle dziwne. Czy przemierzyłem cały ocean, pozostawiając za sobą śmierć człowieka, by rozmawiać o kiełbaskach?

— Przyjemność. Ona jest celem, nieprawdaż? Cieszenie się *dobrymi rzeczami*... rzeczami wysokiej jakości. Jedzeniem. Trunkami. Sztuką. Poezją. Muzyką. Cygarami.

Wyjął z biurka cygaro wraz z chromowaną zapalniczką.

— Zapalisz?

— Nie lubię tytoniu.

Wyglądał na zawiedzionego. Zamiast mnie podał jedno z cygar Agnes, mówiąc:

— To dobre dla płuc.

— Moje mają się dobrze — odparłem, biorąc łyk whisky.

Przypalił cygara, po czym rzekł:

— Rzeczy z wyższej półki. Zmysłowe przyjemności. Odkryłem, że nic innego nie ma znaczenia. Nic więcej się nie liczy.

— A miłość? — spytałem. — Co z nią?

Hendrich uśmiechnął się do Agnes. Kiedy z uśmiechem zwrócił się znów do mnie, widniała w nim groźba. Mój rozmówca podjął temat:

— Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłeś odwiedzić lekarza, by opowiedzieć mu o swoim stanie. Może myślałeś, że teraz przesady, takie jak wiara w czary, nie są tak rozpowszechnione, więc nadszedł czas, by to zrobić?

— Sądziłem, że to pomoże ludziom. Osobom takim jak my. Chciałem znaleźć medyczne wytłumaczenie.

— Jestem pewien, że Agnes wytłumaczyła ci już, dlaczego takie podejście było naiwne.

— Owszem, wspomniała o tym.

— Prawda jest taka: obecnie jest więcej niebezpieczeństw niż kiedykolwiek przedtem. Postępy dokonywane w nauce i medycynie nie są zmianami, które należy witać z otwartymi ramionami. Mówię o teorii drobnoustrojów, mikrobiologii i immunologii. W ubiegłym roku wynaleziono szczepionkę na tyfus. Tym, czego nie wiesz, jest to, że dążąc do jej odkrycia, wynalazcy szczepionki opierali się na pracach Instytutu Badań Doświadczalnych w Berlinie.

— Czy szczepionka na tyfus nie jest godnym pochwały wynalazkiem?

— Nie, jeśli badania nad nią były prowadzone naszym kosztem. — Lekko zacisnął szczęki, nie chcąc okazywać wzbierającego w nim gniewu.

Jeszcze bardziej zaniepokoiło mnie sztywne milczenie Agnes. Przecież mógł mieć w biurku rewolwer. Może właśnie oblałem test i teraz miał zamiar wpakować mi kulę w głowę.

— Naukowcy — wypowiedział to słowo, jakby pozostawiało w jego ustach posmak

siarki — są nowymi łowcami czarownic. Coś ci o nich wiadomo, nieprawdaż? Wiem, że tak.

— Wie dużo o łowcach czarownic — zapewniła Agnes, wydmuchując cienką smugę dymu w stronę lampy podłogowej.

— Nie wiesz jednak, że procesy czarownic nigdy nie dobiegły końca. Przybrały tylko inną formę. Staliśmy się królikami doświadczalnymi. Instytut wie o naszym istnieniu. — Pochylił się nad biurkiem i strząsnął popiół na świeży egzemplarz „New York Tribune”, a jego spojrzenie gorzało niczym końcówka cygara. — Rozumiesz, co mówię? Istnieją członkowie środowiska naukowego, *którzy wiedzą o naszym istnieniu*. — Wyprostował się w swoim fotelu. — Niewielu. Zaledwie kilku. W Berlinie. Nie interesują się nami jako istotami ludzkimi. Tak naprawdę nawet nie postrzegają nas *jako* istot ludzkich. Uwięzili dwójkę naszych. Torturowali ich w laboratoriach. Traktowali jak króliki doświadczalne. Mężczyznę i kobietę. Jej udało się uciec i teraz należy do naszego stowarzyszenia. Wciąż mieszka w Niemczech, w bawarskiej wiosce, lecz ma nową tożsamość i życie. Pomaga nam, gdy tego potrzebujemy. My z kolei pomagamy jej.

— Nie wiedziałem o tym.

— I nie musiałeś.

W tym momencie zauważyłem, że widoczny za oknami park pełen jest powalonych drzew.

Na parapecie wylądował ptak. Nie rozpoznałem tego gatunku. Tamtejsze ptaki różniły się od tych z moich stron. Małe, krzepkie, żółte stworzenie o matowo szarych skrzydłach wykonało nagły ruch łebkiem w kierunku okna. A potem w drugą stronę. Nigdy nie nudziło mnie obserwowanie ptaków, gdy te nie latały. Przypominały wtedy raczej projekcje serii obrazków niż istoty w ciągłym ruchu. Staccato. Zastygłe chwile.

— Twoja córka mogła się znaleźć w niebezpieczeństwie. Podobnie jak i my wszyscy. Rozumiesz już, dlaczego musimy ze sobą współpracować?

— Tak.

— Jest jeszcze jedno pytanie, które muszę ci zadać — powiedział Hendrich, biorąc łyk whisky.

— Proszę bardzo.

— Czy chcesz przetrwać? Mam na myśli prawdziwą chęć. Czy chcesz utrzymać się przy życiu?

Sam długo zadawałem sobie to pytanie. Odpowiedź, jakiej zwykle sobie udzielałem, była twierdząca, ponieważ nie chciałem umierać, wciąż mając córkę, która być może jeszcze żyje. A jednak bardzo trudno było powiedzieć, że chciałem przetrwać. Odkąd Rose odeszła, wahałem się pomiędzy dwiema możliwościami. Być albo nie być. Ale w tym wytwornym apartamencie, z tym żółtym ptakiem wciąż znajdującym się na parapecie, odpowiedź wydawała się bardziej jasna. Na tej wysokości, z ciężkim błękitnym niebem i zuchwałym nowym miastem przede mną czułem się bliżej Marion. Ameryka sprawiała, że myślało się o przyszłości.

— Tak. Owszem, chcę przetrwać.

— Cóż, aby przetrwać, musimy współpracować.

Ptak odleciał.

— Racja — odparłem. — Rozumiem. Współpraca.

— Nie przybieraj tak zmartwionej miny. Nie jesteśmy żadną sektą religijną. Naszym celem jest pozostanie przy życiu, ale tylko dlatego, że możemy cieszyć się życiem. Nie ma tu bogów, może poza Afrodytą i Dionizosem. — Przez chwilę wyglądał na zadumanego. — Agnes, czy wybierasz się do Harlemu?

— Tak. Zobaczę się ze starym przyjacielem, a potem zrelaksuję i prześpię tydzień.

Światło migotało niczym klejnot w karafce. Ów widok sprawił, że Hendrich poczuł się szczęśliwy.

— Popatrz! Słońce wyszło. Pójdziemy na spacer do parku?

Na naszej drodze leżał wyrwany z korzeniami klon.

— Huragan — wyjaśnił Hendrich. — Przed kilkoma tygodniami zabił kilka osób, głównie marynarzy. Nadzorcy parku dość opieszale go porządkują.

Wpatrywałem się w korzenie rozgałęziające się niczym macki.

— Musiało ostro wiać.

Hendrich uśmiechnął się do mnie.

— To był prawdziwy spektakl.

Spojrzał pod nogi na porozrzucaną ziemię, po czym opuścił ścieżkę.

— To, co tutaj widzimy, to doświadczenie imigrantów. Wiatr przychodzi i nagle nie jesteś już w ziemi. A twoje korzenie są na wierzchu i wyglądają dziwnie i nieznajomo. Ale ciebie wyrwano z korzeniami już wcześniej, nieprawdaż? Sam wyrwałeś je z gruntu. Z całą pewnością musiałeś to uczynić.

Kiwnąłem głową.

— Wiele razy.

— To widać.

Próbowałem odebrać to jako komplement, lecz nie było to łatwe.

— Sztuką jest pozostać w pionie. Wiesz, jak utrzymać pion?

— Jak?

— Musisz dopasować się do huraganu. Musisz być swoją własną burzą. Musisz... — zamilkł. Jego metafora straciła impet.

Zauważyłem, jak lśniące były jego buty. Nigdy nie widziałem takich butów.

— Jesteśmy inni, Tom — powiedział w końcu. — Nie jesteśmy tacy jak reszta ludzi. Nosimy w sobie przeszłość. Wszędzie ją widzimy. A czasami może to być niebezpieczne, więc musimy sobie wzajemnie pomagać. — Jego dłoń teraz spoczywała na moim ramieniu, jakby mówił mi coś niezwykle istotnego. — Przeszłość nigdy nie przemija. Ona się po prostu chowa.

Powoli obeszlśmy klon.

Przed nami Manhattan wyrastał z ziemi niczym nowy, odporny na burzę rodzaj lasu.

— Musimy być ponad nimi. Rozumiesz, co mówię? Dla dobra naszego przetrwania w przyszłości musimy być samolubni.

Minęliśmy parę owiniętą w płaszcze, śmiejącą się z jakiegoś tylko im znanego żartu.

— Twoje życie się zmienia. Świat się zmienia, a my wraz z nim. Musimy tylko się upewnić, że większość jętek nigdy się o nas nie dowie.

Pomyślałem o ciele pływającym w Tamizie.

— Ale żeby zabijać doktora Hutchinsona...

— To wojna, Tom. Niewidzialna, lecz nadal wojna. Musimy się chronić.

Ściszył głos, gdy dwóch elegancko ubranych mężczyzn z identycznymi wąsami przejechało obok nas na czarnych rowerach. Rowery miały koła równej wielkości, co w owym czasie wydawało mi się bardzo modną innowacją.

— Kim jest ten Omai? — szepnął Hendrich. Jego brwi uniosły się niczym skrzydła wróbla.

— Słucham?

— Doktor Hutchinson o nim napisał. Mieszkaniec południowego Pacyfiku. Kim on jest?

Zaśmiałem się nerwowo. Dziwnie było dzielić z kimś swoje największe sekrety.

— To dawny przyjaciel. Poznałem go w poprzednim stuleciu. Na pewien czas przybył do

Londynu, ale nie chciałby zostać odnaleziony. Nie widziałem się z nim od stu lat.

— W porządku — odparł. — W porządku.

Następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej dwa beżowe bilety. Wręczył mi jeden z nich.

— Czajkowski. Dziś wieczór. Music Hall. Najbardziej pożądanym biletem w mieście. Musisz spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy, Tom. Jesteś już tyle czasu na tym świecie, a ciągle nie możesz jej dostrzec. Ale przekonasz się, że ci się uda. Dla twojej córki. Dla siebie. Zaufaj mi, a sam się przekonasz... — Pochylił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — A jeśli nie, to z czasem może zupełnie się zatracisz.

Siedzieliśmy w czerwonych pluszowych fotelach, a gdy kobieta w ekstrawaganckiej bordowej sukni — o bufiastych rękawach, wysokim kołnierzu, dolnej części w kształcie dzwonu i bogato zdobionym, haftowanym dekolcie — siedząca dotychczas obok Hendricha wstała i wyszła do toalety, skierował on spojrzenie w moją stronę i dyskretnie wskazał na zgromadzone na widowni znakomitości.

— Mężczyzna w łożu... Ten, który się właśnie pochyla... Obok damy w zielonej sukni... Ten, na którego wszyscy ukradkowo zerkają. — Zobaczyłem wesołego jegomościa o różowej cerze i okrągłej, sowej twarzy oraz starannie przystrzyżonej białej brodzie. — To Andrew Carnegie. Tytan przemysłu. Bogatszy od Rockefellera. I bardziej szczodry... Ale sam na niego spojrz. To starzec. Ile czasu mu jeszcze zostało? Dekada? Może trochę więcej? Kiedy każdy stalowy element na kolei w tym kraju wciąż będzie produkować jego firma, jego już dawno nie będzie na tym świecie. Ta sala, zbudowana z pieniędzy będących dla niego drobnymi, wciąż będzie stała, gdy on spocznie sześć stóp pod ziemią. Dlatego właśnie ją zbudował. Żeby jego imię mogło jeszcze długo żyć w przyszłości. To właśnie robią bogacze. Kiedy zyskują pewność, że zapewnili wygodne życie zarówno sobie, jak i własnym dzieciom, zaczynają troszczyć się o swoją spuściznę. Nie uważasz, że w tym słowie jest cała masa smutku? Spuścizna. Cóż za pozbawiona znaczenia rzecz. To wszystko ma działać w przyszłości, w której ktoś już się sam nie pojawi. A czymże jest spuścizna, panie Hazard? To najbardziej pusty i mierny substytut tego, co posiadamy. Stalowe i fantazyjne sale koncertowe nie zapewnią ci nieśmiertelności.

— Nie jesteśmy nieśmiertelni.

Uśmiechnął się.

— Spójrz na mnie, Tom. Wyglądam, jakbym był jego rówieśnikiem. W rzeczywistości jednak jestem młodszy niż dziecko. Będę na tym świecie w dwutysięcznym roku.

Zaryzykowałem, że go obrażę.

— Ale jak czujesz się wewnątrz? Tym, co mnie zawsze martwiło, jest wizja spędzenia kilku długości życia zwykłego człowieka w ciele starca.

W owej chwili naprawdę sądziłem, że go *obrazilem*. Pomyślałem, że przekroczyłem niewidzialną granicę. Być może rzeczywiście tak było, lecz on po prostu się uśmiechnął i powiedział:

— Życie to życie. Tak długo, jak jesteś w stanie usłyszeć muzykę oraz cieszyć się ostrygami i szampanem...

— Więc nic ci nie doskwiera?

— Owszem, mam pewne problemy z kośćmi. Od czasu do czasu zaliczam przez nie nieprzespaną noc. Nie jestem już tak odporny na grypę czy przeziębienie jak niegdyś. Przekonasz się sam, że z wiekiem wszystkie fizyczne korzyści wynikające z bycia albą będą wygasać. Zaczynasz niedomagać. Upodobniasz się do nich wszystkich. Biologiczna tarcza ochronna zanika. Lecz dobrze sobie radzę z bólem. To niska cena za *pozostawanie przy życiu*. Życie to ostateczny przywilej, więc należę do najbardziej uprzywilejowanych osób na planecie. Ty też

powinieneś być za nie wdzięczny. Będiesz żył przez długi czas w przyszłym tysiącleciu. Przeżyjesz zarówno mnie, jak i Agnes. Jesteś bogiem, Tom. Chodzącym między ludźmi bogiem. My jesteśmy bogami, oni jętkami. Musisz nauczyć się cieszyć swoją *boską egzystencją*.

Wąły mężczyzna o przerzedzonych włosach, niezwykle ekspresyjny wyszedł na środek sceny. Stał przed tłumem i zdobył się na wymuszony uśmiech. Cała sala eksplodowała oklaskami. Stał tam przez chwilę, milcząc i po prostu gapiąc się na nas. Następnie Czajkowski odwrócił się do małego znajdującego się na scenie pulpitu, podniósł batutę dyrygenta i przez chwilę trzymał ją nieruchomo w powietrzu. To było jak oglądanie starego czarodzieja z różdżką, przywołującego energię potrzebną do rzucenia czaru.

W sali koncertowej zapadła całkowita cisza. Nigdy wcześniej nie słyszałem podobnej. Jakby samo pomieszczenie wstrzymało oddech. Wydawało się ono nie tylko cywilizowane, ale i nowoczesne. Dało się wyczuć wyrafinowanie połączone z pokusą, jakby wszyscy zostali zakłęci w chwili tuż przed zbiorowym kulturalnym orgazmem.

Czas zwolnił wewnątrz tej chwili.

I wtedy rozległa się muzyka.

Od lat nie cieszyłem się muzyką. Siedziałem więc na swoim miejscu, jak zwykle niczego nie oczekując.

Po wybuchu trąbek skrzypce i wiolonczele na chwilę zostały pozostawione samym sobie, tworząc dźwięk, najpierw cichy i delikatny, który następnie wzmógł się, wywołując rodzaj symfonicznej burzy.

I niby nic się nie działo. Ale wtedy, w jakiś sposób, ów dźwięk *we mnie wszedł*.

Nie. Nie wszedł. To niewłaściwe określenie. Muzyka nie wchodzi do środka. Muzyka już w nim jest. Ona po prostu odkrywa, co tam się znajduje, i sprawia, że czujesz emocje, których istnienia w sobie niekoniecznie jesteś świadomy, a następnie przelatuje pośród nich i je rozbudza. Powodując ich odrodzenie.

W tych dźwiękach było tak silne pragnienie i energia. Zamknąłem oczy. Nie jestem w stanie opisać, jak się wówczas czułem. Powodem, dla którego taka muzyka istnieje, jest to, że stanowi ona język niedający się wyrazić w żaden inny sposób. Nagle poczułem się żywy.

Gdy trąbki, waltornie i basowe bębny zaczęły grzmieć, miały w sobie taką moc, że serce mi przyspieszyło, a umysł został odurzony. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem Czajkowskiego z batutą, pozornie wyciągającego muzykę z powietrza, jakby była ona czymś w atmosferze, co należało tylko zlokalizować.

Potem, gdy wszystko się skończyło, z kompozytora znów zeszło powietrze. Nawet gdy cała sala poderwała się na nogi i skąpała go w fali oklasków, a powietrze przeszył dziwny ryk „Brawo!”, zdobył się zaledwie na najdelikatniejszy z uśmiechów i najdrobniejszy z możliwych ukłon.

— Brahms może mu buty czyścić, nie sądzisz? — szepnął do mnie w pewnym momencie Hendrich.

Nie miałem pojęcia, czy tak jest. Wiedziałem tylko, że dobrze jest wrócić do świata, w którym się czuje.

Zdałem sobie sprawę, i wiedziałem to nawet wtedy, że wizyta w Music Hall była częścią techniki sprzedaży. Sposobu, w jaki Hendrich wprowadził mnie do środka. Pokazania, że nie tylko odnajdzie moją córkę, ale przy okazji zapewni dobre życie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co naprawdę sprzedaje, ale stało się dla mnie jasne, że już to kupiłem. Tak naprawdę transakcja została przypieczętowana w momencie, w którym po raz pierwszy wspomniał o Marion. Ale wówczas zacząłem wierzyć krzykliwej reklamie Hendricha. Twierdzeniu, że Stowarzyszenie Albatrosów miało mi pomóc nie tylko odnaleźć moją córkę, ale i siebie samego.

Następnego dnia, w apartamencie Hendricha, kiedy skończyliśmy popite szampanem śniadanie, doszło do rozmowy. Tej rozmowy, do której zawsze powracam myślą.

— Pierwsza zasada mówi, że się nie zakochujesz — rzekł, wycierając palcem okruh gofra leżący na blacie stołu, nim przypalił cygaro. — Są również inne zasady, ale ta jest nadrzędna. Żadnego zakochiwania się. Żadnego trwania w miłości. Ani marzenia o niej. Jeśli weźmiesz to sobie do serca, będziesz miał się dobrze.

Patrzyłem przez unoszący się w pomieszczeniu dym z cygara.

— Wątpię, żebym kiedykolwiek się znowu zakochał.

— I dobrze. Wolno ci, oczywiście, rozkoszować się jedzeniem i muzyką, jak również szampanem i rzadkimi słonecznymi październikowymi popołudniami. Możesz kochać widok wodospadów i zapach starych książek, ale miłość do ludzi jest niedozwolona. Słuchasz mnie? Nie przywiązuj się do ludzi, a gdy już będziesz ich spotykać, staraj się czuć do nich tak niewiele, jak to tylko możliwe. W przeciwnym razie zaczniesz powoli tracić rozum... — zamilkł na moment. — Osiem lat, taka jest zasada. Tyle maksymalnie alba może pozostawać w dowolnym miejscu, zanim sprawy przybiorą dla niej niekorzystny obrót. To jest zasada ośmiu lat. Wiedziesz miłe życie przez osiem lat. Potem wysyłam cię, byś wykonał zadanie. Po nim zyskujesz nowe życie. Pozbawione duchów.

Uwierzyłem mu. Jak mogłem nie uwierzyć? Czy nie straciłem samego siebie po śmierci Rose? Czy od tamtej pory w pewnym sensie nie tkwiłem w bezruchu, ciągle czekając na ponowne odnalezienie siebie? *Miłe życie*. Może ono rzeczywiście było możliwe. I mogło mieć jakąś konstrukcję. Coś, do czego można przynależeć. Jakiś cel.

— Czy grecka mitologia jest ci znana, Tom?

— Odrobinę.

— Zatem jestem jak Dedal. Wiesz, ten architekt labiryntu, który utrzymywał w ryzach Minotaura. Musiałem zbudować labirynt, aby ochronić nas wszystkich. Mam na myśli to stowarzyszenie. Ale kłopoty z Dedalem polegały na tym, że pomimo jego wielkiej mądrości ludzie nie zawsze chcieli go słuchać. Jego własny syn, Ikar, nie słuchał ojca. Znasz tę historię, prawda?

— Owszem. Wraz z Ikarem podjęli próbę ucieczki z greckiej wyspy...

— Kreta. Tak. Ale ich skrzydła były zbudowane z piór i wosku. A jego ojciec...

— Dedal.

— Ojciec powiedział mu, by nie wznosił się zbyt blisko słońca ani nie zbliżał zbyt blisko do powierzchni morza, ponieważ skrzydła mogą zająć się ogniem lub zamoczyć. I, oczywiście, miały miejsce obydwie zdarzenia. Ikar wzniósł się zbyt wysoko, wskutek czego wosk w jego skrzydłach stopniał, co z kolei sprawiło, że spadł do morza. Nie jesteś teraz zbyt wysoko, Tom. Dotychczas jednak leciałeś za nisko, a konieczne jest zachowanie równowagi. Jestem tu po to, by ci ułatwić jej złapanie. Jak siebie teraz postrzegasz, Tom?

— Nie jako Ikara.

— A zatem kogo?

— To ważne pytanie.

— Nie ważne, a najważniejsze.

— Nie wiem, co na nie odpowiedzieć.

— Czy jesteś kimś, kto obserwuje życie, czy może tym, kto w nim uczestniczy?

— Podejrzewam, że trochę i jednym, i drugim. Obserwator. Uczestnik.

Kiwnął głową na moje słowa.

— Do czego jesteś zdolny?

— Słucham?

— Gdzie byłeś?
— Przemierzyłem świat.
— Nie o to pytam. Gdzie byłeś *moralnie*? Co dotychczas uczyniłeś? Jak wiele granic przekroczyłeś?

— Dlaczego mnie o to pytasz?
— Ponieważ musisz być wolny, a jedynym ograniczeniem powinny być nasze zasady. Czuję się nieswojo. Powinienem być zaufać temu odczuciu, zamiast brać kolejny łyk szampana.

— Co musimy zrobić, by zyskać wolność?
Uśmiechnął się.
— Żyjemy długo, Tom. Nasze życie jest długie. Długie i sekretne. Robimy wszystko, co jest konieczne. — Jego uśmiech przeszedł w śmiech. Miał ładne zęby, zważywszy na to, ile już lat z nich korzystał. — A teraz nadeszła pora na hot dogi.

Londyn, obecnie

Żyjemy długo, Tom...

W Kalifornii jest jedno drzewo, sosna długowieczna, które, jak okazało się po intensywnym liczeniu słoju, ma obecnie pięć tysięcy sześćdziesiąt pięć lat.

Nawet mnie ta sosna wydaje się stara. W ostatnich latach, kiedy tylko mój stan wpędzał mnie w rozpacz i potrzebowałem poczuć się bardziej śmiertelnie i zwyczajnie, myślałem o tym drzewie rosnącym w Kalifornii. Żyło ono w czasach faraonów. Istniało w czasach powstania Troi. Było już na początku epoki brązu. Powstało przed jogą. Rosło od czasów, gdy istniały *mamuty*.

Podczas gdy ono tam stoi, nieruchomo na swoim miejscu, rośnie powoli, wykształcając igły, tracąc je i wytwarzając ich jeszcze więcej, mamuty zdążyły wymrzeć, Homer napisał *Odyseję*, Kleopatra była królową, Jezus został przybity do krzyża, Siddhartha Gautama opuścił swój pałac, aby opłakiwać cierpiących poddanych, Cesarstwo Rzymskie zmarniało i upadło, Kartagina została podbita, w Chinach udomowiono woła, Inkowie wznieśli swoje miasta, załamane się po stracie Rose, Ameryka walczyła sama ze sobą, miały miejsce obie wojny światowe, powstał Facebook, na świecie żyły miliony ludzi i innych stworzeń, które myślały, walczyły, rozmnażały się, odczuwały dezorientację i spoczywały w swoich szybko pojawiających się grobach. Tymczasem drzewo zawsze było drzewem.

To była znajoma lekcja czasu. Wszystko się zmienia, a zarazem nic się nie zmienia.

Stoję więc niczym chodzący ból głowy przed dwudziestoma ośmioma czternastolatkami bujającymi się na krzesłach, bawiącymi się długopisami i ukradkowo sprawdzającymi swoje telefony. To trudna grupa, ale i ja przez lata stałem się twardszy. Jest to z pewnością łatwiejsze niż granie dla pijanych marynarzy, złodziei i włóczęgów w Minerva Inn w Plymouth.

Wszystko się zmienia, a zarazem nic się nie zmienia.

— East End jest wielokulturowym obszarem, ponieważ tak było od zawsze — mówię, rozpoczynając lekcję poświęconą imigracji przed XIX wiekiem. — Nikt tutaj nie był wówczas Brytyjczykiem, a całą społeczność tworzyła ludność napływowa. Rzymianie, Celtowie, Normanowie, Sasi. Wielka Brytania zawsze była miejscem utworzonym z innych miejsc. I nawet to, co uważamy za „nowoczesną” imigrację, ma korzenie w odległej przeszłości. Ponad trzysta lat temu mieliście Indian, którzy tu przybyli po zwerbowaniu ich na statki należące do Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Potem zjawili się niemieccy i rosyjscy Żydzi oraz Afrykanie. Ale prawdą jest, że chociaż imigracja zawsze była częścią angielskiego społeczeństwa, przez

długi czas wyraźnie odróżniający się imigranci byli traktowani jak egzotyczne osobliwości... Na przykład osiemnastowieczny mężczyzna zwany Omai, który przybył tu z jednej z wysp położonych na Pacyfiku. Wrócił wraz z załogą drugiej wyprawy kapitana Cooka... — przerywam. Wspominam, jak siedziałem na pokładzie z Omai, moim starym przyjacielem. Pokazywałem mu monetę otrzymaną od córki i uczyłem słowa *pieniądz*. — Kiedy więc Omai przybył do tego kraju, każda osobistość, poczynszy od króla, chciała się z nim spotkać i zjeść wspólnie obiad... — Pamiętam jego twarz w migoczącym blasku płomienia. — Miał nawet swój portret namalowany przez słynnego w tamtych czasach artystę, sir Joshuę Reynoldsa. Przez pewien czas był gwiazdą. Omai...

Omai.

Nie wypowiedziałem tego imienia na głos od długiego czasu. Ostatni raz zrobiłem to podczas rozmowy z Hendrichem w 1891 roku. Często jednak o moim przyjacielem myślałem. O tym, co mu się przydarzyło. W tej jednak chwili myślenie o nim zdaje się potęgować ból głowy. Wszystko wiruje.

— On był...

Żująca gumę dziewczyna z pierwszego rzędu, Danielle, marszczy brwi, patrząc na mnie.

— Wszystko w porządku, proszę pana?

Słychać czyjś śmiech. Danielle się odwraca. Śmiech milknie.

Zachowaj równowagę.

Próbuję się uśmiechnąć do klasy.

— W porządku. Wszystko ze mną dobrze... Ta część Londynu od zawsze była definiowana przez imigrację. Na przykład tam — wskazuję przez okno na zachód — w XV i XVI wieku mieliście Francuzów. Byli to pierwsi emigranci ery nowożytnej w tak dużej liczbie. Nie wszyscy zostali w Londynie. Wielu udało się do Canterbury. Inni osiedlili się na terenach wiejskich. Kent... — Na chwilę się zatrzymuję. Oddycham. — Suffolk. Ale wielu z nich osiadło w Spitalfields, gdzie powstała prawdziwa wspólnota. Rozwinęli tutaj przemysł jedwabny. Wielu z nich było tkaczami. Inni byli arystokratami, którzy nagle musieli odnaleźć się w zupełnie innych okolicznościach niż te, które znali z domu.

W jednym ze środkowych rzędów siedzi chłopak, Anton. Cichy, z zadumanym, poważnym spojrzeniem. Podnosi rękę.

— Słucham, Anton.

— Dlaczego tutaj przybyli? Chodzi mi o to, czemu opuścili dom, skoro było im tam tak dobrze?

— Cóż, byli protestantami. Hugenotami, jak ich nazywano, choć sami nigdy nie używali tego określenia. Podążali za naukami Jeana Cauvina — Jana Kalwina. W owym czasie protestant we Francji był w równie wielkim niebezpieczeństwie co katolik w Anglii. Tak wielu z nich...

Zamykam oczy, starając się pozbyć wspomnień. Ból głowy jest zbyt silny.

Uczniowie wyczuwają moją słabość. Słyszę, jak śmiech znowu się pojawia.

— Tak wielu z nich musiało... musiało uciekać.

Otwieram oczy. Anton się nie śmieje. Uśmiecha się do mnie łagodnie, okazując wsparcie. Nie mam jednak wątpliwości, że podobnie jak reszta klasy, on również myśli, że nie jestem do końca *w tym miejscu*.

Czuję, że moje serce wybija oszalały jazzowy rytm, a pomieszczenie zaczyna wokół mnie wirować.

— Przepraszam was na minutkę — mówię.

— Proszę pana? — Anton wydaje się zaniepokojony.

— Wszystko dobrze. Muszę tylko... Za minutę wracam.

Wychodzę z sali lekcyjnej. Idę wzdłuż korytarza. Mijam jedną salę, potem kolejną. Widzę Camille przez okno. Stoi przed tablicą pełną form czasowników.

Wygląda tak spokojnie, a jednocześnie zdaje się w pełni kontrolować klasę. Widzi mnie, uśmiecha się, a ja odwzajemniam uśmiech, mimo ogarniającej mnie paniki.

Wchodzę do łazienki.

Wpatruję się w swoje odbicie w lustrze.

Znam własną twarz zbyt dobrze, by ją faktycznie *widzieć*. Znajomość siebie może sprawić, że stajesz się sam dla siebie kimś obcym.

— Kim ja jestem? Kim ja jestem? Kim ja jestem?

Przemywam twarz wodą. Oddycham powoli.

— Nazywam się Tom Hazard. Tom Hazard. Nazywam się Tom Hazard.

Moje nazwisko samo w sobie zawiera zbyt wiele. Zawiera w sobie każdą osobę, która się w ten sposób do mnie zwróciła oraz każdą, której go nie wyjawilem. Zawiera w sobie i moją matkę, i Rose, i Hendricha, i Marion. Ale nie stanowi kotwicy. Kotwica osadza cię w jednym miejscu. A ja w dalszym ciągu nigdzie nie osiadłem. Czy muszę już zawsze żeglować przez życie, czując się tak jak teraz? Każda łódź musi kiedyś zacumować. Musi dotrzeć do portu, przystani, miejsca docelowego, znanego lub nieznanego. Musi *gdzieś* dotrzeć, zatrzymać się tam, w przeciwnym razie jaki byłby cel jej istnienia? Byłem w swoim życiu tak wieloma osobami i odgrywałem tak wiele ról. Nie jestem osobą, a całym tłumem zamkniętym w jednym ciele.

Byłem zarówno osobami, których nienawidziłem, jak i takimi, które podziwiałem. Byłem ekscytujący i nudny, szczęśliwy i nieskończenie zasmucony. Byłem zarówno po jasnej, jak i po ciemnej stronie historii.

Krótko mówiąc, zagubiłem się.

— Wszystko w porządku — mówi moje odbicie. Myślę o Omai. Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz jest. Chciałbym nie pozwolić mu ponownie odejść bez próby nawiązania z nim kontaktu. Samotnie jest na tym świecie bez przyjaciela.

Spowolnione oddechy zmniejszają tempo pracy serca. Wycieram twarz papierowym ręcznikiem.

Wychodzę z toalety i wracam korytarzem do swojej klasy, starając się nie oglądać na mijaną po drodze salę Camille. Próbuję zachować się jak normalny, nie gówniany nauczyciel z, powiedzmy, czterdziestoma latami wspomnień w swym wnętrzu.

Docieram do sali lekcyjnej.

— Przepraszam was za to — próbuję się uśmiechnąć. Próbuję czuć się lekko. Próbuję powiedzieć coś zabawnego. — W młodości zażywałem sporo narkotyków. Co jakiś czas mam przebłyski z tego okresu.

Klasa reaguje śmiechem.

— Nie zażywajcie więc narkotyków. Mogą prowadzić do życia w mentalnym cierpieniu i uczenia historii na starość. W porządku zatem, wracajmy do lekcji...

Tego dnia, podczas popołudniowej przerwy, znowu widzę Camille. Jesteśmy w pokoju nauczycielskim. Mówi coś do innego nauczyciela, Joachima, Austriaka uczącego języka niemieckiego, który gdy odycha przez nos, wydaje gwizdzący dźwięk. Siadam samotnie z kubkiem herbaty. Camille przerywa rozmowę i podchodzi do mnie.

— Witaj, Tom.

— Hej — odpowiadam. Najkrótsze z możliwych słów w towarzystwie najkrótszego z dostępnych uśmiechów.

— Wszystko w porządku? Widziałam cię wcześ-niej, wyglądałeś na nieco... — szuka odpowiedniego słowa — rozemocjonowanego.

— Rozboliła mnie po prostu głowa. Miewam takie bóle.

— Ja też.

Przymyka oczy. Obawiam się, że stara się sobie przypomnieć, skąd mnie zna. Prawdopodobnie dlatego mówię:

— Szczerze mówiąc, nadal boli mnie głowa. Dlatego usiadłem sam.

Wygląda na nieco zranioną i zakłopotaną. Kiwa głową.

— Och, dobrze. Cóż, mam nadzieję, że ci się poprawi. W apteczce jest ibuprofen.

Gdybyś poznała prawdę o mnie, twoje życie znalazłoby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Dzięki, dojdę do siebie.

Odrywam od niej wzrok i czekam, aż sobie pójdzie, co wkrótce czyni. Czuję jej gniew. I swoją winę. Chociaż nie, to nie jest takie proste. Jest coś jeszcze. Rodzaj tęsknoty za domem. Tęsknoty za czymś innym, uczuciem, jakiego nie doświadczałem od długiego czasu. A gdy odchodzi i siada przy stole w odległej części pokoju nauczycielskiego, już się nie uśmiecha ani na mnie nie patrzy, a ja czuję, że coś się skończyło, zanim miałyby szansę się zacząć.

Później tej nocy wracam z Abrahamem z parku Fairfield Road. Zwykle tędy nie chodzę. Unikałem tego miejsca od przyjazdu do Londynu.

Nie chciałem się tutaj zapuszczać, ponieważ właśnie w tym miejscu po raz pierwszy spotkałem Rose. Moje wyprawy na Chapel Street i Well Street okazały się zbyt bolesne. Ale muszę się na to zdobyć. Potrzebuję tego. Potrzebuję „zamknięcia”, jak zwykli mawiać ludzie w dzisiejszych czasach. Chociaż nigdy nie można zamknąć przeszłości. Co najwyżej można spróbować ją zaakceptować. I właśnie to chcę teraz osiągnąć.

Jestem na Fairfield Road, przed rozświetlonym budynkiem dworca autobusowego. Wkładam dłoń do plastikowej torebki, żeby podnieść kupę Abrahama, a następnie umieścić ją w koszu. Historia Londynu mogłaby zostać zobrazowana stałym i konsekwentnym spadkiem widocznych odchodów na ulicach.

— Czy wiesz, Abrahamie, że nie powinieneś załatwiać takich spraw na ulicy? Po to byliśmy w parku. Wiesz... w tym zielonym miejscu z masą trawy.

Ruszamy na dalszy spacer, ale Abraham wciąż udaje ignoranta.

Rozglądam się po okolicy, chciałbym znaleźć to miejsce, w którym zobaczyłem ją po raz pierwszy. Okazuje się to jednak niemożliwe. Nic nie wydaje się znajome. Podobnie jak na Chapel Street i Well Lane nie ma ani jednego budynku spośród tych, które zapamiętałem. Przez okno widzę rząd ludzi biegających na bieżniach. Wszyscy gapią się na coś, co, jak miemam, jest rzędem ekranów telewizorów zawieszonych nad ich głowami. Niektóre z nich są podłączone do słuchawek. Jedna z osób sprawdza coś na swoim iPhone'ie.

Miejsca przestały mieć dla ludzi znaczenie. Miejsca już nie są punktem. W dzisiejszych czasach wszyscy są w nich zaledwie połowicznie obecni. Zawsze przynajmniej jedną nogą znajdują się w cyfrowym świecie.

Staram się określić, gdzie były stoiska z gęsmi, bo tam po raz pierwszy ujrzałem ją, gdy stała z koszem wypełnionym owocami.

I wtedy właśnie znajduję to miejsce.

Przez chwilę stoję w bezruchu z Abrahamem szarpiącym się do przodu i niezwracającym uwagi na jadące po jezdni auta. Ból głowy się potęguje, a dodatkowo odczuwam zawroty, więc muszę oprzeć się o ceglany mur.

— Minutkę, mały — mówię do Abrahama. — Daj mi minutkę.

Wspomnienia przebijają się niczym woda rozbijająca tamę. Moja głowa pulsuje jeszcze bardziej niż podczas wcześniejszego ataku w klasie. Przez moment, w chwilowej ciszy wolnej od

dźwięków ulicznego ruchu, czuję to. Czuję żywą historię tej drogi. Czuję, że pozostałości mojego bólu unoszą się w powietrzu. Czuję się tak słaby jak w 1599 roku, kiedy to zmierzałem na zachód, mającąc i czekając na ocalenie.

1 *Oui* — z francuskiego „tak”. *Un peu vieillot* — z francuskiego „trochę przestarzały”.

2 *C'est drôle. J'ai l'impression de vous reconnaître* — z francuskiego „To dziwne. Czuję się, jakbym cię rozpoznała”.

CZEŚĆ TRZECIA

Rose

Bow, w pobliżu Londynu, rok 1599

Przez trzy dni chodziłem niemal nieprzerwanie. Moje stopy pulsowały z bólu, były czerwone i pokryte bąblami. Oczy miałem suche i ciężkie od zbyt krótkich dawek snu, które udało mi się skraść przy lesistych ścieżkach, na trawiastych obrzeżach traktu. Tak naprawdę jednak niemal wcale nie spałem. Plecy dokuczały mi od ciężaru noszonej lutni. Byłem bardziej głodny niż kiedykolwiek przedtem. Przez ostatnie trzy dni nie miałem w ustach niczego poza jagodami, grzybami i małym kawałkiem brązowego chleba rzuconego mi przez litościwego ziemianina, który mijał mnie konno.

To mi jednak odpowiadało.

W rzeczywistości wszystko to było pożądanym odciążeniem uwagi od intensywności działania mojego umysłu. Owa intensywność zdawała się wydobywać ze mnie, infekując trawę, drzewa, każdy potok oraz strumień. Za każdym razem, gdy zamknąłem oczy, myślałem o mojej matce w jej ostatnim dniu, zawieszona w powietrzu, podczas gdy wiatr targał jej włosy. Jej krzyki wciąż rozbrzmiewały mi w uszach.

Przez ostatnie trzy dni byłem duchem samego siebie. Mogłem powrócić do Edwardstone jako wolny człowiek, ale nie mogłem już żyć w tamtym miejscu. Jego mieszkańcy byli mordercami. Każdy z nich. Wróciłem tylko do chaty, by zabrać stamtąd lutnię matki i poszukać pieniędzy, lecz żadnych nie znalazłem. Potem odszedłem. Po prostu pobiegłem przed siebie. Nie mogłem dalej przebywać w Edwardstone. Nigdy nie chciałem już widzieć takich osób jak Bess Small czy Walter Earnshaw, tak jak i nigdy nie chciałem już przechodzić obok domu Gifforda. Chciałem uciec od tego uczucia przerażenia i straty, jak również pragnąłem uwolnić się od nieskończonej samotności, lecz oczywiście nie było możliwości, by od *tego* uciec.

Teraz jednak zbliżałem się do Londynu. Sepleniący mężczyzna z miejscowości Hackney powiedział mi, że jeśli będę zmierzał dalej do Londynu, minę targ Green Goose znajdujący się przy Fairfield Road w Bow, a tam znajdę żywność i „różne szaleństwa”. Dotarłem na miejsce. Fairfield Road. I był tu początek szaleństwa: krowa stojąca w poprzek drogi przypatrywała mi się, jak gdyby próbowała przekazać coś, co zbyt łatwo zagubiono w relacji między zwierzętami a ludźmi.

Kiedy podjąłem dalszą wędrówkę, minąwszy krowę, po obu stronach traktu zaczęły się pojawiać domostwa. W przeciwieństwie do mijanych wcześniej wiosek domy po prostu ciągnęły się dalej i dalej, w prostej linii, po obu stronach drogi. Nie było między nimi żadnej wolnej przestrzeni. Zrozumiałem, że dotarłem do Londynu. Widziałem przed sobą niezliczony ludzki tłum wypełniający ulicę.

Pamiętałem, jak bardzo matka nienawidziła tłumów, i teraz poczułem w sobie lęk, jakby dotknęły mnie emocje jej ducha.

Kiedy podszedłem bliżej, do moich uszu dobiegł hałas. Konkurencyjne ze sobą krzyki i wołania kupców. Pijacki śmiech osób upojonych ale. Chrząkanie, muczenie i gwizdanie różnych zwierząt.

Kobzy. Śpiew. Burdy.

Nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego. To był chaos. Ta scena tylko wzmogła trawiając mnie gorączkę.

Było tam tak wiele osób. Tak wielu nieznajomych. Śmiech wylatywał z ich ust jak nietoperze z jaskini.

Starsza kobieta o czerwonych policzkach wzdychająca niczym koń pociągowy podczas taszczenia zawieszonych na drewnianym nosidle dwóch koszy wypełnionych rybami i ostrygami.

Dwaj chłopcy walczący w pobliżu prowizorycznego kojca dla świń.

Stragan z ciastami.

Stoisko z pieczywem.

Rzodkiew.

Koronki.

Niemająca więcej niż dziesięć lat dziewczynka dźwigająca kosz pełen wiśni.

Stragany z pieczoną gęsiną po obu stronach drogi.

Salata leżąca w kałuży.

Rozbawiony mężczyzna przechodzący obok mnie i wskazujący na pijaka próbującego wstać na nogi o własnych siłach.

— Dwa kielichy i już nawalony, chłopcze. Zalany w sztok.

Króliki.

Dwie żywe gęsi, syczące na siebie i rozkładające agresywnie skrzydła.

Więcej świń. Więcej krów. Więcej pijaków. I jeszcze więcej pijaków.

Dobrze ubrana niewidoma kobieta, prowadzona przez niechlujnie odzianą sierotę.

Chromi żebracy.

Kobieta podchodząca do nieznajomego, chwytająca go za krocze i składająca pijackim szeptem ofertę.

Gniewny zgiełk wokół straganów z ale.

Mężczyzna zachwalający olbrzyma z „Hol Landii” i krasnoluda z „Zachodniego Kraju”, próbujący zestawić ze sobą te indywidua dla zmaksymalizowania własnych przychodów.

Połykacz mieczy.

Skrzypek. Dudziarz. Flecista, patrzący na mnie podejrzliwie i zręcznymi palcami grający *Trzy kruki*.

I zapachy: pieczone mięso, ale, ser, lawenda, świeże gówno. Zawroty głowy powróciły, ale nie przestałem iść naprzód.

Głód, wystawiony na aromat tak wielu potraw, zamienił się w rodzaj bólu. Podeszedłem do jednego ze straganów oferujących gęsinę. Stałem przy nim, wdychając zapach pieczonego mięsa.

— Ile za tę gęś?

— Trzy szylingi, chłopcze.

Nie miałem trzech szylingów. Prawdę powiedziawszy, nie miałem żadnych pieniędzy.

Zachwiałem się. Nadepnąłem na stopę jakiemuś mężczyźnie.

— Uważaj bardziej, chłopcze!

Chłopiec, chłopiec, chłopiec.

— Tak, jestem chłopcem — wymamrotałem, chociaż osiemnaście lat było w owym czasie uznawane raczej za wiek średni.

I wtedy wszystko zaczęło wirować wokół mnie.

Ogólnie byłem dość silny. Jedną z wielu osobliwości biologii mego ciała było to, że nigdy nie byłem naprawdę chory. Nigdy nie złapałem przeziębienia ani grypy. Przez całe życie ani razu nie wymiotowałem. Nigdy nawet nie doświadczyłem biegunki, która w 1599 roku była, że tak powiem, niewiarygodnie podejrzanie rzadką przypadłością. Wtedy jednak czułem się okropnie. Wcześniej tego dnia spadł deszcz, lecz od tamtej pory wyszło słońce, a niebo stało się ciemnoniebieskie. Był to ten sam, niepomny na ludzkie cierpienie, niebieski, co widziany przeze

mnie nad rzeką Lark. Do i tak wystarczającej intensywności wszystkiego wokół mnie doszła siła panującego w tym dniu skwaru.

— Mamusiu — wymamrotałem w gorączce. — Mamo.

Wydawało mi się, że za chwilę umrę. I w tej konkretnej chwili byłoby mi to zdecydowanie na rękę.

Właśnie wtedy ją ujrzałem.

Stała, dzierżąc kosz owoców i marszcząc brwi na mój widok. Była mniej więcej w moim wieku, lecz w przeciwieństwie do mnie wyglądała jak należy. Miała długie, ciemne włosy, a jej oczy lśniły niczym kamienie w strumieniu.

Podszedłem do niej i wpatrywałem się w śliwki damaszki i węgierki w jej koszu.

Doświadczyłem dziwnego uczucia, zupełnie jakbym nie był w swoim ciele.

— Mogę śliwkę? — spytałem ją.

Miała wyprostowaną dłoń. Pomyślałem o dłoni Manninga i wyciągniętych palcach, które dawały znak, by trzymać matkę pod wodą.

— Ja nie... Ja... Ja...

Ujrzałem tę samą krowę co wcześniej. Szła przez tłum. Zamknąłem oczy, a matka spadła z nieba pod ciężarem drewna. Otworzyłem oczy, a handlarka owoców nadal marszczyła brwi na mój widok, zmieszana lub zażenowana, lub jedno i drugie.

Zachwiałem się nieco, gdy ulica zatoczyła wokół mnie kręgi.

— Uważaj, bo upadniesz — odezwała się handlarka owoców.

To były pierwsze słowa, jakie do mnie powiedziała.

Uważaj, bo upadniesz.

Ale nie byłem w stanie utrzymać się na nogach.

Mogłem zrozumieć, dlaczego matka potrzebowała murów, o które mogłaby się oprzeć po śmierci ojca. Smutek pozbawia cię równowagi.

Wszystko stało się bardzo jasne, a następnie bardzo ciemne.

Następną rzeczą, jakiej byłem świadom — a zdarzyło się chwilę lub pięć minut później — było to, że leżałem plecami do góry, podczas gdy połowa mojej twarzy spoczywała w błotnistej kałuży otoczona damazkami i węgierkami. Większość z nich również leżała w błocie. Niektóre zostały zmiażdżone stopami przechodniów. Jedna śliwka była właśnie jedzona przez psa.

Udało mi się powoli stanąć na nogi.

Tłum chłopców śmiał się i szydził ze mnie.

Dziewczyna opadła na kolana i starała się ocalić jak najwięcej śliwek.

— Przepraszam — powiedziałem.

Podniosłem ubłoconą śliwkę i zamierzałem odejść.

— Hej! Hej, ty! — Chwyciła mnie za ramię. Jej nozdrza rozszerzały się z gniewu. — Patrz, co narobiłeś!

Myślałem, że znowu zemdleję, więc chciałem pójść dalej, by nie narobić więcej szkód.

— Zatrzymaj się! Nie możesz tak po prostu odejść!

Wziąłem kęs ubłoconej śliwki. Szybka niczym ptak wyrwała ją z mojej dłoni i rzuciła na ziemię.

— Pieniądze ze sprzedaży śliwek miały wystarczyć na tydzień życia. Na dobry tydzień. Teraz będę musiała zapłacić panu Sharpe'owi za owoce, których nie sprzedałam.

— Panu Sharpe'owi?

— Tak, więc teraz ty musisz mi zapłacić.

— Nie mam pieniędzy.

Jej twarz była czerwona z powodu upokorzenia i gniewu. Wyglądała na zmieszaną całą tą sytuacją z pieniędzmi. Może dlatego, że mimo mojego brudnego odzienia i w porównaniu z otaczającym nas tłumem byłem całkiem dobrze ubrany. Po przeprowadzce do Anglii nasza sytuacja materialna uległa znacznej zmianie na niekorzyść, ale matka zawsze dbała, żebyśmy wyglądali tak szlachecko, jak tylko mogliśmy sobie na to pozwolić. Było to, co mogę stwierdzić z perspektywy czasu, jedną z wielu przyczyn, dla których nigdy nie dopasowaliśmy się w pełni do obdartych wieśniaków zamieszkujących Edwardstone. Oczywiście, nie był to główny powód.

— To — powiedziała, wskazując zawieszoną na moich plecach lutnię.

— Co?

— Daj mi to. To będzie twoja zapłata.

— Nie.

Podniosła z ziemi kamień.

— Cóż. W takim razie powinnam to zniszczyć tak, jak ty zniszczyłeś zawartość mojego kosza.

Podniosłem ręce.

— Nie! Nie.

Musiała dostrzec w mojej twarzy coś, co skłoniło ją do ponownego rozważenia swojego planu.

— Nie masz na jedzenie, lecz martwi cię, że ktoś mógłby zniszczyć twoją lutnię.

— Należała do mojej matki.

Jej twarz złagodniała, ponownie zagościło na niej zakłopotanie.

— Gdzie jest twoja matka?

— Zmarła trzy dni temu.

Skrzyżowała ręce na piersi. Owszem, wyglądała na osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Mogę ci powiedzieć, że wówczas miała na sobie białą sukienkę, „suknię”, jak zwał ten ubiór zwykły lud, i prostą czerwoną apaszkę, złożoną pod kątem i zawiązaną po lewej stronie szyi. Mogę ci również powiedzieć, że miała dość czystą skórę — co było rzadkością wśród tego tłumu — oraz dwa pieprzyki na prawym policzku, jeden mniejszy od drugiego jak księżyc na orbicie planety, i niewielką konstelację piegów nad nosem. Jej ciemne włosy były w połowie ukryte pod małym, białym czepkiem, a w połowie swobodnie rozpuszczone.

Choć przez większość czasu marszczyła brwi, to w kącikach jej ust wciąż pojawiały się rozbłyśki uśmiechu. Wyglądało to tak, jakby uśmiech był nieustannie gotów do powrotu, lecz jednocześnie pozostawał pod ścisłą kontrolą dezaprobaty rządzącej w jej umyśle. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że była wysoka. Wówczas była ode mnie wyższa o ćwierć głowy, choć później ją przerosłem, gdy już „rozwinąłem się” fizycznie.

— Zmarła?

— Tak.

Kiwnęła głową. Śmierć nie była niczym nadzwyczajnym.

— Co zatem masz?

— Tylko siebie.

— A gdzie mieszkasz?

— Teraz już nigdzie.

— Nie masz domu?

Potrząsnąłem głową i poczułem z tego powodu wstyd.

— Umiesz grać? — spytała, wskazując lutnię zawieszoną na moich plecach.

— Owszem.

— W takim razie — powiedziała stanowczo — pójdziesz ze mną i zamieszkas u nas.

— Nie mogę tego zrobić.

Podeszła do nas dziewczynka z identycznym koszem jak ten, która miała moja rozmówczyni, tyle że niezniszczonym. Stała tuż obok handlarki śliwek. To była handlarka wiśni, którą widziałem wcześniej na ulicy. Wyglądała na dziesięć lub jedenaście lat. Najwyraźniej były siostrami. Miały takie same ciemne włosy i zawzięte spojrzenia. Pijak próbował chwycić jedną wiśnię, ale handlarka wykazała się szybkim refleksem, odsunęła od niego kosz, po czym spiorunowała go wzrokiem.

— To nie jałmużna — powiedziała starsza z dziewczyn. — Będziesz z nami mieszkał tak długo, aż nie splacisz tego, co jesteś mi winny. Za kosz i owoce. Możesz też zapłacić za kwaterunek.

Wzrok młodszej dziewczyny przeszywał mnie niczym strzałę.

— To jest Grace — wyjaśniła starsza z sióstr. — A ja jestem Rose Claybrook.

— Miło cię poznać, Grace.

— Brzmi dziwnie i cuchnie jak koński zad — powiedziała niewzruszona Grace. Następnie zwróciła się do mnie: — Skąd cię tu przywiało?

— Z Suffolk — zaskrzeczałem. I nieomal dodałem: *I z Francji*. Wyczuwałem jednak, że nie muszę tego mówić. Suffolk musiało zabrzmieć dla nich wystarczająco egzotycznie.

Ponownie zakręciło mi się w głowie.

Rose podeszła, by mnie podtrzymać.

— Suffolk? *Przyszedłeś* tu z Suffolk? Zabieramy cię do domu. Grace, pomóż mi go podtrzymać. Daj mu też kilka wiśni. W jego stanie będzie to długa wyprawa.

— Dziękuję — wyszeptalem słabym głosem, koncentrując się na stawianiu jednej stopy za drugą, jakbym ponownie uczył się chodzić. — Dziękuję wam.

I tak właśnie rozpoczęło się moje drugie życie.

Londyn, obecnie

Być może zbyt długo stałem oparty o mur w padającej mżawce. Może nie wolno zatrzymywać się w niepohamowanie oszalałym mieście bez ryzyka, że owo miasto będzie szukało sposobu, by wyrzucić na tobie coś w rodzaju łagodnie bezwiednej zemsty. Nie zauważyłem ich, gdy do mnie podchodzili.

Zatraciłem się w myślach o Rose, czując intensywność historii tego miejsca. Słyszę jednak warczenie Abrahama i gdy podnoszę wzrok, już tam są.

Jest ich pięciu. To chłopcy, mężczyźni lub coś pomiędzy. Zatrzymali się, by na mnie z ciekawością popatrzeć, jakbym był posągiem w muzeum. Jeden z nich, wysoki i z wyrzeźbionymi na siłowni ramionami, podchodzi do mnie. Drugi chłopiec, stojący za nim, mówi:

— Nie świruj, stary. Już późno. Zmywajmy się stąd.

Ten duży jednak się nigdzie nie wybiera. Wyjmuje nóż. Ostrze lśni w żółtym świetle ulicznych latarni. Spodziewa się ujrzeć w moich oczach strach, lecz nie uda mu się go wywołać. Gdy docierasz do punktu, przed którym przydarzyło ci się wszystko, co tylko możliwe, nic już nie jest w stanie cię zaskoczyć.

Abraham warczy i obnaża kły.

— Poszczuj mnie psem, a mu się oberwie... Telefon i portfel. Potem sobie pójdziemy.

— Nie chcesz tego zrobić.

Chłopak — bo uświadamiam sobie, że pomimo wzrostu to nadal *jest* chłopak — kręci głową.

— Cicho. Telefon i portfel. Telefon i portfel teraz. Spiesz się nam. — Rozgląda się. Odgłosy samochodów rozchlapujących kałuże. Niezatrzymujących się.

Wtedy właśnie rozpoznaje jednego z chłopców. Tego najmłodszego. Twarz ma osłoniętą kapturem. Oczy szeroko otwarte ze strachu. Przeskakuje z nogi na nogę, nerwowo ucieka wzrokiem, bezdźwięcznie wypowiada w panice jakieś słowa, wyciąga telefon z kieszeni, chowa go, po czym znowu wyciąga. To chłopak, którego dzisiaj widziałem na swoich zajęciach. Anton.

— Zostaw go — mówi. Jego głos jest przytłumiony i tak wycofany, że serce mi się kraje. — Daj spokój. Chodźmy już.

Zdaję sobie sprawę, że czas jest obecnie bronią. Nic nie osłabia ludzi tak jak konieczność czekania. Na ulicy. Z nożem w dłoni.

— Jest mały — mówię, mając na myśli nóż.

— Co?

— Wszystko z czasem robi się coraz mniejsze. Komputery, telefony, jabłka, noże, dusze.

— Przestań gadać, człowieku, albo zamilknieš na wieki.

— Kiedyś jabłka były *gigantyczne*. Gdybyś tylko je zobaczył. Wyglądały jak zielone dynie.

— Weź się, kurwa, zamknij. Jesteś już trupem.

— Zabiłeś już kogoś?

— Kurwa, człowieku. Telefon i portfel. Albo poderżnę ci gardło.

— Ja zabiłem — mówię zgodnie z prawdą. — To okropne doświadczenie. Nie chcesz tego poczuć. Wydaje ci się, że ty też stałeś się martwy. Jakby śmierć innej osoby zamieszkała w tobie. To doprowadza cię do obłądzenia. I później to nosisz, nosisz swoje ofiary w sobie, już na zawsze...

— Przestań gadać.

Nasze spojrzenia się krzyżują. Napieram na niego niewidzialną mocą stuleci.

Abraham znowu warczy. Warkot przechodzi w szcęk.

— Zasadniczo jest on wilkiem. Bardzo opiekuńczym. Jeśli mnie dźgniesz, to lepiej upewnij się, że nie wypuszczę z ręki smyczy.

Nóż nieco drży w rytm strachu chłopaka. Może właśnie osiągnąłem cel.

To wstyd z powodu własnej delikatności sprawia, że opuszcza ramię z nożem.

— Pieprzyć to, człowieku — mówi.

Odchodzi, nie odwracając się do mnie plecami, a im jest ode mnie dalej, tym porusza się szybciej. Koledzy idą w ślad za nim. Anton rzuca na mnie po raz ostatni okiem, a ja uśmiecham się, jeszcze bardziej go dezorientując. Rozumiem to. Sposób, w jaki można pogubić się, dryfując ku czemuś, czego za wszelką cenę chciałoby się uniknąć.

Hackney, w pobliżu Londynu, rok 1599

Mieszkały za Bow, w małym, ciasnym domku przy Well Lane w niewielkim miasteczku o nazwie Hackney. Było tam w owym czasie wiele pól truskawek i sadów owocowych. W porównaniu z większością terenów w Londynie i okolicach Hackney pachniało dość nieszkodliwie i cechowało się zdrowym powietrzem, niemniej znacząco różniło się od wiejskiego krajobrazu znanego mi z Suffolk. Jedną z różnic było to, że mieli tam teatr. Co prawda został on rozmontowany na kilka miesięcy przed moim przybyciem, lecz Rose zapewniała, że było tam cudownie, a na scenie występował zarówno Richard Burbage we własnej osobie, jak i niedźwiedź Lord Brown.

Nie wiem, czy to z powodu obecności teatru, ale mieszkańcy Hackney wydawali się

ludźmi o bardziej otwartych umysłach niż ci z Edwardstone. Nie było tam wyczuwalnego strachu przed obcym. Cóż, z wyjątkiem pani nazywanej Staruszką Adams, która zwykła pluć na mijane osoby i krzyczeć do nich „Gównozad” lub „Jesteś chodzącym piekielnym smrodem”, inni zaś mieszkańcy ją wyśmiewali. A nawet w jej zachowaniu wyczuwało się nie tyle strach przed kimś odstającym od reszty społeczności, ile nienawiść, którą darzyła po równo wszystkich, nie próbując nikogo dyskryminować.

— Kiedyś splunęła na moje jabłka, a Grace poszła za nią jak dziki kot — powiedziała Rose, kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się, że cuchnę piekłem, co miało miejsce podczas naszej wędrowki do ich domostwa.

Ich chata była owocem romansu drewna z tynkiem i stała w pobliżu małego kamiennego muru, który poszczyścić się mógł własną, nadmiernie ambitną nazwą — Wielki Kamienny Mur. O rzut kamieniem od tego domostwa płynął skromny ciek wodny znany jako Wielkie Końskie Poidło. Konie, o których mowa, można było znaleźć przy stodole zwanej — wcale nie żartuję — Wielką Stodołą.

Za tą stodołą stała kolejna — zwana, niestety, Owsianą Stodołą — a dalej ciągnęły się sady owocowe, z ciasno rosnącymi drzewami posadzonymi na całych hektarach gruntu. Dalej był kamienny krąg studni ukryty pośród buków. Dla kogoś z XXI wieku wyglądałoby to dosyć rustykalnie, ale wówczas otoczone murem tereny i blis-kość sadów sprawiały wrażenie bardzo nowoczesnego miejsca.

Rose i Grace miały umowę z jednym z lokalnych sadowników, dzięki czemu zbierały i sprzedawały owoce sezonowe — węgierki, śliwki lubaszki i czereśnie, jak również jabłka, renklody i agrest. Następnie dzieliły zysk na nierówne części, z czego większość trafiała do pana Sharpe'a, „sknerowatego skąpca”, który uprawiał owoce.

Ich chata miała więcej okien, niż widziałem w domostwach od dłuższego czasu. Nie było to nic niezwykłego w porównaniu z tym, co znałem z Francji, lecz była to zdecydowanie bardziej nowoczesna kwatera niż ta znana mi z Edwardstone.

— Zatem jak ci na imię? — spytała Rose. Miała szczere spojrzenie. Spojrzenie dorastającej osoby, która nie ma czasu na bzdury.

— Tom — odparłem zgodnie z prawdą. Wtedy jednak zmartwiłem się prawdą na swój temat i tym, jak mogła się ona okazać niebezpieczna. Po raz pierwszy i bynajmniej nie ostatni skłamałem więc na temat swojego nazwiska. — Tom *Smith*.

— Ile masz lat, Tomie Smith?

W tej kwestii również musiałem zachować ostrożność. Prawdziwy wiek — osiemnaście lat — zapewne spotkałby się z niedowierzaniem. Gdyby jednak mi uwierzyła, ściągnęłaby na siebie niebezpieczeństwo. A przecież nie mogłem jej po prostu podać wieku, jaki wydawałby jej się najbardziej prawdopodobny, czyli trzynastu lub czternastu lat.

— A ty ile masz lat?

Zaśmiała się.

— Spytałam pierwsza.

— Ja mam szesnaście.

Nie mrugnęła nawet okiem, słysząc moje kłamstwo. Przypuszczam, że miałem szczęście, iż moja przypadłość ujawniła się w momencie, gdy byłem wysoki i miałem szerokie ramiona.

— Twoje oczy wyglądają starzej — odparła tylko.

Poczułem cudowny komfort, ponieważ wszyscy w Edwardstone byli przekonani, że przestałem się zmieniać jako wczesny nastolatek.

— Ja mam osiemnaście, a Grace dziesięć — rzekła.

To było w porządku. Cała ta rozmowa była w porządku. Ale nie chciałem ujawniać już

więcej szczegółów. Nie mogłem. Byłem niebezpieczną tajemnicą. Lepiej było dla nich, by nie wiedziały o mnie nic więcej.

Dały mi posiłek składający się z chleba, zupy z pasternaku i wiśni.

Uśmiech Rose był niczym powiew ciepłego powietrza.

— Szkoda, że nie przybyłeś wczoraj. Miałyśmy gołębia w cieście. Grace doskonale poluje na gołębie.

Grace wykonała kilka gestów symbolizujących polowanie na gołębia i skręcanie mu karku.

Wtedy, nieuniknione, padło kolejne pytanie.

— Dlaczego tutaj przybyłeś? — spytała Rose.

— Zaprosiłaś mnie.

— Nie chodzi mi o *tutaj*. Mam na myśli Londyn. Czemu tu przybyłeś, i to sam? Przed czym uciekasz?

— Przed Suffolk. Gdybyś tam była, nawet byś o to nie spytała. Jest pełne głupich, przesądnych, nienawistnych ludzi. Bo widzisz, pochodziliśmy z Francji i nie mogliśmy się tam przystosować.

— My?

— Mam na myśli siebie i matkę, gdy jeszcze żyła.

— Co jej się stało?

Przypatrywałem się Rose.

— Są pewne sprawy, o których wolałbym nie rozmawiać.

Grace zwróciła uwagę na rękę, w której trzymałem łyżkę.

— On drży.

— I siedzi przy naszym stole — odparła Rose. — Możesz zwracać się więc bezpośrednio do niego.

Następnie jej oczy na powrót skierowały się na mnie.

— Nie chciałam sprawić ci przykrości.

— Gdybym wiedział, że ceną za to jedzenie i dach nad głową jest mówienie o bolesnych sprawach, wolałbym spać na zewnątrz w rowie.

Oczy Rose zapłonęły gniewem.

— Przekonasz się, że Hackney ma do zaoferowania wiele znakomitych rowów.

Odłożyłem łyżkę i wstałem.

— Czy w Suffolk nigdy nie żartują?

— Już mówiłem, że pochodzę z Francji. I nie jestem w nastroju do żartów.

— Jesteś skwaśniały, prawda? Skwaśniały niczym zsiadłe mleko.

Grace zaczęła udawać, że węszy niczym pies.

— On nawet kwaśno pachnie.

Rose spojrzała na mnie surowo.

— Usiądź, Tom. Nie masz dokąd pójść. A poza tym musisz tu zostać, dopóki nie zapłacisz nam tego, co jesteś winien.

Miałem mętlik w głowie. Po trzech dniach wędrówki i smutku po stracie matki w moim wnętrzu nie pozostało już wiele silnych emocji. Nie złościłem się na te siostry, a wręcz byłem im wdzięczny, ale wdzięczność pochłonął ból, który potęgowało to, że gdy tylko zamknąłem oczy, widziałem ręce Manninga.

— Nie ty jeden na tym świecie nosisz smutki. Nie zbieraj ich tak, jakby były cenne. Zawsze jest ich mnóstwo wokół nas.

— Przepraszam — odrzekłem.

Rose kiwnęła głową.

— W porządku. Jesteś zmęczony i nie tylko to ci doskwiera. Będziesz spał w pokoju chłopców.

— Pokoju chłopców?

Wyjaśniła, że tak nazywają pokój, w którym mieszkali dwaj ich bracia — Nat i Rowland — ale obydwaj już nie żyli. Nat zmarł na tyfus, gdy miał dwanaście lat, a biedny Rowland umarł z powodu tajemniczego kaszlu jeszcze przed pierwszymi urodzinami. Skłoniło to je do wyjaśnienia, że ich rodzice również nie żyli: matka zmarła z powodu gorączki połogowej (powszechnej przypadłości w owych czasach) miesiąc po urodzeniu Rowlanda, co tłumaczyło słabowość dziecka, a ich ojca zabrała ospa. Dziewczyny zdawały się bardzo rzeczowo podchodzić do swojej straty, choć Grace najwyraźniej często budziła się w środku nocy, bo dręczyły ją koszmary, w których pojawiał się mały Rowland.

— Sam więc widzisz — powiedziała Rose, zawstydzając mnie. — Wokół jest cała masa smutku.

Zabrała mnie do wspomnianego pokoju. Było tam małe okno, mniej więcej wielkości przenośnego telewizora z 1980 roku. (Gdy w owym roku mieszkałem w hotelu w São Paulo, wiele czasu spędziłem, oglądając telewizję. Zawsze wtedy myślałem o tym małym okienku w Hackney). Pokój był niewielki i skromnie urządzony, ale na łóżku leżały koce. Choć materac wypchano słomą, byłem tak zmęczony, że królewskie łoże z baldachimem nie wydawałoby mi się bardziej komfortowe.

Padłem na łóżko, a Rose zdjęła mi buty, po czym spojrzała na mnie, a cała wcześniejsza macierzyńska surowość odeszła w zapomnienie. Powiedziała cicho, zupełnie jakby przemawiała wprost do mojej duszy:

— Wszystko będzie dobrze, Tom. Teraz odpocznij.

Następnym, co ujrzałem, była głucha noc, a ja siedziałem w łóżku przebudzony własnym krzykiem, podczas gdy za oknem świecił opasły księżyc w pełni. Całe moje ciało drżało i ledwo byłem w stanie złapać oddech. Przerazenie napływało do mnie z każdej strony.

Rose trzymała mnie za rękę. Stojąca za nią w drzwiach Grace ziewała zaspana.

— Już wszystko dobrze, Tom.

— Nigdy nie będzie dobrze — odparłem na wpół świadomie.

— Sny nie są po to, by w nie wierzyć. Zwłaszcza te złe.

Nie powiedziałem jej, że mój sen był tak naprawdę wspomnieniem. Zamiast tego próbowałem wyprzeć rzeczywistość, jaką znałem, i wyśnić sobie całkiem nową, w której nazywam się Tom Smith. Rose odesłała Grace do łóżka i została u mego boku. Pochyliła się ku mnie i pocałowała w usta. To było tylko muśnięcie wargami, ale żadne muśnięcie wargami czyichś warg nie jest całkiem niewinne.

— A to za co? — spytałem.

Mogłem tylko dostrzec jej uśmiech w świetle księżyca. Nie był on zalotny, a jasny i rzeczowy.

— Dostałeś to, żeby zająć czymś innym swój umysł.

— Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek spotkałem kogoś takiego jak ty — powiedziałem.

— To dobrze. Jaki byłby sens mojego istnienia, gdybym miała swój duplikat?

W jej oku zalśniła łza.

— Co się stało?

— To w tym łóżku spał Nat. To takie dziwne. Przestrzeń, którą niegdyś zajmował, znowu została wypełniona. Tylko tyle. Był tutaj, a teraz już go nie ma.

Widziałem, że została zraniona i przez chwilę czułem się samolubnie ze swoim smutkiem.

— Mogę spać gdzie indziej. Mogę się przespać na podłodze.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

— Nie, nie.

Na śniadanie był zytmi chleb i mała szklanka ale. Grace też dostała trochę ale. To był jedyny napój, na jaki ludzie mogli sobie pozwolić, by jednocześnie mieć pewność, że ich nie zabije. W przeciwieństwie do wody, której picie przypominało rosyjską ruletkę.

— To jest mój dom — wyjaśniła Rose — więc dierzawa przeszła na mnie po śmierci rodziców. Dopóki tutaj mieszkasz, musisz żyć według moich zasad. A pierwszą zasadą jest to, że zapłacisz nam to, co jesteś winny, a potem możesz płacić dwa szylingi tygodniowo tak długo, jak tu zostaniesz. I pomagasz nam czerpać wodę.

Tak długo, jak tu zostaniesz.

Pozostanie na nieokreślony czas wydawało się naprawdę niezłą perspektywą. Ta chata była wystarczająco domowa. Było w niej sucho, czysto i przyjemnie, a w powietrzu unosił się aromat lawendy. Bukiet lawendy, o której wspomniałem, tkwił w prostym wazonie. Był tam kominek na czas chłódów. Chata była trochę większa niż ta w Edwardstone, z oddzielnymi pokojami, ale włożono tyle samo wysiłku w to, by wszystko było czyste, zadbane i miło pachniało.

A jednocześnie propozycja pozostania w tym miejscu na nieokreślony czas — jeśli było to tym, czym miało być — budziła we mnie smutek.

Nawet wtedy miałem poczucie, że nic już nie może być w moim życiu trwałe.

Widzisz, w owej chwili nie wiedziałem, że cokolwiek u mnie ulegnie jeszcze zmianie. Nie miałem pojęcia o swojej przypadłości. Nie miała ona żadnej nazwy. A gdyby nawet wówczas ją miała, nie znałbym jej. Sądziłem, że przyjdzie mi pozostać w tym samym ciele już na zawsze. Mógłbyś pomyśleć, że taka perspektywa wywoływała u mnie radość, lecz tak nie było. Ta przypadłość zdążyła już spowodować śmierć mojej matki. Wiedziałem, że nie będę w stanie opowiedzieć o tym Rose ani jej siostrze bez narażania ich na podobne ryzyko. W owych czasach sprawy szybko się zmieniały, szczególnie jeśli się było młodym. Twarze ludzi zmieniały się niemal wraz z nastającymi po sobie porami roku.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Twój pobyt tutaj dobrze wpłynie na Grace. Bardzo tęskni za braćmi, zresztą nie tylko ona. Ale jeśli spowodujesz jakąkolwiek szkodę, jeśli narazisz na szwank naszą reputację lub jeśli odmówisz płacenia — przerwała na moment, jakby potrzebowała czasu na przełknięcie wiśni — zostaniesz wywalony na zbity pysk.

— Do rowu?

— I to z łajnem — powiedziała mała Grace, kończąc swoje ale.

— Wybacz, Tom. Grace_ to jej imię, a nie cecha.

— Łajno to ładne słowo — odparłem dyplomatycznie. — Trafia w punkt.

— W tym domu nie ma dam — odrzekła Rose.

— A ja nie jestem lordem. — Nie była to odpowiednia chwila, by informować je, że jednak jestem, tak naprawdę, członkiem francuskiej arystokracji.

Rose westchnęła. Pamiętam jej westchnienia. Rzadko były smutne. Raczej wyrażały coś takiego: *Tak się właśnie sprawy mają i tak miało być, a nam w pełni to odpowiada.*

— Dobrze. Zatem dziś mamy nowy dzień.

Polubiłem obie. Siostry były pocieszeniem wśród cichego zawodzenia smutku.

Chciałem z nimi zostać. Nie zamierzałem jednak narażać ich na niebezpieczeństwo. Nie

mogły się zbytnio mną interesować. Była to dla mnie nadrzędna kwestia.

— Moja matka spadła z konia — powiedziałem zupełnie nie na temat. — Tak właśnie zmarła.

— To smutne — stwierdziła Grace.

— Tak — potwierdziła Rose. — Bardzo smutne.

— To o tym czasami śnię.

Kiwnęła głową. Być może miała do mnie pytania, ale zachowała je dla siebie.

— Powinieneś chyba dzisiaj odpocząć. Odzyskać dobry nastrój. My idziemy do sadu, a ty zostań w chacie. Jutro możesz pójść i grać na lutni, by zarobić dla nas pieniądze.

— Nie, nie, spłacę mój dług. Już dziś zarobię trochę pieniędzy. Masz rację, wyjdę na ulicę i będę grał.

— Na dowolną ulicę? — spytała z rozbawieniem Grace.

— Na ruchliwą.

Rose pokręciła głową.

— Musisz być w Londynie. Na południe od murów miejskich.

Wskazała, gdzie mam się udać, i pokazała mi drogę.

— Chłopak grający na lutni! Oni cię ozłocą.

— Tak sądzisz?

— Spójrz, słońce wyszło. Będą niezłe tłumy. To dla ciebie okazja, byś zajął czymś swoje myśli.

Promienie słońca wpadły przez okno i oświetliły twarz Rose, malując na złoto jej brązowe włosy. Po raz pierwszy od czterech dni moja dusza lub to, co za duszę uważałem, przez moment poczuła coś poza nieznośnym cierpieniem.

Mała siostra Rose podniosła kosz, otworzyła drzwi, a dzień wpadł do środka, tworząc na drewnianej podłodze pochyły prostokąt światła.

— A zatem — powiedziałem, jakbym coś jeszcze chciał dodać.

Rose zauważyła moje spojrzenie, uśmiechnęła się i skinęła głową, jakbym rzeczywiście jeszcze coś powiedział.

Londyn, obecnie

Jest trzecia nad ranem.

Naprawdę powinienem już być w łóżku. Za cztery godziny będę musiał wstać i iść do pracy, do szkoły.

Patrząc realnie, nie ma jednak szans na to, by udało mi się zasnąć. Wyłączam oglądany na komputerze program dokumentalny wyprodukowany przez Discovery Channel na temat pięćsetsiedmioletniego małża Ming.

Siedzę przez chwilę i gapię się w monitor. Zapewne nie wpłynie to dobrze na moje bóle głowy. Teraz jednak ogarnia mnie rezygnacja. To klątwa alb. Rodzaj choroby wysokościowej, ale związanej z czasem, a nie z wysokością. Rywalizujące ze sobą wspomnienia, płatanina czasu i wielowiekowy stres sprawiają, że bóle głowy są nieuniknione.

Oczywiście, sprawy nie poprawia niedawne grożenie mi nożem. Podobnie jak i rozpoznanie Antona pośród chłopców, którzy mnie niepokoiili.

Przeglądam strony BBC i „Guardiana”. Czytam kilka artykułów o pogarszających się relacjach między USA a Chinami. Wszyscy w komentarzach przewidują apokalipsę. To jest główne pocieszenie z przeżycia czterystu trzydziestu dziewięciu lat. Rozumiesz całkiem nieźle, że najważniejsza lekcja historii jest następująca: ludzie nie uczą się z historii. XXI wiek mógłby

okazać się złą wersją XX wieku, ale co możemy zrobić? Ludzkie umysły na całym świecie wypełniają utopie, które nigdy się nie zazębiają. To przepis na katastrofę, który jest, niestety, znajomy. Empatia słabnie tak samo jak wiele razy w przeszłości. A pokój stanowi niezwykle kruchy stan i zawsze tak było.

Po przeczytaniu wiadomości wchodzę na Twittera. Nie mam tam konta, ale uważam go za interesujący portal — wszystkie te różne głosy, klótnie, arogancja, przekonanie o własnej nieomyślności, ignorancja, sporadyczne, ale wspaniałe współczucie i obserwowanie ewolucji języka zmierzającego w kierunku nowego rodzaju hieroglifów.

Następnie robię to co zawsze i wpisuję nazwiska Marion Hazard oraz Marion Claybrook w Google, ale nie trafiam na nic nowego. Jeśli wciąż żyje, używa innego nazwiska.

Następnie przenoszę się na Facebook.

Widzę wpis Camille.

„Życie jest pokręcone”.

To wszystko, co ma do powiedzenia. Wpis polubiło sześć osób. Czuję się winny z powodu tego, jak bardzo byłem wobec niej nieuprzejmy. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie mi dane coś na kształt normalnego życia. Patrząc na Camille, czuję, że tego bym chciał. Jest w niej jakaś intensywność, którą wyczuwam i z którą czuję więź. Wyobrażam sobie siedzenie obok niej na ławce i wspólne obserwowanie Abrahama. Siedzenie w komfortowej ciszy charakterystycznej dla par. Nie pragnąłem tego od całych stuleci.

Naprawdę nie powinienem niczego robić. Klikam jednak „Lubię to” na jej wpisie i dodaję komentarz: *C'est vrai*². Chwilę po tym widzę obok niego moje imię i nazwisko i myślę, że powinienem go usunąć.

Nie robię tego jednak. Zostawiam komentarz. A następnie kładę się do łóżka, w którym już śpi Abraham. Piszczy przez sen.

Na przestrzeni wielu lat przekonałem się, że smutek wspomnień waży więcej i trwa dłużej niż momenty szczęścia. Dlatego przez jakąś brutalną emocjonalną matematykę zdecydowałem, że lepiej nie szukać miłości, towarzystwa, a nawet przyjaźni. Być małą wyspą w archipelagu alb, odłączoną od kontynentu ludzkości. Wierzyłem, że Hendrich ma rację. Najlepiej nie wpaść w sidła miłości.

Ale ostatnio, teraz, zacząłem czuć, że nie można łączyć matematyki z emocjami. Chroniąc się przed zranieniem, można bowiem stworzyć nowy, bardziej subtelny rodzaj bólu. To dylemat. Lecz nie jeden z tych, które zdołałem rozwiązać tej nocy.

Życie jest pokręcone.

Jak sądzę, tyle wszyscy wiemy. Myśl Camille odtwarza się raz za razem w moim umyśle, podczas gdy sam zapadam powoli w sen.

Londyn, rok 1599

Bankside w tamtych czasach było zbudowane z wolności. Wolność była wyznaczonym obszarem poza murami miasta, w którym nie obowiązywały normalne prawa. Tak naprawdę nie było tu żadnych praw. Wszystko było dozwolone. Można było działać w każdej branży. Wszelka rozrywka była dozwolona, niezależnie od tego, jak kiepską by się cieszyła reputacją. Prostyucja. Walki psów z niedźwiedziem. Uliczna sztuka. *Teatr*. Cokolwiek byś wymyślił, to tam funkcjonowało.

Był to zasadniczo obszar wolności. Pierwszą prawdą, jaką odkryłem o wolności, było to, że cuchnęła gównem. Oczywiście, wówczas wszędzie w Londynie lub poza nim śmierdziało gównem. Ale Bankside było w tym względzie najbardziej gówniane. Działo się tak za sprawą

licznie działających na tym obszarze garbarni. W najbliższym sąsiedztwie mostu, tuż po jego przekroczeniu, natykałeś się na pięć pierwszych pracowni garbarskich. Później dowiedziałem się, że powodem wydobywającego się z nich fetoru było to, że garbarze namaczali skóry w kale.

Kiedy przeszedłem dalej, ten zapach połączył się z innymi. Z odorem tłuszczu i kości zwierząt bijącym z wyt-wórni kleju i mydła. I nieświeżym potem tłumy. To był zupełnie nowy świat smrodu.

Przeszedłem obok niedźwiedziego ogrodu — zwanego z nigdy niepoznanego powodu Ogrodem Paryskim — i zobaczyłem olbrzymiego, zakutego w łańcuchy niedźwiedzia o czarnym futrze. Wyglądał na najsmutniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem. Ranny i zaniedbany, najwyraźniej zaakceptował swój los. Ów niedźwiedź był sławny i stanowił główną atrakcję -Bankside. Nadali mu imię Sackerson. W kolejnych tygodniach i miesiącach miałem okazję wiele razy zobaczyć lub usłyszeć go, gdy walczył, z zaczerwienionymi oczami, drapiąc rzucające się do jego gardła psy. Z jego pyska wylewała się wściekłość, podczas gdy rozemocjonowany tłum ryczał trawiony gorączką okrutnej ekscytacji. Moment walki ze śmiercią był jedynym okresem, w którym niedźwiedź wydawał się żywy. Często myślałem o tym niedźwiedziu i o jego bezcelowej woli przetrwania, która brała górę niezależnie od tego, jak wiele okrucieństwa i bólu los mu zgotował.

Pierwszego dnia poszedłem zgodnie ze wskazówkami Rose, ale nie bardzo czułem, że trafiłem we właściwe miejsce. Było ono wystarczająco daleko od hałasu mydlarzy, choć nie tak daleko, jakbym chciał, od cuchnących łajnem garbarni. Wokół kręciło się kilka osób. Była tam kobieta w zieleni z poczerńniętymi zębami i ordynarnym makijażem. Wpatrywała się we mnie z ciekawością, opierając się o kamienną ścianę budynku, na którym namalowano kapelusz kardynalski. Był to, jak przypuszczałem, jeden z wielu okolicznych domów publicznych. Jak się miało okazać, ruch w tym interesie panował o każdej porze dnia. Był tam również zajazd. „Tawerna Królowej”. To jeden ze starszych budynków w okolicy, a jego klientela znajdowała się na krańcu skali, jeśli chodzi o brud.

Przed pubem i burdelem znajdowała się otwarta przestrzeń, prostokąt trawy, po którym szwendali się przechodnie. Postanowiłem stanąć właśnie w tym miejscu.

Wziąłem głęboki oddech.

Następnie zacząłem grać.

W muzyce nie było wstydu. Nie było nic wstydliwego również w jej *graniu*. Sama królowa Elżbieta mogła brzdąkać na jednym lub dwóch dziwnych instrumentach. Lecz granie muzyki w miejscach publicznych — zarówno we Francji, jak i w Anglii — nie było wskazane, jeśli miałeś szlacheckie pochodzenie. A z pewnością nie robiłbyś tego na ulicy. Ponieważ syn hrabiego i hrabiny, grający muzykę w najpodlejszej części Bankside, przynosiłby hańbę.

Lecz grałem mimo to.

Wykonywałem francuskie pieśni, których nauczyła mnie matka, a ludzie chodzili wokół mnie, od czasu do czasu unosząc na mój widok brwi. Ale w ciągu dnia moja pewność siebie wzrosła i przerzuciłem się na angielskie piosenki i ballady, czym szybko zdobyłem publiczność. Raz lub dwa ktoś z widowni nawet rzucił mi pensa. Od innych ulicznych artystów dowiedziałem się, że istotne jest regularne opróżnianie kapelusza z datków. Zasada ta pozostała niezmienna do dziś. Tamtego dnia nie miałem kapelusza, dlatego co kilka piosenek przeskakiwałem na jednej nodze wokół zebranej publiczności, trzymając w dłoni swój lewy but, co, jak sądzę, bawiło przechodniów w takim samym stopniu jak moja muzyka. Publikę stanowiła dziwna i onieśmielająca mieszanka przewoźników łodzią, straganiarzy, pijaków, prostytutek i bywalców teatrów. Połowa z nich zmierzała na południe, idąc od strony kamienic, a druga połowa — ta bardziej skłonna do rozstawania się z pensówkami — przybywała zza mostu. Być może

z powodu gapiącego się na mnie tłumu okazało się, że najlepiej mi się gra z zamkniętymi oczami. Pod koniec pierwszego dnia uzbierałem wystarczająco dużo pieniędzy, by spłacić zniszczony kosz owoców. Przed końcem tygodnia kupiłem nowy kosz.

— Nie zapędzaj się, Tomie Smith — powiedziała, tłumiąc śmiech Rose. Jadła właśnie gorącego królika w cieście, którego kupiłem, wracając do domu. — Nadal musisz nam płacić czynsz.

— Czy możemy jeść królika codziennie? — spytała Grace z twarzą pokrytą okruszkami ciasta. — To o wiele lepsze niż gulasz i gówniany pasternak.

— Pasternak to nie kupa, Grace.

— Choć bywa ona od niego lepsza — powiedziałem, by po chwili wygłosić mądrość dnia. — Nikt nigdy nie przyłapał królowej ani szlachcica na jedzeniu pasternaku.

Rose przewróciła oczami.

— Z racji tego, że nie jesteśmy szlachtą, ten problem nas nie dotyczy.

Dla nich byłem tylko Tomem Smithem z Suffolk i tak musiało zostać. Poza tym wiedziałem, że nigdy nie będę hrabią. Nigdy nie miałem znowu zamieszkać w pięknym domu. Nigdy nie miałem znowu korzystać z pomocy służby. Moi rodzice nie żyli. Francja była dla mnie wrogo nastawionym światem. Byłem artystą ulicznym w Londynie. Wszystko, co wykraczałoby ponad ten stan, prowadziłoby do kłopotów.

W kolejny wtorek opłaciłem pierwsze dwa tygodnie noclegów. Od tej chwili wszyscy w chacie byliśmy sobie równi, a ja stałem się częścią rodziny. Krótko mówiąc, czułem się, jakbym tu przynależał, i starałem się zignorować przyszłość i problemy, które mogą się pojawić. Śpiewając madrygały dla wielkiego tłumu przed teatrem lub patrząc, jak policzki Rose rozkwitają kolorem, gdy się śmiała, byłem w stanie sobie wyobrazić, że jestem szczęśliwy.

Grace chciała nauczyć się grać na lutni, więc pewnej nocy zacząłem udzielać jej lekcji. Jej ręka wisiała nad strunami niczym pajak zwieszający się z dachu. Przetawiałem ją tak, żeby palce były równomiernie rozłożone na całej długości instrumentu.

Chciała nauczyć się grać *Greensleeves* i *The Sweet and Merry Month of May*, ponieważ były to jej dwa ulubione utwory. Moje szczególne zmartwienie wywoływała nauka pierwszego z nich. Podobnie jak większość popularnej muzyki na przestrzeni dziejów, *Greensleeves* było zdecydowanie nieodpowiednim utworem dla dziecka. W tamtym czasie byłem wystarczająco mądry, aby wiedzieć, że określenie Lady Greensleeves było zwyczajową zniewagą stosowaną wobec rozwiązłych kobiet. Rękawy tej kobiety były zielone z powodu seksu uprawianego poza domem. Grace była jednak nieugięta, a ja nie chciałem zniszczyć jej niewinności. Próbuując ją chronić, zobowiązałem się do prowadzenia lekcji. Była dość trudną uczennicą, która chciała biegać, zanim nauczyła się chodzić, lecz żadne z nas się nie poddawało. Graliśmy na świeżym powietrzu w samym środku lata, a ja odwróciłem się w stronę Rose, która z uśmiechem obserwowała nas przez okno.

Pewnego wieczoru, gdzieś na początku jesieni, Rose zaszła do mojego pokoju. Wyglądała na zmęczoną. Coś się w niej zmieniło. Była nieco przygaszona i zagubiona.

— Co się stało?

— Milion drobnostek bez znaczenia.

Czułem, że jest coś, co chciała mi powiedzieć, ale się na to nie zdobyła.

Usiadła na moim łóżku i spytała, czy mógłbym ją również nauczyć grać na lutni. Powiedziała, że jeśli nauczę ją grać, obniży mi czynsz o pięć pensów. Zgodziłem się. Nie tyle ze względu na czynsz, ile dlatego, że z zadowoleniem przyjąłem usprawiedliwienie dla siedzenia obok niej choćby przez chwilę.

Zyskała kolejny mały pieprzyk, wyglądający zupełnie jak wcześniejsze dwa na policzku,

tym razem widniejący jednak między kciukiem a palcem wskazującym. Jej dłonie były nieco poplamione resztkami wiśni, które zjadła. Wyobraziłem sobie, że trzymam ją za rękę. Cóż za dziecinna myśl! Może mój mózg był jeszcze tak młody jak twarz.

— To piękna lutnia. Nigdy wcześniej takiej nie widziałam. Cała w ozdobach — powiedziała.

— Matka otrzymała ją od... przyjaciela. Widzisz to tutaj — wskazałem na ręcznie zdobiony otwór rezonansowy pod strunami. — Nazywają to różą³.

— Nie ma w niej nic poza powietrzem.

Zaśmiałem się.

— Ale jest najważniejszą częścią.

Nakłoniłem ją, by zagrała na dwóch strunach, ruszając palcami tam i z powrotem, muskając struny coraz szybciej, wraz z przyspieszającym rytmem pracy mojego serca. Dotknąłem jej ramienia. Zamknąłem oczy i ogarnął mnie strach przed tym, jak wiele do niej czuję.

— Muzyka to czas — powiedziałem. — Chodzi w niej o kontrolowanie czasu.

Kiedy przestała grać, przez chwilę wyglądała na zamyśloną, a następnie powiedziała mniej więcej coś takiego:

— Czasami chciałabym zatrzymać czas. Czasami pragnę żyć wiecznie w szczęśliwym momencie, tak by dzwony kościelne nigdy więcej nie zabiły. Chciałabym już nigdy więcej nie iść na targ. Chciałabym, żeby z nieba zniknęły wszystkie szpaki... Ale wszyscy jesteśmy zdani na łaskę czasu. Bo wszyscy jesteśmy strunami, nieprawdaż?

Ostatniego zdania jestem na sto procent pewien: *Wszyscy jesteśmy strunami.*

Rose była zbyt dobra, by zbierać owoce. Tak naprawdę była filozofką. Najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. (A wkrótce miałem poznać Szekspira, więc to wiele o niej mówi). Rozmawiała ze mną tak, jakbym był jej rówieśnikiem, a ja ją za to kochałem. Kiedy byłem z nią, wszystko cichło i czułem się spokojny. Była przeciwwagą. Sama możliwość patrzenia na nią zapewniała mi spokój, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego patrzyłem na nią za długo i zbyt intensywnie. Patrzyłem w sposób, w jaki ludzie już nie spoglądają na innych. Pragnąłem jej w każdym znaczeniu. Pragnąć znaczy czuć niedosyt. Istniała we mnie pustka, ogromna i rozległa próżnia, która powstała, gdy utonęła moja matka. Sądziłem, że jest bezkresna i -nigdy nie zniknie, ale kiedy patrzyłem na Rose, zaczynałem czuć się znowu kompletny, jakby było w niej coś, czego mogłem się złapać. Coś, co mnie podtrzymywało.

— Chciałabym, żebyś został, Tom.

— Został?

— Tak. Został. Tutaj.

— Och.

— Nie chcę, żebyś odszedł. Grace cię lubi. I ja też. Nawet bardzo. Jesteś dla nas obu pocieszeniem. To miejsce było zbyt puste, a dzięki tobie takie nie jest.

— Cóż, lubię tutaj być.

— Dobrze.

— Ale pewnego dnia będę musiał odejść.

— Niby dlaczego?

Chciałem jej wtedy wszystko powiedzieć. Chciałem powiedzieć, że byłem odmienny, dziwny i osobliwy. Że nie starzałem się tak jak inni. Chciałem powiedzieć jej, że moja matka nie spadła z konia, lecz została utopiona na specjalnym stołku po tym, jak oskarżono ją o morderstwo przy użyciu czarów. Chciałem opowiedzieć jej o Williamie Manningu. Chciałem powiedzieć, jak ciężko było czuć się odpowiedzialnym za utratę osoby, którą się najbardziej kochało. Powiedzieć,

jak frustrujące jest być tajemnicą nawet dla siebie samego. Że w równowadze moich nastrojów istniała pewna skaza. Chciałem powiedzieć jej, że nazywam się Estienne, moje prawdziwe nazwisko to Hazard, a nie Smith. Chciałem powiedzieć jej, że jest jedynym prawdziwym pocieszeniem, jakiego znalazłem od śmierci matki. Wszystkie te potrzeby we mnie narosły, lecz nie znalazły drogi ujścia.

— Nie mogę powiedzieć.

— Jesteś tajemnicą do rozpracowania.

Moment ciszy.

Śpiew ptaków.

— Czy już się z kimś całowałaś, Tom? — Pomyślałem o pierwszej nocy w tym domu, kiedy to Rose delikatnie musnęła mnie wargami. — Ale tak naprawdę? — dodała, jakby czytała mi w myślach.

Moje milczenie stanowiło żenującą odpowiedź.

— Pocałunek — powiedziała — jest jak muzyka. On również potrafi zatrzymać czas... Pewnego razu miałam romans — powiedziała wprost. — Pewnego lata. On pracował w sadzie. Całowaliśmy się i robiliśmy wspólnie przyjemne rzeczy, ale nigdy tak naprawdę nic do niego nie czułam. Mówią, że jeśli coś do kogoś czujesz, zaledwie jeden pocałunek może zatrzymać wróbla w locie. Myślisz, że to możliwe?

Następnie odłożyła lutnię na łóżko i mnie pocałowała. Zamknąłem oczy, a cały świat przestał istnieć. Nie było niczego innego. Niczego poza nią. Ona była gwiazdami, niebem i oceanami. Istniał tylko ten jeden fragment czasu oraz pączek miłości, jaki w nim powstał. A jakiś czas potem pocałunek się skończył, pogłaskałem jej włosy, kościelne dzwony zabiły w oddali, a cały świat powrócił na swoje miejsce.

London, obecnie

Stoję przed salą pełną czternastolatków. Znowu. Jestem zmęczony. Chodzenie spać po trzeciej nad ranem nie jest tym, co powinni robić nauczyciele. Krople deszczu lśnią niczym klejnoty na okiennej szybie. Wychodząc od katastrofalnej poprzedniej lekcji na temat imigracji, zaczynam dyskutować o historii społeczeństwa Anglii późnych Tudorów, a w szczególności epoki elżbietańskiej.

— Co wiecie o Anglii w epoce elżbietańskiej? — spytałem, jednocześnie myśląc: *Może powinienem był tym razem wybrać, powiedzmy, Sycylię. Albo być teraz wśród gajów cytrynowych na Majorce. Lub na plaży w Indonezji. Albo na wypełnionej palmami wyspie otoczonej turkusowymi wodami na Malediwach.* — Kto tam żył?

Jedna z dziewczyn podnosi do góry rękę.

— Ludzie, którzy już nie żyją.

— Dziękuję, Lauren. Jeszcze jakieś pomysły?

— Ludzie bez kont na Snapchacie.

— To prawda, Nino.

— Sir Francis Jakiśtam.

Kiwnąłem głową.

— Drake i Bacon. Możesz sam wybrać. Ale o kim byście pomyśleli jako o osobie, która mogłaby zdefiniować tamten okres w Anglii?

Przez wiele dziesięcioleci opłakiwałem ludzi, którzy mówili, że czują się staro, lecz teraz zdaję sobie sprawę, że dosłownie każdy może tak się poczuć. Wystarczy, że zostanie nauczycielem.

Wtedy mój wzrok zatrzymuje się na jednej osobie, której widokiem w tej klasie jestem zaskoczony.

— Anton? A może ty znasz kogoś z epoki elżbietańskiej?

Anton patrzy na mnie nieśmiało. Boi się. Czuje się winny.

— Szekspir — mówi niemalże tonem przeprosin.

— Tak! To była era Szekspira. Co o nim wiesz, Anton?

Lauren poczuła się w obowiązku włączyć do dyskusji.

— On nie żyje, proszę pana.

— Zrozumiałem, Lauren.

— Zawsze chętnie pomogę, proszę pana.

— *Romeo i Julia*. — mówi cichym głosem Anton, mając nadzieję, że mówi prawidłowo. — I *Henryk IV, część 1*. Przerabiamy to na angielskim.

Wytrzymuję jego spojrzenie wystarczająco długo, by w końcu spuścić ze wstydem oczy na blat biurka.

— Jak myślisz, jaki on był? Jak mógł żyć?

Anton nie odpowiada.

— Chodzi mi o to, że Szekspir był człowiekiem. To oznacza, że żył. Był mężczyzną. Prawdziwą istotą z krwi i kości. Nie tylko pisarzem, ale również biznesmenem, opiniotwórcą i producentem. Człowiekiem, który chodził prawdziwymi ulicami w prawdziwym deszczu, pił piwo i jadł prawdziwe ostrygi. Mężczyzną, który nosił kolczyk, palił, oddychał, spał i korzystał z toalety. Człowiekiem z rękoma, stopami i nieświeżym oddechem.

— Ale — mówi Lauren, zwiijając na palcu kosmyk włosów — skąd pan wie, jaki miał oddech?

Przez chwilę myślę o tym, że miło byłoby wyjawić im prawdę. Zamiast tego, oczywiście, po prostu uśmiecham się i mówię o braku w tamtych czasach pasty do zębów, po czym kontynuuję temat lekcji.

Londyn, rok 1599

Przez całe lato, aż do jesieni, grałem na lutni w Southwark. Często pracowałem do późna i kończyłem dopiero po zamknięciu bram miasta. Potem czekał mnie długi spacer do domu, który potrafił zająć nawet ponad godzinę.

Teraz pogoda zaczęła się psuć, a tłum przechodniów znacząco się przerzedził. Chodziłem po wszystkich karczmach, prosząc o pracę, ale nigdzie nie mieli dla mnie miejsca. Bycie grajkiem w tawernie było znacznie lepszym zajęciem niż rola jednego z ulicznych artystów. Uświadomiłem sobie, że byłem częścią wymierającego i niepożądanego gatunku. Problem polegał jednak na tym, że w owym czasie istniał zespół muzyków — *Pembroke's Men* — który znacząco nasycił rynek.

Kiedy rozeszła się wieść, że szukam pracy, jeden z nich — wielki brodaty skrzypek, znany w okolicy jako Wolstan Drzewo, ze względu na jego rozmiary, jak również zapewne dlatego, że włosy na jego głowie przypominały listowie po burzy — podszedł do mnie, gdy grałem pod „Kardynalskim Kapeluszem”. Zapadał już wtedy zmrok.

Złapał mnie za szyję i mocno trzasnął mną o ścianę.

— Zostaw go — powiedziała Elsa, przyjazna płomiennowłosa prostytutka, z którą zawsze rozmawiałem podczas powrotu do domu.

— Zamknij się, dziewucho. — Odwrócił się do mnie. Jego zęby stanowił zgniły, wówczas już przerzedzony rząd brązowych kamyków. Trudno było stwierdzić, czy zapach łąjna

pochodzi od niego, czy raczej z pobliskich garbarni. — Nie będziesz próbował grać w jakiegokolwiek karczmie po tej stronie Bishopsgate, chłopcze. A zwłaszcza w okolicy Bankside. Nie, o ile chcesz żyć. To jest nasze. Nie ma tu miejsca dla takich jagnięcogębych chłoptasiów jak ty.

Splunąłem mu w twarz.

W odpowiedzi chwycił za szyjkę mojej lutni.

— Zostaw!

— Najpierw połamię to, a później twoje palce.

— Oddaj mi, ty złodziejska...

Elsa znajdowała się teraz tuż za nim.

— Hej, Wolstan. Oddaj mu to!

Podniósł lutnię wysoko, w każdej chwili gotów uderzyć nią o ścianę i rozbić.

Wtedy rozległ się uroczysty, głęboko teatralny głos.

— Powstrzymaj się, Wolstanie.

Wolstan odwrócił się, aby zobaczyć trzech mężczyzn, którzy właśnie pojawili się za nim.

— Och, mój... — powiedziała Elsa, która stała się nagle podekscytowana lub, co bardziej prawdopodobne, udawała podniecenie, gładząc przy tym materiał sukni ruchami powolnymi niczym liźnięcia kota. Cały ten teren był wielkim teatrem. Wchodziliśmy na scenę lub z niej schodziliśmy. — Toż to Ryszard III we własnej osobie.

Oczywiście, nie był to prawdziwy Ryszard III. Stał przed nami Richard Burbage, który według mojej wiedzy był wówczas najslawniejszym aktorem w Londynie. Jego osoba w tamtych czasach wzbudzała respekt. Nie był Errolem Flynnem ani Tyronem Powerem, ani Paulem Newmanem, ani Ryanem Goslingiem. Gdyby miał konto na Tinderze, byłby szczęściarzem, jakby choć jedna osoba chciała nawiązać z nim bliższą znajomość. Jego mysie włosy były cienkie, a twarz ponura i niekształtna jak u Rembrandta, ale miał w sobie coś innego. Coś, co ludzie z tamtej epoki rozpoznawali w sposób niemożliwy dla osób żyjących w XXI wieku: *aurę*. Coś silnego i metafizycznego, duchowy zmysł, obecność, moc.

— Wyborny wieczór, panie Burbage, sir — powiedział Drzewo, opuszczając niżej swoją lutnię.

— Najwyraźniej jednak nie dla wszystkich — stwierdził Burbage.

Zauważyłem pozostałych dwóch mężczyzn. Jeden był okrągły niczym beczka, z imponującą brodą, znacznie bardziej schludną niż ta Wolstana. Szydł w tak dramatyczny sposób, że domyśliłem się, iż jest innym aktorem. Wydawał się już dość pijany.

— Oddaj chłopcu lutnię, ty rozmydlony strumieniu byczych szczyn.

Drugi mężczyzna był szczupły i dość przystojny, choć miał małe usta i nieroztropnie zaczesane do tyłu długie włosy. Jego krowie oczy były łagodne. Podobnie jak pozostałych dwóch, był ubrany w watowany, sznurowany i zapinany na guziki dublet. Na tyle, na ile byłem w stanie ocenić, jego ubiór był złotego koloru, lecz niełatwo było to określić w zapadającej ciemności. Dobrze opłacany cygan ze złotym okrągłym kolczykiem w uchu. Najwyraźniej wszyscy stojący przed nami aktorzy byli dobrze opłacani. Wiedziałem, że wraz z Burbage'em muszą być członkami Trupy Lorda Szambelana.

— Fuj... Tylko spójrz. Popatrz na to. Piekło opustoszało, a diabły rozlały się po Bankside — powiedział ten przystojny, w zrezygnowany, a zarazem przenikliwy sposób.

Elsa zwróciła na niego uwagę:

— Szekspir we własnej osobie.

Szekspir — bo to naprawdę był on — posłał jej najdelikatniejszy z uśmiechów.

Elsa zwróciła się do mężczyzny stojącego obok Szeks-pira, tego, który był wielki jak

baryłka.

— Ciebie również znam, panie. Jesteś odmieniec Will. Will Kemp.

Kemp kiwnął głową i poklepał z dumą swój brzuch.

— Jam nim jest...

— Oddaj mi moją lutnię — powiedziałem po raz kolejny Wolstanowi. Tym razem wiedział już, że noc sprzysięgła się przeciw niemu. Położył lutnię na moich rękach, a potem cichcem się oddalił.

Elsa zadrwiła z niego, machając małym palcem.

— Niech cię syfilis dopadnie, ty robaczy fiutku!

Trzej aktorzy się roześmiali.

— Przejdźmy się do „Tawerny Królowej”. Trzeba by się napić — powiedział Kemp.

Szekspir zmarszczył brwi, jakby dopadł go właśnie ból głowy.

— Ależ z ciebie marynowane w ale stare jabłko.

Elsa szeptała do ucha Richarda Burbage’a, podczas gdy ten próbował się od niej uwolnić.

Szekspir podszedł do mnie.

— Wolstan to prawdziwa bestia.

— Tak, panie Szekspir.

Pachniał ale, tytoniem i goździkami.

— Przykro się go ogląda w prawdziwej postaci... A więc chłopcze, dobrze grasz?

Jeszcze nie otrząsnąłem się z szoku.

— Czy dobrze gram?

— Na lutni.

— Tak przypuszczam, sir.

Przysunął się bliżej mnie.

— Ile masz lat?

— Szesnaście, sir — powiedziałem, utrzymując wiek zgodny z tym, jaki podałem Rose.

— Wyglądasz na dwa lata mniej. Co najmniej. Ale też na dwa lata więcej. Twoja twarz jest zagadką.

— Mam szesnaście lat, sir.

— Nieważne, to bez znaczenia. — Zachwiał się lekko i położył dłoń na mojej piersi, szukając oparcia. Zdałem sobie sprawę, że jest tak samo pijany jak reszta. Po chwili się jednak wyprostował. — My, wspólnicy w Trupie Lorda Szambelana, poszukujemy muzyków. Napisałem nową sztukę zatytułowaną *Jak wam się podoba*, i wymaga ona muzyki. Jest w niej wiele piosenek. I potrzebujemy *lutni*. Bo widzisz, mieliśmy lutnistę, ale syfilis go nam odebrał.

Patrzyłem na Szekspira. Jego oczy wypełniały dwa złote ognie, odbijając blask pobliskiej pochodni.

Kemp, wyszarpując Burbage’a zainteresowanej nim Elsie, próbował przyspieszyć zakończenie naszego spotkania, więc rzucił do mnie opryskliwe:

— Jutro, Globe, o jedenastej.

Szekspir go zignorował.

— Zagraj teraz — powiedział, wskazując głową lutnię.

— Teraz?

— Kuj żelazo, póki jest gorące.

Elsa zaczęła śpiewać sprośną piosenkę, której nie znałem.

— Biedny chłopak jest wciąż roztrzęsiony — powiedział Kemp, udając sympatię do mnie. — Czas ruszać.

— Nie — odparł Szekspir. — Pozwól chłopcu zagrać.

— Nie wiem, co powinienem zagrać.

— Zagraj z serca. Udawaj, że nas tu nie ma. Wyraż prawdę o sobie.

Uciszył Elbę.

Cztery pary oczu wpatrywały się we mnie.

Przymknąłem więc powieki i zagrałem utwór, który ostatnimi czasy często wykonywałem. Z reguły, gdy to robiłem, myślałem o Rose.

Jej uśmiechy są wiosną,

w której ma radość rozkwita,

a mars na jej czole sprawia,

że zapada zima niedolą spowita

Jej śmiech jak źródło radości wzrastać da

Jej grymas jak niedola zimowa...

Kiedy skończyłem śpiewać, otworzyłem oczy, by ujrzeć cztery wpatrujące się we mnie twarze.

— Ale! — krzyknął Kemp. — Panie, ześlij mi ale!

— Chłopak jest dobry — stwierdził Burbage — o ile pozostanie się głuchym na dobór piosenki.

— I na śpiew — dodała Elsa.

— Grasz nieźle — stwierdził Szekspir. — Przyjdź jutro o jedenastej do Globe Theatre. Dwanaście szylingów tygodniowo.

— Dziękuję panu, panie Szekspira.

— Dwanaście szylingów tygodniowo?

Rose nie mogła w to uwierzyć. Było rano. Wyszliśmy zaczerpnąć wodę przed pracą. Rose musiała się zatrzymać i na chwilę odstawić wiadro z wodą. Poszedłem za jej przykładem. Woda — do czyszczenia, a nie do picia — pochodziła ze studni na końcu alei, ponad kilometr na północ od Owsianej Stodoły i sadów, więc potrzebowaliśmy chwili odpoczynku. Rano niebo spąsowiało złowieszczym różem.

— Tak. Dwanaście szylingów tygodniowo.

— Pracując dla pana Szekspira?

— Tak. W Trupie Lorda Szambelana.

— To wspaniale, Tom.

Przytuliła mnie. Jak siostra. Bardziej niż siostra.

Właśnie wtedy chmura smutku okryła jej twarz, a Rose chwyciła znowu swoje wiadro.

— O co chodzi?

— Podejrzewam, że teraz przestaniemy się widywać.

— Będę wracał do domu wieczorem o tej samej porze. Będę obchodził mury lub wchodził przez nie.

— Nie to miałam na myśli.

— W takim razie co?

— Twoje życie będzie zbyt kolorowe dla nudnej dziewczyny z bazaru.

— Nie jesteś nudna, Rose.

— Żdźbło trawy też nie jest nudne, dopóki nie zobaczy się kwiatu.

— Jest. Żdźbło trawy zawsze jest nudne. Ale ty nie jesteś żdźbłem trawy.

— A ty nie jesteś kimś, kto gdzieś zostaje na dłużej, Tom. Uciekłeś od Francji. Uciekłeś od Suffolk. Uciekniesz i od Londynu. Ty się nie osiedlasz. Odkąd się całowaliśmy, boisz się choćby popatrzeć mi w oczy.

— Rose, jeśli kiedykolwiek stąd odejdziesz, nie ty będziesz tego przyczyną.

— A kiedy do tego dojdzie, Tom? I dlaczego?

Na te pytania nie mogłem odpowiedzieć.

Woda była ciężka, ale byliśmy już prawie w domu. Dotarliśmy teraz do stajni i zobaczyliśmy konie stojące niczym lordowie w łoży i patrzące tak, jakby oglądały graną przez nas sztukę. Rose milczała. Czułem się winny z powodu kłamstwa, jakie jej powiedziałem o śmierci mojej matki. Musiałem wyjawić jej prawdę na swój temat. Wiedziałem, że w pewnym momencie będę musiał się na to zdobyć.

Kiedy zbliżaliśmy się do chaty, zobaczyliśmy na ulicy dwie kobiety. Jedną z nich była Staruszka Adams. Krzyczała na tę drugą. Kazała jej zabierać swój smród z powrotem do piekła.

Rose знаła drugą z kobiet z Whitechapel Market. Była to Mary Peters.

Cicha kobieta o smutnym spojrzeniu. Prawdopodobnie miała około czterdziestu lat. W owych czasach nie był to wiek, którego na pewno uda ci się dożyć. Przez cały czas nosiła wdowią czerń.

Staruszka Adams pochylała się ku niej, wypluwając w jej kierunku szalone słowa, gdy nagle Mary spojrzała na nią z taką cichą furią, że starsza z kobiet wycofała się nagle niczym kot, który niespodziewanie przestraszył się własnej zdobyczy.

Następnie Mary ruszyła wzdłuż Well Lane, kierując się ku nam.

Nie wydawała się w jakimkolwiek stopniu wzburzona starciem ze Staruszką Adams. Zauważyłem, że Rose zrobiła się na jej widok nieco spięta.

— Dzień dobry, Mary.

Mary odpowiedziała uśmiechem.

— To ten twój Tom?

Twój Tom.

Czułem się zawstydzająco dobrze ze świadomością, że Rose o mnie opowiadała. Czułem, że do niej należę. Poczułem się stały, realny, jakby przestrzeń, którą zajmowałem, miała zostać naprawdę przeze mnie zajęta.

— Tak, to on. — Rose zarumieniła się nieznacznie. Jej policzki pokrył łagodny róż przypominający kolor porannych chmur.

Mary skinęła głową. Zaprosiła ją do środka.

— Nie ma go dzisiaj. Ty i Grace będziecie z tego rade.

— Naprawdę? — Rose najwyraźniej odczuła ulgę.

— Ma gorączkę. Pozostaje mieć nadzieję, że to syfilis, prawda?

Byłem skołowany.

— O kim wy mówicie?

Mary skurczyła się nieco, jakby powiedziała coś, czego nie powinna.

— O nikim takim. Chodzi o pana Willowa — powiedziała Rose. — Inspektora z rynku.

Mary już odchodziła.

— Powinnam cię złapać później.

— Powinnaś.

Podczas dalszej drogi do chaty spytałem Rose o pana Willowa.

— Och, nie przejmuj się. Jest nieco rygorystyczny. To wszystko.

I to wszystko, co zdradziła na jego temat. Następnie zaczęła mi opowiadać o Mary. Pojawiła się w tej okolicy przed kilku laty i była bardzo skrytą osobą. Z racji tego, że nie chciała mówić o przeszłości, niewiele o niej wiedziano.

— To miła kobieta, ale również bardzo tajemnicza. Zupełnie jak ty. Ale rozpracuję twoją tajemnicę. Powiedz mi coś, o czym nie wiem. Małą rzecz. Jakąś drobnostkę.

Nawet gdybym mógł wykupić całe złoto Strandu, wolałbym pozostać w małej chacie przy Well Lane, o ile oznaczałoby to życie u twego boku. Nie powiedziałem tego jednak na głos.

— Wczoraj widziałem, jak jakiś barkarz wpadł do Tamizy, tuż pod Nonesuch House. Działo się to na oczach całego tłumu, a jedynym, o czym mogłem myśleć, było to, jak bardzo chciałbym, żebyś ty również to zobaczyła.

— Moje poczucie humoru nie jest tak okrutne jak twoje.

— Wierzę, że przeżył.

Posłała mi podejrzliwe i cyniczne spojrzenie. Dałem jej więc coś innego.

— Podoba mi się, jak opiekujesz się Grace. Sposób, w jaki znasz samą siebie. Sposób, w jaki zarabiasz na dobre życie z dobrym domem, podczas gdy tak wiele wcześniej utraciłaś. Odnajdujesz piękno nawet tam, gdzie go nie ma. Jesteś światłem, które lśni w kałuży.

— Kałuży? — zaśmiała się. — Wybacz mi. Możesz kontynuować. Jestem złałkioną twoich komplementów. Karm mnie nimi dalej.

— Podoba mi się to, jak myślisz. Podoba mi się to, że nie idziesz po prostu przez życie niewrażliwa na jego naturę.

— Nie jestem bladą damą z teatru. Zbieram owoce w sadzie. Jestem zwyczajna.

— Jesteś najmniej zwyczajną osobą, jaką znam.

Jej ręka spoczęła na mnie.

— Jestem odziany tylko w łachmany i marzenia.

— Może lepiej byłoby ci, gdybyś je z siebie zrzucił.

— Marzenia?

— Nie.

Stałem teraz blisko niej. I utrzymywałem z nią kontakt wzrokowy. Nie było dokąd uciec. Nie miałem pojęcia, że jej szukałem, ale teraz, gdy ją odnalazłem, nie wiedziałem, co może się wydarzyć. Czułem się, jakbym szybko wirował i utracił nad tym wszelką kontrolę. Zupełnie jak ziarno jaworu niesione wiatrem.

— Śmiało — powiedziała. — Ocal naszą rozkosz. Zaraz się spóźnisz.

Całowaliśmy się, a ja zamknąłem oczy i wdychałem zapach lawendy. Byłem tak przerażony i zarazem tak bardzo zakochany, że zdałem sobie sprawę, iż miłość i groza stały się jednością.

Londyn, obecnie

Pamiętam, jakie to uczucie, gdy miłość i strach wirują wokół siebie, tworząc dziwny mariaż. Pamiętam bicie dzwonów. Pamiętam zapach sadu unoszący się z jej włosów. I wciąż za nią tęsknię tak mocno, że mnie to wypala.

Uważaj, bo upadniesz.

Otwieram oczy i widzę, jak Anton wymyka się z sali.

— Anton — mówię — jedną minutkę.

Wygląda na przestraszonego. Wyglądał tak przez całą lekcję. Wychodząc, zaczął wkładać słuchawki do uszu.

— Lubisz muzykę?

Wydaje się zaskoczony moim pytaniem. Spodziewał się zupełnie innego. Wszystko, z wyjątkiem oczu, jest w nim spokojne.

— Tak, proszę pana.

— Umiesz na czymś grać?

Kiwa głową.

— Trochę na fortepianie. Mama nauczyła mnie, gdy byłem młodszy.

— Musisz być z tym ostrożny. To może cię wkręcić. Zrobić bałagan w chemii mózgu.

W emocjach.

Patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem.

Przechodzę dalej.

— Czy mama wie o twoich znajomych?

Zmieszany wzrusza ramionami.

— Bo akurat to możesz zrobić lepiej.

Wie, że nie może się dąsać, ale prawie to robi. Lekko wydyma wargi.

— Si nie jest moim przyjacielem. Jest tylko starszym bratem kogoś, kogo znam.

— Kogoś? Kogoś ze szkoły? Kogoś stąd?

Potrząsa głową.

— Kogoś, kogo już tutaj nie ma?

— Został wydalony.

Kiwam głową. Zaczyna to nabierać sensu.

Następuje pauza. Jego twarz zastyga, najwyraźniej się na coś przygotowując.

— Czy naprawdę miał pan na myśli to, co pan powiedział ostatniej nocy? Te słowa o zabiciu kogoś.

— Och, to. Tak. To było na pustyni w Arizonie. Bardzo dawno temu. Nie polecam.

Śmieje się, nie będąc pewnym, czy to jest żart (a nie jest).

— Czy został pan za to złapany?

— Nie, a przynajmniej nie w takim sensie, w jakim to rozumiesz. Nikt mnie nie złapał.

Kiedy jednak posuniesz się w latach, zrozumiesz, że tak naprawdę nie ma rzeczy, od której moglibyśmy uciec. Ludzki umysł ma swoje własne... więzienia. Nie wszystko w życiu zależy od twojego wyboru.

— No. To już akurat przepracowałem, proszę pana.

— Nie możesz wybrać miejsca, w którym się urodzisz, jak również zdecydować o tym, kto cię nie opuści. Nie decydujesz o wielu rzeczach. Życie, tak samo jak historia, ma swoje niezmiennie płwy. Ale jest w nim nadal wystarczająco dużo miejsca na twoje wybory. Na decyzje.

— Tak przypuszczam.

— I to prawda. Podejmujesz niewłaściwą decyzję w terażniejszości, a później ona cię prześladowa, podobnie jak traktat wersalski w 1919 roku przygotował grunt pod przejęcie władzy przez Hitlera w roku 1933. Każda obecna chwila jest więc inwestycją w przyszłość. Zaledwie jeden zły skręt może sprawić, że bardzo się pogubisz. To, co robisz obecnie, zostaje z tobą. A później powraca. Od niczego nie uciekniesz.

— Wygląda na to, że tak rzeczywiście jest.

— Ludzie mówią o moralnym kompasie, a ja myślę, że to do niego się wszystko sprowadza. W głębi ducha zawsze wiemy, czy coś jest dobre, czy złe. Znamy swoje południe i północ. Musisz temu zaufać, Anton. Ludzie mogą udzielić błędnych wskazówek i niejednokrotnie wyprowadzić w pole. Nie możesz ufać takim radom. Nie możesz nawet ufać temu, co ja ci powiem. Co zwykle mówią w reklamach samochodowych o systemie

nawigacyjnym? *Nawigacja w standardzie*. Wszystko, co musisz wiedzieć o tym, co dobre i złe, masz już w sobie. Wbudowane w standardzie. To jak z muzyką. Musisz tylko posłuchać.

Kiwa głową. Nie mam pojęcia, czy coś do niego dotarło, czy też jest już po prostu znudzony lub przerażony i chce jak najszybciej wyjść z sali.

— W porządku, proszę pana. Dobra przemowa.

— W porządku.

Dziwnie się tak rozmawia z jętką. Zupełnie jakby mi zależało. Hendrich zawsze mi powtarzał, że nie ma niczego groźniejszego niż troszczenie się o zwyczajną, śmiertelną ludzką istotę, ponieważ to „oznacza zawieranie kompromisu w kwestii naszych priorytetów”. Może jednak priorytety Hendricha nie są już moimi i może potrzebuję kompromisów. Może po prostu muszę znowu poczuć się choć trochę zwykłym człowiekiem. Od ostatniego razu, gdy tak się czułem, minęło nieco czasu. A dokładniej czterysta lat.

Postanawiam złagodzić ton.

— Lubisz szkołę, Anton?

Wzrusza ramionami.

— Czasami. Czasami wydaje się... nieistotna.

— Nieistotna?

— No. Trygonometria, Szekspir i gówno.

— Ach tak. Szekspir. *Henryk IV*.

— *Część I*.

— Tak, już mówiłeś. Więc nie przepadasz za tą sztuką?

Wzrusza ramionami.

— Byliśmy na spektaklu. Na szkolnej wycieczce. Był dosyć nudny.

— Nie lubisz teatru?

— To nie tak. On jest po prostu dla starych wyfiokowanych ludzi, czyż nie?

— Nie zawsze tak było. Kiedyś stanowił rozrywkę dla każdego. Teatry były najbardziej szalonymi miejscami w całym Londynie. Mogłeś tam spotkać dosłownie każdego. Oczywiście, byli tam również starzy wyfiokowani ludzie siedzący w łóżach, ale poza nimi również cała reszta. Wejście kosztowało jednego pensa, a nawet w tamtych czasach nie była to duża kwota. Tyle samo kosztował bochenek chleba. Czasami w teatrach wybuchały walki na noże. Jeśli ludziom nie podobało się widowisko, rzucali w aktorów różnymi przedmiotami. Leciały skorupki małży, jabłka i wiele innych rzeczy. Szekspir zwykle też występował na scenie. William Szekspir. Ten martwy gość z obrazów. Tam. Na scenie. I to wcale nie było tak dawno, jak mogłoby się wydawać. Historia jest tutaj z nami, Anton. Nieustannie czujemy jej oddech na karku.

Uśmiecha się nieco. Oto i cały cel bycia nauczycielem. Przebłysk nadziei tam, gdzie wydawała się już całkowicie nieobecna.

— Opowiada pan tak, jakby to widział na własne oczy.

— I tak było — mówię.

— Słucham, proszę pana?

Tym razem ja się uśmiecham. Kuszące jest bycie tak blisko ujawnienia prawdy o sobie, zupełnie jak trzymanie ptaka na chwilę przed zwróceniem mu wolności.

— Znałem Szekspira.

I wtedy Anton wybuchł śmiechem, jakby tym razem już *wiedział*, że żartuję.

— No jasne, panie Hazard.

— Widzimy się jutro. — Jutro. Od zawsze nienawidziłem tego słowa. A jednak, w jakiś sposób, tym razem mnie ono za bardzo nie drażni. — No, jutro.

Londyn, rok 1599

Usiadłem na znajdującym się wysoko nad sceną balkonie, obok starego, snobistycznego, trupiobladego mężczyzny imieniem Christopher, który grał na wirginalu. Powiedziałem „stary”. Prawdopodobnie nie miał więcej niż pięćdziesiąt lat, lecz był zarazem najstarszym mężczyzną pracującym dla Trupy Lorda Szambelana. Byliśmy widoczni dla większości widzów, gdyby chcieli spojrzeć w naszym kierunku, ale padał na nas cień, więc czuliśmy się bezpiecznie i anonimowo. Christopher z rzadka rzucał do mnie jakieś słowo przed lub po spektaklu.

Pamiętam jedną z odbytych z nim rozmów.

— Nie jesteś z Londynu, prawda? — zapytał mnie z pogardą. Naprawdę było to osobliwie pogardliwe. W tamtych czasach, tak jak i teraz, wielu mieszkańców Londynu pochodziło z innych miejsc. W tym tkwił cały sens Londynu. A biorąc pod uwagę, że było o wiele więcej zgonów niż narodzin, była to jedyna droga, jaką Londyn mógł pójść dalej i się rozwijać.

— Nie — odparłem. — Pochodzę z Francji. Moja mama szukała tutaj schronienia. Przed królewskimi wpływami.

— Katolikami?

— Tak.

— A gdzie jest teraz twoja matka?

— Odeszła.

Ani jednego przebłysku współczucia. Zero ciekawości. Tylko długa, uważna obserwacja.

— Grasz jak Francuz. Masz cudzoziemskie palce.

Spojrzałem na swoje dłonie.

— Doprawdy?

— Tak. Głaszczesz struny, zamiast je szarpać. Wywołuje to dziwny hałas.

— Cóż. Jest to dziwny hałas, który podoba się panu Szekspirowi.

— Przypuszczam, że grasz dobrze jak na swój wiek. To nowość. Ale nie będziesz wiecznie młody. Nikt nie jest. Z wyjątkiem tego chłopaka na wschodzie.

To właśnie było to.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nawet w mieście tak wielkim jak Londyn muszę się bardzo pilnować.

— Zabili jego matkę. Była wiedźmą.

Serce zaczęło mi w niekontrolowany sposób walić w piersi. Skoncentrowałem cały swój wysiłek na zachowaniu pozorów spokoju.

— Cóż, skoro utonęła, to dowiodła swojej niewinności.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Nie wspominałem o tym, że *utonęła*.

— Przypuszczam, że wykorzystano stołek do pławienia, skoro została oskarżona o czary.

Przymknął przebiegle oczy.

— Wydajesz się tym mocno podekscytowany. Spójrz, twoje francuskie palce drżą. Szczerze mówiąc, nie znam szczegółów. To Hal mi o tym opowiedział.

Hal, łagodny flecista siedzący na ławie przed nami, naprawdę nie chciał być wciągnięty w tę rozmowę. Znali się z Christopherem od dłuższego czasu i pracowali wspólnie przy innych przedsięwzięciach.

— Jej syn się nie starzał — przekazał nam swoimi drobnymi ustami błady i nieśmiały Hal. — Ta kobieta rzuciła urok i zabiła człowieka, by zapewnić synowi wieczne życie.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

Christopher wciąż mnie lustrował. A potem usłyszeliśmy na naszym balkonie kroki.

— Czy to otwarta dyskusja?

To był sam Szekspir. Stanął tam, otworzył muszlę ostrygi, a następnie wyssał z niej ostrożnie mięczaka, aby nie pobrudzić kostiumu z pikowanej tafty. Podczas gdy delectował się jej smakiem, oczy miał nieustannie utkwione w Christopherze.

— Tak — odparł Christopher. — Oczywiście.

— Zatem pozwolę sobie wysnuć przypuszczenie, że dokładasz wszelkich starań, by Tom poczuł się u nas jak w domu.

— Och, oczywiście. *Młody Tom* ma się świetnie.

Szekspir pozwolił skorupce po małży upaść na podłogę, a następnie posłał nam krótki uśmiech.

— I dobrze.

Wskazał na mnie.

— Musimy cię przesunąć o jeden rząd do przodu. Żeby było słycać lutnię.

Widziałem, jak Christopher się gotuje. To była niezwykle przyjemna chwila. Wstałem i przeszedłem na swoją nową pozycję, podczas gdy Hal przesunął się, by zrobić mi miejsce. Usiadłem. Wnętrze muszli ostrygi świeciło z zakurzonego drewna niczym wpatrujące się we mnie oko.

— Dziękuję, sir — powiedziałem do mojego pracodawcy.

Szekspir beznamiętnie potrząsnął głową.

— Zapewniam cię, że nie zrobiłem tego z dobroci serca. A teraz wszyscy dajcie z siebie wszystko. Na widowni jest sir Walter.

Tak to już jest z pierwszym rzędem, że zawsze masz w nim dobry widok. A publiczność sama w sobie stanowi rodzaj pokazu. W słoneczne popołudnie tysiące ludzi napłynęło w to miejsce. Nawet w teatrze takim jak Globe mieściło się ich znacznie więcej niż obecnie w tego typu przybytkach. Wśród widzów zajmujących najtańsze miejsca, którzy za spektakl zapłacili po pensie, jak również tych, którzy zapłacili po dwa pensy i siedzieli na ławkach tuż za tymi pierwszymi, często dochodziło do burd i wrzasków. Jeśli jednak mogłeś przeznaczyć na bilet trzy pensy, dysponowałeś nie tylko miejscem na ławce, ale i poduszką. Co więcej, tacy goście zdawali się być ponad plebejskie zachowania wymienionych wcześniej widzów. Ciekawe jest to, że złe maniery pojawiały się ponownie wśród przedstawicieli wyższych klas, których miejsca znajdowały się w łóżach.

Innymi słowy, miało się tam pełen przekrój społeczeństwa. Złodzieje. Rzezimieszki. prostytutki. Blade damy ze sztucznie poczernionymi zębami symulującymi oznakę luksusu, jaką był próchnica spowodowana spożywaniem nadmiernych ilości cukru. (Jest to fakt, o którym zawsze pamiętam w dzisiejszym okresie płynów do płukania ust i różnych metod wybielania zębów).

Było wiele piosenek pozwalających ożywić tłum. Szczególnie lubilem *Under the Greenwood Tree* śpiewaną przez wesołego blond aktora. Zapomniałem jego imienia, ale pamiętam, że grał oddanego lorda Amiensa, jednego z lojalnych ludzi gotowych udać się na wygnanie w Lesie Ardeńskim z Księciem Seniorem, ojcem bohaterki imieniem Rozalinda.

Kto drzemać chce ze mną,

Gdzie strumień ten płynie,

Pieśń nucić przyjemną,

Jak ptaszek w gęstwinie,

Niech za mną, niech za mną iść raczy,

Tu nie zobaczy

Innego wroga wśród kniei

Prócz zimy, oprócz zawiei⁴.

W moim umyśle Las Ardeński przekształcił się w la Forêt de Pons, który znałem z czasów dzieciństwa i do którego zwykliśmy się od czasu do czasu wybierać z mamą. Mieliśmy zwyczaj siadać przy dużym jaworze, a ona śpiewała mi, patrząc na opadające z drzewa nasiona. Świat z dala od smrodu i brudu Bankside, jak również odoru ale, skorupiaków i moczu wydobywającego się z biegnącego pod spodem dołu. Sztuka ta wstrząsała mną na jeszcze kilka innych sposobów. Byli w niej wygnańcy, osoby zmuszone zmieniać tożsamość oraz zakochani.

Była to komedia, lecz we mnie wzbudzała niepokój.

Sądzę, że najbardziej problematyczna była postać Jakuba. Nie robił on absolutnie niczego. Obejrzałem całą sztukę osiemdziesiąt cztery razy i wciąż nie mogę sobie przypomnieć, jaka była jego rola. Po prostu chodził pośród wszystkich jasnych, młodych optymistów, sam będąc cyniczny i nieszczęśliwy. Jego rolę grał sam Szekspir, a za każdym razem, gdy mówił, słowa przenikały mnie do szpiku kości, jak gdyby stanowiąc ostrzeżenie przed czekającą mnie przyszłością:

Świat jest teatrem, aktorami ludzie,

Którzy kolejno wchodzi i znikają.

Każdy tam aktor niejedną gra rolę...

Z Szekspira był dziwny aktor. Bardzo cichy i nie chodzi mi o głośność, ale o manierę i obecność. Był przeciwieństwem Burbage'a czy Kempa. W Szekspirze było coś bardzo nieszekspirowskiego, zwłaszcza gdy był trzeźwy. Cisza zarówno na scenie, jak i poza nią, która pochłaniała świat, zamiast go powiększać.

W pewien czwartek wróciłem do domu i zobaczyłem, że Grace płacze, a Rose ją przytula. Okazało się, że pan Willow oddał ich dotychczasową przestrzeń na targu kobiecie, która świadczyła mu usługi seksualne. Co więcej, chciał do tego nakłonić i Rose. Obrzucił również obie siostry niecenzuralnymi wyzwiskami.

— Wszystko będzie dobrze. Nadal możemy tam pracować, tyle że nie w tym samym miejscu co dotychczas.

Poczułem, jak wzbiera we mnie gniew. Płonąca wściekłość trawiła mnie od środka. Nazajutrz, zanim udałem się do Southwark, poszedłem na rynek i znalazłem pana Willowa, a w swej młodzieńczej głupocie uderzyłem go i wepchnąłem na stoisko z przyprawami. Upadł w pomarańczowej chmurze egzotycznych zapachów z Nowego Świata.

Grace i Rose zostały objęte całkowitym zakazem handlu na rynku. Jedynym, co powstrzymało pana Willowa przed podjęciem przeciwko nam dalszych działań, był fakt, że wiedzieliśmy, iż proponował świadczenie mu usług seksualnych.

Rose przeklinała moją gorącą głowę nawet wtedy, gdy sama również przestała panować nad emocjami.

To była nasza pierwsza kłótnia. Bardziej niż słowa pamiętam z niej całą tę furję. Pamiętam również, że Rose martwiła się, jak wytłumaczyć całą sytuację panu Sharpe'owi.

— Nie możemy po prostu *zbierać* owoców, Tom. My musimy je też *sprzedawać*. A gdzie teraz będziemy to robić?

— Naprawię to. Popsułem wszystko, więc teraz to naprawię, Rose. Obiecuję.

Chciałem porozmawiać z Szekspirem, jakie widzi szanse na to, by Rose i Grace mogły sprzedawać owoce w teatrze. Zobaczyłem go po spektaklu, gdy przechodził przez tłum stojący na trawniku przed „Tawerną Królowej”. Wchodził właśnie samotnie do pubu. Zignorował mężczyznę, który go rozpoznał, i zniknął za drzwiami.

Podążyłem za nim. Już wcześniej bywałem w tym miejscu. Moja młoda twarz nie stanowiła tutaj problemu. Odnalazłem Szekspira siedzącego w cichym kącie ze słojem w dłoni.

Zastanawiałem się, jak — i czy — powinienem do niego podejść, kiedy jego ręka podniosła się i na mnie kiwnęła.

— Młody Tomie! Przysiądź się.

Podszedłem i usiadłem w ławie naprzeciwko niego, po drugiej stronie małego dębowego stołu. Dwóch mężczyzn siedzących w dalszej części tego stołu było pochłoniętych grą w warcaby.

— Dzień dobry, panie Szekspir.

W pobliżu barmanka zbierała pozostawione na stołach słoje. Szekspir ją zawołał.

— Ale dla mojego przyjaciela.

Kiwnęła głową, a wtedy Szekspir zaczął rozważać temat na nowo.

— Ale ty przecież pochodzisz z Francji, nieprawdaż? Zapewne wolisz tamtejsze piwo.

— Nie, sir. Wolę ale.

— Twoja mądrość mnie uspokaja, Tom. Serwują tutaj najlepsze i najśodsze ale w całym Londynie.

Wziął łyk ze słoja, zamykając oczy.

— Ale nie przechowuje się dobrze — powiedział. — Za tydzień smakowałoby jak zakurzone spodnie rycerza. Inne rodzaje piwa zachowują smak wiecznie. Powiadają, że to chmiel powoduje ich nieśmiertelność. Ale jest jednak bardziej wartościową lekcją życia. Poczekasz zbyt długo, a pożegnasz się jeszcze, nim uda ci się przywitać. Mój ojciec był niegdyś degustatorem ale. Sam również edukowałem się w tym zakresie.

Podano moje ale. Rzeczywiście było tak słodkie, jak zapowiadał. Szekspir nabił i zapalił fajkę. Podobnie jak większość posiadających pieniądze osób związanych z teatrem był fanem tytoniu. („Indyjskie zioła działają cuda przy moich dolegliwościach”). Powiedział mi, że tytoń pomaga mu również w pisaniu.

— Czy pisze pan nową sztukę? — zastanawiałem się na głos. — Może przeszkadzam panu w pracy?

Kiwnął głową.

— Owszem, piszę i nie, nie przeszkadzasz mi.

— Ach — odparłem. Nikt tak jak Szekspir nie sprawiał, że twój język zamieniał się w kołek. — Dobrze i... dobrze.

— Będzie nosiła tytuł *Juliusz Cezar*.

— Czy będzie opowiadała o życiu Juliusza Cezara?

— Nie.

— Och.

Zaciągnął się głęboko fajką.

— Nienawidzę pisania — powiedział przez kręcący spirale dym. — Ot i cała prawda.

— Ale jest pan w tym bardzo dobry.

— I co z tego? Mój talent nie jest wart dzbanka ale. On nic nie znaczy. Zero. Bycie dobrym w pisaniu to jak umiejętność wyrywania sobie włosów. Jaką wartość ma talent, który sprawia ci ból? To jest dar, który pachnie zarówno niebiańsko, jak i ma odór lisiego gówna. Lepiej być dziwką pod „Kardynalskim Kapeluszem” niż pisarzem. Moje pióro jest moim przekleństwem.

Wyczułem, że trafiłem na jego gorszy dzień.

— Piszę, bo wtedy sztuka może zostać zagrana, a moi współpracownicy zarobią pieniądze. A pieniądz to nic złego. Powstrzymuje on ludzi przed popadaniem w obłąd. — Przez chwilę wpatrywał się ze smutkiem w przestrzeń. — Gdy byłem niewiele młodszy od ciebie, widziałem, jak cierpiał mój ojciec. Był dobrym człowiekiem. Nigdy nie nauczył się czytać, ale znał się na handlu. Degustator ale, rękawicznik, a później handlarz wełną. I innymi rzeczami. Dobrze sobie radził. Zawsze mieliśmy co zjeść. Kurczak na każdą kolację. Później stracił wszystkie pieniądze. Nazbyt często pożyczzał je innym i nie odzyskiwał choćby szylinga. Mając na utrzymaniu żonę i siedmioro dzieci, popadł w osobliwy stan. Kołysał się, drżał i bał nawet mysiego cienia. Dlatego piszę. Jestem w trakcie niekończącej się ucieczki przed szaleństwem — westchnął, spoglądając przez chwilę na planszę do warcabów, gdy jeden z mężczyzn wykonywał właśnie swój ruch. — Teraz ty. Jak to jest z tobą? Czy twój ojciec też był szalony?

— Nie wiem, sir. Zmarł, gdy byłem mały. Zginął na wojnie. We Francji.

— Katolicy?

— Katolicy.

— A więc przybyliście do Anglii.

Z oczywistych względów nie chciałem rozmawiać na swój temat, ale Szekspir miał właśnie na to ochotę. A ponieważ przybyłem poprosić go o przysługę, musiałem również podjąć ten niewygodny dla mnie temat.

— Tak było. Przybyłem tu z matką. Do Suffolk.

— Nie przypadło ci do gustu wiejskie powietrze, Tom?

— To nie z nim był problem.

— A z ludźmi?

— Chodziło o wiele różnych rzeczy.

Pił, palił i mnie analizował.

— Masz młodą twarz i mądry język. Ludzie tego nienawidzą. Wiedzą, że taka kombinacja może ich zwieść.

Zmartwiłem się. Czułem, że w tym momencie byłem poddawany testowi.

Przypomniałem sobie rozmowę z Christopherem i Halem.

— Znasz Ludzi Królowej? — spytał.

— Tę trupę aktorską?

— Tak. Właśnie ich miałem na myśli. Niegdyś dołączył do nich pewien człowiek. Henry Hemmings. Był wcześniej w kilku innych kompaniach aktorskich, a kiedy ludzie stawali się w stosunku do niego podejrzliwi, ponieważ zdawał się nie poddawać wpływowi czasu, przenosił się z jednej kompanii do drugiej. Miało to, jak sądzę, sens. W momencie, gdy dołączył do Ludzi Królowej, plotki na jego temat krążyły już niczym wróble. Jeden z aktorów go rozpoznał, ponieważ dekadę wcześniej współpracował z nim na północy. Doszło do walki. Najbardziej okrutnej walki, jakiej ktokolwiek mógł być kiedykolwiek świadkiem. Zdarzyło się to w mieście Thame, w hrabstwie Oxfordshire. Pod koniec zaatakowało go jeszcze dwóch innych członków

trupy, zupełnie jak psy otaczające królika. — Ostrożnie odłożył na blat fajkę, a następnie wydmuchał cienką smugę dymu prosto w sufit.

— Był pan tego świadkiem? — spytałem.

Pokręcił głową.

— Nigdy go nie poznałem, ale muszę mu podziękować.

— Za co?

Na jego twarzy pojawił się zmęczony życiem uśmiech.

— Za jego śmierć. Zginął, a Ludzie Królowej stracili jednego z głównych aktorów. Kiedy przyjechali do Stratford, dostrzegłem zarówno ich kłopoty, jak i swoją szansę. Poprosiłem o przyłączenie się do nich. Piłem z nimi. Rozmawialiśmy trochę, tak ogólnie. Mówiliśmy o Plutarchu i Robin Hoodzie. I wtedy los się do mnie uśmiechnął. Zostałem Człowiekiem Królowej. I to doprowadziło mnie do Londynu.

— Rozumiem.

Wziął łyk ale.

— Jednak to był złowieszczy początek. Choć nie przyczyniłem się w żaden sposób do jego śmierci, bywa, że cień Hemmingsa do mnie przychodzi. Często czuję, że jestem teraz na miejscu, które nie jest moje, że ono zwolniło się niesprawiedliwie. Było to gwałtowne i amoralne braterstwo łajdaków. Zabójców. Dwunastu Wolstanów Drzewo. Henry Hemmings nie popełnił przestępstwa, a jego jedyną przewiną było to, że różnił się od reszty. Miał twarz, która się nie starzała. To był mój początek — zgniły żołądek, z którego wyrosło to wszystko.

Przez chwilę wyglądał na dość kruchego, a potem podrapał się po brodzie i wziął ze stołu fajkę. Palił ją z zamkniętymi oczami. Wydmuchiwał dym nad swoim lewym ramieniem, podczas gdy ja popijałem swoje ale.

— Ten załazek nie był zgniły — powiedziałem.

— Ach, ale drzewo, jakie z niego wyrosło, jest pokręcone. W tej opowieści nie ma żadnego morału z wyjątkiem tego, że z wesołością i śmiechem trzeba witać nowe zmarszczki. — Nie wiedziałem na pewno, czy myśli o mnie jak o kolejnym Henrym Hemmingsie. Nie wiedziałem nawet, czy Henry Hemmings faktycznie był taki jak ja, czy też był kimś, kto został pobłogosławiony i przeklęty nieco dłuższą młodością niż przeciętna. Nie wiedziałem, czy Szekspir wiedział, co wydarzyło się w Edwardstone, i czy mój związek z Suffolk połączył te fakty w jego umyśle. Niemniej usłyszałem w jego słowach przyjazne ostrzeżenie. — Zatem czemu chciałeś się ze mną spotkać?

Wziąłem głęboki oddech.

— Znam dwie siostry, Grace i Rose. Obie potrzebują pracy. Potrzebują jej bardzo pilnie... Mogą sprzedawać jabłka.

— Nie znam się na handlu jabłkami.

Pokręcił głową. Najwyraźniej był poirytowany, że zaprzątam jego wielki umysł tak nieprzyjemną i trywialną sprawą.

— Proszę, porozmawiaj ze mną o czymś innym lub zostaw mnie.

Pomyślałem o zmartwionej twarzy Rose.

— Proszę mi wybaczyć, ale mam u tych dziewcząt wielki dług. Przyjęły mnie do swojego domu, gdy nie miałem absolutnie nikogo. Bardzo pana proszę.

Szekspir wziął łyk trunku. Czuję, że drażnię niedźwiedzia i obawą napelniała mnie myśl o jego kolejnych słowach.

— A kimże jest ta Rose? Twój głos znacząco złagodniał, gdy wymawiałeś jej imię.

— To moja ukochana.

— Rety. To coś poważnego?

Wskazał na Elbę, jedną z pracownic spod „Kardynalskiego Kapelusza”, które często nagabywały klientów w tawernie. Elsa trzymała pod stołem dłoń na genitaliach jakiegoś mężczyzny, a jej kciuk pieścił wybrzuszenie widoczne w kroku.

— Spójrz na mężczyznę, którego trzyma. Czy to jest ten sam rodzaj miłości, jaką ty czujesz?

— Nie. Cóż, tak. Ale zarazem czuję też coś innego.

Szekspir kiwnął głową. W jego oczach zalśniły łzy. Może to przez dym.

— Daję ci swoje słowo. Powiedz tym dziewczynom, że mogą sprzedawać swoje jabłka.

*

I tak też zrobiły.

Wszystko było słodkie i lekkie, chociaż za każdym razem, kiedy słyszałem monolog Jakuba, martwiłem się. Byłem w życiu aktorem w większym stopniu niż większość. Grałem role. Jaka miała być kolejna i kiedy powinienem się w nią wcielić? Jak mogłem zostawić obecną za sobą, skoro oznaczałoby to porzucenie Rose?

Wieczór, gdy powiedziałem Rose, że ona i Grace mogą pracować w Globe, ponieważ „Pan Szekspir tak zarządził”, był bardzo szczęśliwy. W drodze powrotnej do domu kupiłem talię kart. Siedzieliśmy przez całą noc, śmiejąc się, śpiewając, grając w durnia, jedząc zakupione na Old Street ciasta i pijąc więcej ale niż zwykle.

Rozmowa zeszła na Grace, że wygląda coraz bardziej kobieco, a ona sama powiedziała do mnie:

— Niedługo cię wyprzedzę. — Uczyniła to nie w niegrzeczny, lecz w charakterystyczny dla niej szczerzy i prosty sposób.

A następnie się śmiała, ponieważ wypila za dużo ale. Była przyzwyczajona do picia ale, lecz nie do czterech dzbanów z rzędu.

Rose się jednak nie śmiała.

— To prawda. Nie postarzałeś się choćby o dzień.

— To ze szczęścia — powiedziałem słabo. — Żadne zmartwienie nie pozostawiło na mojej twarzy zmarszczki.

Chociaż, oczywiście, w rzeczywistości miałem masę trosk, niemniej musiały minąć jeszcze dekady, zanim na mojej twarzy pojawiła się pierwsza zmarszczka.

Zwykłem patrzeć na Rose podczas muzycznych interludów, gdy ona obserwowała mnie siedzącego na balkonie. Co było w tych milczących wymianach spojrzeń w zatłoczonym miejscu? Była w tym magia, zupełnie jakbyśmy dzielili jakiś sekret.

Wraz z trwaniem sezonu tłum zdawał się coraz bardziej chuligański. W noc otwarcia — w obecności królowej i jej dworu — nie miała miejsca ani jedna bójka. Podczas kolejnych spektakli nie było jednak dnia, żeby nie doszło do bijatyki rozszerzającej się wśród posiadaczy najtańszych biletów. Na przykład pewnego razu jeden mężczyzna odciął ucho innemu za pomocą muszli małża. Zrobił to nad jedną z zawsze obecnych w tym miejscu prostytutek. Obawiałem się, że dziewczyny są tam, wśród tłumu, podczas gdy ja siedziałem w znajdującym się na bezpiecznej wysokości balkonie. Nic im się jednak nie przytrafiło, a sprzedaż owoców szła cztery razy lepiej niż w Whitechapel Market.

Ale potem, pewnego popołudnia, pod niebem pełnym szarych jak kamień deszczowych chmur, pojawiły się one — kłopoty.

Byłem właśnie pośrodku wykonania pieśni *Zabił jelenia i cóż mu dacie?* — którą już wówczas, podobnie jak wszystkie utwory w tej sztuce, byłbym w stanie zagrać choćby przez sen — kiedy coś zauważyłem. A właściwie kogoś. Mężczyznę o obwisłych ustach i wrednym

wyglądzie, którego miejsce znajdowało się w jednej z ław. Ukradł Grace jabłko i ugryzł je, zanim dziewczyna zdążyła poprosić go o uiszczenie opłaty w wysokości jednego pensa. Próbował ją odpędzić niczym natrętną muchę, ale Grace, jak to Grace, twardo broniła własnego stanowiska. Krzyczała do niego słowa, których nie byłem w stanie usłyszeć ze swojego miejsca, ale znając młodszą z sióstr, mogłem się domyślić ich brzmienia. Z racji tego, że stanęła na drodze innego mężczyzny, problem zaczął przybierać większe rozmiary. Ten człowiek — błądy brutal o brązowych zębach, odziany w nasiąknięty ale ubiór — popchnął Grace na ziemię, powodując, że wszystkie przeznaczone na sprzedaż jabłka potoczyły się po podłodze pełnej piasku, orzechów i muszli ostryg, przywołując wspomnienie śliwek rozrzuconych po Fairfield Road. Wtedy jabłka stały się darmowe dla wszystkich, a kilka osób rzuciło się na ziemię, by je zebrać.

Grace wstała, a pierwszy mężczyzna, złodziej jabłka, pochwycił ją, wykrzywił twarz niczym gargulec, a następnie wsunął język do ucha dziewczyny.

W tym momencie przestałem grać.

Siedzący obok Hal stukał mnie stopą, wciąż grając na flecie, podczas gdy aktorzy pod nami śpiewali swoje kwestie. Słyszałem, jak siedzący za mną Christopher wzdycha z dezaprobatą. Zacząłem więc znowu grać, ale potem udało mi się odnaleźć wzrokiem Rose, która porzuciła swój kosz i rzuciła się ku najniższym rzędom, zaniepokojona tym, co się dzieje z jej siostrą. Dotarła do Grace, która nadal miała kłopoty z amatorem jej uszu, a wtedy towarzysz złodzieja jabłek złapał ją, pociągnął za spódnicę i pod nią sięgnął.

Uderzyła go otwartą dłonią, lecz on szarpnął ją za włosy. Czuję jej niepokój tak, jakbym sam go doświadczał. To samo miało miejsce chwilę później, gdy Grace uderzyła swojego dręczyciela w twarz, rozkwazając mu nos. Nie wiedziałem, co się dzieje, ponieważ wspinając się na dębową balustradę na balkonie dla muzyków, dzierżyłem w dłoni lutnię niczym maczugę. Następnie zeskoczyłem na scenę przy akompaniamencie tysiąca westchnień.

Wylądowałem na Willu Kempie, a następnie uderzyłem ramieniem samego Szekspira, podrywając się na nogi i skacząc ze sceny w kierunku Rose i Grace.

Biegałem wśród posiadaczy najtańszych biletów i przepychałem się przez tłum, a rozszoszczeni widzowie ciskali w moim kierunku orzechy, ale i jabłka. Za moimi plecami, tak jak zawsze, odgrywano sztukę, ale szczerze wątpię, czy nawet posiadacze biletów za pięć pensów byli w stanie ze swoich miejsc usłyszeć choćby jedno wypowiedziane na scenie słowo, ponieważ na dole i wokół najtańszych ławek powstał zbyt duży rwetes. Nawet w łóżach ludzie ryczeli, gwizdali i rzucali w moim kierunku własnym jedzeniem.

Rose miała się już już dobrze — wyzwoliła się z objęć lubieżnego napastnika — i starała się pomóc Grace, będącej wciąż w tarapatkach, wokół szyi której napastnik zacisnął masywne ramię.

Wspólnymi siłami udało nam się wyswobodzić Grace.

Chwyciłem siostry za ręce i ponagliłem je:

— Musimy stąd iść.

Pojawił się jednak potencjalnie większy problem.

Jeden z mężczyzn zajmujących droższe miejsca stał teraz na naszej drodze, podczas gdy my próbowaliśmy się wydostać z teatru. Nie zauważyłem go i wątpię, by on zauważył mnie do momentu, w którym zeskoczyłem z balkonu.

Stał tam, wysoki, silny i masywny, lepiej ubrany, niż gdy widziałem go ostatnio, z przerzedzonymi włosami zwisającymi spłaszczonymi pasmami z głowy. Skrzyżował na piersi te swoje ręce brutala.

— O, proszę — powiedział Manning, patrząc na mnie jedynym zdrowym okiem. — A więc to prawda. Dotarłeś do Londynu... Jak wiele czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? Wydaje się, że to było wczoraj. Nie zmieniłeś się w ogóle. Bo ty się nie zmieniasz,

prawda?

A więc to prawda.

Miałem się nigdy nie dowiedzieć ze stuprocentową pewnością, czy Christopher rozsiał swoje podejrzenia wobec mojej osoby poza balkon dla muzyków. Nigdy też nie dowiem się, czy mężczyźni, którzy sponiewierali Rose i Grace, byli wtajemniczeni w cały spisek.

— Widzę, że masz nowych przyjaciół.

— Nie — powiedziałem, jakby słowo mogło wykasować rzeczywistość.

Zaczął lustrować wzrokiem zmieszane Grace i Rose.

— Nie?

— To nie są moje przyjaciółki — powiedziałem, chcąc, by jak najmniej wiedział na temat sióstr oraz ich związku ze mną. — Dzisiaj pierwszy raz widzę je na oczy.

Próbowałem przekazać wzrokiem Rose, żeby odeszła, ale mnie nie usłuchała.

— Ach. Wciąż te kłamstwa. Cóż, dziewczęta, musicie być świadome tego, że on nie jest tym, za kogo się podaje. Jest nienaturalnym wcieleniem zła. Chłopakiem więdźmy.

— Moja matka zginęła jako niewinna kobieta. Umarła przez ciebie.

— Tylko Bóg wie, jakie było jej ostatnie zaklęcie. Może zmieniła formę. Kto wie, czy nie stoi teraz pośród nas.

Wpatrywał się w Rose, a potem w Grace, jakby próbował odczytać zawily tekst. Nie mogłem zostać tam ani chwili dłużej. Koszmar zaczynał się odgrywać na jawie. Sama wiedza o mnie oznaczała niebezpieczeństwo dla każdego jej posiadacza. Samo moje istnienie stanowiło klątwę. Tłum wokół nas stał nieruchomo, w większym stopniu patrząc na Manninga niż na scenę. Rozpoznałem jedną z wpatrzonych we mnie twarzy. Nie znałem jego imienia, ale wiedziałem, że jest szlifierzem. Widywałem go o poranku na moście, kiedy oferował swoje usługi.

Był bladym, słabowitym, chudym mężczyzną, niemającym więcej niż dwadzieścia lat. Zawsze nosił przy sobie pas lśniących noży.

Rozważałem wyrwanie jednego z nich, ale to zapewniłoby mi tylko bilet w jedną stronę do Tyburn⁵ i pętlę na szyję.

Wiedziałem jednak, że było już za późno. Ryzyko, że Manning zorientuje się, iż znam dziewczęta, było mniejsze niż to związane z moim odejściem i pozostawieniem ich z nim.

Błagałem więc Rose.

— *Musimy wyjść.*

...zabiję cię stu pięćdziesięcioma sposobami; drzyj więc i uciekaj!...6

Gdy jednak Manning zacisnął dłoń na włosach Grace, nawet aktorzy na scenie zamilkli.

— Ta! — krzyknął Manning. — Ile ona ma lat?

Grace go kopała.

— Dwadzieścia? Trzydzieści? Może mieć nawet sześćdziesiąt lat. Wygląda jak dziecko, ale widzieliśmy już podobne podstępny, prawda?

Grace uderzyła go mocno w genitalia.

— Zostaw mnie, ty węgorzu, ty cipia szczyno!

Nie poprawiło to sytuacji. Tłum zaczął sprzyjać Manningowi i nastawiał się przeciwko nam. Byliśmy uwięzieni. Manning mógł zyskać posłuch. Oskarżenia o czary i pakt z diabłem mogły przerodzić się w proces. Naraziłem Rose i Grace. I wtedy wydarzyło się coś, co mogło nas ocalić.

— Proszę natychmiast zostawić tę dziewczynę.

To był sam Szekspir. Stał z przodu sceny, co było dla niego nietypowe.

Manning jednak nie puścił.

— Nazywam się William Manning. Jestem...

— Nie dbam o to — rzekł Szekspir. — Ci aktorzy również o to nie dbają. Podobnie jak i cały Globe. Puść ją. Uwolnij ją i jej przyjaciół, bo w przeciwnym razie już nie zagramy.

To wystarczyło. Pojawiła się groźba zaprzestania wystawiania sztuk. Nawet wtedy było jasne, że ludzkie masy potrzebują czegoś więcej niż sprawiedliwości. Ludzie pragnęli rozrywki, a Szekspir, podobnie jak każdy, doskonale o tym wiedział.

Cały teatr krzyczał teraz na Williama Manninga. Muszle ostrzeg ciskano wprost w jego czerwoną twarz. Na czole Manninga pojawiła się niebieska żyłka. Puścił Grace. Przyłgnęliśmy do niej, a następnie ruszyliśmy w przeciwną stronę budynku, deptając po piasku i wszelkich leżących na nim resztkach. Odwróciłem się w kierunku sceny, zastanawiając się, czy Szekspir na nią wrócił. Nasze spojrzenia się spotkały akurat w momencie, gdy rozmawiał z ożywionym tłumem, wyjaśniając, że dzisiejszy spektakl dedykuje aktorowi, u którego miał dług. „Mężczyźnie nazwiskiem Henry Hemmings”. Wiedziałem, że była to wiadomość. Kod skierowany do moich uszu.

Wiedziałem, że nigdy już nie możemy wrócić do Globe ani Bankside.

Hackney, w pobliżu Londynu, rok 1599

Plotka.

Plotka żyła. I nie tylko w obiegowym znaczeniu. W nią naprawdę tchnięto *życie*.

Historie ryczały, buczały i krążyły w powietrzu niczym bąki, unosząc się pośród odoru ścieków i stukotu wozów.

Dla przykładu, gdy niespodziewanie zaginęła Mary Peters, wiedziano o tym w każdym domostwie na wschód od murów. Rose, nawiasem mówiąc, była tak zdenerwowana, że przez cały dzień prawie się nie odzywała. A teraz, ze względu na to, co Rose nazwała „moim gorącym temperamentem”, historia lutnisty, który wskoczył na scenę w Globe, z pewnością miała zostać w najbliższym czasie omówiona w każdej karczmie Londynu.

— Ale przecież ty i Grace miałyście kłopoty!

— Potrafimy o siebie zadbać. Zawsze dawałyśmy sobie radę. A teraz musimy wrócić do Whitechapel...

Rozmowa zmieniła kierunek i obrała tor, jakiego się spodziewałem. Rose chciała się dowiedzieć, kim był ten mężczyzna. Manning.

— Nie wiem.

— Kłamiesz.

— Nie mogę ci wyjawić prawdy.

— Powiedział, że twoja matka była wiedźmą. Co miał na myśli?

— Coś mu się pomieszało. Zapewne mnie z kimś pomylił.

Jej zielone oczy wpatrywały się we mnie, lśniąc ogniem gorzejcej furii.

— Czy masz mnie za głupią, Tomie Smith?

I tak właśnie było. Wyjawienie tylko swojego imienia sprawiło, że poczułem, iż muszę jej *cokolwiek* zdradzić.

— Wybacz mi, Rose. To był błąd. Nigdy nie powinienem był tutaj przybyć. Powinienem był odłożyć pieniądze, które byłem ci winien, i wyjechać. Nigdy nie powinienem był pozwolić rozwinąć się uczuciom, a ponadto nie wolno mi było pozwolić, żebyś też coś do mnie poczuła.

— O czym ty mówisz, Tom? Twoje słowa są dla mnie zagadką.

— Tak... i nie tylko one. Ja również jestem zagadką. Taką, której nigdy nie rozwiążesz. Ja sam nie jestem w stanie siebie rozpracować.

Wstałem z taboretu i nerwowo chodziłem, zataczając kręgi. Grace spała w swoim pokoju,

więc ściszyłem głos, lecz nadal mówiłem natarczywym tonem.

— Musisz sobie znaleźć kogoś innego, Rose. Spójrz na mnie. Tylko na mnie popatrz! Jestem dla ciebie za młody.

— To tylko dwa lata, Tom. Nie jest to aż taka różnica.

— Ale będzie się ona powiększać.

Wyglądała na zdezorientowaną.

— Jak to możliwe? Co masz na myśli, Tom? Jak nasza różnica wieku może się powiększać? To nie ma sensu.

— Teraz nie jestem już ci przydatny. Nie mogę wrócić do Southwark.

— Przydatny? *Przydatny?* Moje serce należy do ciebie, Tom.

Oddychałem ciężko. Chciałem wydyszeć z siebie rzeczywistość. Chciałem, by łza, która właśnie spływała z jej oka, nigdy się w nim nie pojawiła. Chciałem, by mnie znienawidziła. Chciałem jej nie kochać.

— Cóż, najwyraźniej znów oddałaś serce niewłaściwej osobie.

— Opowiedz mi o swojej matce, Tom... Tym razem powiedz prawdę. — Jej wpatrzone we mnie oczy uniemożliwiały kłamstwo.

— To przeze mnie ją zabiło.

— Co?

— Jest we mnie coś naprawdę bardzo dziwnego, Rose.

— Co takiego?

— Nie starzeję się.

— Co takiego?

— Sama na mnie popatrz. Czas upływa, ale moja twarz tego nie odzwierciedla. Kocham cię. Naprawdę i szczerze. I jaki z tego pożytek? Jestem jak chłopiec próbujący się wspiąć na drzewo, którego gałęzie wznoszą się coraz wyżej i wyżej.

Była tak zdumiona moimi słowami, że udało jej się tylko powiedzieć:

— Nie jestem drzewem.

— Będiesz wyglądała na pięćdziesiąt lat, a ja wciąż będę taki jak teraz. Najlepiej, jak mnie zostawisz. Najlepiej będzie, gdy odejdę. Najlepiej będzie, jak...

Pocałowała mnie. Zrobiła to dlatego, że chciała, abym przestał mówić.

I mogła tylko połowicznie uwierzyć w to, co mówiłem. Przez wiele dni myślała, że jestem szalony. Ale gdy mijały tygodnie i miesiące, zdała sobie sprawę, że wszystko to prawda.

To było coś, czego nie mogła zrozumieć, bo jednak to była prawda.

Moja prawda.

Londyn, obecnie

Nie mam pojęcia, czy coś z tego, co powiedziałem Antonowi, do niego dotarło. Żyłem zaledwie czterysta trzydzieści dziewięć lat, co oczywiście nie było wystarczająco długim okresem, by choć trochę zgłębić wyraz twarzy przeciętnego nastolatka.

Tak, jest dość późno, bo dwadzieścia po dwunastej, kiedy wreszcie wchodzę do pokoju nauczycielskiego na przerwę obiadową. Siedzę tam, wdychając zapach kawy rozpuszczalnej i szynki konserwowej. Ból głowy jest dziś bardzo silny. Doskwiera mi ponadto szum w uszach. Czasami trapi mnie również ta dolegliwość. Nawraca i znika od czasu, gdy zostałem ogłuszony przez ogień artyleryjski podczas hiszpańskiej wojny domowej.

Nie chodzę już do supermarketu po lunch. Zamiast tego robię sobie co rano kanapkę. Ale teraz nie jestem nawet głodny, więc po prostu siadam i zamykam oczy.

Kiedy je otwieram, widzę Ishama, nauczyciela geografii, zaaferowanego podejmowaniem ważnej decyzji, którą saszetkę z herbatą umieścić w swoim kubku.

Widzę Camille.

Jest po drugiej stronie pomieszczenia i otwiera kartonowe opakowanie sałatki. Ma też sok jabłkowy i książkę, której używa jako prowizorycznej tacki.

Daphne, biorąc klementynkę ze wspólnej miski z owocami, uśmiecha się do mnie, przywołując na twarz nieco niepoważny uśmiech.

— Jak się miewasz, Tom? Jak się sprawy mają?

— Dobrze — odpowiadam. — Mam się dobrze.

Kiwa głową, wiedząc, że to kłamstwo.

— Będzie coraz lepiej. Pierwsze dziesięć lat zawsze jest najtrudniejsze. — Śmieje się, po czym wychodzi z pokoju nauczycielskiego i kieruje się do swojego gabinetu.

Czuję się źle z powodu Camille. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, zachowałem się niegrzecznie. Teraz zauważam, że wyjmuje coś z kieszeni. Tabletkę. Połyka ją, popijając sokiem jabłkowym.

Powinienem po prostu zostać na swoim miejscu.

Tego chciałby ode mnie Hendrich. Przecież to, co osiągnąłem, jest z punktu widzenia Stowarzyszenia Albatrosów stanem idealnym. Camille prawdopodobnie nigdy by się już do mnie nie odezwała.

Idę jednak przez pokój.

— Chciałbym cię przeprosić — mówię.

— Za co? — pyta, co jest miłe z jej strony.

Siadam, żeby móc rozmawiać z nią po cichu i wzbudzać jak najmniejsze zainteresowanie. Stephanie, nauczycielka matematyki, marszczy brwi, obserwując nas i jednocześnie jedząc śliwkę.

— Nie chciałem wyjść na takiego dziwaka. I nie chciałem być niegrzeczny.

— Cóż, niektórzy nie potrafią nic z tym zrobić. Niekiedy tak właśnie mają.

— Nie chcę taki być.

— To, jacy jesteśmy, i to, jacy chcemy być, to dwie różne rzeczy. Wszystko jest jednak w porządku. Świat sprawia, że trudno nie być w nim kutasem.

Mówi to delikatnym, normalnym tonem. Nigdy nie zostałem tak łagodnie znieważony.

Próbuję wszystko wyjaśnić, jednocześnie niczego nie wyjaśniając.

— Ja po prostu... Mam na głowie masę rzeczy i jeszcze ta moja twarz. Taka pospolita. Masa ludzi uważa, że jestem jakimś przyjacielem ich przyjaciela. Albo widzianym w telewizji aktorem.

Bez przekonania kiwa głową.

— Zatem prawdopodobnie o to chodzi. Powiedzmy, że mi się też tak wydawało.

Wtedy zauważam książkę pod sałatką Camille. To powieść. Zastanawiam się, czy to ta sama powieść, którą czytała tamtego dnia, kiedy widziałem ją w parku. Książka z serii Penguin Classic. *Czuła jest noc* F. Scotta Fitzgeralda z fotografią autora na okładce.

Najwyraźniej zauważa, że przypatruję się książce.

— Czytałeś? Co o tym sądzisz?

Trudno jest mi wydobyć z siebie choćby słowo. Wspomnienia tłoczą się w moim umyśle, blokując go, jak dzieje się, gdy otworzymy zbyt wiele okien w komputerze lub gdy łoż nabierze zbyt wiele wody.

Ból głowy narasta.

— Ja... ja... nie wiem... — z każdym wypowiedzianym słowem czuję się, jakbym

wiosłował. — *Kierując łodzię pod prąd* — mówię na głos.

— *Kierując łodzię pod prąd? Gatsby?*

Wstrzymuję oddech i znajduję się teraz jednocześnie w pokoju nauczycielskim w Londynie i paryskim barze. Jestem rozdarty między stuleciami, pomiędzy miejscem i czasem, teraz i wówczas, wodą i powietrzem.

Paryż, rok 1928

Szedłem samotnie do domu z hotelu, w którym właśnie zakończyła się moja zmiana. Grywałem w nim na fortepianie dla bogatych Amerykanów i Europejczyków, którzy lubią herbatę lub koktajle. Czułem się samotny. Musiałem być otoczony ludźmi, aby ukryć swoją samotność. Skierowałem się więc do gwarne go tłumu w Barze Harry'ego, jak już wcześniej mi się zdarzało. Prawie każdy w tym przybytku pochodził z innego miejsca, co mi zawsze odpowiadało w takich zbiorowiskach.

Udało mi się przebić do baru, gdzie znalazłem miejsce obok uroczej pary z pasującymi do siebie przedziałkami na środku głowy.

Mężczyzna na mnie spojrzał i być może wyczuł moją samotność.

— Polecam Krwawą Mary — powiedział.

— Któż to taki?

— Nie kto, a *co*. Koktajl. Zee go uwielbia. Prawda, kochanie?

Kobieta spojrzała na mnie smutnymi, ciężkimi oczami. Była albo pijana, albo gotowa do snu, albo jedno i drugie. Pomyślałem, że oboje wyglądają na dość pijanych. Skinęła głową.

— Na wojnie to wielki sojusznik.

— O jaką wojnę chodzi? — zastanowiłem się na głos.

— Wojnę z nudą. To bardzo realna wojna. Taka, w której wróg jest wokół nas.

Zamówiłem Krwawą Mary. Zaskoczyło mnie to, że w jej skład wchodzi sok pomidorowy. Mężczyzna się nasrożył. Trudno było stwierdzić, czy był to prawdziwy mars, czy udawany.

— Muszę powiedzieć, że czuję się lekko znieważony, kiedy mówisz w ten sposób, Zee.

— Och, Scott, nie o ciebie chodzi... nie byłeś nadmiernie nudny. To był jeden z lepszych wieczorów w twoim wykonaniu.

W tym momencie wyciągnął do mnie rękę, by się przywitać.

— Scott Fitzgerald. A to jest Zelda.

Znakomitą sprawą w przeżywaniu swojego czwartego stulecia było to, że choć rzadko natykałeś się na gwiazdy, nadal czymś znaczącym było przypadkowe trafienie na autora książki, która leżała obok twojego łóżka.

— Właśnie skończyłem czytać pańską książkę, *Wielkiego Gatsby'ego*. Przeczytałem również *Po tej stronie raj*, jak tylko się ukazała.

Wyglądał, jakby momentalnie wytrzeźwiał.

— I co o nim sądzisz? O *Gatsbym*? Wszyscy wolą *Raj*. Wszyscy. Mój wydawca próbuje ratować *Gatsby'ego* głównie z litości.

Zelda zrobiła taką minę, jakby miała się pochorować.

— To ta *obwoluta*. Ernest tak rzadko ma rację, ale tym razem ją miał. To wojna wytoczona oczom czytelników.

— Nie wszystko jest wojną, skarbie.

— Ależ oczywiście, że wszystko, Scott.

Wydawało się, że są na granicy sprzeczki, więc się wtrąciłem:

— Cóż, myślę, że jest ona wyjątkowa. Mam na myśli książkę.

Zelda skinęła głową. Zdałem sobie sprawę, że wygląda jak dziecko. Oboje tak wyglądali. Jak dzieci przebrane za dorosłych. Tak wielka była ich delikatna *niewinność*.

— Próbuję mu wyjaśnić, że ta książka jest dobra — powiedziała. — Możesz mu to jednak powtarzać, powtarzać i powtarzać, a twoje słowa i tak rozprysną się jak krople deszczu o dach.

Wyglądało na to, że Scott poczuł ulgę po tym, jak wyraziłem się pozytywnie o jego twórczości.

— Cóż, to sprawia, że jesteś lepszym człowiekiem niż ten facet z „Herald Tribune”. A oto twój drink... — Wręczył mi Krwawą Mary.

— To tutaj go wynaleziono — powiedziała Zelda.

Wziąłem łyk niezwykłego napitku.

— Doprawdy?

Wtedy wtrącił się Scott, mówiąc:

— Zdradź nam, czym się zajmujesz?

— Gram na fortepianie. W „Ciro’s”.

— Jak w tym paryskim „Ciro’s”? — spytał. — Przy rue Daunou? Wspaniale. Samo to stanowi nagrodę.

Zelda wzięła głęboki łyk jakiegoś koktajlu z ginem.

— Czego się boisz?

Scott uśmiechnął się przeproszająco.

— To jej typowe pytanie po alkoholu. Zawsze je zadaje.

— Boję się?

— Każdy się czegoś boi. Mnie przeraża perspektywa pójścia spać. I obowiązki gospodyni domowej. I wszystko, co się z tym wiąże. Scott boi się recenzji. I Hemingwaya. I samotności.

— Wcale się nie boję Hemingwaya.

Próbowałem coś wymyślić. Chciałem, przynajmniej raz, udzielić szczerzej odpowiedzi.

— Boję się czasu.

Zelda uśmiechnęła się, pochylając głowę, co wyglądało na przebłysk sympatii bądź rezygnacji.

— Chcesz przez to powiedzieć, że boisz się starzenia?

— Nie, chodzi mi o...

— Scotty i ja nie zamierzamy się zestarzeć, prawda?

— Plan jest taki — dodał Scott z przesadną powagą — żeby przeskoczyć z jednego dzieciństwa do kolejnego.

Westchnąłem, mając nadzieję, że przez to będę się wydawał bardziej zadumany, poważny i przesiąknięty inteligencją złotego wieku.

— Problem polega na tym, że jeśli żyjesz wystarczająco długo, twoje dzieciństwo w końcu dobiega końca.

Zelda zaoferowała mi papierosa, z czego skorzystałem. (Wówczas, podobnie jak wszyscy, paliłem). Następnie umieściła papierosa w ustach Scotta, a kolejnego zapaliła już sama. Kiedy pocierała zapałką o draskę, w jej oczach pojawiła się straszliwa rozpacz.

— Dorastaj lub fiksuj — powiedziała po pierwszym zaciągnięciu się. — Oto boskie wybory, jakie mamy...

— Gdybyśmy tylko zdołali znaleźć sposób na zatrzymanie czasu — powiedział jej mąż. — To nad tym powinniśmy pracować. Rozumiesz, żeby zatrzymać upływającą chwilę szczęścia. Złapać ją jak motyla w siatkę i zachować ten moment już na zawsze.

Zelda patrzyła teraz przez zatłoczony bar.

— Tak, tyle że zatrzymanie motyla oznacza wbiecie w niego szpilek, a więc jego

śmierć... — Wydawało się, że kogoś szuka. — Sherwood gdzieś zniknął. Ale, och, spójrz! To Gertrude i Alice.

I w ciągu kilku chwil zniknęli w zatłoczonej sali ze swoimi koktajlami. Mimo że dali mi wyraźnie do zrozumienia, iż mogę im towarzyszyć, zostałem sam, tylko w towarzystwie wódki z sokiem pomidorowym, kryjąc się w bezpiecznych cieniach historii.

Londyn, obecnie

Zadziwiająco, jak blisko jest przeszłość, nawet jeśli wyobrażasz sobie, że jest tak odległa. Zadziwiająco, jak potrafi wyskakiwać z pojedynczego zdania i cię trafiać. Zadziwiająco, jak każdy przedmiot bądź słowo potrafi przywołać ducha.

Przeszłość nie jest jakimś odosobnionym miejscem. W każdym momencie gotowa jest wkroczyć do teraźniejszości. Jedna minuta z lat dziewięćdziesiątych XVI wieku, kolejna z lat dwudziestych XX wieku. A wszystko to jest ze sobą powiązane. Dzieje się tak przez nagromadzenie czasu. Jego ilość się konsekwentnie nadbudowuje i nadbudowuje, by uderzyć cię w momencie, gdy będziesz miał opuszczoną gardę. Przeszłość istnieje wewnątrz teraźniejszości, powtarzając, odbijając się czkawką i przypominając o wszystkim, *co już nie istnieje*. Wysęca się ze znaków drogowych i tabliczek na ławkach parkowych oraz piosenek, nazwisk i twarzy, jak również okładek książek. Czasem sam widok drzewa lub zachodu słońca może uderzyć cię mocą każdego drzewa lub zachodu słońca, jaki kiedyś widziałeś, i nie ma sposobu, żebyś się przed tym uchronił. Niemożliwe jest życie w świecie pozbawionym książek, drzew czy zachodów słońca. To jest po prostu niewykonalne.

— Wszystko w porządku? — pyta Camille, a jej dłoń spoczywa na okładce tak, że widoczne jest tylko słowo „czuła”.

— Tak. Po prostu wciąż dopadają mnie te bóle głowy.

— Byłeś z tym u lekarza?

— Nie, ale się wybiorę. — Wizyta u lekarza jest, oczywiście, ostatnią rzeczą, jaką mam zamiar zrobić.

Patrzę na nią. Ma twarz, która sprawia, że chcesz jej wszystko opowiedzieć. To niebezpieczna twarz.

— Może potrzebujesz więcej snu — mówi.

Zastanawiam się, co ma na myśli, a ona widzi, że to robię, ponieważ po chwili dodaje:

— Widziałam, że o trzeciej nad ranem polubiłeś mój wpis na Facebooku. To ciekawa pora na pozostawanie na jawie, gdy rano ma się zajęcia w szkole.

— Och.

W jej uśmiechu pojawia się łobuzerski ton.

— Czy masz takie zwyczaje? Często po nocach szpiegujesz profile kobiet na Facebooku?

Czuję się zawstydzony.

— To... gdy... chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie.

— Wyluzuj, Tom. Żartuję sobie. Naprawdę powinieneś się nieco odciążyć.

Gdyby tylko mogła zrozumieć wagę tego, co w sobie noszę. Grawitację czasu.

— Wybacz mi — mówię — moją toporność.

— Wszystko w porządku. Życie czasami już takie jest.

A może ona mnie *rozumie*.

— Jestem nieco niezdarny w kontaktach z ludźmi.

— Rozumiem to. *L'enfer, c'est les autres*⁷.

— Sartre?

— *Oui. Dix points*⁸. Sartre. Pan komedia we własnej osobie.

Zmuszam się do uśmiechu i nic nie mówię, ponieważ jedyna myśl, która kołacze mi w głowie, to ta, że widok twarzy Camille poprawia mi samopoczucie, a zarazem przeraża. Dlatego zamiast kontynuować rozmowę, zadaję jej pytanie. To samo pytanie, które bardzo często padało z moich ust przez te wszystkie lata:

— Czy znasz kogoś o imieniu Marion?

Zastyga w grymasie. Naprawdę ją zdezorientowałem.

— Z Francji czy z Anglii?

— Z Anglii — odpowiadam. Po czym dodaję: — Lub skądkolwiek.

Myśli.

— Chodziłam do szkoły z Marion. Marion Rey. Opowiedziała mi o miesiączkowaniu. Moi rodzice byli świętoszkowaci i nigdy nie rozmawiali ze mną na ten temat. Bardzo powszechne było niemówienie dziecku, no wiesz, o całej tej krwi, jaka zacznie pewnego dnia wypływać z jego ciała.

Mówi to zwyczajnym tonem. Oprócz nas w pokoju nauczycielskim są jeszcze inni ludzie. Stephanie wciąż się nam przypatruje z marsmem na twarzy, trzymając w palcach pestkę śliwki. Dwa miejsca dalej Isham korzysta ze swojej komórki. Podoba mi się ten brak wstydu u Camille.

Wiem, że powinienem zainicjować rozmowę o niczym. Wiem, że wszystkie znaki na niebie i ziemi mówią, że to moment, w którym ten rodzaj rozmowy jest nieodzowny. Ale ignoruję znaki.

— A jakieś inne Marion?

— Nie, przykro mi.

— Nie ma sprawy. To ja cię przepraszam. Zresztą po to właśnie podszedłem.

Uśmiecha się, patrzy na mnie i dostrzega w moim spojrzeniu coś, co ją niepokoi. Czuję, że próbuje przypomnieć sobie, skąd mnie zna.

— Życie zawsze jest tajemnicze — mówi. — Ale niektóre tajemnice są większe od innych.

Po tych słowach zapada cisza. Zmuszam się do kolejnego uśmiechu, po czym odchodzę.

1 *Grace* — z angielskiego „wdzięk”.

2 *C'est vrai* — z francuskiego „To prawda”.

3 Tom nawiązuje do imienia Rose, które znaczy również „róża”.

4 Ten i kolejny cytat pochodzą ze sztuki *Jak wam się podoba* autorstwa Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha.

5 Tyburn — miejsce egzekucji skazańców w Londynie.

6 Kolejny cytat ze sztuki *Jak wam się podoba* autorstwa Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha.

7 *L'enfer, c'est les autres* — z francuskiego „Piekło to inni”.

8 *Oui. Dix points* — z francuskiego „Tak. Dziesięć punktów”.

CZEŚĆ CZWARTA

Pianista

Bisbee, Arizona, rok 1926

Był sierpień. Siedziałem w salonie małego drewnianego domku znajdującego się na skraju miasta. Przybyłem tam na zlecenie Hendricha. Co osiem lat otrzymywałem zadanie. Taka była umowa. Wykonywałeś zadanie, a potem przenosiłeś się do następnego miejsca, a Hendrich pomagał ci zmienić tożsamość i zapewniał bezpieczeństwo. Jedynie w chwili wykonywania samego zadania byłeś narażony na niebezpieczeństwo. Choć akurat ja miałem szczęście. Wykonałem trzy zadania i każde z nich zakończyło się sukcesem. Innymi słowy, udało mi się zlokalizować rzezione alby i przekonać je, by przystąpiły do stowarzyszenia. Nie było potrzeby uciekania się do przemocy. Nie było prawdziwego testu charakteru. Ale w Bisbee wszystko się zmieniło. Tu miałem się dowiedzieć, kim jestem. I co jestem w stanie zrobić, żeby odnaleźć Marion.

Choć nastał już wieczór, a ciemność szybko pochłaniała czerwone góry za oknem, upał pozostawał niezmiennie intensywny. Był jak płonące powietrze, ale w skoncentrowanej formie, jakby ktoś zdecydował się wtłoczyć całe pustynne gorąco do tego drewnianego domku.

Pot skapywał z czubka mojego nosa na dziewięć diamentów.

— Nie miałeś dotychczas do czynienia z takim upałem, co? Gdzieś się pan ukrywał? Na Alasce? Wydobywałeś złoto w Yukonie? — pytania padały z ust bezzębego chudzielca. Jego lewej dłoni brakowało dwóch palców. Przedstawił mi się jako Louis. Wziął kolejny łyk whisky i przełknął go bez krzywienia się.

— Ukrywałem się w różnych miejscach — odpowiadam. — Musiałem.

Wtedy ten drugi — Joe — ten, który właśnie mnie zaskoczył królewskim pokerem i który jest w tym duecie większy i sprytniejszy, zaczyna się złowieszczo śmiać.

— To naprawdę bardzo interesujące, a my zawsze doceniamy picie księżycówki z obcymi. Szczególnie z tymi, którzy mają w kieszeniach trochę zielonych. Chyba że pochodzą z hrabstwa Cochise. A to, że jesteś stąd, można zawsze łatwo poznać. Po samym ubiorze. Widzisz pan, wszyscy w tej okolicy są skażeni. Pyłem. Z kopalni. Nigdzie w pobliżu nie znajdziesz czystej bawełny. I spójrz pan na swoje ręce. Czyste jak śnieg.

Spojrzałem na swoje dłonie. W owych czasach byłem przyzwyczajony do ich widoku, wszak przez tyle lat grałem. Nauczyłem się grać na fortepianie. Na to właśnie poświęciłem ostatnie osiem lat.

— Dłonie to dłonie — odpowiedziałem żałośnie.

Graliśmy w pokera już od przeszło godziny. W tym momencie byłem biedniejszy o sto dwadzieścia dolarów. Łyknąłem jeszcze nieco whisky. Palila niczym ogień. Zdałem sobie sprawę, że nadszedł właściwy moment. Chwila, w której wyjawię prawdziwy powód mojego przybycia.

— Wiem, kim jesteście.

— Och? — odrzekł Joe.

Zegar tykał. W oddali, gdzieś na zewnątrz zawył zwierzę. Pies lub kojot.

Odchrząknąłem.

— Jesteście tacy sami jak ja.

— Szczerze w to wątpię — odpowiedział Joe ze śmiechem suchym jak pustynia.

— Nazywasz się Joe Thompson, tak?

— Po co pan pyta?

— A nie nazywasz się Billy Stiles? Ani William Larkin?

Louis wyprostował się na krześle. Jego twarz stężała.

— Kim ty jesteś?

— Byłem wieloma osobami. Tak samo jak ty. A teraz ustalmy, jak mam się do ciebie zwracać. Louis? A może Jess Dunlop? Lub John Patterson? A może Trójpalczasty Jack? A to zaledwie początek, nieprawdaż?

Dwie pary oczu i jedna para rewolwerów skierowały się w moją stronę. Nigdy nie widziałem, by ktokolwiek sięgał po broń tak jak ta dwójka. Byli naprawdę dobrzy.

Wskazali na rewolwer zawieszony u mojego pasa.

— Połóż go na stole. Spokojnie i powoli...

I tak też zrobiłem.

— Nie szukam kłopotów. Przybyłem, by zapewnić wam bezpieczeństwo. Wiem, kim jesteście. Znam też przynajmniej kilka z waszych ostatnich tożsamości. Wiem, że nie zawsze pracowaliście w kopalni miedzi. Wiem o pociągu, który obrabowaliście w Fairbank. Wiem o kolei Southern Pacific, dzięki której zarobiliście więcej niż większość osób byłaby sobie w stanie wyobrazić. Wiem, że żaden z was nie musi wydobywać miedzi. — Joe zacisnął szczękę tak mocno, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zmiażdży za chwilę własnych zębów, lecz nie przestawałem mówić. — Wiem też, że wasza dwójka miała zostać zastrzelona w Tombstone dwadzieścia sześć lat temu. — Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem zdjęcie otrzymane od Hendricha. — Wiem też, że ta fotografia, na której jesteście, została wykonana trzydzieści lat temu, a wy się postarzelicie co najwyżej o dzień.

Nawet przez moment nie spuścili ze mnie wzroku, by spojrzeć na zdjęcie. Wiedzieli, kim są. Wiedzieli też, że ja wiem, kim są. Musiałem mówić.

— Posłuchajcie mnie, nie mam zamiaru sprawić wam jakichkolwiek kłopotów. Próbuję wam tylko wyjaśnić, że wszystko jest w porządku. Jest wiele takich osób jak wy. Nie znam całej waszej historii, ale wyglądacie na rówieśników. Zakładam, że urodziliście się na początku XVIII wieku. Nie wiem natomiast, czy przez ten czas nawiązaliście kontakt z innymi ludźmi z tą samą przypadłością, ale mogę was zapewnić, że jest ich wielu. Jest *nas* wielu. Być może tysiące. A nasza przypadłość jest niebezpieczna. Pewien lekarz w Anglii nadał jej nazwę anageria. Kiedy wiedza o jej istnieniu zostaje upubliczniona — czy dzieje się tak wskutek naszej decyzji o wyjawieniu jej ludziom, czy też to oni dowiadują się o naszym istnieniu — ściągamy na siebie wielkie niebezpieczeństwo. Narażamy również tych, na których nam zależy. Możemy trafić do domu wariatów, jesteśmy ścigani i więzieni w imię nauki lub też mordowani przez ludzi kierujących się uprzedzeniami. Jestem więc pewien, że macie świadomość, iż wasze życie jest w niebezpieczeństwie.

Louis podrapał się po kilkudniowym zaroście.

— Z tej strony pistoletu wygląda, że to twoje życie wisi na włosku.

Joe zmarszczył brwi.

— Więc o co nas pan prosisz?

Głęboki oddech.

— Przybywam do was z propozycją. Rozejrzyjcie się wokół siebie. Mieszkańcy Bisbee zaczęli już być wobec was podejrzliwi. Wasz sekret staje się publicznie znany. Nastąpiła era fotografii. Nasza przeszłość jest coraz dokładniej dokumentowana. — Słyszałem, jak do mojego głosu powoli zaczyna zakradać się strach. Uświadomiłem sobie, w jak dużym stopniu powtarzam wszystko, co powiedział mi Hendrich. Każde moje słowo padło w przeszłości z jego ust.

W każdym słowie było coś na kształt dudniącej pustki. — Istnieje pewne stowarzyszenie, coś jak wspólnota, działające na rzecz nas wszystkich. Stara się odnaleźć każdą osobę cierpiącą na tę przypadłość, na anagerię, i włączyć ją do swojego kręgu. Pomaga ludziom. Pomaga im, gdy muszą pójść dalej i zacząć nowe życie. Ta pomoc może dotyczyć pieniędzy, ale również dokumentów i innych formalności.

Joe i Louis popatrzyli na siebie znacząco. Oczy Lou-isa były mętne, mniej rozświetlone inteligencją. Wyglądał niebezpiecznie głupio, ale był bardziej podatny na sugestię. Jego łatwiej byłoby mi kupić. Joe był silny, na ciele i umyśle. Joemu nie drżała ręka, w której trzymał kolta.

— O jakich pieniądzach mówisz? — spytał Louis, podczas gdy jakiś insekt latał dokoła jego głowy.

— To zależy od potrzeb. Stowarzyszenie dokonuje alokacji budżetu w zależności od zapotrzebowania konkretnego przypadku. — O Boże, naprawdę zaczynałem brzmieć jak Hendrich.

Joe potrząsnął głową.

— Nie słyszałeś, co pan powiedział? Twierdzi, że musimy się wyprowadzić z Bisbee. A to po prostu nie może się udać. Jest nam tutaj dobrze. Mamy dobre relacje z sąsiadami. Zakończyliśmy naszą wędrówkę, a ja od czasu, gdy przed laty zszedłem w tym kraju na stały ląd, przemierzyłem go wzdłuż i wszerz. I nikt nie będzie mi mówił, że znowu mam się gdzieś przemieszczać.

— Tak byliby dla was najlepiej. Bo widzicie, stowarzyszenie mówi, że po ośmiu latach...

Joe wydał z siebie dźwięk w połowie będący westchnieniem, a w połowie warczeniem.

— Stowarzyszenie mówi? Stowarzyszenie mówi? Nie jesteśmy w żadnym stowarzyszeniu i nigdy nie będziemy jego członkami. Zrozumiałeś?

— Przepraszam, ale...

— Jeszcze słowo, a podziurawię ci łeb.

— Stowarzyszenie skontaktowało się ze stróżami prawa. Wiedzą, że tu jestem. Jeśli mnie zastrzelicie, nie unikniecie kary.

Obydwaj się zaśmiali.

— Słyszałeś to, Louis?

— Słyszałem każde słowo.

— Może wyjaśnijmy panu Peterowi Jakiemuśtam, dlaczego jego dowcip jest tak zabawny.

— Możesz zwracać się do mnie Tom. Widzisz, jestem taki sam jak wy. Miałem wiele nazwisk.

Joe zupełnie mnie zignorował i kontynuował:

— W porządku. Ja to zrobię. Widzisz, żart jest zabawny, bo nie ma tu prawa, któremu byśmy podlegali. To nie jest zwykłe miasto. Już od jakiegoś czasu pomagaliśmy szeryfowi Downeyowi i starej P.D.

P.D. Phelps Dodge. Otrzymałem wystarczająco dużo informacji na temat Bisbee, by wiedzieć, że Phelps Dodge było firmą zarządzającą główną kopalnią w okolicy.

— W rzeczywistości — kontynuował Joe — pomogliśmy im zainicjować deportację Bisbee. Wiesz o tym, prawda?

Co nieco wiedziałem. W 1919 roku setki strajkujących górników zostały porwane i wygnane z miasta.

— Więc to, że przyłazisz tu i opowiesz o jakichś propozycjach od swojego stowarzyszenia, nie za bardzo nas rusza. Ostatnich związkowców, z jakimi się układaliśmy,

wykopaliśmy aż do Nowego Meksyku i zrobiliśmy to z pełną aprobatą szeryfa... Wracając do tematu, wyglądasz na bardzo rozgrzanego i znudzonego. Chodźmy na spacer i pozwólmy twojej krwi nieco ostygnąć.

Nastąpiła już ciemność. Pustynna ciemność.

Powietrze zaczęło się ochładzać, ale pocitem się, byłem ociężały i obolały, a moje podrażnione whisky usta były suche niczym grób, który już od ponad godziny dla siebie kopalem.

Kule to nie infekcje. Nie są one dżumą ani jedną z setek pozostałych chorób, na które alby są odporne. Tak jak w przypadku chorób, po osiągnięciu bardzo zaawansowanego wieku alba nie może się oprzeć kulom. A ja nie chciałem umierać. Chciałem pozostać przy życiu dla Marion. Hendrich przekonywał, że wkrótce uda mu się ją odnaleźć.

W trakcie kopania nieustannie co najmniej jeden z nich celował we mnie z rewolweru. Nie uległo to zmianie po wrzuceniu mnie do dołu. Tymczasem ich dwa konie rasy Saddlebred skubały trawę i wydawało się, że coś do siebie szeptały.

— Nadszedł twój czas — powiedział Joe, gdy wygramoliłem się z dołu, upewniając się, że zabieram ze sobą łopatę. Pochyliłem się, opierając na niej swój ciężar. — Nie pogrzebiemy z tobą twoich pieniędzy. Opróżnij kieszenie i połóż wszystko na ziemi.

Wiedziałem, że nadeszła moja kolej. Jedyna szansa, na jaką mogłem liczyć. Spojrzałem z zaciekawieniem na konie, sprawiając, że obydwaj mężczyźni zrobili to samo. Kiedy Joe z powrotem skierował na mnie swój wzrok, ujrzał łopatę szybko zbliżającą się do jego twarzy. Półprzytomny upadł na ziemię, wypuszczając z dłoni rewolwer, który upadł z głuchym dźwiękiem w pustynny pył.

— Zabij go — wybełkotał.

Louis, ten, którego uznałem za nieco bardziej bojaźliwego i z nieco wolniejszym palcem na spuście, oddał strzał w momencie, gdy rzuciłem się po pistolet Joego. Huk wystrzału odbijał się jeszcze echem na pustyni, gdy poczułem ból w plecach, w pobliżu prawego ramienia. Miałem jednak pistolet Joego i jedno zdrowe ramię, więc odwróciłem się i oddałem strzał, trafiając Louisa w szyję. On w tym czasie również zdążył strzelić, ale tym razem jego kula dosięgła tylko nocnego powietrza. Następnie oddałem kilka strzałów do Joego, którego ciało pociemniało od czarnej przy świetle księżyca krwi. Pomimo bólu udało mi się wturlać ich do grobu, który sam wykopałem, a następnie przysypać ciała ziemią. Zanim wdrapałem się na jednego z koni, odwiązałem drugiego, by mógł pogalopować swobodnie w ciemność.

Ból przekraczał znane mi granice wytrzymałości, ale w jakiś sposób udało mi się go pokonać. Jechałem, jechałem i jechałem przez pustynię, suche pagórki i wzgórza oraz wielki kamieniołom. Mojemu delirycznemu umysłowi wydawało się, że z kamieniołomu przywołuje mnie sama czarna śmierć, wiodąc ku sobie niczym przewoźnik dusz przez Styks. Oparłem się tym wołaniom i jechałem przez całą noc, aż dotarłem do Tucson. Pierwsze promienie słońca zwiastowały nadchodzący dzień, a ja zameldowałem się w oberży „Arizona Inn”, gdzie Agnes przemyśla alkoholem moją ranę. Następnie zagryzłem mokry ręcznik, by stłumić krzyk, gdy wyjmowała kulę za pomocą pęsety.

Los Angeles, rok 1926

Rana po kuli się goiła, ale wciąż czułem ból w ramieniu. Znajdowałem się w Garden Court Apartments and Hotel przy Hollywood Boulevard, a konkretnie w tamtejszej restauracji. Pośród wszystkich tych marmurów, kolumn i majestatyczności. Zachwycająca kobieta z pomalowanymi na czarno ustami i bladą twarzą siedziała przy pobliskim stoliku, rozmawiając

z dwoma próbującymi się jej przypodobać mężczyznami w biznesowych garniturach. Kobieta tą była Lillian Gish, gwiazda filmowa. Poznałem ją dzięki roli w filmie *Dwie sieroty*, którego akcja toczyła się podczas rewolucji francuskiej.

Przez chwilę byłem zaintrygowany.

Pokochałem kino podczas pobytu w Albuquerque, gdzie mieszkałem przez ostatnie osiem lat, i to, że można usiąść samotnie w ciemności i na mniej więcej godzinę zapomnieć, kim się jest, czując jedynie to, co wywołuje sam film.

— Zebrali tu ich wszystkich — wyjaśnił dyskretnie Hendrich, przystępując do jedzenia halibuta w sosie krewetkowym. — Gloria Swanson, Fairbanks, Fatty -Arbuckle, Valentino. Zaledwie przed tygodniem przy tym stoliku siedział Chaplin. Na twoim krześle. Zamówił tylko zupę. To był cały jego posiłek. Sama zupa.

Hendrich uśmiechnął się. Jego uśmiech nigdy nie budził we mnie nienawiści. Aż do tego dnia.

— Co się stało, Tom? Czy to wołowina? Może być trochę przeciągnięta.

— Z wołowiną jest wszystko w porządku.

— Ach, zatem chodzi o to, co się wydarzyło w Arizonie?

Niemal ryknąłem śmiechem.

— A o co innego mogłoby chodzić? Musiałem *zabić* dwie osoby.

— Teraz ani słowa. Wątpię, czy panna Gish chciałaby usłyszeć coś takiego. Proszę cię, Tom. Dyskretniej.

— Cóż, w takim razie nie rozumiem, dlaczego spotykamy się w restauracji. Sądziłem, że masz w tym hotelu apartament.

Wyglądał na zmieszanego.

— Lubię restauracje. Dobrze się czuję w otoczeniu innych ludzi. A ty tego nie lubisz, Tom?

— Powiem ci, czego nie lubię...

Przesunął dłonią w powietrzu, jakby zapraszając mnie do wejścia.

— Śmiało — rzekł. — Powiedz mi, czego nie lubisz. Jeśli to cię uszczęśliwi.

Pochyliłem się do przodu, aby wyszeptać:

— Nie lubię konnych ucieczek z miejsca morderstwa z kulą tkwiącą w ramieniu. Kulą. I... i... — straciłem cały rezon. — Nie chciałem tego zrobić. Nie chciałem ich zabijać.

Hendrich westchnął z filozoficznym wyrazem twarzy.

— Co powiedział doktor Johnson? *Kto staje się potworem, odrzuca ból bycia człowiekiem*. A wiesz, co ja myślę? Sądzę, że odnalazłeś siebie. Byłeś zagubiony. Nie wiedziałeś, kim ani czym jesteś. Nie miałeś żadnego celu. Żyłeś w ubóstwie. Poddawałeś się chandrze, wypalając się, by cokolwiek poczuć. A teraz spójrz sam. Masz jakiś cel. — Zamilkł na jedno lub dwa uderzenia serca. — Ten sos krewetkowy jest naprawdę boski.

Podszedł kelner i nalał nam trochę wina. Póki się nie oddalił, skupialiśmy się wyłącznie na jedzeniu. Ktoś zaczął grać na fortepianie. Niektórzy goście odchyliłi się na siedzeniach, by mieć przez chwilę lepszy widok na pianistę.

— Mówię tylko, że tego nie lubię. Ci mężczyźni nigdy by nie zostali członkami naszego stowarzyszenia. Powinieneś był to przewidzieć. Powinieneś był mnie przed nimi ostrzec, Hendrich.

— Proszę, mów do mnie Cecil. Tutaj jestem znany pod tym imieniem. Sądzą, że dorobiłem się w San Francisco. Rozbudowa nieruchomości. Pomogłem odbudować miasto. Po trzęsieniu ziemi. Czy nie wyglądam na Cecila? Mów mi Cecil. Sądzą, że nazywam się Cecil B. DeMille i mogę uczynić z każdego gwiazdę. To może zapewnić mi nieco rozrywki...

Nagle zmienił temat, skupiając się na kolejnej myśli.

— Kocham to miasto. Ludzie ciągną do niego ze wszystkich stron. Wszystkie te młode córki farmerów z Dakoty Południowej, Oklahomy lub Europy. Najwyraźniej to miasto zawsze było takie samo. W epoce lodowcowej zwierzęta przychodziły do miejsc pełnych płynnej, wyglądającej jak błyszczące jeziora smoły i w niej utykały. Zapach rozkładającego się mięsa wabił kolejne zwierzęta, które następnie przybywały, żeby dać się uwieźć w grubej, czarnej smole tak samo jak ich poprzednicy. Tak czy owak, jestem bezpiecznym typem drapieznika. Sądzą, że jestem niegroźny, bo mam siedemdziesiąt osiem lat. Siedemdziesiąt osiem! Tylko to sobie wyobraż. Gdy naprawdę tyle miałem, rznąłem w całej Flandrii wszystko, co tylko mogłem. Byłem niepoprawny. Żebyś tylko wiedział, ile propozycji matrymonialnych złożyłem w tym czasie. Byłem Valentino z Lowlands...

Wziąłem spory łyk wina.

— Nie mogę tego robić, Hendrich. Po prostu nie mogę.

— Cecil, *proszę cię*.

— Przykro mi, że poszedłem do doktora Hutchinsona. Poważnie. Bardzo mi przykro. Ale chcę odzyskać swoje dawne życie. Chcę znowu być sobą.

— Obawiam się, że — jak to powiadają — to niemożliwe. Życie idzie naprzód. Mamy luksus czasu, lecz nie jesteśmy w stanie go cofnąć. Ani zatrzymać. Jesteśmy na tej samej jednokierunkowej drodze co wszystkie jętki. Nie możesz się odciąć od stowarzyszenia, tak samo jak nie możesz sprawić, że nigdy byś się nie urodził. Rozumiesz to, prawda, Tom? A co z twoją córką? Przecież jej szukamy. I znajdziemy.

— Ale jeszcze tego nie zrobiliście.

— Jeszcze, Tom, *jeszcze* nie. Czuję, że ona gdzieś jest, Tom. Wiem, że ona gdzieś tam jest. Ona *tam* jest, Tom.

Nic nie odpowiedziałem. Tak, byłem zły, ale jak to często bywa w wypadku gniewu, stanowił on jedynie zewnętrzną projekcję strachu. Stowarzyszenie było niczym — nie miało fizycznej powłoki w świecie rzeczywistym, nie było żadnej kamiennej tablicy zawieszanej na wielkim budynku obwieszczającej jego istnienie. Był tylko Hendrich i ludzie, którzy pokładali w nim wiarę. I jak dotychczas... Hendrich w zupełności wystarczał. Jego *instynkt*. Może rzeczywiście to właśnie ów instynkt sprawił, że znowu mnie omotał przy użyciu odpowiednich słów. A może była to zasługa samych słów. A może naprawdę *był w stanie* wyczuć, że moja córka wciąż żyje.

Ale potem naszła mnie myśl.

— Jeśli twoje zdolności są tak wielkie, dlaczego tego nie przewidziałeś? Dlaczego nie przewidziałeś, że mogą mnie zabić?

— Ale cię nie zabili. Gdyby tak się stało, owszem, popełniłbym ogromny błąd. Lecz potrafisz o siebie zadbać. Wiedziałem o tym, a teraz uzyskaliśmy na to dowód. Oczywiście, wszyscy potrafimy wyjść cało z opresji. Ale ty... Sam nie wiem. W tobie jest coś wyjątkowego. Pragnienie życia. Większość ludzi po osiągnięciu twojego wieku czuje, że wszystko już przeżyli. Kiedy jednak ujrzałem cię po raz pierwszy, dostrzegłem w tobie głód przyszłości, tęsknotę za tym, co nastąpi. Oczywiście, twoja córka ma na to wpływ, ale nie tylko. To wielka niewiadoma.

— Ale co to za życie? Zmianianie tego, kim się jest, co osiem lat?

— Już wcześniej musiałeś zmieniać tożsamość. Jaka więc to dla ciebie różnica?

— Taka, że mogłem decydować. To było *moje* życie.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się uroczyście.

— O nie. Żyłeś w odosobnieniu. Ukrywałeś się przed życiem. Ośmielę się stwierdzić, że ukrywałeś się przed sobą samym.

— Ale czyż nie po to istnieje stowarzyszenie? Żeby się ukryć?

— Nie, Tom, nie po to. Wszystko opacznie zrozumiałeś. Spójrz tylko na nas. Siedzimy w centrum najbardziej znanej restauracji w słonecznym mieście, które każdy chce odwiedzić. Nie ukrywamy się. Nie jesteśmy schowani w czeluściach St Albans, gdzie obrabialibyśmy metal w kuźni. Celem stowarzyszenia jest zapewnienie struktury, *systemu*, który pozwala poprawić nasze życie. Oddajesz okolicznościową przysługę, dokonujesz rekrutacji, a później masz dobre życie. I tak mi za to dziękujesz.

— Dopiero co spędziłem osiem lat na farmie w Albu-querque, za towarzystwo mając tylko trzy krowy i kaktusy. Wygląda na to, że stowarzyszenie dla jednych robi więcej niż dla innych.

Hendrich potrząsnął głową.

— Mam dla ciebie list od Reginalda Fishera. Pamiętasz go? To ten mężczyzna, którego zwerbowałeś w Chicago.

Wręczył mi list, a ja go przeczytałem. To był długi list. Jeden z zapamiętanych przeze mnie akapitów znajdował się pod jego koniec. *Zdradziłbym Boga, gdybym ze sobą skończył, co planowałem, zanim mnie odnalazłeś. Teraz jednak jestem szczęśliwy, wiedząc, że nie jestem żadnym dziwacznym gatunkiem człowieka, lecz członkiem rodziny.*

— W porządku, Arizona była błędem. Ale nie wszystko nim było. Ludzie tracą życie na wojnach, ale nie oznacza to, że nie powinno się w nich walczyć. Miałeś fortepian, Tom. Grałeś na nim?

— Pięć godzin dziennie.

— Na ilu instrumentach potrafisz teraz grać?

— Na około trzydziestu.

— Imponujące.

— Niespecjalnie. Większości z nich nikt już nie chce słuchać. Trudno jest zagrać utwory Gershwina na lutni.

— Tak. — Hendrich zjadł ostatni kawałek ryby. Następnie zaczął mi się z powagą przyglądać. — Jesteś mordercą, Tom. Bez ochrony stowarzyszenia znajdowałbyś się teraz w bardzo nieprzyjemnym miejscu. Potrzebujesz nas. Ale nie chcę, żebyś trzymał się nas wyłącznie z czystej konieczności, Tom... Słucham cię. Słyszę cię. Naprawdę. Nigdy nie zapomnę ludzi, których uratowałeś, wprowadzając ich do stowarzyszenia. Od teraz będę przykładał nieco większą wagę do twoich potrzeb. Mam również zamiar przeznaczyć dodatkowe zasoby na poszukiwanie Marion. Mamy nowych ludzi. Kogoś w Londynie. Kogoś w Nowym Jorku. Jednego w Szkocji. Innego w Wiedniu. Będę nad tym pracować. I, oczywiście, finansować wszelkie potrzeby. Będę cię słuchał. Pomogę ci, zrobię, co w mojej mocy. Chcę, żebyś się rozwijał, Tom. Chcę, abyś znalazł nie tylko Marion, ale również przyszłość, na jaką czekasz...

Do sali weszła grupa czterech mężczyzn, która została odeskortowana do stolika. Jeden z mężczyzn miał najbardziej rozpoznawalną twarz na planecie. To był Charlie Chaplin. Dostrzegł Lillian Gish, podszedł do niej i zaczął coś mówić, a jego spokojną minę od czasu do czasu zaburzał nerwowy uśmiech. Aktorka roześmiała się wdzięcznie. Niegdyś oddychałem tym samym powietrzem co Szekspir, a teraz oddycham tym samym powietrzem co Chaplin. Jak mogłem nie być za to wdzięczny?

— Jesteśmy niewidzialnymi wątkami historii — powiedział Hendrich, jakby czytając w moich myślach.

Chaplin zauważył, że na niego patrzymy, i pozdrowił nas, uchylając niewidzialny melonik.

— Sam widzisz. Przecież mówiłem, że uwielbia to miejsce. A na pewno tutejszą zupę.

A zatem co chciałbyś teraz zrobić ze swoim życiem?

Zastanawiałem się nad uwagą, jaką poświęcano Chaplinowi, i uznałem, że nie byłbym w stanie wymyślić większego koszmaru. Następnie, gdy myślałem nad zadaniem mi pytaniem, wpatrywałem się w pianistę. Był ubrany w biały smoking, miał zamknięte oczy i odpływał, nuta po nucie, takt po takcie, niezauważany przez kogokolwiek poza mną.

— *To* — powiedziałem, wskazując na pianistę. — To chciałbym robić.

Londyn, obecnie

— Ale dlaczego Liga Narodów nie powstrzymała Mussoliniego przed wkroczeniem do Abisynii?

Aamina siedzi w pierwszym rzędzie. Poważna, czujna i ze zmarszczonymi brwiami. Trzyma ołówek. Ma na sobie koszulkę z napisem „Dumny płatek śniegu”.

Prowadzę lekcję o przyczynach wybuchu drugiej wojny światowej, próbując od 1939 roku cofnąć się do początku lat trzydziestych ubiegłego wieku. Opowiadam o zajęciu przez Włochy Abisynii, dzisiejszej Etiopii, jak również o dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku oraz o hiszpańskiej wojnie domowej i wielkim kryzysie.

— Cóż, próbowali, ale robili to bez przekonania. Starali się wykorzystać sankcje gospodarcze, ale niczego nie wyegzekwowali. Rzecz w tym, że w tamtych czasach większość ludzi nie wiedziała, z czym mają do czynienia. Widzisz, gdy patrzysz na wydarzenia historyczne, masz dwie perspektywy. Jedną opartą na tym, co było wcześniej, drugą na tym, co później. W danym momencie wszyscy mieli tylko jedną z nich. Nikt nie wiedział, dokąd zmierza faszyzm.

Lekcja idzie nieźle, a ból głowy nie jest zbyt dotkliwy. Myślę, że wpływ na to mogło mieć pogodzenie się z Camille. Lepsze samopoczucie sprawia, że działam na czymś w rodzaju autopilota. Nie zastanawiam się zbytnio nad słowami, które wypowiadam.

— Wieści z Abisynii stanowiły jednak prawdziwy punkt zwrotny. Ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę, że *coś* się dzieje. Już nie tylko w Niemczech, ale i we Włoszech. Coś, co dotyczy porządku świata. Pamiętam, jak przeczytałem gazetę w dniu, w którym Mussolini ogłosił zwycięstwo, i...

Kurwa.

Milknę.

Uświadamiam sobie, co powiedziałem.

Aamina, ostra jak jej ołówek, też to zauważa.

— Powiedział to pan, jakby tam był — mówi.

Kilku uczniów kiwa głowami na potwierdzenie jej słów.

— Nie było mnie tam. To takie myślenie o historii. Zaczyna się nią żyć. Staje się nową terażniejszością...

Na twarzy Aaminy pojawia się ślad rozbawienia.

Kontynuuję.

Myślę, że udało mi się wybrnąć z opresji. To mały błąd, a jednak nie zwykłem zaliczać takich wpadek.

Podczas przerwy widzę, że Camille rozmawia z kimś na korytarzu. Opiera się o prace uczniów inspirowane fawelami z Rio. Część prac jest bardzo jasna, część wygląda jak z okresu fowizmu, a jeszcze inne przypominają dzieła z końca XIX wieku.

Rozmawia z Martinem. Z tym beznadziejnym nauczycielem muzyki. Martin ma na sobie czarne dżinsy i koszulkę w tym samym kolorze. Nosi brodę i włosy dłuższe niż przeciętny

nauczyciel płci męskiej. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiają, ale w pewnym momencie Camille wybuchła śmiechem. Budzi to we mnie dziwny niepokój. Mijam ich, a Martin dostrzega mnie pierwszy i uśmiecha się głupawo, jakbym go czymś rozbawił.

— Cześć, Tim. Wyglądasz na trochę zagubionego. Dali ci mapę?

— Tom — odpowiadam.

— Że co, kolego?

— Mam na imię Tom. Nie Tim. Tom.

— W porządku, stary. Łatwo pomylić.

Camille się do mnie uśmiecha.

— Jak poszła lekcja? — pyta, lustrując mnie wzrokiem niczym detektyw. Uśmiechnięty detektyw, ale jednak detektyw.

— W porządku — odpowiadam.

— Słuchaj, Tom. Co czwartek kilkoro z nas robi wypad do „Kanap i Koni” na parę drinków. Spotykamy się tam o siódmej. Ja, Martin, Isham, Sarah... Musisz się z nami wybrać. Przekonaj go, Martin.

Martin wzrusza ramionami.

— To wolny świat. Ale jak masz ochotę, to proszę bardzo.

Oczywiście, jest tylko jedna odpowiedź, jakiej powinienem udzielić. *Nie*. Zerkam jednak na Camille, a następnie słyszę padającą z moich ust odpowiedź:

— Tak, w porządku. „Kanapy i Konie”. O siódmej. Brzmi nieźle.

Interludium o fortepianie

Przenosiłem się z miejsca na miejsce i z czasu do czasu jak strzała odporna na działanie grawitacji.

Przez jakiś czas miałem się lepiej.

Ramię wydobrzało.

Powróciłem do Londynu. Hendrich załatwił mi tam pracę pianisty w hotelu. Życie było dobre. Piłem koktajle i flirtowałem z kobietami w eleganckich strojach, a potem wpadałem w objęcia nocy, aby tańczyć przy dźwiękach jazzu z seksbombami i podfruwajkami. To był dla mnie idealny czas, w którym oczekiwano, że przyjaźń i relacje będą intensywne i szybko się wypalą w wyuzdaniu podlewanym hektolitrami ginu. *Burzliwe* lata dwudzieste. Czy nie tak się teraz mówi o tamtej epoce? W porównaniu z wcześniejszymi latami rzeczywiście było słyhać wówczas grzmoty. Również inne dekady w Londynie były hałaśliwe, by wymienić ryczące lata trzydzieste XVII wieku czy śmiejące się lata pięćdziesiąte XVIII wieku, ale tym razem było inaczej. Po raz pierwszy w historii dźwięki były wszechobecne. Nawet w Londynie nie było to normalne. Hałas silników samochodowych, dźwięki dochodzące z kin, audycje radiowe czy odgłosy ludzi przechodzących samych siebie.

To była era hałasu, a granie muzyki dość niespodziewanie nabrało nowego znaczenia. Czyniło cię panem świata. Pośród przypadkowej kakofonii współczesnego życia umiejętność grania muzyki, nadawania hałasowi *sensu*, mogła uczynić z ciebie Boga. Stwórcę. Tego, który niesie porządek. Dawcę pocieszenia.

W owym czasie cieszyła mnie moja rola. Byłem urodzonym w Londynie Danielem Honeywellem. Człowiekiem, który uderzał w klawisze z kości słoniowej ku uciechu turystów z klasy wyższej i emigrantów przybyłych na liniowcach oceanicznych z czasów pierwszej wojny światowej.

Powoli, lecz nieubłaganie dopadała mnie jednak melancholia. Wtedy myślałem, że to

kolejny epizod osobistego smutku, daremnej miłości do kobiety, która zmarła tak dawno temu. Myślę jednak, że był to również efekt bycia w zgodzie z tamtymi czasami.

Chciałem działać. Miałem dość tego, co miało pomóc wyłącznie mnie. Chciałem zrobić coś dla ludzkości. Byłem człowiekiem, który kieruje się empatią wobec innych istot ludzkich, nie tylko tych dotkniętych przekleństwem bądź darem nadmiernej długowieczności. „Czasowej winy”, jak to nazywała Agnes, kiedy rozmawiałem z nią na ten temat. Spotkała się ze mną w Londynie pod koniec spędzanych tam przeze mnie ośmiu lat. Mieszkała wtedy w paryskiej dzielnicy Montmartre. Miała stamtąd wiele opowieści. Nadal była zabawna.

— Jestem zmartwiony — powiedziałem, podczas gdy jej stopy opierały się na moim brzuchu. Paliliśmy papierosy w łóżku w moim mieszkaniu w Mayfair. — Ciągle mam koszmary.

— Czytałeś pana Freuda?

— Nie.

— I tak trzymaj. To tylko pogorszyłoby twój stan. Najwyraźniej się nie kontrolujemy. Rządzi nami nieświadoma część naszej osobowości. Jedyna prawda, jaką możemy znaleźć na swój temat, to ta obecna w naszych snach. Freud twierdzi, że większość osób nie chce być wolna. Ponieważ wolność pociąga za sobą odpowiedzialność, a to ludzi przeraża.

— Zakładam, że Freud nie został zmuszony do wiecznego zmieniania tożsamości co osiem lat.

Wtedy przeszliśmy do tego, co Agnes nazywała moją „przygodą”. Czyli misji przesłanej nam telegraficznie przez Hendricha. Było to jedno z tych zadań, które mieliśmy wykonać wspólnie. *Pojechaliśmy autem* do York-shire. Na ponurej wsi w posępnym gotyckim szpitalu psychiatrycznym o nazwie High Royds Hospital zamknięto kobietę, która starała się powiedzieć ludziom prawdę o swoim stanie. Porwaliśmy ją z terenu szpitala. Agnes przytknęła do twarzy trzech członków personelu chusteczkę nasączoną chloroformem. To samo musiała zrobić biednej Florze Brown, którą najwyraźniej przeraziła dwójka obcych z twarzami owiniętymi szalikami.

W każdym razie zabraliśmy ją stamtąd i dość łatwo uciekliśmy. Z jakiegoś powodu — (Kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazł się szpital? Całkowitego braku opieki nad pacjentami? A może błędu lokalnych władz polegającego na niesprawdzeniu szpitalnej dokumentacji?) — incydent ten nigdy nie został opisany w prasie. Nawet gdyby sprawy potoczyły się inaczej, i tak bylibyśmy bezpieczni, bo Hendrich by to zaakceptował. Poszło jednak tak, a nie inaczej, a cała ta historia niezmiennie wywołuje u mnie głęboki smutek.

Flora była młoda. Miała zaledwie osiemdziesiąt lat, a wyglądała na siedemnaście lub osiemnaście. Gdy ją odnaleźliśmy, była oszołomiona, ale stowarzyszenie ją uratowało. Naprawdę to zrobiło — w taki sam sposób, w jaki uratowało wiele osób przed nią. Szczerze wierzyła, że jest obłąkana, a odkrycie prawdy przyniosło jej ulgę. Wyjechała z Agnes do Australii i rozpoczęła nowe życie. Potem przeniosła się do Ameryki i zaczęła inne życie. Najważniejsze było to, że stowarzyszenie dobrze funkcjonowało. Ratowało ludzi. Florę Brown. Reginalda Fishera. I wielu, wielu innych. A może również mnie. Zrozumiałem, że Hendrich miał rację. To wszystko miało sens i cel. Dlatego przez większość czasu wierzyłem w tę *pracę*.

Nie chciałem wracać do Londynu. Poinformowałem telegraficznie Hendricha, że umówiłem się ze swoimi pracodawcami z „Ciro’s”, iż rozpocznę pracę w ich siostrzanej restauracji w paryskim hotelu. Zaczęłem więc życie w dzielnicy Montmartre, w mieszkaniu, które zajmowała Agnes. Byłem jej „bratem”. Przez krótką chwilę nasz pobyt w tym miejscu się pokrywał. Wspominam o tym, ponieważ odbyliśmy wówczas bardzo interesującą rozmowę. Powiedziała mi, że kiedy się starzejemy, gdzieś około połowy tysiąclecia, u wszystkich alb rozwija się głęboka intuicja.

— Jaka intuicja?

— Niesamowita. Coś jak trzecie oko. Poczucie czasu staje się tak głębokie, że w ciągu jednej chwili można zobaczyć dosłownie wszystko. Możesz ujrzeć przeszłość i przyszłość. To tak, jakby wszystko się zatrzymało i przez jedną chwilę wiesz, co się dopiero wydarzy.

— I to niby jest dobre? Brzmi przerażająco.

— To nie jest ani dobre, ani przerażające. To po prostu *jest*. To tylko niesamowicie silne przecucie, ani dobre, ani złe, podczas którego wszystko staje się jasne.

Ta rozmowa została we mnie na długo po tym, jak Agnes wyjechała. Pragnąłem takiej klarowności czasu, gdy ledwie rozumiałem własną terażniejszość, nie mówiąc o czekającej mnie przyszłości.

Ostatecznie przeniosłem się na Montparnasse, gdzie stworzyłem wiele poetyckich utworów. Pewnego razu napisałem wiersz na tamtejszym cmentarzu, pochylając się nad nagrobkiem Baudelaire'a. Co wieczór grałem na fortepianie i nawiązywałem bardzo powierzchowne znajomości z poetami, malarzami i artystami, którzy wpadali do restauracji na jeden wieczór.

Uczepiłem się muzyki. Podobnie jak w „Ciro's” czasami pracowałem w klubie jazzowym „Les Années Folles”. Przez trzy dekady niemal nieustannie grałem na fortepianie i stało się to dla mnie naturalne. Fortepian może wiele znieść. Smutek, szczęście, idiotyczną radość, żal, żalność. A czasem wszystko jednocześnie.

Popadłem w rutynę. Zaczynałem dzień od gauloise'a, a potem udawałem się do „Le Dôme Café” na boulevard du Montparnasse, gdzie zamawiałem ciasto. (Z mieszkania zwykle wychodziłem około południa). Czasami brałem kawę, znacznie częściej koniak. Alkohol przestał być dla mnie tylko alkoholem. Czułem w nim wolność. Picie wina i koniaku przerodziło się niemal w moralny obowiązek. Piłem, piłem i piłem, aż niemal przekonałem siebie, że jestem szczęśliwy.

Ale dało się wówczas wyczuć coś, co wytrącało z równowagi. Wszystko traciło spójność. Za dużo było dekadencji. Zbyt dużo intensywności. Zbyt wiele zmian. Zbyt wiele szczęścia kontrastowało z wielką niedolą. Zbyt dużo bogactwa obok wielkiego ubóstwa. Świat robił się coraz szybszy i głośniejszy, a ustroje społeczne stawały się chaotyczne i defragmentowane niczym jazzowe partytury. W pewnych miejscach można było zaobserwować pragnienie prostoty, nakazu, szukania kozła ofiarnego i zbirowatych przywódców. Dla całych nacji przybierało to rozmiary religii bądź kultów. Coś takiego od czasu do czasu zdarzało się na świecie.

Wydawało się, że w latach trzydziestych XX wieku na szali znalazł się kurs obrany przez całą ludzkość. To samo można zaobserwować i dziś. Zbyt wielu ludzi chciało znaleźć łatwą odpowiedź na skomplikowane pytania. To był niebezpieczny czas na bycie człowiekiem. Na czucie, myślenie i troszczenie się. Po pobycie w Paryżu przestałem grać na fortepianie. I nie powróciłem do tego. Fortepian coś ze mnie wydobywał. Często zastanawiałem się, czy kiedykolwiek jeszcze na nim zagram. I nie wiem, czy miałbym na to szansę, gdyby nie sposobność, która pojawiła się w momencie, kiedy siedziałem obok Camille.

Londyn, obecnie

— Lubię stare kawałki — mówi Martin, kiwając głową w uznaniu dla własnej mądrości, po czym pije łyk lagera. — Głównie Hendriksa, ale także Dylana, Doorsów czy Stonesów. Wiesz, to, co nagrano przed naszym urodzeniem. Zanim wszystko zostało skomercjalizowane.

Nie lubię Martina. Wspaniałą rzeczą związaną z przekroczeniem czterystu lat jest to, że potrafisz dość szybko kogoś ocenić. Każda era ma swoich Martinów, a wszyscy oni są głupcami.

Pamiętam Martina imieniem Richard, który zwykł stać tuż obok sceny w Minerva Inn w Ply-mouth w latach sześćdziesiątych XVIII wieku, kręcąc głową na każdą melodię, jaką grałem, szepcząc o moim fatalnym guście muzycznym do biednej prostytutki siedzącej na jego kolanach albo krzycząc do mnie, że jarmarczna ballada byłaby znacznie lepsza niż to, co grałem.

Tak czy owak, oto jesteśmy, siedząc wspólnie przy stoliku w „Kanapach i Koniach”. Stolik jest mały, wykonany z ciemnego drewna. O barwie i fakturze drewna, jaką ma tylna ścianka mojej lutni, i ledwo mieści się na nim asortyment drinków, przekąsek i orzeszków, jakie zamówiliśmy. Atmosfera w pubie jest cicha i cywilizowana, choć może mi się tak tylko wydawać, bo w moim umyśle ciągle króluje obraz hałaśliwego, cuchnącego i pełnego bijatyk parteru z Minerva Inn.

— Och, ja też — mówi Isham. — Ale akurat wszyscy nauczyciele geografii lubią stare skały².

Wszyscy, w tym również Isham, przewracają oczami na nieudaną próbę żartu.

— Niezły jest też hip-hop z lat osiemdziesiątych — dodaje Martin. — De La Soul, A Tribe Called Quest, PE, NWA, KRS-One...

— A coś współczesnego? — pyta go Camille.

Martin przez ułamek sekundy rzuca okiem na jej dekolt, a następnie kieruje spojrzenie na twarz.

— Niespecjalnie. A na pewno nic, co byś znała.

— Prawdopodobnie masz rację. W końcu pochodzę z Francji. Nie mamy tam muzyki. Dosłownie. — Jej delikatny sarkazm nie odnosi skutku. Może Martin jej nie usłyszał, ale mi się to spodobało.

— W porządku — mówi Martin. — A więc co ci się podoba?

— Moje gusta, jak sądzę, są bardzo eklektyczne. Be-yoncé. Leonard Cohen. Johnny Cash. Bowie. Jacques Brel. Ale *Thriller* to mój ulubiony album wszech czasów. A *Billie Jean* była najlepszą popową piosenką, jaka kiedykolwiek powstała.

— *Billie Jean* — mówię — to świetna piosenka.

Martin odwraca się do mnie.

— A ty co? Znasz się na muzyce?

— Trochę.

Jego źrenice się rozszerzają. Najwyraźniej czeka na dalsze wyjaśnienia.

— Czy grasz na czymkolwiek, muzyczny mędrze? — pyta mnie Camille, marszcząc brwi, jakby pytała o coś więcej, niż się wydaje.

Wzruszam ramionami. Łatwo byłoby w tej sytuacji skłamać, ale z moich ust padają słowa:

— Troszkę na gitarze, troszkę na fortepianie...

— Fortepian? — Oczy Camille robią się okrągłe ze zdziwienia.

Sarah, wuefistka w obszernej koszulce reprezentacji Walii w rugby, wskazuje w róg pomieszczenia.

— Wiesz, że mają tutaj pianino? Pozwalają ludziom na nim grać.

Patrzę na pianino. Tak bardzo chciałem się zachowywać jak zwyczajna jętka, że zupełnie je przeoczyłem, wchodząc do baru.

— Och tak, możesz sobie pobzdakać — mówi barman, wymizerowany dwudziestokilkuletek z niewyraźną, rzadką brodą, zabierający od nas puste szklanki.

Zaczynam panikować, jak może to robić ktoś po odwyku, komu oferuje się narkotyki.

— Nie, dziękuję.

Martin, wyczuwając moją niezgrabność w obecności Camille, wywiera na mnie większy

nacisk.

— Nie, Tom, śmiało. Grałem tu w ostatni czwartek. Teraz twoja kolej.

Camille spogląda na mnie z sympatią.

— To nie jest obowiązkowe. Nie myśl o tym jak o jakimś rodzaju inicjacji. Nie musisz tego robić, jeśli nie masz ochoty.

— Cóż... — mówię. — Minęło już trochę czasu.

Nie chcę, żeby się nade mną użalała. Być może właśnie z tego powodu wstaję i podchodzę do odrapanego i mocno już sfatygowanego pianina, mijając po drodze jedynych poza nami klientów — trójkę siwowłosych przyjaciół wpatrujących się z ponadczasowym niemym smutkiem starych ludzi na swoje w połowie już puste kufle z gorzkim ale.

Siadam na stołku, a w pomieszczeniu zapada pełna wyczekiwania cisza. No cóż, cisza zakłócona jedynie cichym chichotem Martina.

Patrzę na klawisze. Nie grałem na fortepianie od czasów Paryża. A przynajmniej nie robiłem tego z satysfakcją. To była najlepsza część ubiegłego wieku. W fortepianie, w porównaniu z gitarą, było coś więcej. Wymagał on od ciebie czegoś więcej. Gra na nim kosztowała zbyt wiele emocji.

Nie mam pojęcia, co powinienem zagrać.

Podciągam rękawy.

Zamykam oczy.

Nadal nic.

Gram pierwszą melodię, jaka przychodzi mi do głowy.

Greensleeves.

Jestem w pubie we wschodnim Londynie i gram na pianinie *Greensleeves*. Śmiech Martina wdziera się do mojego umysłu, lecz nie przestaję. *Greensleeves* zamienia się w *Under the Greenwood Tree*, co wzbudza we mnie tęsknotę za Marion, więc przechodzę do fragmentu *Marzenia miłosnego nr 3* Liszta. Kiedy dochodzę do *The Man I Love* Gershwina, Martin już się nie śmieje, a ja jestem sam na sam z muzyką. Czuję się dokładnie tak, jak zwykłem się czuć, grając w paryskim „Ciro’s”. Krótko mówiąc, przypominam sobie, co potrafi ten instrument.

Ale potem pojawiają się inne wspomnienia. Czuję tętnienie w głowie, gdy mój umysł zmienia się pod wpływem emocjonalnego skurczu.

Kiedy wreszcie kończę grać i odwracam się do grupy, wszyscy mają otwarte usta. Camille zaczyna mi bić brawo. Dołączają do niej osoby z personelu i trójka starszków.

Martin mamrocze:

— *Greensleeves.*

Isham stwierdza:

— To było niesamowite!

Sarah mówi do Martina:

— On mógłby cię pozbawić pracy!

Martin każe się jej odpieprzyć.

Wracam na swoje miejsce obok Camille.

— Kiedy grałeś, znowu miałam to uczucie. Zupełnie jakbyś dla mnie już wcześniej grał.

To było jak *déjà vu*.

Wzruszam ramionami.

— Mawiają, że *déjà vu* to bardzo realna rzecz.

— Objaw schizofrenii — dodaje Martin.

— Ale tak szczerze — mówi Camille, dotykając mojej dłoni, po czym wycofuje się, zanim ktokolwiek to zauważy. — To było niesamowite. *Si merveilleux*3.

I czuję krótki, ale intensywny przyływ pożądania. Od wieków nie marzyłem o drugim człowieku, ale kiedy patrzę na Camille, gdy słyszę jej życzliwy, silny głos, kiedy widzę delikatne zmarszczki wokół jej oczu, kiedy czuję skórę jej dłoni na swojej skórze, kiedy patrzę na jej usta, mój umysł zaczyna zastanawiać się, jakby to było być z nią, zboczyć z nią ze swej drogi, wyszeptać do niej słowa pożądania, pochłonąć ją i dać się jej pochłonąć. Budzić się w tym samym łóżku co ona, rozmawiać, śmiać się i dzielić z nią komfortową ciszę. Robić dla niej śniadanie. Tosty. Dżem z czarnej porzeczki. Sok grejpfrutowy. Może trochę arbuza. Pokrojonego. Na talerzu. Uśmiechnęłaby się, a ja we własnym umyśle ośmielam się, dzięki temu właśnie uśmiechowi, poczuć się szczęśliwy z drugą osobą.

Oto, do czego zdolny jest fortepian.

Na tym polega jego niebezpieczeństwo.

Czyni cię człowiekiem.

— Tom? — mówi, wyrywając mnie z zamyślenia. — Chcesz jeszcze jednego drinka?

— Nie, dziękuję — odpowiadam z zawstydzieniem, czując się jak otwarta książka, którą każdy może przeczytać. — Wydaje mi się, że już wystarczająco wypilem.

Isham wyjmuje telefon.

— Ktoś chce zobaczyć zapis z badania? — pyta. — Jest w 3D.

— Wow — mówi Camille. — Ja chcę!

Isham i jego żona spodziewają się dziecka. Pochylamy się wokół ruchomego obrazu ultrasonograficznego. Pamiętam, jak po raz pierwszy mówiono o ultrasonografii w latach pięćdziesiątych XX wieku. Nadal, nawet obecnie, mam wrażenie, że jest to element przyszłości. Chociaż to dziwny rodzaj przyszłości, który sprawia, że widzisz potencjalną istotę ludzką w formie delikatnej pierwotnej gliny, z jakiej została ulepiona. Przypomina mi to oglądanie na wpół ukończonej rzeźby i doszukiwanie się w niej ostatecznego kształtu.

Zauważam, że Camille przez sekundę przygląda się bliźnie na moim ramieniu. Półświadomie opuszczam rękawy.

— Nie poznaliśmy jeszcze płci. Zoë chce mieć niespodziankę.

W oczach Ishama błyszczą łzy.

— Powiedziałbym, że to chłopiec — stwierdza Martin, wskazując na ekran telefonu.

— To nie jest penis — mówi Isham.

Martin wzrusza ramionami:

— A właśnie, że jest.

Patrzę na ekran i wspominam, jak Rose powiedziała mi, że spodziewa się dziecka. Zastanawiam się, co Rose powiedziałyby o USG. I czy chciałyby wcześniej poznać płć. Następnie siadam na swoim miejscu i niewiele się odzywam. Dopada mnie poczucie winy. Poczucie winy spowodowane pożądaniem kogoś, kto nie jest Rose.

To jest tak niedorzeczne.

I znowu odpływam, zapominając o „Kanapach i Koniach”, a wyobrażając sobie, że jest to oberża „Knurzy Łeb” w Eastcheap, a ja mogę z niej wyjść w objęcia nocy, by mrocznymi wąskimi uliczkami powrócić pieszo do Rose, Marion i tej wersji mnie, którą całe stulecia temu porzuciłem.

Londyn, lata 1607–1616

W 1607 roku miałem dwadzieścia sześć lat.

Oczywiście nie *wyglądałem* na dwadzieścia sześć lat, ale zmieniłem się minimalnie od czasu pracy w Bankside. Kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę ze swojej odmienności,

myślałem, że jestem całkowicie zamrożony w czasie. Później uświadomiłem sobie jednak, że zmiany następują, tyle że bardzo, bardzo powoli. Na przykład *włosy*. Na moim kroczu, klatce piersiowej, twarzy i pod pachami rosło więcej włosów niż przedtem. Głos, który załamywał się od czasu, gdy miałem dwanaście lat, wciąż stawał się coraz głębszy. Nieco zwiększyła się szerokość moich ramion. Coraz łatwiej było mi nosić wodę ze studni. Uzyskałem większą kontrolę nad erekcjami. A moja twarz, zdaniem Rose, stała się bardziej podobna do twarzy mężczyzny i to na tyle, że Rose zasugerowała, iż możemy wziąć ślub. Tak też zrobiliśmy, na pozbawionej rodziców, skromnej ceremonii, jedynie z Grace w charakterze świadka.

Grace również wyszła za mąż. W wieku siedemnastu lat zamieszkała ze swoim mężem w maleńkim domku w Stepney. Walter, wybranek Grace, był jej całkowitym przeciwieństwem — nieśmiałym, bogobojnym, skłonny do czerwienienia się uczniem szewca.

Po ślubie wraz z Rose również się przeprowadziliśmy. Zrobiliśmy to z dość oczywistego powodu. Im dłużej mieszkaliśmy w jednym miejscu, tym bardziej robiło się to niebezpieczne. Rose zaproponowała przeprowadzkę do jednej z wiosek, ale znając potencjalne zagrożenia z tym związane, zasugerowałem coś zgoła przeciwnego. Zaproponowałem przeprowadzkę za miejskie mury, gdzie bylibyśmy w stanie zniknąć w tłumie. Przenieśliśmy się więc do Eastcheap, a nasze życie przez pewien czas było sielanką.

Tak, wszędzie wokół nas panowała zgnilizna i szczury, ale mieliśmy siebie. Problemem było oczywiście to, że chociaż robiłem się coraz starszy, proces ten zachodził znacznie wolniej niż u Rose. Miała wówczas dwadzieścia siedem lat i na tyle wyglądała. Ja z kolei powoli zaczynałem wyglądać bardziej na jej syna.

Mówiłem ludziom, że mam osiemnaście lat, co jeszcze mogło mi ująć na sucho, przynajmniej w oberży „Knurzy Łeb”, gdzie grałem przez większość nocy w tygodniu. Aż pewnego razu Rose przyszła do mnie i powiedziała, że krwawienia ustały, i uważa, że jest w ciąży. Czuję, że naraziłem ją na niebezpieczeństwo. I była to prawda. Nie miałem pojęcia, czy wieści te uznać za wspaniałe czy druzgocące. Była w ciąży. Mieliśmy mało pieniędzy na jedzenie, a teraz miała pojawić się kolejna osoba do wykarmienia.

Oczywiście nie było to jedyne zmartwienie. Niepokoiło mnie, co może się stać Rose. Słyszałem przecież o tylu kobietach, które zmarły podczas porodu, że wydawało się to dosyć powszechnym wydarzeniem. Zamknąłem więc wszystkie okna, by się nie przeziębila, i modliłem się, by Bóg ją chronił.

I raz w życiu nic strasznego się nie wydarzyło.

Przytrafiło się coś innego. Urodziła się nam córka. Nadaliśmy jej imię Marion.

Trzymałem ją w ramionach, gdy była jeszcze w powijakach. Śpiewałem po francusku, by ją uspokoić, gdy płakała, i wyglądało na to, że ten sposób się sprawdzał.

Natychmiast ją pokochałem. Oczywiście większość rodziców natychmiast obdarza miłością swoje dzieci. Wspominałem jednak o tym, ponieważ wciąż uważam to za niezwykłą rzecz. Gdzie ta miłość była wcześniej? Skąd się wzięła? Niespodziewana niczym żal, ale będąca jego odwrotnością. Sposób, w jaki nagle i całkowicie mną zawładnęła, jest jednym z cudów bycia człowiekiem.

Nasza córeczka była jednak taka mała. Niemowlęta z reguły są małe i delikatne, ale w tamtych czasach delikatność niosła ze sobą dodatkowe ryzyko.

— Czy ona wyżyje, Tom? — zapytała mnie Rose, gdy obserwowaliśmy śpiącą córkę, próbując odnaleźć pocieszenie w każdym jej oddechu. — Bóg jej nam nie odbierze, prawda?

— Nie. Jest zdrowa jak rydz — zwykle odpowiadałem.

Rose była opętana wspomnieniami Nata i Rowlanda, jej nieżyjących braci. Za każdym

razem, gdy Marion kaszlnęła — albo wydała z siebie jakikolwiek dźwięk, który można było zinterpretować jako kasznięcie — Rose szarżała na twarzy i oświadczała:

— Tak to się właśnie zaczęło u Rowlanda!

Nocami patrzyła w gwiazdy, nie do końca wiedząc, czego w nich wypatruje, ale wierząc, że zarówno nasza przyszłość, jak i Marion jest w nich zapisana.

Cały niepokój odcisnął swe piętno na Rose, która w kolejnych miesiącach stała się bardzo cicha i wycofana. Była blada i zmęczona i obwinała się, że jest okropną matką, co rzecz jasna nie było prawdą. Dziś zastanawiam się, czy nie była to depresja poporodowa. Rose jeszcze przed nadejściem świtu była na nogach. I stała się bardziej religijna niż kiedykolwiek przedtem, modląc się nawet wtedy, gdy trzymała na rękach Marion. Straciła apetyt i jadła maksymalnie kilka łyżek polewki dziennie. Nie pracowała ani nie sprzedawała owoców na rynku, ponieważ Marion zajmowała jej całe dni. Sądziłem, że brakowało jej towarzystwa i codziennegożywienia, dlatego zachęcałem Grace do odwiedzania siostry. Robiła to od czasu do czasu, przynosząc dziecięce ubranka lub łagodzące maści od aptekarza w pakiecie ze swoim przyziemnym humorem.

Mieliśmy uroczych sąsiadów, Ezekiela i Holwice. Urodziło się im dziewięcioro dzieci, z których piątka nadal żyła, a Holwice, mimo że była już po pięćdziesiątce i pracowała w młynie wodnym, wciąż miała dla nas wiele porad dotyczących dzieci. To były zwyczajowe porady. Otwierać okna, aby odpiierać złe duchy. Nie kąpać. Umieszczać odrobinę mleka z piersi z wodą różaną na czole niemowlęcia, by ułatwić mu zaśnięcie.

Myśli Rose zajmowało jednak to, co mogło zagrozić małej Marion (która zawsze była *drobna*, co tylko wzmagало niepokój Rose). Potrafiła się na przykład rozgniewać, na samą siebie bądź na mnie, gdy jedno z nas podrapało się w głowę.

— To brudny zwyczaj, Tom. Może się przez niego rozchorować!

— Jestem pewien, że nic jej nie grozi.

— Musisz z tym skończyć, Tom. Musisz natychmiast z tym skończyć. I nie wolno ci przy niej bekać.

— Nie wiedziałem, że przy niej bekam.

— I musisz wytrzeć usta po picciu ale. I zachowywać się cicho, kiedy wracasz do domu w nocy. Zawsze ją budzisz.

— Przepraszam.

Czasami, gdy Marion zasnęła, Rose bez żadnego wyraźnego powodu wybuchała płaczem i prosiła mnie, bym ją objął, co też czyniłem. Często, kiedy wracałem z nocnego grania, już w drzwiach słyszałem jej płacz.

Nie wiem, dlaczego się nad tym rozwodzę. To była tylko kwestia miesięcy. Wreszcie, pod koniec lata, Rose znów była sobą. Przypuszczam, że dzielę się tym wszystkim, ponieważ zwiększa to moje poczucie winy. W głębi duszy wiedziałem, że w jakimś stopniu przyczyniłem się do cierpienia Rose. W naszym duecie to ona była tą silną, organizatorką i inicjatorką. Tą, która wie, co będzie dla nas najlepsze. Ta jej siła sprawiła, że poślubiła mnie mimo całej swojej wiedzy na mój temat.

Lecz skutek niedyspozycji jej wątpliwości narastały. Nawet jeśli Marion przeżyje niemowlęstwo, a potem dzieciństwo, co wtedy? Co się stanie, gdy będzie wyglądać na starszą niż jej ojciec? Pytania, o czym oboje wiedzieliśmy, mnożyły się jak króliki.

Pojawiła się kolejna troska. Podczas gdy Rose martwiła się, że Marion może umrzeć lub zestarzeć się szybciej ode mnie, ja w takim samym stopniu martwiłem się, że przestanie dorastać. Innymi słowy, że będzie taka jak ja. Obawiałem się, że będzie nienormalna. Że po osiągnięciu wieku trzynastu lat przestanie się starzeć. Obawiałem się, że będzie musiała stawić czoło takim

samym, lub nawet gorszym, problemom jak te, które sam znałem. Wiedziałem przecież (i to aż za dobrze), że zdarza się, iż kobiety topiono na dnie rzeki, aby udowodnić ich niewinność.

Niezależnie od tego, jak dużo ale wypilem, nie mogłem spać w nocy (piłem je coraz częściej i w pewnym momencie stało się to moim codziennym zwyczajem). Nadal myślałem o Manningu, który wciąż żył i prawdopodobnie jeszcze przebywał w Londynie. Chociaż nigdy go nie spotkałiśmy, często *wyczuwałem* jego obecność. Czasami wyobrażałem sobie, że czuję jego bliskość, jakby całe zło w nim znajdowało się w cieniu lub w szambie, lub na jednej ze wskazówek kościelnego zegara.

Zabobony pleniły się wokół nas niczym chwasty. Ludzie lubią okazjonalnie postrzegać życie jako linię gładko wznoszącą się ku oświeceniu, wiedzy i tolerancji, lecz moje doświadczenia nigdy nie były zbieżne z taką koncepcją. Ani w tamtym, ani w żadnym innym stuleciu. Koronacja Jakuba I Stuarta tylko przyczyniła się do rozkwitu zabobonności. Król ów, który nie tylko napisał *Daemonologie*, ale również poprosił purytańskich tłumaczy o przepracowanie Biblii, propagował brak tolerancji.

Historia uczy, że ignorancja i uprzedzenia potrafią rozwinąć się prawie u każdego i w każdym momencie. A to, co zaczyna budzić wątpliwości w umyśle, może szybko przerodzić się w czyny.

I tak nasze obawy rosły. Pewnej nocy w „Knurzym Łbie” doszło do bójki, kiedy grupa mężczyzn zwróciła się przeciwko jednemu z nich i oskarżyła go o wielbienie diabła. Innej nocy rozmawiałem z rzeźnikiem, który odmówił przyjęcia wieprzowiny od pewnego farmera, ponieważ wierzył, że wszystkie jego świnie to „mroczne duchy”, a ich mięso mogło zdeprawować duszę. Nie miał na to żadnych dowodów, ale wierzył w to z taką pasją, że przypomniał mi sprawę pewnej świni z Suffolk, której kiedyś wytoczono proces i spalono na stosie za bycie demonem.

Z oczywistych powodów nigdy nie wybraliśmy się do Globe, aby zobaczyć *Makbeta*, ale to nie przypadek, że ta opowieść o polityce i nadprzyrodzonej wrogości była najbardziej popularną i najszerzej dyskutowaną formą rozrywki w tamtych czasach. Zastanawiałem się nawet, czy Szekspir nadal byłby dla mnie równie życzliwy. A jeśli nawet, to czy w tym nowym środowisku nie uwierzyłby, że śmierć Henry’ego Hemmingsa była usprawiedliwiona. Miałem jednak i bardziej konkretne powody do niepokoju.

Na końcu naszej ulicy żył elegancko ubrany mężczyzna, który emocjonalnym tonem czytał na głos dialogi z *Daemonologie*, a także fragmenty z Biblii Króla Jakuba. Ponadto do czasu, gdy Marion skończyła cztery lata, nawet nasi życzliwi sąsiedzi, Ezekiel i Holwice, zaczęli rzucać mi dziwne spojrzenia. Nie wiem, czy to dlatego, że zauważyli, iż się nie starzeję, czy też dlatego, że różnica wieku pomiędzy mną a Rose zaczynała być coraz bardziej widoczna. W owym czasie wydawało się, że jest ode mnie o dekadę starsza.

I choć już nigdy nie ujrzełiśmy Manninga, zdarzało mi się usłyszeć jego nazwisko. Pewnego razu podeszła do mnie kobieta, której wcześniej nie widziałem na oczy, wycelowała we mnie palec wskazujący i powiedziała: „Pan Manning mi o tobie opowiadał. Wszystkim o tobie opowiedział... Mówią, że masz dziecko. Powinni byli zadusić je zaraz po urodzeniu, aby nie było narażone na niebezpieczeństwo”.

Innym razem, kiedy Rose była sama z Marion, została opluta przez kogoś, kto oskarżył ją o życie z „czarownikiem”.

Marion, wówczas już dziewczynka, była świadoma tego, co się dzieje. Była inteligentnym, wrażliwym dzieckiem i przez większość czasu zdawała się nosić w sobie brzemię smutku. Po wspomnianym incydencie rozplakała się. Stawała się też bardzo cicha, gdy słyszała, że rozmawiamy o naszych zmartwieniach.

Powoli i właśnie przez wzgląd na nią zaczęliśmy wprowadzać zmiany w naszym życiu. Celowo wychodziliśmy z domu osobno. Staraliśmy się powstrzymać pytania, gdy tylko się pojawiały. I im zapobiegać.

Marion, będąc dziewczynką z innego domu niż szlachecki, nie chodziła do szkoły. Niemniej uważaliśmy za ważne, żeby nauczyła się czytać, aby mogła przez to poszerzać horyzonty i znaleźć w sobie miejsce, w którym zdoła ukryć własne myśli. Czytanie było w owych czasach rzadką umiejętnością, którą akurat ja posiadałem. A z racji tego, że wychowała mnie matka również potrafiąca czytać (choć po francusku), nie widziałem niczego dziwnego w pomyśle, by moja córka również się tego nauczyła. Marion okazała się niezwykle zdolną i gorliwą czytelniczką.

Mieliśmy tylko dwie książki, ale obie ubóstwiała. Od czasu, gdy skończyła sześć lat, mogła czytać *Królową wieszczek* Edmunda Spensera, a dwa lata później cytowała Michela de Montaigne'a. Miałem angielskie tłumaczenie jego esejów, które nabyłem wiele lat temu na targu w South-wark. Książka uległa zniszczeniu — wypadły z niej kartki — więc kupiłem ją za dwa pensy. Marion potrafiła na przykład zauważyć, jak jej matka dotyka mojej dłoni, i powiedzieć: „Jeśli w ogóle istnieje coś takiego, jak dobre małżeństwo, to przypomina ono raczej przyjaźń niż miłość”. Gdy się ją z kolei pytało, dlaczego wygląda na zasmuconą, potrafiła odpowiedzieć: „Moje życie pełne było okropnych nieszczęść, z których większość się nigdy nie wydarzyła”.

— To z Montaigne'a?

Potwierdzała najdrobniejszym skinieniem głowy.

— Cytuję tylko po to, aby lepiej wyrazić siebie — dodawała, co, jak wyczuwałem, było kolejnym cytatem.

Pewnego dnia przeczytała coś jeszcze.

Widzisz, czasami wychodziła z domu wcześniej rano, żeby się pobawić. Pewnego dnia weszła do naszego domostwa w momencie, gdy uczyłem się grać na lutni nową melodię — *I Saw My Lady Weepe* skomponowaną przez Johna Dowlanda. Marion miała minę, jakby ktoś ją spoliczkował.

— Kochanie, co się stało?

Najwyraźniej nie była w stanie złapać oddechu. Dałem jej chwilę, by ochłonęła. Wpatrywała się we mnie ze zmarszczonymi brwiami oraz skupieniem i powagą dalece wykraczającymi poza jej wiek.

— Tato, czy jesteś szatanem?

Zaśmiałem się.

— Tylko o poranku.

Nie była jednak w nastroju do żartów, więc szybko dodałem:

— Nie, Marion. Co cię skłoniło do zadania takiego pytania?

A ona mi pokazała.

Ktoś wyskrobał na naszych drzwiach słowa „Tu mieszka szatan”. Straszliwe było samo patrzenie na nie, ale jeszcze gorsza była świadomość, że Marion także widziała ten napis.

Kiedy zobaczyła go również Rose, stało się dla mnie jasne, co trzeba zrobić.

— Musimy wyjechać z Londynu.

— Ale dokąd?

Wyglądało na to, że ta kwestia jest dla Rose sprawą drugorzędną. Podjęła już decyzję.

— Musimy zacząć wszystko od nowa.

— Co mamy zrobić?

Wskazała na leżącą przy drzwiach lutnię.

— Ludzie słuchają muzyki też w innych miejscach.

Wpatrywałem się w lutnię. W ciemność małych otworów pośród spiralnie dekorowanego drewna. Wyobraziłem sobie, co jest absurdalne, świat wewnątrz instrumentu. Głęboko w pudle lutni. Świat, w którym miniaturowe wersje nas samych mogłyby wieść bezpieczne życie. Wolne od zagrożeń i niepodatne na zranienie.

Londyn, obecnie

Przyniosłem lutnię, by pokazać ją swojej klasie. Trzymam ją, opierając o biurko.

— Została ręcznie wykonana ponad czterysta lat temu we Francji. Konstrukcja jest trochę bardziej skomplikowana niż angielskich lutni z tego okresu.

— A więc tak w dawnych czasach wyglądały gitary? — zastanawia się Danielle.

— Lutnie, technicznie rzecz biorąc, nie są gitarami. Są oczywiście bliskimi kuzynkami, ale lutnia wydaje głębszy dźwięk. Popatrz na jej kształt. Przypomina łzę. Zwróć uwagę na jej głębokość. Spójrz na główną część. Nazywa się ją pudłem. Struny wykonane są z owczych jelit. Zapewniają bardzo precyzyjny dźwięk.

Danielle robi zdegustowaną minę.

— Niegdyś to był instrument przez duże I. To była klawiatura i gitara elektryczna w jednym. Nawet królowa miała lutnię. Ale publiczne granie muzyki było nieco prostackie, więc zasadniczo pozostawiano je niższemu sferom.

Gram kilka nut. Pierwsze takty *Flow My Tears*. Wygląda na to, że nie zrobiłem wrażenia.

— W dawnych czasach była to bardzo znana melodia.

— W latach osiemdziesiątych? — pyta Marcus, chłopak ze złotym zegarkiem i skomplikowaną fryzurą siedzący obok Antona.

— Nie, nieco wcześniej.

To mi o czymś przypomina.

Zaczynam grać akord — e-moll — i powtarzam go krótkimi szarpnięciami, zanim przejdę do a-moll.

— Znam tę piosenkę — mówi Danielle. — Moja mama ją uwielbia.

Anton uśmiecha się i kiwa głową. A potem zaczynam śpiewać słowa piosenki, *Billie Jean*, komicznym falsetem.

Cała klasa zanosi się śmiechem. Część uczniów przyłącza się do śpiewu.

A potem, z powodu powstałego poruszenia, -Camille i jej klasa dwunastolatków, wybierający się właśnie na lekcję francuskiego na świeżym powietrzu, przestają się ograniczać tylko do obserwowania mnie. Camille otwiera drzwi, by słyszeć.

Klaszcze w rytm, stojąc za drzwiami. Uśmiecha się, zamyka oczy i śpiewa refren.

A potem jej oczy otwierają się i kierują na mnie, a ja czuję się szczęśliwie przerażony lub przeraźliwie szczęśliwy. Teraz już nawet Daphne jest na korytarzu, więc przestają grać. Dzieci wydają zbiorowy jęk, a Daphne mówi:

— Nie przestawajcie z mojego powodu. W Oakfield zawsze jest dobra pora na lutniową wersję Michaela Jacksona. Kocham tę piosenkę.

— Ja też — mówi Camille.

Ale to oczywiście już wiem.

Canterbury, lata 1616–1617

W Canterbury osiedliło się wielu francuskich hugenotów takich jak ja i moja matka. Książę Rochefort rzeczywiście zalecił mojej matce przeniesienie się do Londynu lub Canterbury, mówiąc jej, że Canterbury — „pobożne miejsce” — jest bardzo przyjazne dla obcych

szukających schronienia. Matka zignorowała tę radę, szukając zamiast tego spokoju w Suffolk i myśląc, z fatalnym skutkiem, spokój z bezpieczeństwem. Ale dawna rada we mnie pozostała.

Przenieśliśmy się więc do Canterbury.

Udało nam się znaleźć ciepły, wygodny domek, w którym mieliśmy płacić mniejszy czynsz niż za dotychczasowe lokum w Londynie. Byliśmy pod wrażeniem katedry i czystego powietrza, ale pozostałe kwestie nie przedstawiały się równie dobrze. A na pewno nie można było tego powiedzieć o pracy.

Nikt tam nie chciał płacić muzykom za grę w pubach i oberżach, nie było też teatru, w którym mógłbym znaleźć zajęcie. Uciekłem się do grania na ulicy, która była pełna ludzi tylko w dni, kiedy tłumy gromadziły się przy znajdującej się na rynku szubienicy.

Wtedy, gdy nasz budżet znacznie się uszczuplił (czyli po dwóch tygodniach), Rose i dziewięcioletnia Marion zaczęły sprzedawać kwiaty. Marion była wówczas już cudownie umuzykalnioną, rzucającą cytatami z Montaigne'a dziewczynką. Często mówiłem do niej po francusku, więc nauczyła się tego języka, lecz Rose nie była przekonana, czy to dobry pomysł. Obawiała się, że cała edukacja zapewniana córce będzie tylko kolejną umiejętnością oddzielającą ją od mas i w jeszcze większym stopniu podkreśli jej odmienność.

Marion czasami krążyła w kółko po pokoju, będąc we własnym świecie, cicho nucąc piosenki lub wydając dla zabawy dziwne dźwięki. Często zdawała się być zupełnie gdzie indziej i patrzyła tęsknie przez okno. Niekiedy jakieś zmartwienie, o którym nigdy by mi nie powiedziała, wywoływało mars na jej czole. Bardzo przypominała mi swoją babcie. Wrażliwość, inteligencja i muzykalność. Tajemnica. Wolą grać na fujarce (blaszanej rurce kupionej za dwa pensy na targu) niż na lutni. Lubiła muzykę „zrobioną z oddechu, a nie uformowaną z palców”.

Zwykła grać na fujarce na ulicy. Chodziła, wygrywając melodie. Najbardziej zapadł mi w pamięć pewien wspaniały sobotni poranek ze słońcem rozjaśniającym świat, kiedy wraz z Marion udaliśmy się do szewca, aby naprawić buty Rose. Gdy rozmawiałem z szewcem, Marion stała na zewnątrz i grała na fujarce *Under the Greenwood Tree*.

Kilka chwil później przybiegła i uniosła lśniąca monetę ze szczerego srebra, równie jasną jak ów dzień. Miała na twarzy szeroki uśmiech, co w jej wypadku nie było częstym widokiem. Nigdy nie widziałem jej tak szczęśliwej.

— Jakaś pani mi ją dała. Zachowam tę monetę, a ona przyniesie nam powodzenie. Sam się przekonasz, tato.

Nasze szczęście nie trwało jednak długo.

Zaraz następnego dnia udaliśmy się wspólnie, jako rodzina, do kościoła. Byliśmy właśnie w drodze, kiedy grupa nastoletnich chłopców zaczęła z nas kpić.

Śmiali się z tego, że trzymamy się z Rose za rękę, więc momentalnie puściliśmy nasze dłonie. Następnie popatrzyliśmy na siebie i poczuliśmy się zawstydzeni tym, że daliśmy się zawstydzić.

Potem nasz gospodarz, stary warczący borsuk w ludzkiej skórze, do którego zwracano się „panie Flint”, zaczął mnie wypytywać za każdym razem, gdy przychodził po czynsz.

— To jesteś jej synem czy...?

— A więc twoja dziewczynka umie mówić po francusku?

I tak, z ponurą nieuchronnością, sytuacja w nowym miejscu zaczęła się komplikować. Również tutaj rozchodziły się plotki. Zaczęliśmy żyć w świecie szeptów i ostrych spojrzeń, które się czuło na plecach. Łatwo było dojść do wniosku, że nawet szpaki o nas śpiewały. Przestaliśmy chodzić do kościoła, próbowaliśmy się ukryć przed wzrokiem innych, ale oczywiście to wzbudziło jeszcze więcej podejrzeń. Zamiast wydrapywać słowa na drzwiach, ludzie wryli nachodzące na siebie kręgi na drzewie rosnącym przed naszym domem. Miało to odeprzeć złe

duchy, z którymi zaczęto nas kojarzyć.

Pewnego dnia mężczyzna utrzymujący, że jest łowcą czarownic, podszedł na rynku do Marion i powiedział jej, że jest dzieckiem wiedźmy. Czarownicy, która przedłużyła młodość męża dla własnej przyjemności. Następnie dodał, że Marion, jako potomstwo wiedźmy, również musi być demonem.

Marion trzymała wysoko uniesioną głowę i prawdopodobnie jeszcze pogorszyła sytuację, mówiąc temu człowiekowi, że „potwór, który napotka cud, w nim również ujrzy potwora”. Nie był to dokładnie cytat z Montaigne’a, ale na pewno był nim inspirowany. Krótco po tym, jak mężczyzna zostawił ją w spokoju, płakała i milczała przez resztę dnia.

Rose była niemal chora ze strachu o córkę, a jej głos drżał, gdy tego samego wieczoru opowiadała mi o tym wydarzeniu. Działo się to po tym, gdy Marion obudziła się z koszmaru, po czym ponownie zasnęła.

— Dlaczego te larwy nie zostawią nas w spokoju? Tak się o nią martwię. O nią i o nas wszystkich.

W oczach miała łzy, które nie zniknęły nawet wtedy, gdy jej twarz stwardniała. Podjęła decyzję. Była ona przerażająca.

— Musimy wrócić do Londynu.

— Ale my *stamtąd* uciekliśmy.

— To był błąd. Wyruszamy. Wszyscy razem... wszyscy razem... wszyscy razem... — powtarzała te słowa, jakby przerażała ją to, co miało nastąpić bezpośrednio po nich. Choć wiedziała, że i kolejne słowa będą musiały w końcu paść.

Jej łzy lały się teraz strumieniami. Przytuliłem ją, a ona odwzajemniła uścisk. Pocałowałem ją w czubek głowy.

— Zarówno ty, jak i Marion zawsze będziecie w niebezpieczeństwie, jeśli z wami zostanie.

— Musi istnieć inne rozwiązanie.

— Niestety, to jedyne rozwiązanie.

Rose rozprostowała spódnicę i spuściła na nią wzrok. Zamknęła oczy, wytarła je i odetchnęła, by dodać sobie odwagi. Koła jakiegoś wozu terkotały na ulicy. Spojrzała na mnie i nic nie powiedziała, ale jej milczenie niesło bardzo wyraźne przesłanie.

— Nie jesteś z nami bezpieczny, Tom.

Nie dodała drugiej połowy tej prawdy. Że one również nie są przy mnie bezpieczne. Wiedziała o tym tak samo jak ja, a ta świadomość prawie mnie zabijała. Świadomość, że stanowią dla nich zagrożenie, przed którym chciałem je uchronić.

Nie powiedziałem ani słowa. Bo co mógłbym rzec? Wiedziałem, że Rose sobie beze mnie poradzi. Tak naprawdę miałem świadomość, że jej przetrwanie będzie znacznie bardziej prawdopodobne beze mnie niż ze mną.

Teraz była już w stanie spojrzeć mi w oczy.

— Nie robię tego dla siebie. Nie boję się o siebie. Bez ciebie nigdy nie będę naprawdę żyła. Będę oddychającym duchem.

I to był ten moment. Ten, w którym zniknęła wszelka nadzieja.

Marion wiedziała, że mam zamiar odejść. To sprawiało jej ból, co można było dostrzec w jej oczach. Ale, jak to zwykle bywało, nie uzewnętrzniała tego, co ją niepokoiło.

— Będiesz bezpieczna, mój aniołku. Ludzie przestaną zadawać pytania. Nikt już nie wyryje nic na drzwiach twojego domu. Nikt nie splunie w twarz twojej mamie. Nic strasznego się już nie wydarzy. Muszę was opuścić.

— Ale wrócisz? — spytała niemal uroczyście. Zupełnie jakby już wówczas dzielił nas

dystans. — Czy wrócisz i znowu z nami zamieszkasz?

Prawda mogłaby złamać serca nam obojgu, więc jej nie powiedziałem. Zrobiłem natomiast to, co czasami trzeba uczynić, gdy jest się rodzicem. Skłamałem.

— Tak, wrócę.

Zmarszczyła złowrogo brwi, a potem zniknęła w swoim pokoju. Chwilę później wróciła, ściskając coś w garści.

— Otwórz rękę.

Spełniłem jej prośbę, a na moją dłoń spadła pensówka.

— Moja szczęśliwa moneta — wyjaśniła. — Musisz zawsze mieć ją przy sobie i niezależnie od tego, gdzie byś się znajdował, zawsze musisz o mnie myśleć.

Zdecydowaliśmy się wyjechać do Londynu niezauważenie, pod osłoną nocy. Przejazd powozem z Canterbury do Londynu był w zasięgu każdego, kto miał pieniądze, a nam udało się znaleźć woźnicę z dobrymi końmi, który zgodził się nas przewieźć za mniej niż dwa szylingi.

Później, tej samej nocy, Marion, jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek miałem, zasnęła oparta na mnie w powozie. Obejmowałem ją ramieniem. Rose wpatrywała się we mnie, a jej oczy lśniły w ciemności od łez. Ja tymczasem ściskałem w dłoni monetę otrzymaną od córki.

Lata, które przeżyłem po tej nocy, były niebywale trudne. Rozmyślałem o wszystkich dniach spędzonych z rodziną, podczas których żyliśmy stłoczeni niczym śliwki w koszu. Żałowałem, że nie mogę zebrać tych wszystkich dni i rozciągnąć ich na całą wieczność. Aby każde popołudnie z nimi trwało miesiąc aż do końca moich dni. Mógłbym zamienić każdy następny rok mojej egzys-tencji, gdybym wiedział, że czas spędzony z Rose i Marion jest jeszcze *przede mną*. Kłopot z życiem polega jednak na tym, że trzeba je przeżywać *w odpowiedniej kolejności*.

Przestawiłem się na nocny styl życia.

Moja lutnia i nieznaną twarz stały się wielkim hitem w karczmach, szczególnie w tawernie „Syrenka”, gdzie świeże oblicza stanowiły niezwykle rzadkość. Zacząłem zatracać się w przyjemnościach związanych z alkoholem i burdelami. Miasto stawało się coraz bardziej tłoczne, a jednak czułem się coraz bardziej samotny. Wszyscy ci ludzie uparcie nie chcieli zamienić się w Rose ani w Marion. Wiedziałem, że zamieszkały w Shoreditch, lub przynajmniej chciały się tam osiedlić, więc czasami chodziłem do tej dzielnicy, ale nigdy ich nie spotkałem.

Potem, pewnego dnia w 1623 roku, podczas epidemii dżumy, ujrzałem kogoś, kto wydał mi się znajomy, idącego brzegiem rzeki. Trzydziestokilkuletnia kobieta niosła na rękach śpiącego chłopczyka. (Chodzenie wzdłuż rzeki było powszechne w czasach plagi, ponieważ uważano, że tamtejsze powietrze jest wolne od dżumy. Było to o tyle dziwaczne, że właśnie w rzece kończyły ciała ofiar zarazy). Chwilę zajęło mi uświadomienie sobie, że widzę Grace. Rozpoznanie mnie z oczywistych względów nie zajęło jej zbyt wiele czasu.

Wyglądała na smutną i zagubioną. Wielka życiowa siła dziewczyny, którą niegdyś znałem, wydawała się teraz przygasać.

Przez chwilę mi się przypatrywała.

— Ciągłe wyglądasz tak samo, a tylko popatrz na mnie. Jestem staruszką!

— Nie jesteś staruszką, Grace. — I to była prawda. Przynajmniej rocznikowo. Nie miała również skóry staruszki. Mimo to smutek i ciężar obecne w jej głosie sprawiały, że poczułem się, jakbym kłamał. A potem poznałem przyczynę jej stanu.

— Jak ona się miewa? — zadałem pytanie, które było obecne w moim umyśle przez cały czas, którego nie spędzałem już z Rose.

— Rose to złapała — odparła.

— Co złapała?

Nie musiała jednak dalej wyjaśniać. Wszystko powiedział mi wyraz jej twarzy. Poczułem, jak do mojego wnętrza zakrada się przeraźliwy chłód zabijający wszystko inne.

— Nie pozwala mi się do siebie zbliżyć ze strachu, że też mogłabym się zarazić. Rozmawia ze mną tylko zza zamkniętych drzwi.

— Muszę się z nią zobaczyć.

— Nie wpuści cię.

— Rozmawialiście o mnie?

— Bardzo za tobą tęskni. Tylko to mówiła. Twierdziła, że nigdy nie powinna była cię odsyłać. Uważa, że wszystko złe, co się wydarzyło, było spowodowane tym, że odszedłeś. Nigdy nie przestała o tobie myśleć. Tom, ona nigdy nie przestała cię kochać...

Poczułem, jak łzy zakłuły mnie w oczy. Patrzyłem na jej śpiącego syna.

— Gdzie teraz mieszka? Gdzie jest Marion? Zdradz mi cokolwiek na jej temat.

Grace wyglądała na trochę zakłopotaną, najwyraźniej nie wiedząc, czy powinna powiedzieć mi prawdę. Następnie odpowiedziała tylko na moje pierwsze pytanie.

— Rose nie chce...

— Niczym się nie zarazę. Gdybym miał to złapać, już dawno byłbym chory. Nigdy niczego nie łapie.

Grace myślała przez chwilę, łagodnie kołysząc dziecko w chłodnym popołudniowym powietrzu.

— W porządku. Zatem podam ci jej adres...

Londyn, obecnie

Trwa wywiadówka. Siedzę za biurkiem zagubiony w przebłyskach wspomnień pomimo zażycia trzeciego ibuprofenu w ciągu godziny. Myślę o ostatniej rozmowie z Rose. O tym, jak widziałem ją po raz ostatni. Nie. Nie myślę o tym. Ja to ponownie przeżywam, siedząc w sali gimnastycznej pełnej rodziców, każdy z nich ma smartfon w kieszeni bądź w dłoni. Słyszę jej szept wypowiedziany, gdy leżeliśmy w łóżku oddalonym od szkolnej sali o mniej niż pięćset metrów.

Istnieje ciemność, która obleka wszystko. Wywołuje najbardziej przerażający z zachwytów...

Mówiła o halucynacjach, ale im bardziej te słowa odbijały się echem, tym bardziej wydawały się oświadczeniem dotyczącym życia.

— Wszystko w porządku, Rose — szepczę niczym szalenciec, przebywając w XXI wieku. — Wszystko jest w najlepszym porządku...

A potem inne echo.

To, które rozbrzmiewało dniem i nocą.

Była taka jak ty. Musisz spróbować ją odnaleźć. Musisz o nią zadbać...

— Tak mi przykro, Rose. Tak mi przykro...

Przebija się do mnie kolejny głos. Głos z teraźniejszości. Głos zza biurka.

— Wszystko w porządku, panie Hazard?

To Claire, mama Antona Campbella. Przypatruje mi się zdezorientowana.

— Tak, tak. Wszystko dobrze. Ja po prostu... Przepraszam, po prostu myślałem o czymś... W każdym razie chciała mi pani coś powiedzieć. Tak więc słucham.

— Chciałam panu podziękować — mówi.

— Podziękować? Mnie?

— Nigdy nie widziałam, by Anton był tak zaangażowany w szkolne zajęcia, jak ma to

miejsce w wypadku historii. Nawet wypożycza książki z biblioteki. Dotyczą bardzo różnych tematów. Tak się cieszę, kiedy to widzę. Mówi, że pan naprawdę ożywił historię.

Kusi mnie, by powiedzieć, że przyjaciel jej syna groził mi nożem, lecz tego nie robię. Tak naprawdę czuję się trochę dumny.

Nie mogę za bardzo przypomnieć sobie, jak to jest czuć dumę. Nie doświadczyłem tego uczucia od czasu, gdy pomogłem Marion nauczyć się czytać Montaigne'a i grać na fujarce *Under the Greenwood Tree*. Hendrich zawsze powtarzał, że powinienem być dumny z pracy wykonywanej na rzecz stowarzyszenia, ale ona tylko sprawiała, że okazjonalnie czułem się dobrze, na przykład wtedy, gdy pojechałem do Yorkshire, żeby uratować Florę. Ogólnie jednak praca dla stowarzyszenia powodowała we mnie stan napięcia, a w najgorszym wypadku niszczyła duszę. To uczucie było jednak inne. Tym razem poczułem się dobrze w trwały, zrównoważony sposób.

— Tak się o niego martwiłam... Rozumie pan, on się zagubił. To tylko chłopiec. Czternastolatek. Wewnętrznie zagubiony. Przebywający w złym towarzystwie. Nieco zbyt późno wracający do domu...

— Och, doprawdy?

— Nie chciał za bardzo ze mną rozmawiać... Ale teraz znowu wraca na właściwe tory. Dziękuję panu za to. Bardzo dziękuję.

— To bystry młodzieniec. Jego eseje o drugiej wojnie światowej i roli imperium brytyjskiego w handlu niewolnikami były naprawdę świetne. Jest na najlepszej drodze do oceny celującej.

— Chciałby pójść na uniwersytet. Na historię. Sam pan wie, że w dzisiejszych czasach... zaczyna się to robić kosztowne. Ale chcę, żeby poszedł na studia. Dlatego pracuję każdą godzinę, jaką da mi Bóg. A Pan zsyła mi całą masę nadgodzin. Ale Anton jest zdeterminowany. Bardzo chce studiować.

Czuję przyływ dumy. *To jest to*. Właśnie dlatego chciałem zostać nauczycielem. Dla świadomości, że choćby w niewielkim stopniu można zmienić świat na lepsze.

— To świetnie...

Patrzę w kierunku jednego z biurków ustawionych w sali gimnastycznej. Camille jest otoczona rodzicami. Widzę, jak zdejmuje okulary i przeciera oczy. Nie wygląda zbyt dobrze. Wpatruje się w papiery na biurku, próbując się skupić.

Wracam myślami do pani Campbell. A przynajmniej próbuję tego dokonać. Umysł prześladowuje mnie obrazami: martwą twarzą Rose, Marion z książką, domem trawionym przez płomienie.

Kiedy w 1666 roku miasto spłonęło, brałem udział w akcji przeciwpożarowej i rozważałem samobójcze wejście do jednego z płonących sklepów, które przed pożarem znajdowały się po obu stronach London Bridge.

— Tak — staram się zapewnić panią Campbell, że jej słucham. — Założę się, że tak właśnie jest.

Nagle, bez ostrzeżenia, Camille spada z krzesła. Upadając, uderza żebrami o blat biurka. Potem jej nogi zaczynają gwałtownie drgać. Dostaje jakiegoś ataku na środku sali gimnastycznej pełnej przybyłych na wywiadówkę rodziców.

Jeszcze zanim przystąpiłem do Stowarzyszenia Albatrosów, nauczyłem się nie reagować pod wpływem chwili. Próbowałem traktować życie z dystansem. Ale to już nie działa. Może wraca ta najmłodsza wersja mojej dorosłej osobowości. Ta, która zeskoczyła z balkonu w teatrze, aby ochronić Rose i jej siostrę.

Zanim zdążę choćby pomyśleć, jestem przy Camille, do której właśnie biegnie Daphne.

Tymczasem całe ciało Camille wykonuje gwałtowne ruchy.

— Odciągnij biurko do tyłu! — nakazuję Daphne.

Robi to, a następnie prosi kogoś z personelu szkolnego o wezwanie ambulansu.

Ja tymczasem próbuję utrzymać ciało Camille w jednej pozycji.

Zbiera się tłum. Tyle że jest to tłum z XXI wieku, więc makabryczna fascynacja każdego z zebranych zostaje przykryta co najmniej pozorem troski.

Camille przestaje drgać i wraca do siebie, a jej zmieszanie jedynie opóźnia pojawienie się zawstydzenia. Przez minutę nic nie mówi, tylko koncentruje się na mojej twarzy.

Daphne przynosi szklanekę wody.

— Zróbmy jej trochę przestrzeni — mówi do rodziców i personelu. — No dalej, panie i panowie, cofnijcie się odrobinę...

— Wszystko w porządku — mówię do Camille. — Miałś tylko atak.

Tylko. Okropnie to brzmi.

— Gdzie... gdzie... ja...?

Rozgląda się trochę. Podnosi się, podpierając na łokciach, a następnie siada. Jest osłabiona. Coś jej odebrano. Wraz z Daphne pomagam jej z powrotem usiąść na krześle.

— Gdzie jestem?

— W sali gimnastycznej. — Daphne uśmiecha się uspokajająco. — Jesteś w pracy. W szkole. Wszystko jest w porządku, moja droga. To był tylko... Miałś jakiś atak...

— Szkoła — mówi sennie do siebie.

— Ambulans już jedzie — mówi jeden z rodziców. Właś-nie chowa swojego iPhone'a.

— Nic mi nie jest — zapewnia Camille. Nie wydaje się już ani trochę onieśmielona. Jest tylko zmęczona i zdezorientowana.

Wpatruje się we mnie, marszcząc brwi, jakby nie rozumiejąc, kim jestem, albo rozumiejąc aż za dobrze.

— Wszystko z tobą okay — mówię do niej.

Jej oczy skupiają się na mnie.

— Ja cię znam.

Uśmiecham się do niej, potem, nieco niezręcznie, do Daphne. A następnie mówię łagodnie:

— Oczywiście, że znasz. Pracujemy razem. — Wtedy, być może głupio, tłumaczę zebranemu tłumowi. — Jestem nowym nauczycielem historii.

Ona odchyła się do tyłu. Popija wodę. Kręci głową.

— „Ciro's”.

Ta nazwa uderza w moje serce niczym młot. Powracają do mnie słowa Hendricha, które wiele lat temu wypowiedział w zniszczonym huraganami Central Parku. *Przeszłość nigdy nie przemija. Ona się po prostu chowa.*

— Ja...

— Grałś na fortepianie. Kiedy zobaczyłam cię później w pubie, ja...

Dwie myśli: pierwsza, że śnię. To możliwe. Już wcześ-niej śniłem o Camille.

Druga: może ona również jest stara. Stara, stara, stara. Stara jak antyk. Lub jak alba. Może fotografia, którą znalazłem na jej facebookowym profilu, przedstawiająca młodszą Camille, była dziełem komputerowego retuszu. I dlatego tak wiele do niej czułem. Może to była więź. Może wyczuwałem nasze osobliwe podobieństwo. A może poznała mnie w jakiś inny sposób.

Jedynie, czego jestem pewien, to to, że muszę natychmiast powstrzymać Camille przed powiedzeniem czegokolwiek więcej. Gdyby bowiem kontynuowała, naraziłaby nie tylko mnie,

ale i siebie. Coś do niej czuję. Nie ma sensu już temu zaprzeczać. Kłamstwo, które powtarzałem sobie od tak dawna — że mogę istnieć, nie troszcząc się o kogoś nowego — było niczym więcej tylko kłamstwem. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat Camille mi to uświadomiła, ale nie mogę już dłużej zaprzeczać, że mi na niej nie zależy. I z troski o nią odczuwam przemożną potrzebę jej ochrony. A przecież Hendrich nakazywał uciszenie ludzi na zawsze za co najwyżej szept w gmachu takim jak ta szkoła. Jeśli Camille wie o albach i mówi o tym publicznie, to ryzykuje czymś więcej niż ujawnieniem mojej tożsamości. Ryzykuje własnym życiem.

— Po prostu się odpręż. My... *nous allons parler plus tard*⁴... Wszystko ci wyjaśnię. Ale teraz musisz być cicho. Nie możemy tutaj rozmawiać. Proszę, zrozum mnie.

Wygląda ospale, gdy próbuje samodzielnie się podźwignąć. Cały czas mi się przypatruje.

— W porządku. Rozumiem.

Podnoszę szklankę wody i pomagam jej wypić łyk. Uśmiecha się do Daphne i innych zaniepokojonych osób.

— Przepraszam... Co kilka miesięcy mam taki atak. To padaczka. Jeszcze przez chwilę będę nieco osłabiona. Ale nic mi nie będzie. Tabletki miały powstrzymać napady. Najwyraźniej muszę je zmienić...

Patrzy na mnie. Jej powieki wydają się ciężkie. Wygląda jednocześnie na bezbronną i niewyciężoną.

— Wszystko w porządku? — pytam ją.

Lekko kiwa głową i zarówno na jej, jak i na mojej twarzy maluje się przerażenie.

Paryż, rok 1929

Było około dziewiętnastej. Obok rozległego pustego parkietu mężczyźni w smokingach i kobiety z krótkimi włosami w wydekoltowanych sukniach wykończonych frędzlami pili aperitify i słuchali muzyki, którą grałem.

Jazz, z którego „Ciro’s” było znane. Ale w 1929 roku wyrafinowana klientela chciała nie tylko jazzu, bo ten był wszechobecny. Dlatego starałem się urozmaicać moje występy. Czasem, gdy ludzie byli na parkiecie, grałem argentyńskie tango albo dorzucałem jakieś cygańskie smaczki, natomiast wczesnym wieczorem, kiedy można było zaprezentować coś miękkiego i skłaniającego do zadumy, grałem Fauré z jego melancholijnego okresu, czując każdą wydobywaną z instrumentu nutę.

— *Prétendez que je ne suis pas ici*⁵ — powiedział do mnie fotograf podczas mojego występu.

— *Non* — zaprotestowałem szeptem, pamiętając o zasadzie Hendricha dotyczącej zakazu fotografowania. — *Pas de photos!*⁶ *Pas de...*

Ale było już za późno. Tak zatraciłem się w muzyce, że fotograf zrobił mi zdjęcia bez mojej wiedzy.

— *Merde*⁷ — wyszeptałem, przedstawiając się na Gersh-wina i próbując poprawić sobie nastrój.

Londyn, obecnie

Znajdujemy się w eleganckiej knajpie mieszczącej się w nowym Globe Theatre.

Jestem podenerwowany. Nie z powodu miejsca, ale za sprawą Camille. Jej sekret mnie przeraża. Jak się dowiedziała o „Ciro’s”? Jak to możliwe? Boję się zarówno wszystkich odpowiedzi, o których pomyślałem, jak i tych, które nawet nie przyszły mi do głowy. Boję się o nią. Boję się o siebie. Trzęsę się i rozglądam wokół niczym złowieszczy ptak na parapecie. Ale

jest jeszcze inny powód, dla którego się boję. Boję się, bo do tej pory udawało mi się przeżyć.

Chodzi mi o to, że od dawna nie chciałem odebrać sobie życia. Ostatni raz coś takiego przytrafiło mi się w bunkrze nieopodal Tarragony podczas hiszpańskiej wojny domowej. Wtedy umieściłem lufę pistoletu w ustach i szykowałem się do odstrzelenia sobie głowy. Ale tylko dlatego, że zmuszałem się do ciągłego patrzenia na szczęśliwą monetę Marion, udało mi się utrzymać mózg we wnętrzu czaszki. To był rok 1937. Minęło dużo czasu od ostatniego razu, gdy próbowałem popełnić samobójstwo.

Ostatnio myślałem, że chcę się uwolnić od Hendricha, ale może to był błąd. Tak, jestem „własnością” Hendricha, co jest związane z pewnym komfortem. Być może wolna wola jest przereklamowana.

Bojaźń — pisał Kierkegaard w połowie XIX wieku — jest wypaczoną wolnością.

Od stuleci odczuwałem ból spowodowany śmiercią Rose. Ów ból przytłumiła naturalna monotonia życia, a ja ruszyłem przed siebie, zanim udało mi się oczyścić z pozostałej po nim emocjonalnej patyny. Byłem w stanie cieszyć się muzyką, jedzeniem, poezją, czerwonym winem i wszelkimi przyjemnościami tego świata, które, jak sobie teraz uświadomiłem, były miłe.

Tak, była we mnie pustka, ale nie docenia się znaczenia pustki. Każda pustka jest pozbawiona zarówno miłości, jak i bólu. Nie można powiedzieć, że taki stan nie ma zalet. W pustce można się swobodnie poruszać.

Próbuję sobie wmówić, że spotykam się z nią tylko, by dowiedzieć się, co mi powie, i że nie muszę dawać jej niczego w zamian. Ale dziwnie jest znowu tutaj być. Zwłaszcza że przecież to jest *to miejsce*.

Nie byłem w tym miejscu od dnia, w którym skoczyłem na scenę z balkonu dla muzyków. Od dnia, w którym wylądowałem na plecach Willa Kempa i znów zobaczyłem Manninga. Był to dzień innej spowiedzi. Oczywiście względem Rose. A teraz czuję słabe echo tamtego dnia, wśród grzecznych teatralnych pogawędek przedstawicieli klasy średniej i brzęku sztucców wokół mnie.

Szekspir wpatruje się we mnie ze swojej znanej podobizny umieszczonej na pierwszej stronie menu. Kiedyś myślałem, że nie jest wcale podobny do rzeczywistego Szekspira — to wielkie czoło, kiepskie włosy, rzadka broda i wyraz twarzy jak po lobotomii — ale tym razem mam wrażenie, że oczy na wizerunku są rzeczywiście oczami sportretowanego artysty. Patrzącymi na mnie drwiąco, podczas gdy brnę przez życie. Jakby bawiło go obserwowanie człowieka, któremu pomógł tamtego dnia uciec i który trwa w niekończącej się, wiecznie żywej tragikomedii.

Podchodzi do nas kelner, a Camille się do niego uśmiecha.

Ma na sobie granatową koszulę. Jest blada, trochę zmęczona, ale również piękna.

— Poproszę mantę — mówi do kelnera, poprawiając przy tym nieco okulary.

— Doskonale — mówi kelner, a następnie zwraca się do mnie.

— Ja z kolei poproszę gnocchi z pesto z jarmużu.

Zabiera od nas menu z wizerunkiem mojego byłego szefa, a ja powracam do patrzenia na Camille i prób odprężenia się.

— Przepraszam za to — mówię — że czasami się dziwnie zachowywałem w szkole.

Camille potrząsa głową.

— Naprawdę musisz przestać to powtarzać. Nieustanne przeproszanie nie jest atrakcyjne.

— Masz rację. Rzecz w tym, że jestem dość kiepski w kontaktach, wiesz, z *ludźmi*.

— Ach, z nimi. Ludzie. Tak, to bywa trudne.

— I czasami mam zbyt wiele na głowie.

— Witaj w klubie.

— Istnieje jakiś klub?

— Nie. W klubach jest za dużo ludzi. Ale tak jest w porządku. Po prostu bądź sobą.

— Nigdy nie udzielałem się towarzysko. Zawsze musiałem być w tej kwestii ostrożny. — Patrząc na nią, zyskuję pewność, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. W tym życiu, pełnym znajomych wzorców, ona posiada cudownie rzadką cechę, *nie kojarzy mi się absolutnie z nikim*. Muszę jednak zadać jej to pytanie. — Nigdy wcześniej się nie spotka--liśmy, prawda? Mam na myśli czas sprzed naszego spotkania w parku. Raz zobaczyłem cię przez okno gabinetu Daphne, ale nigdy *przedtem* się nie spotkaliśmy. Mam rację?

— To zależy, co rozumiesz przez spotkanie. W konwencjonalnym sensie rzeczywiście do niego nie doszło.

— W porządku.

— Taaak.

Jest między nami jakiś rodzaj dystansu. Oboje mamy więcej pytań, ale trzymamy je niczym broń w kaburze, oczekując, kto wystrzeli pierwszy. Pojedyncze zdanie może wpędzić każde z nas w szaleństwo.

Skubujemy żytni chleb i nabijamy na wykałaczki oliwki.

— Jak się czujesz? — pytam. Pytanie banalne, lecz szczerze.

Rozrywa kawałek chleba i przez chwilę się w niego wpatruje, jakby ciasto na zakwasie skrywało jakiś sekret, jak każda rzecz we wszechświecie.

— Znacznie lepiej — odpowiada. — Już od dawna zmagam się z epilepsją. Bywało znacznie gorzej.

Już od dawna.

— Czy wcześniej miałaś wiele takich ataków?

— Tak — potwierdza.

Kelner uzupełnia wino w kieliszkach. Biorę łyk. Potem kolejny. Camille wpatruje się we mnie spojrzeniem pełnym siły.

— Teraz ty. Obiecałeś. Muszę poznać twoją historię.

— Chciałbym ci opowiedzieć o sobie — mówię do niej, wciąż nie będąc pewny, jak wiele prawdy ostatecznie jej wyjawię. — Są jednak sprawy, o których lepiej, żebyś nie wiedziała. Dla dobra twojego, jak i wszystkich innych związanych z tym osób.

— Chodzi o coś niezgodnego z prawem? — Czuję, że się ze mną drażni.

— Nie. To znaczy znajdują się i takie sprawy, ale nie o nie tu chodzi. Mówię tylko, że gdybyś poznała całą prawdę na mój temat, to najprawdopodobniej uznałabyś mnie za szaleńca.

— Philip K. Dick napisał, że szaleństwo czasami bywa stosowną reakcją na rzeczywistość.

— Ten pisarz science fiction?

— Tak. Jestem mołem książkowym. Lubię science fiction.

— To dobrze — odpowiadam.

— Też się tym interesujesz?

Nie. Ja tym jestem. Myślę.

— Troszkę. *Frankenstein. Kwiaty dla Algernona.*

— Chciałabym, żebyś mi o sobie opowiedział — mówi. — Powiedz mi chociaż, co zamierzałeś mi wyjaśnić. Pomóż mi się upewnić, że nie zwariowałam.

Kuszająca jest myśl, by to wszystko zakończyć słowami: *Ale ty naprawdę oszalałaś*. Zamiast tego jednak mówię:

— Zanim opowiem ci o sobie, ty musisz mi coś powiedzieć na swój temat. — Brzmi to znacznie bardziej stanowczo, niż chciałem.

Otwiera szeroko oczy.

— Doprawdy?

Oddycham głęboko. To jest ta chwila.

— Muszę wiedzieć, w jaki sposób mnie rozpoznałaś. Muszę dowiedzieć się, dlaczego wspomniałaś o „Ciro’s”. Ten lokal zamknięto osiemdziesiąt lat temu.

— Nie jestem aż tak stara.

— Dokładnie. Wcale tak nie myślałem.

W tle słycać piosenkę. Przechyla głowę.

— Ach, kocham ją. Posłuchaj sam.

Słucham. Rozpoznaję tę ciepłą, sentymentalną melodię. To *Coming Around Again* w wykonaniu Carly Simon.

— Moja matka uwielbiała Carly Simon.

— I Michaela Jacksona?

— Jego już tylko ja.

Uśmiecha się i następuje niezręczny moment, kiedy uświadamia sobie, że to jej kolej na wyjaśnienia. W tej właśnie chwili wyobrażam sobie bycie z nią. Tak jak w pubie. Wyobrażam sobie, że ją całuję. Czuję impuls nakazujący uciec i poprosić Hendricha, by zarezerwował dla mnie samolot, a następnie zniknąć gdzieś, gdzie nigdy bym jej nie zobaczył. Ale już na to za późno.

Camille jest gotowa.

— Dobrze — mówi. — *Je vais m'expliquer*⁸.

I to właśnie robi.

Mówi mi, że napady zaczęły się, gdy miała siedem lat. Jej rodzice zabezpieczyli cały dom. Miękkie dywany. Narożniki stołu oklejone serwetkami. Znalezienie odpowiedniego lekarstwa zajęło trochę czasu. I powoli wykształciła się u niej agorafobia.

— Zasadniczo, zaczęłam bać się życia.

Kiedy miała dziewiętnaście lat, zaręczyła się z przystojnym, zabawnym programistą imieniem Erik (pisane przez k). Jego matka była Szwedką. To był Erik, którego widziałem w internecie. Erik z Facebooka. Zginął podczas górskiej wspinaczki w 2011 roku.

— Też tam byłam. Oczywiście nie wspinałam się. Ataki i wspinaczka nie idą ze sobą w parze. Ale byłam tam z grupką przyjaciół. Wszędzie było mnóstwo krwi. Przez kolejne miesiące, gdy tylko zamknęłam oczy, nie widziałam niczego poza krwią. A teraz, gdy nie żyje, pomyślałam sobie... pieprzyć to.

Wykonuje kilka głębszych oddechów. Mówienie o wspomnieniach oznacza częściowe ich przeżywanie.

— Zawsze martwiłam się, że w każdej chwili mogę umrzeć. I chciałam być taka jak on. W pełni zdrowa. Aż nagle *bam* i on również okazał się śmiertelny. To było dla mnie zbyt wiele. Musiałam się stamtąd wyrwać. A skoro musiałam to zrobić, zdecydowałam się na podróż. Wiedziałam, że nie mogę dłużej pozostawać zakładniczką własnej przypadłości. Rozumiesz, o czym mówię?

Oczywiście, rozumiałem.

— I co się wtedy stało? Jak się sprawy potoczyły?

— Przez sześć miesięcy podróżowałam po Ameryce Południowej. Byłam w Brazylii, Argentynie, Boliwii, Kolumbii i Chile. Pokochałam Chile. Tam było niesamowicie. Ale w końcu pieniądze się skończyły, więc musiałam wrócić do Francji. Nie mogłam jednak znów mieszkać w Grenoble. Zbyt wiele wspomnień. Wybrałam się zatem do Paryża. Obeszłam wszystkie wytworne restauracje i hotele, aż udało mi się znaleźć pracę w Plaza Athénée. To jeden z tych snobistycznie wielkich hoteli. Praca tam działała na mnie uspokajająco. Mogłeś przez cały czas

rozmawiać z ludźmi, meldować ich i wymeldowywać, ale nie było w tym niczego głębszego ani znaczącego. Rozumiesz? Nie było tam żadnych pytań dotyczących czegokolwiek związanego z życiem, więc idealnie tam pasowałam.

To jest to. Czuję, że tak jest. Niepokój zaciska się żelazną obręczą na mojej klatce piersiowej, podczas gdy Camille kontynuuje.

— W lobby mieli wystawę. Fotografie przedstawiały złoty wiek Paryża i wszystkie pochodziły z lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Pełno było na nich klubów jaz-zowych, bulwarów i Montmartre. Mieli nawet jedno z... jak się ona nazywała... tą wokalistką jazzową, tancerką, z gepardem...

— Joséphine Baker?

Kiedy wypowiadam to imię, przypominam sobie, jak patrzyłem na nią przez mgłę papierosowego dymu, tańczącą charlestona w Century Club w Paryżu.

Szybko kiwa głową, wykonując ruch rękami sugerujący, że już zbliża się do końca opowieści. Próbuje zachować spokój.

— Tak. Joséphine Baker. W każdym razie to zdjęcie, na które miałam skierowaną twarz, to, na które codziennie patrzyłam, było zarazem największe. Przedstawiało pianistę w restauracji „Ciro’s”. Nazwa lokalu widniała na fotografii. Zdjęcie było czarno-białe, ale bardzo dobrej jakości, a mężczyzna wyglądał na zatraconego w muzyce, którą grał. Wzrok miał skierowany przed siebie, gdzieś nad fortepianem, i całkowicie ignorował obserwujących go ludzi. Ten moment, ta zamrożona w czasie chwila zafascynowała mnie... Było w niej coś ponadczasowego. Coś przełamującego bariery czasu. Co więcej, pianista był przystojny. Miał ładne dłonie. I poważną, zamyśloną twarz. Ubrany był w nieskazitelnie białą koszulę z niefrasośliwie podwiniętymi rękawami, a na jego ramieniu widniała blizna. Ta zakrzywiona blizna. Pomyślałam sobie wtedy, że nie ma nic złego w podkochiwaniu się w tym mężczyźnie, bo już na pewno nie żyje. Tyle że on jednak żyje, prawda? Bo to ty jesteś mężczyzną z fotografii.

Waham się. Nagle nie mam pojęcia, co zrobić. Pamiętam, jak wpatrywała się w pubie w bliznę na moim ramieniu i teraz wiem dlaczego. Wszystko nabiera sensu.

Biorąc pod uwagę, że sprowadziłem ją tutaj, aby wyznać prawdę, niedorzeczne jest to, że teraz boję się to zrobić. Instynkt każe mi skłamać. W końcu jestem całkiem dobrym kłamcą. Kłamię gładko i naturalnie. Powinienem po prostu się zaśmiać i wyglądać na rozczarowanego, a następnie powiedzieć, że trochę szkoda, ponieważ przez chwilę myślałem, że naprawdę mnie rozpoznała, a teraz już wiem, że sobie ze mnie żartuje. Zdjęcia mogą kłamać. Zwłaszcza zdjęcia z lat dwudziestych ubiegłego wieku.

Ale nie robię tego. Po części zapewne dlatego, że nie chcę wywołać u niej zażenowania. Inna część mnie chce, żeby Camille poznała prawdę. Potrzebuje tego.

— A więc... — mówi w reakcji na moje milczenie.

Następnie wykonuje trudny do uchwycenia gest. Podnosi lekko brodę i delikatnie kiwa głową, zamyka oczy, a potem zakłada włosy za ucho. Jest to gest łagodnego sprzeciwu. Nie wiem, wobec czego wyraża ten sprzeciw. Wobec życia? Rzeczywistości? Padaczki? Gest znika po dwóch sekundach, ale myślę, że jest to moment, w którym muszę przyznać przed sobą, że po raz pierwszy od czterech stuleci jestem zakochany.

Może wydawać się dziwne zakochać się w kimś z powodu gestu, ale czasami można w jednym momencie przejrzeć całą osobę. Tak jak można analizować ziarnko piasku i zrozumieć wszechświat. Miłość od pierwszego wejrzenia może, choć nie musi istnieć. Z całą pewnością jednak istnieje.

— A więc — mówię niepewnie, sprawdzając, na ile naprawdę wierzy, a na ile się jej wydaje, że wierzy. — Nie tylko lubisz science fiction, ale myślisz, że mógłbym być science

fiction. Myślisz, że mógłbym być podróżnikiem w czasie czy kimś w tym stylu.

Wzrusza ramionami.

— Lub czymkolwiek innym. Sama nie wiem. Chodzi mi o to, że ludzie nie są gotowi, by poznać prawdę brzmiącą jak science fiction. Ziemia krążąca wokół Słońca. Elektromagnetyzm. Ewolucja. Promienie rentgena. Samoloty. DNA. Komórki macierzyste. Zmiana klimatu. Woda na Marsie. To wszystko jest science fiction, dopóki nie zobaczymy, że może naprawdę istnieć.

Mam ochotę się stąd wydostać. Wyjść z restauracji. To uczucie jest prawie tak silne, jak chęć rozmowy z Camille przez całą wieczność. Ale tylko prawie.

Zaciskam już zamknięte powieki, zupełnie jakbym próbował nadać kształt rozgrzanemu do temperatury wykuwania żelazu znajdującemu się pod skórą.

— Możesz mi wszystko powiedzieć. Możesz wyjawić całą prawdę.

— Właśnie nie mogę.

— Wiem, że to ty byłeś na tym zdjęciu.

— To była inscenizacja. Wszystko na tym zdjęciu było ustawione i wcale nie zrobiono go w latach dwudziestych.

— Kłamiesz. Nie próbuj mnie okłamywać.

Wstaję.

— Muszę już iść.

— Nie, proszę, nie odchodź. Proszę cię. Lubię cię. Nie możesz od wszystkiego uciekać.

— Mylisz się. Można uciec. Możesz uciekać, uciekać i uciekać. Może to trwać całe życie. Możesz uciekać, zmieniać się, a następnie znów uciekać.

Ludzie przestają jeść swoje potrawy i zaczynają na mnie zerkać. Robię scenę w restauracji. Znowu. Tu, w Southwark. Siadam z powrotem na swoim krześle.

— Mam to zdjęcie — mówi. — Mam je zapisane w telefonie. Mam zdjęcie zdjęcia. Jest dobrej jakości. Wiem, że to brzmi dziwnie. Jeśli mi jednak nie powiesz prawdy, te pytania zostaną już na zawsze w mojej głowie, a będę musiała spróbować czegoś innego, by znaleźć na nie odpowiedź.

— Byłoby to bardzo nierozsądne.

— Czyli takie jak ja. Wierzę, że każda prawda powinna zostać poznana. Rozumiesz dlaczego? Ponieważ żyłam z epilepsją i była ona tajemnicą. Lekarze tak kurewsko mało o niej wiedzą. Istnieje jakaś prawda, lecz nie została poznana. A powinniśmy poznać wszystkie prawdy. Szczególnie w dzisiejszych czasach. Złożyłeś mi obietnicę. Obiecałeś, że jeśli tu przyjdę, wyjawisz mi całą prawdę. Jeśli nie odpowiesz na moje pytania, nie przestanę ich zadawać.

— A jeśli wyjawię ci prawdę z zastrzeżeniem, że nie wolno ci nikomu wspomnieć o niej choćby zdaniem, choćby jednym słowem. Co wtedy?

— W takim wypadku nic bym nikomu nie powiedziała.

Patrzę na jej twarz. Tak niewiele da się z niej wyczytać. Ale ufam Camille. Zostałem przeszkolony, zwłaszcza w ubiegłym stuleciu, aby nie ufać nikomu poza Hendrichem, a jednak akurat jej ufam. Może to przez wino. A może rozwijam swoje zdolności?

Przez straszny, oszałamiający moment znam ją całkowicie. Znam ją tak, jakbym spędził z nią życie.

— Tak, to byłem ja. To byłem ja.

Przez chwilę mi się przypatruje, jakbym powoli wylaniał się z gęstej mgły. Jakby wcześniej nie była tego pewna i pragnęła potwierdzenia, że to, co jej się wydaje, stanowi tylko rozbudowaną iluzję. Napawam się tym widokiem. Napawam się świadomością, że ona wie.

Później będę się martwić o to, co właśnie powiedziałem. Prawdą, która wybrzmiała między nami. Ale teraz jedynym, co czuję, jest uwolnienie się od brzemienia. Podają nasze

jedzenie.

Obserwuję, jak kelner znika w gwarze restauracji.

A potem patrzę na nią i wszystko jej mówię.

Dwie godziny później spacerujemy brzegiem Tamizy.

— Boję się w to wszystko uwierzyć. Wiedziałam, że to byłeś ty. Ale istnieje wiedza o czymś i *wiedza* o czymś. Czuję się, jakbym oszalała.

— Nie jesteś szalona.

Jakiś młody człowiek wykonuje akrobacje na bmx-ie ku zachwytowi tłumu nieopodal miejsca, w którym niegdyś znajdował się „Kardynalski Kapelusze”.

Patrzę na Camille, widzę jej intensywną powagę zestawioną ze szczęściem otaczających nas turystów i czuję się winny, jakbym nie zdradził jej swojego sekretu, tylko obarczył ciężarem własnych emocji.

Opowiedziałem jej o Marion. A teraz wyjąłem polietylenową torebkę, w której znajduje się szczęśliwa moneta mojej córki.

— Pamiętam dzień, gdy mi ją dała. Pamiętam czas z nią spędzony lepiej niż to, co się wydarzyło przed rokiem.

— Sądysz, że ona wciąż żyje?

— Nie wiem. Wystarczająco trudno jest być mężczyzną i żyć od czterystu lat. Teraz przynajmniej nikt już nie myśli, że jesteśmy czarownikami, ani nie niepokoi się tym, że nie mamy dzieci. Ale zawsze czułem, że ona przeżyła. Była sprytną dziewczyną. Umiała czytać. W wieku dziewięciu lat cytowała Montaigne’a. Martwię się jedynie o jej umysł. Zawsze była bardzo delikatnym dzieckiem. Cichym. Wrażliwym na to, co się działo. Łatwo było wzbudzić w niej niepokój. Rozmyślała nad różnymi sprawami. Była zagubiona w swoim świecie. Miewała koszmary.

— Biedactwo — mówi Camille, ale widzę, że jest trochę oszołomiona z powodu wszystkich tych informacji.

Jedynie, o czym jej nie powiedziałem, to Stowarzyszenie Albatrosów. Wyczuwam, że nawet mówienie o nim w jakiś sposób ściągnie na nią zagrożenie. Kiedy więc pyta mnie, czy znam innych, takich jak ja, poza Marion, nie wspominam o Agnes ani o Hendrichu. Ale mówię jej o Omai, moim starym druhu z Tahiti.

— Nie widziałem się z nim od czasu, gdy opuścił Londyn. Wyruszył w trzecią podróż Cooka. Miał pełnić rolę tłumacza. Nigdy go już nie spotkałem. A on nigdy nie wrócił do Anglii.

— Mówisz o kapitanie Cooku?

— Tak.

Wystarczająco trudno jest jej zaakceptować to, co dotychczas usłyszała, więc nie obciążam jej opowieściami o Szekspirze i Fitzgeraldzie. Przynajmniej teraz.

Rozmawiamy jeszcze przez jakiś czas.

Prosi mnie, żebym pokazał jej ponownie swoją bliznę. Wodzi po niej palcem, zupełnie jakby chciała w ten sposób dodać całej sytuacji realizmu. Spoglądam na rękę, w której kiedyś znaleziono doktora Hutchinsona, i zdaję sobie sprawę, że muszę jej coś powiedzieć.

— Posłuchaj mnie — mówię — nikomu nie możesz wspomnieć o tym, co ci dzisiaj wyjawilem. Prawdopodobnie nie powinienem był ci tego wszystkiego mówić. Zrobiłem to tylko dlatego, że zadawałaś masę pytań. Wydawało ci się, że mnie poznałaś. A takie myślenie i ciekawość są bardziej niebezpieczne niż sama wiedza. Teraz, gdy już to wszystko wiesz, musisz to zachować wyłącznie dla siebie.

— Niebezpieczne? To już nie jest epoka polowania na czarownice. Z całą pewnością mógłbyś to wszystko upublicznić. Wykonać testy DNA. Pobrać próbki. To mogłoby pomóc

innym ludziom. Przysłużyć się, no wiesz, nauce. Umożliwić pokonanie chorób. Wspomniałeś, że twój układ odpornościowy jest...

— Wielu osobom przytrafiły się złe rzeczy tylko z powodu tej wiedzy. Lekarzom, którzy chcieli opublikować dowody, i im podobnym. Tacy ludzie zwykle znikali.

— Znikali? Kto za tym stał?

Prawda przeplata się z kłamstwami.

— Nie wiem. To świat pełen cieni.

Rozmawiamy jeszcze trochę i idziemy dalej. Przechodzimy przez Millennium Bridge i kierujemy się na wschód przez City. Swobodnie idziemy do domu. Rozmowa nas tam prowadzi.

Jest to godzinny marsz, ale aura jest łagodna i żadne z nas nie lubi metra. Przechodzimy obok katedry św. Pawła, a ja opowiadam jej, że dawniej było tu znacznie bardziej ruchliwie, a cmentarz stanowił centrum londyńskiego handlu książkami. Potem idziemy ulicą o nazwie Ironmonger Lane, a Camille mnie o nią pyta. Odpowiadam, że chodziłem tędy, udając się do Southwark, i że kiedyś było to miejsce, zgodnie z jego nazwą, pełne drogowych hałasów i gorąca bijącego z odlewni metali.

Mieszka dalej na wschód niż ja. Kiedy sugeruję, że powinienem zabrać Abrahama na spacer i że może się do nas przyłączyć, przyjmuje zaproszenie.

Siadamy razem na ławce, na której niegdyś ją zobaczyłem. Pusta torba na zakupy unosi się nad naszymi głowami niczym duch z kreskówki.

— Co się zmienia, gdy mija tyle czasu?

— Wszystko, co widzisz. Wszystko się zmienia. Nic nie zostaje takie samo. — Wskazuję na skaczące po drzewie stworzenie. — Niegdyś w tym miejscu spotkalibyśmy wiewiórkę rudą, a nie szarą. Nie unosiłaby się też nad nami żadna reklamówka. Odgłosy uliczne były bardziej radosne, a ludzie spoglądali na kieszonkowe zegarki, a nie telefony. Zapachy również były inne. Wszędzie śmierdziało. Ścieki i wszystkie odpady z fabryk pompowano wprost do Tamizy.

— Uroczo.

— Kiedyś było tu ciężko. Zapanował Wielki Smród. Był tysiąc osiemset pięćdziesiąty któryś rok. Trwało gorące lato. Całe miasto śmierdziało.

— W dalszym ciągu jest dość śmierdzące.

— Ale bez porównania. Wówczas przyzwyczajano się do smrodu. Ludzie nie mieli w zwyczaju się myć. Uważali, że kąpiele szkodzą.

Wącha swoją pachę.

— A więc bym tam pasowała?

Pochyliam się i również ją wącham.

— Zdecydowanie za czysta. Ludzie byliby wobec ciebie bardzo podejrzliwi. Spełniasz niemal dwudziestowieczne standardy czystości.

Śmieje się. Zdaje sobie sprawę, że źródłem najprostszej, najczystszej radości na ziemi jest wywoływanie śmiechu u kogoś, na kim ci zależy.

Niebo zaczyna nieco ciemnieć.

— Więc naprawdę się we mnie podkochałaś?

Znowu się śmieje.

— Jak na ponad czterystulatka wydajesz się zaskakująco niedojrzały.

— Hm, czterystutrzydziestodzieściolatka.

— Przepraszam, czterystutrzydziestodzieściolatka. Ale zadając to pytanie, brzmisz jak pięćiolatek.

— I na tyle się czuję. Normalnie czuję swoje lata na karku, ale teraz jestem jak pięćiolatek.

— Tak, jeśli to właśnie chcesz usłyszeć...

— Chcę usłyszeć prawdę.

Wzdycha w fałszywie dramatyczny sposób. Coś kryje się w tym, jak spogląda w niebo. Patrzę jak zahipnotyzowany na jej profil.

— Tak, kochałam się w tobie.

Również wzdycham. Czynię to w podobnie fałszywie dramatyczny sposób.

— Czas przeszły nigdy jeszcze nie brzmiał równie smutno.

— Okej. Okej. Kocham się w tobie.

— Ja też. Mam na myśli ciebie. Uważam, że jesteś fascynująca.

Jestem zupełnie szczery, lecz ona wybucha śmiechem.

— Fascynująca? Proszę, wybacz mi.

Jej śmiech wybrzmiewa. Chcę ją pocałować. Nie wiem, jak się do tego zabrać. Od czterech stuleci jestem singlem i zupełnie nie znam się na etykiecie. Ale czuję się lekko, szczęśliwie. Właściwie mogłoby mi to wystarczyć. To chwila niczym z *Ody na urnę grecką*. Z pocałunkiem wiecznie tkwiącym w sferze możliwości. Z nią spoglądającą na mnie i ze mną patrzącym na nią.

Zdaję sobie sprawę, że chciałbym rozwiązać jej zagadkę tak samo, jak ona chciała rozwiązać moją. -Camille przytula się do mnie delikatnie, a ja obejmuję ją ramieniem. W tym miejscu. Na ławce w parku. Być może to jest właś-nie potrzebne, aby kogoś pokochać. Znalezienie szczęśliwej tajemnicy, którą wiecznie można by odkrywać.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, jakbyśmy stano-wili parę, obserwując Abrahama biegającego wokół nas ze springer-spanielem angielskim. I przez chwilę napawam się szczęściem płynącym z ciężaru jej głowy spoczywającej na moim ramieniu. Potem, w bardzo krótkim odstępie czasu, dzieją się dwie rzeczy. Czuję nagle ukłucie winy na myśl o Rose. Jej głowa spoczywała na mojej piersi, kiedy kładliśmy się na wąskim łóżku w Hackney. Oczywiście Camille nie miała prawa wiedzieć, o czym myślę, ponieważ jedyną wskazówką, jaką otrzymała, było delikatne napięcie całego mojego ciała.

A potem dzwoni mój telefon.

— Nie odbieraj.

I tak robię. Ale potem telefon znowu dzwoni i tym razem Camille mówi:

— Lepiej zobacz, kto to.

Widzę na ekranie pojedynczą literę. H. Rozumiem, że trzeba odebrać. Muszę zrobić dokładnie to, co bym uczynił, gdybym nie był z Camille — odebrać. I chwila, ten krótki moment szczęścia, odpływa jak reklamówka na wietrze.

Wstaję z ławki z telefonem przytkniętym do ucha.

— Dzwonię nie w porę? — pyta Hendrich.

— Nie, nie. Słucham cię, Hendrichu.

— Gdzie jesteś?

— Spaceruję z psem.

— Jesteś sam?

— Tak, nie licząc Abrahama — próbuję powiedzieć to na tyle cicho, żeby Camille nie usłyszała, a wystarczająco głośno, by Hendrich nie nabrał podejrzeń. Zdaje się, że ponoszę fiasko na obu frontach.

Następuje milczenie.

— Dobrze, zatem słuchaj... Odnaleźliśmy kogoś.

— Marion?

— Niestety, nie. Odnaleźliśmy za to twojego przyjaciela.

Jestem zdezorientowany słowem „przyjaciół”. Spoglądam na wciąż siedzącą na ławce Camille, patrzącą teraz na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

— Kogo?

— Twojego człowieka.

Nie mam pojęcia, o kim mówi.

— Jakiego człowieka?

— Twojego Polinezyjczyka. Omai. Wciąż żyje. I jest głupcem.

— Omai?

Nawet gdyby właśnie przy mnie nie było Camille, ta wiadomość nie stanowiłaby powodu do radości. I to nie dlatego, że nie interesują mnie losy starego przyjaciela. Nie widzę żadnych pozytywów w tym, że Hendrichowi udało się go namierzyć. Tym bardziej że samemu Omai bardzo zależało na tym, by nikt go nie odnalazł. Szczęście, jakie odczuwałem zaledwie minutę wcześniej, teraz wydawało się całkowicie poza moim zasięgiem.

— Gdzie on jest? — pytam. — Co się z nim dzieje?

— W Australii jest surfer, który wygląda dokładnie tak jak pewien człowiek na trzystuletnim portrecie autorstwa Joshui Reynoldsa. Nazywa siebie Sol Davis. Staje się nieco zbyt znany w społeczności surferów. Ten dobrze wyglądający trzydziestoparolatek naprawdę liczy sobie około trzystu pięćdziesięciu lat. A ludzie gadają między sobą, że się nie starzeje. Ludzie o tym mówią. Na litość boską, to można znaleźć w internetowych komentarzach. Ktoś napisał: „Och, ten nieśmiertelny gość, który mieszka blisko mnie, wygląda tak samo od lat dziewięćdziesiątych”. Jest niebezpieczny. Ludzie stają się podejrzliwi. I najwyraźniej to nie wszystko. Źródło Agnes w Berlinie twierdzi, że jest tam znany. W instytucie. Może być w poważnych tarapatkach.

Wiatr się wzmaga. Camille zaczyna rozcierać ramiona, by dać mi znać, że jest jej zimno. Kiwam głową i wymawiam bezgłośnie słowa: „Już idę”, a jednocześnie mam świadomość, że nie mogę okazać Hendrichowi, że mi się spieszy.

— To jest...

— Będziesz miał wolne w przerwie? Między semestrami?

Brzmi to złowieszczo.

— Tak.

— Mogę ci załatwić lot do Sydney. Bezpośredni. Tylko z dwugodzinnym międzylądowaniem w Dubaju. Będziesz miał czas na zakupy na lotnisku. A później polecisz prosto do Australii. Tydzień w słońcu.

Tydzień w słońcu. To samo powiedział mi przed Sri Lanką.

— Wydaje mi się, że mnie o czymś zapewniłeś — mówię. — Myślałem, że powiedziałaś, iż mogę mieć to życie przez całe osiem lat. Bez przerw.

— Brzmisz jak ktoś, kto zarzucił kotwicę. Nie masz kotwicy.

— Nie. Nie kotwicę. Ale psa. Mam psa. Abrahama. To stary pies. Nie przeżyje ośmiu lat. Ale nie mogę go po prostu zostawić.

— Ależ oczywiście, że możesz. W dzisiejszych czasach istnieją opiekunowie dla psów.

— To bardzo wrażliwy pies. Cierpi z powodu koszmarów i boi się rozstań.

— Brzmisz, jakbyś coś pił.

Wiem, że nie mogę narażać Camille na niebezpieczeństwo.

— Wypiłem wcześniej nieco wina. Cieszę się przyjemnościami życia. Bo o to przecież chodzi, prawda? Czy nie tak mi właśnie powiedziałaś?

— I robisz to sam?

— Całkowicie sam.

Camille wstaje. Trzyma w dłoni smycz. *Co ona wyprawia?* Ale jest już za późno. Właśnie robi to, czego się obawiałem.

— No chodź, mały!

Nie.

— Abraham!

Pies biegnie do niej.

Ton Hendricha staje się chłodny.

— To twoja kotwica?

— Proszę?

— Kobieta, która zawołała Abrahama. Bo tak ma na imię twój pies, prawda?

Hendrich ma tysiąc objawów podeszłego wieku. Przeklinam w duchu, że jednym z nich nie jest przytępienie słuchu.

Camille przypina smycz do obroży Abrahama, a następnie spogląda na mnie. Jest gotowa do powrotu.

— Kobieta?

Teraz Camille mi się przysłuchuje.

— Kim ona jest?

— Nikim — odpowiadam. — To nikt taki.

Usta, na których dopiero co pragnąłem złożyć pocałunek, w tym momencie są rozwarte w wyrazie niedowierzania.

— Ja? — szepcze, lecz jest to jeden z tych szeptów brzmiących raczej jak niemy krzyk.

„Naprawdę tak nie myślę” — mówię bezgłośnie.

— To tylko ktoś, kogo widuję w parku. Nasze psy się znają.

Camille jest wściekła.

Hendrich wzdycha. Nie mam pojęcia, czy mi uwierzył, czy nie, ale powraca do głównego tematu rozmowy.

— Nawet jeśli się na to nie zdecydujesz, ktoś i tak odwiedzi twojego dawnego przyjaciela. Ktoś nieznajomy. W ostatnim czasie udało mi się zwerbować wiele osób. To dlatego tak bardzo wierzę, że uda mi się odnaleźć Marion. Rzecz w tym, że choć mam wielu potencjalnych chętnych do tego zadania, to jeśli ten, na kogo się zdecyduję, nie zdoła przekonać Omai, wtedy... — jego głos na moment zamiera. — To zależy od ciebie. To zależy wyłącznie od ciebie.

Pozorny wybór. Klasyczne zachowanie Hendricha. Albo pójdę porozmawiać z Omai, albo on umrze. Zasadniczo to właśnie do mnie mówi. Jeśli nie dopadnie go ktoś z Berlina, zrobi to ktoś inny. I co jeszcze bardziej przerażające, wiem, że ma rację. Hendrich może być manipulatorem, ale często mówi prawdę.

Camille wręcza mi smycz i samotnie opuszcza park.

— Później do ciebie oddzwonię. Muszę to przemyśleć.

— Masz godzinę.

— W zupełności wystarczy.

Rozłączam się i wołam do Camille.

— Camille, poczekaj. Dokąd idziesz?

— Do domu.

— Camille?

— Kto dzwonił?

— Nie mogę tego zdradzić.

— Tak jak nie mogłeś jej powiedzieć, kim jestem.

— To nie była kobieta.
— Ja tak nie mogę, Tom.
— Camille, proszę.
— Odpieprz się.
— Camille?

— Otworzyłam dla ciebie serce, zbliżyłam się do ciebie i wyobrażałam sobie, że coś między nami jest, tylko po to, żebyś zaprzeczył, że się w ogóle znamy. Kurwa twoja mać. Mogłam się z tobą przespać! Zapewne o to ci właśnie chodzi. Manipulujesz ludźmi. Pewnie jestem dla ciebie tylko kolejnym psem do wytresowania.

— Abraham nie jest tresowany. Camille, zaczekaj, proszę cię...

— *Fils de pute!*¹⁰

Wychodzi z parku. Mógłbym za nią pójść. Każda cząstka mojego ciała tego pragnie. Mógłbym z nią porozmawiać i wszystko wyjaśnić. Prawdopodobnie udałoby mi się to wyprostować. Ale stoję tam, na trawie, pod szkarłatnym niebem, w promieniach umierającego dnia. Kalkuluje, że obrażenie Camille jest lepsze od narażenia jej na niebezpieczeństwo. To kompletna łamigłówka. Jedyнным sposobem, aby ją chronić, jest mieć z nią jak najmniej wspólnego.

Mam świadomość, że wyrządziłem już wystarczająco wiele szkód. Hendrich słyszał jej głos. Mógł wyłapać francuski akcent.

Cholera. Tak się właśnie dzieje, kiedy pijesz wino. I gdy próbujesz się do kogoś zbliżyć. Wpadasz w pułapkę. Lecz jest to ta sama pułapka, w której tkwię od 1891 roku. I jak zawsze, pułapka zostaje zastawiona przez Hendricha. Czuję się dosłownie unieruchomiony. Nigdy nie będę miał życia. A teraz zdenerwowałem pierwszą nowo poznaną osobę, na której zaczęło mi naprawdę zależeć w czasie, który zdaje się wiecznością. *Cholera. Cholera. Cholera.*

— Cholera — mówię też do Abrahama.

Pies podnosi wzrok, nieco zdezorientowany.

Przez stulecia myślałem, że za całą odczuwaną przeze mnie rozpacz odpowiedzialna jest żaloba. Ale ludzie przechodzą żalobę. Radzą sobie z nawet najpoważniejszą stratą w ciągu kilku lat. Jeśli tego nie *przejdiesz*, przynajmniej *żyjesz niezależnie od tego*, co czujesz. A sposobem, w jaki ludziom się to udaje, jest inwestowanie w innych poprzez przyjaźń, rodzinę, nauczanie, miłość. Dochodziłem do tego już od pewnego czasu.

Ale w moim przypadku to wszystko jest farszą. Nigdy nie będę w stanie zmienić żadnego człowieka. Powinienem natychmiast przestać być nauczycielem. Powinienem przerwać wszelkie próby rozmowy. Nie powinienem mieć z nikim nic wspólnego. Powinienem żyć w całkowitej izolacji. Powinienem wrócić na Islandię, nie robiąc niczego poza zadaniami, jakie zleca mi Hendrich.

Wygląda na to, że nie mogę istnieć, nie wywołując jednocześnie bólu — u siebie bądź u innych osób.

Abraham skomle u mego boku, jakby wyczuwał cały ten ból.

— Wszystko w porządku, mały. Wracajmy do domu.

Daję psu trochę ciasteczek, a sam piję wódkę i śpiewam *Coming Around Again*¹¹ Carly Simon, powtarzając tytuł piosenki tak długo, aż czuję, że zaczyna ogarniać mnie szaleństwo.

Widząc, że zostało mi dziesięć minut, zanim będę musiał zadzwonić do Hendricha, klikam na YouTube'a i wpisuję „Sol Davis”. Znajduję nagranie przedstawiające fale i mężczyznę w kombinezonie piankowym przecinającego wodę na desce.

W kolejnym ujęciu ten sam mężczyzna wychodzi z wody i idzie po piasku, zwracając się do kamery z uśmiechem, ale też marszcząc brwi i kręcąc głową.

— Hej, stary, tylko niczego z tym nie rób — mówi. Ma australijski akcent, ogoloną głowę i wygląda, uwzględniając normalny czas starzenia się ludzi, na niemal dwadzieścia lat starszego, niż gdy go poznałem, lecz nie mam żadnych wątpliwości, że to Omai.

Wciskam pauzę. Jego oczy patrzą wprost na mnie, a czoło ma pokryte słoną wodą.

Podnoszę telefon, przez chwilę kołyszę go w dłoni, wchodzę w „Ostatnie połączenia” i naciskam kciukiem „H”.

Hendrich odbiera.

— W porządku, Hendrichu. Zrobię to.

1 Marka francuskich papierosów.

2 Niemożliwa do przetłumaczenia gra słów. *Rock* to dosłownie skała.

3 *Si merveilleux* — z francuskiego „Tak wspaniale”.

4 *Nous allons parler plus tard* — z francuskiego „Porozmawiamy później”.

5 *Prétendez que je ne suis pas ici* — z francuskiego „Udawaj, że mnie tu nie ma”.

6 *Pas de photos* — z francuskiego „Żadnych zdjęć”.

7 *Merde* — z francuskiego „Cholera”.

8 *Je vais m'expliquer* — z francuskiego „Wytłumaczę się”.

9 *Ironmonger* — sprzedawca wyrobów żelaznych.

10 *Fils de pute* — z francuskiego „Skurwysyn”.

11 *Coming around again* — z angielskiego „To znów powraca”.

CZEŚĆ PIĄTA

Powrót

Plymouth, Anglia, rok 1768

Historia mojej znajomości z Omai rozpoczęła się w pewien deszczowy marcowy wtorek na portowym bruku w Plymouth. Miałem kaca. W Plymouth wiecznie miałem kaca. Cóż, albo miałem kaca, albo byłem pijany. To było mokre miejsce. Deszcz, morze, ale. Wyglądało to tak, jakby wszyscy się powoli topili. Zanim znalazłem kapitana Samuela Wallisa, widziałem jego portret w ratuszu. Miał na sobie piękny płaszcz w kolorze błękitu królewskiego i spacerował wzdłuż nabrzeża, rozmawiając z innym mężczyzną.

Przybyłem do Plymouth zaledwie miesiąc wcześniej. W owym momencie moja nadzieja coraz bardziej dryfowała w dal z prądami morskimi. Przestałem wierzyć, że kiedykolwiek znajdę swoją córkę i zamiast tego próbowałem odpowiedzieć sobie na nurtujące mnie pytanie: Jaki jest sens życia, gdy nie ma się dla kogo żyć? Nadal nie znalazłem na nie odpowiedzi. Patrząc wstecz, myślę, że cierpiałem na jakiś rodzaj depresji.

Podbiegłem do Wallisa i stanąłem mu na drodze. Następnie zacząłem się cofać, ponieważ on nie zamierzał się zatrzymać.

— Słyszałem, że pilnie potrzebuje pan pracowników — powiedziałem. — Do rejsu. Na „Delfinie”.

Mężczyźni nie przerywali swojego marszu. Kapitan Wallis spojrzał na mnie. Był — podobnie jak wielu mężczyzn, których historia uczyniła wielkimi, ale niezbyt urodziwymi, a wytworny strój, jaki przywdział, raczej podkreślał jego fizyczne niedoskonałości, niż je maskował — niski, pulchny, o zaczerwienionych policzkach. Był mężczyzną skrojonym raczej pod wytworne obiady niż żeglarstwo. A przecież dzieliły go tylko dwa lata od odkrycia wyspy nazwanej później jego imieniem. Tymczasem jego małe zielone oczy patrzyły na mnie z pogardą.

— Ktoś ty? — zapytał głębokim, chrapliwym głosem.

— Nazywam się John Frears. — Wówczas po raz pierwszy użyłem tego imienia.

Kompan kapitana Wallisa delikatnie dotknął jego ramienia. Był to łagodny gest, ale odniósł pożądaną skuteczną. Ów mężczyzna wydawał się znacząco różnić od pana Wallisa. Bystrooki, ale wyraz jego ust sygnalizował zyczliwość i zainteresowanie. Mimo pogody ubrany w czarny jak węgiel płaszcz. To był Tobias Furneaux, człowieka, którego miałem całkiem dobrze poznać przez kolejne lata. Obaj mężczyźni zatrzymali się teraz w ruchliwym porcie, w pobliżu skrzyń pełnych świeżo złowionych szarych, plamistych ryb, lśniących w słońcu, które bardziej pasowało do czerwca niż do marca.

— Niby dlaczego mielibyśmy cię zabrać na nasz statek?

— Mam odpowiednie umiejętności, sir. Mogą się przydać wszędzie.

— Co na przykład potrafisz? — spytał pan Furneaux.

Pogrzebałem głęboko w torbie i wyjąłem czarną drewnianą fujarkę z trzema otworami, a następnie przyłożyłem ją do ust. Zacząłem od zagrania kilku nut melodii ludowej *The Bay of Biscay*.

— Dobrze grasz na fujarce — powiedział pan Furneaux, tłumiąc uśmiech.

— Umiem również grać na mandolinie.

Z oczywistych względów nie wspominałem o lutni. Brzmiałoby to równie archaicznie, jak w dzisiejszych czasach pochwalenie się obsługą faksu na rozmowie kwalifikacyjnej. Po

prostu nikt się już tym nie zajmował.

Pan Furneaux był pod wrażeniem i wyraził to słowami.

— Hmm — rzekł pan Wallis, nucąc wysoce wątpliwą melodię i zwracając się do towarzysza. — Nie planujemy koncertów, panie Furneaux.

Pan Furneaux szybko wdychał wilgotne powietrze.

— Jeśli mogę pozwolić sobie na zuchwałość, panie Wallis, chciałbym zauważyć, że zdolności muzyczne są podczas długiego rejsu równie bezcenne jak nasz fach.

— To nie wszystko, co potrafię — powiedziałem, zwracając się do pana Wallisa.

Ten spojrzał na mnie pytająco.

— Mogę podpinać żagle, oliwić maszty i naprawiać takielunek. Potrafię czytać zarówno słowa, jak i mapy. Umieję załadować broń prochem i dosyć celnie z niej wystrzelić. Znam francuski, sir. I niderlandzki, choć mniej biegle. Sprawdzę się też podczas nocnej wachty. Mogę wymieniać dalej, sir.

Panu Furneaux udawało się stłumić śmiech aż do tego momentu. Kapitan Wallis nie wyglądał nawet na odrobinę bardziej szczęśliwego niż minutę temu. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby mnie szczerze nie lubił. Zaczął odchodzić, a jego aksamitny płaszcz łopotał na wietrze niczym żagiel cofającego się statku.

— Wypływamy wcześniej. Szósta, jutro rano. Do zobaczenia na przystani.

— *Aye*, proszę pana, o szóstej. Będę tam. Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję.

Londyn, obecnie

Dalej uczę historii społecznej w tej samej klasie, kiedy Camille przechodzi za oknem niczym dręczący mnie sen.

— W elżbietańskiej Anglii nikt nie nosił w kieszeni banknotów. Istniały wyłącznie monety, aż do ustanowienia przez Bank Anglii...

Instynktownie podnoszę rękę, ale Camille nie odpowiada, mimo że mnie widzi. Anton patrzy, jak moja dłoń opada.

Taki stan trwa przez cały tydzień. Dla Camille jestem niewidoczny. Nasze spojrzenia się nie spotykają w pokoju nauczycielskim. Nigdy się ze mną nie wita, gdy się mijamy na zewnątrz. Skrzywdziłem ją. Jestem tego świadomy. Staram się więc nie pogarszać sytuacji poprzez nawiązywanie rozmowy. Mój plan jest taki: znieść jakoś ten tydzień, udać się do Australii, a następnie poprosić o przeniesienie jak najdalej od tego miejsca.

Pewnego razu widzę jednak, jak Camille błąka się po korytarzu szkolnym i wygląda tak smutno, że nie mogę zrobić nic innego, niż powiedzieć:

— Camille, przepraszam... Bardzo cię przepraszam.

W odpowiedzi kiwa głową tak nieznacznie, że ten gest mógł wcale nie zaistnieć, a następnie idzie dalej.

*

Tego wieczoru, gdy Abraham próbuje strząsnąć z siebie mierzącego jedną czwartą tego co on maltańczyka, wpatruję się w pustą ławkę i przypominam sobie, jak otoczyłem na niej Camille ramieniem. Ławka emanuje smutkiem prawie tak, jakby też to pamiętała.

W najbliższą sobotę zaczyna się przerwa międzysemestralna. Mam lecieć do Australii, a następnego dnia powierzam Abrahama opiekunowi, lecz na razie jestem w supermarkecie. Wkładam właśnie do koszyka tubkę pasty do zębów w rozmiarze podróżnym, kiedy zauważam Daphne. Ma na sobie jasną bluzkę, pcha koszyk, a jej oczy otwierają się szeroko na mój widok.

Nie chcę, by wiedziała, że wyjeżdżam, więc chowam pastę do zębów i butelkę kremu do opalania pod egzemplarzem „New Scientist”.

— Hej, panie Hazard! — wita mnie radośnie.

— Cześć, pani Bello!

Niestety, zaczynamy rozmawiać. Mówi, że właśnie widziała Camille zmierzającą na rynek kwiatowy Columbia Road.

Oczy Daphne patrzą na mnie w nieco psotny sposób.

— Gdybym nie była twoją szefową, *którą przecież jestem*, a na przykład bliską sąsiadką, *którą wszakże nie jestem*, powiedziałabym, że, cóż, madame Guerin chyba coś czuje do pewnego nowego nauczyciela historii.

Zaczyna mnie drażnić nienaturalna jasność supermarketu.

— Ale oczywiście nic nie powiem, ponieważ jestem dyrektorką szkoły, a dyrektorzy szkół nie mówią takich rzeczy. Zachęcanie pracowników do wdawania się w wewnętrzzakładowe romanse byłoby skrajnie nieprofesjonalne. Rzecz w tym, że ona... była w zeszłym tygodniu bardzo milcząca. Też to zauważyłeś?

Zmuszam się do uśmiechu.

— Niestety tak.

— Pomyślałam sobie tylko, że mógłbyś być właśnie tą osobą, która byłaby w stanie podnieść Camille na duchu.

— Niestety, prawdopodobnie jestem najgorszą osobą do tego zadania.

Zapada niezręczna cisza. Cóż, jest ona niezręczna przynajmniej dla mnie. Nie sądzę, żeby Daphne było niezręcznie. Zauważam butelkę rumu leżącą w jej wózku obok opakowania makaronu.

— Organizujesz przyjęcie? — próbuję zmienić temat.

Wzdycha.

— Chciałabym, ale nie. Butelka Bacardi jest dla mojej mamy.

— Nie podzieli się nią?

— Ha! Nie. I Bogu niech będą dzięki. Jeśli chodzi o rum, jest skrajnie egoistyczna. Przebywa w domu opieki w Surbiton. Jest tam z własnego wyboru, lubi towarzystwo i oczekuje, że zawsze przywiozę jej jakiś dobry trunek. Jak widzisz, jest trochę niegrzeczna. Zawsze się czuję jak przemytnik alkoholu lub ktoś z czasów prohibicji w Ameryce. Sam rozumiesz...

Przypominam sobie, jak w Arizonie grałem ragtime na fortepianie, podczas gdy na zakurzonej podłodze obok mnie stała butelka bimbrowa.

— Miała nieco problemów z nerkami i doznała udaru mózgu, więc wcale nie powinna pić alkoholu, ale zawsze powtarza, że ma zamiar spędzić tu dobry, a nie długi czas. Chociaż jest tam od dość dawna, bo ma osiemdziesiąt siedem lat. Twarda z niej sztuka. Ha!

— Brzmi świetnie — próbuję zaangażować się w rozmowę, lecz mój boleśnie nadaktywny hipokamp powoduje, że myśli wędrują do wspomnienia Camille ze szkoły. Tego, jak błado wyglądała. Jak w pokoju nauczycielskim celowo wybierała najodleglejsze ode mnie miejsce.

Wtedy jednak Daphne mówi coś, co wyrывa mnie z objęć rozpacz.

— Tak, niezła babka z tej mojej mamy. Trzeba wziąć pod uwagę, że mieszka w tym zakładzie z naprawdę niezłą zbieraniną. Jest tam jedna kobieta, która uważa, że jest tak stara, iż urodziła się w czasach Wilhelma Zdobywcy! Tak naprawdę powinna być umieszczona na oddziale psychiatrycznym.

Powstrzymuję gonitwę myśli. Pierwszą osobą, która przychodzi mi do głowy, jest Marion. Ale to irracjonalne. Jeśli żyje, nie wygląda jak staruszka. Wyglądałaby młodziej ode

mnie. I urodziła się za panowania króla Jakuba, a nie Wilhelma Zdobywcy.

— Biedna Mary Peters. Szalona jak pudełko pełne żab. Boi się telewizji. Ale to urocza staruszka.

Mary Peters.

Kręcę głową na słowa Daphne, w tym samym czasie przypominając sobie plotki, jakie pojawiły się po zniknięciu Mary Peters, którą poznałem w Hackney. Tej, którą Rose знаła z targu. Tej, która według Staruszki Adams miała cuchnąć piekłem i przybyła „znikąd”.

— Och, naprawdę? Biedaczka.

Kiedy Daphne odchodzi, zostawiam wózek w alejce i wychodzę zdecydowanym krokiem z supermarketu. Wyciągam telefon i zaczynam sprawdzać rozkłady pociągów do Surbiton.

Dom opieki jest położony z dala od drogi. Drzewa rozpościerają się wzdłuż całego frontu. Stoję na chodniku i zastanawiam się, co powinienem zrobić. Po drugiej stronie drogi idzie listonosz, ale poza nim nie ma nikogo. Biorę wddech. Życie ma dziwny rytm. Potrzeba dość dużo czasu, by w pełni zdać sobie z tego sprawę. Dekady. A nawet wieki. To nie jest prosty rytm. Ale z całą pewnością jest to rytm. Tempo zmienia się i waha. Istnieją struktury w strukturach, wzorce we wzorcach. Jest to kłopotliwe. Przypomina pierwsze spotkanie z grą Johna Coltrane’a na saksofonie. Ale jeśli się do tego przekonasz, dostrzeżesz elementy, które będą dla Ciebie znajome. Obecny rytm przyspiesza. Zbliżam się do crescendo. Wszystko dzieje się jednocześnie. Jest to jeden ze wzorców: przez długi czas nic się nie dzieje, ale w końcu cisza staje się zbyt wielka i bęben musi w nią wkroczyć. Coś musi się wydarzyć. Często ta potrzeba pochodzi od Ciebie. Wykonujesz telefon. Mówisz: „Nie mogę już dłużej wieść takiego życia. Potrzebuję zmian”. I jedną z rzeczy, które następują, jest to, że przejmujesz kontrolę. A potem dzieje się coś innego, na co kompletnie nie masz wpływu. Trzecia zasada dynamiki Newtona. Każdej akcji towarzyszy reakcja. Kiedy coś zaczyna się dziać, zaczynają się dziać również inne rzeczy. Ale czasami wydaje się, że nie ma dla nich wytłumaczenia: dlaczego wszystkie autobusy pojawiają się jednocześnie, dlaczego życiowe chwile szczęścia i bólu docierają do nas wspólnie. Wszystkim, co możemy zrobić, jest obserwowanie wzorca, rytmu, a następnie życie zgodnie z nim.

Biorę głęboki oddech.

Całodobowy dom opieki Ash Grange. W logo znajduje się spadający liść. Liść nieokreślonego gatunku. Cały znak jest w kolorach pastelowej żółci i błękitu. To jedna z najbardziej depresyjnych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Sam budynek jest niemal równie okropny. Prawdopodobnie ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Jasna, pomarańczowa cegła, przyciemnione szyby i przeciętna jakość. Całe miejsce zdaje się ugrzecznionym eufemizmem dla śmierci.

Wchodzę do środka.

— Witam — mówię do kobiety w biurze po tym, jak otwiera okienko z pleksiglasu, żeby ze mną porozmawiać. — Przyszedłem do Mary Peters.

Patrzy na mnie i uśmiecha się w ten energicznie umiejętny sposób. To nowoczesny, profesjonalny uśmiech. Rodzaj uśmiechu, który nie istniał nigdy przed powstaniem, powiedzmy, telefonu.

— Och, tak. Niedawno pan do nas dzwonił, prawda?

— Tak, to ja. Nazywam się Tom Hazard. Poznałem Mary za młodu w Hackney.

Patrzy w ekran komputera i klika myszką.

— Och, tak. Wyraziła zgodę na spotkanie z panem. Proszę tędy.

— Świetnie — odpowiadam, a gdy idę po płytkach dywanowych, czuję, jakbym się cofnął w czasie.

Mary Peters patrzy na mnie różowymi, osłabionymi przez czas oczami. Jej siwe włosy są

wątle niczym nasiona mniszka lekarskiego, a żyły pod skórą odznaczają się jak trasy na jakiejś tajnej mapie, lecz rozpoznaję w niej kobietę, którą spotkałem w Hackney cztery stulecia temu.

— Pamiętam cię — mówi. — Z tamtego dnia na bazarze. Stoczyłeś wtedy walkę z tym oślizgłym draniem.

— Panem Willowem — mówię, przypominając sobie, jak zniknął w chmurze przypraw.

— Tak.

Coś chrzęści w jej oddechu. Rzęzenie pojawia się przy każdym wdechu. Na twarzy pojawia się grymas, a jej krzywe palce słabo rozmasowują skronie.

— Mam bóle głowy. Tak się już z nami dzieje.

— Mnie też zaczynają dokuczać.

— Przychodzą i odchodzą. Moje ostatnimi czasy robią głównie to pierwsze.

Ta kobieta mnie zdumiewa. Tym, że nadal znajduje w sobie siłę, by podtrzymywać rozmowę. Musi być staruszką od dwóch stuleci.

— Niewiele mi już zostało — mówi, jakby czytając w moich myślach. — To dlatego tu zamieszkałam. Niczego nie ryzykuję.

— Niczego nie ryzykujesz?

— Zostały mi maksymalnie dwa lata.

— Nie możesz tego wiedzieć. Równie dobrze może to być pięćdziesiąt lat.

Kręci głową.

— Mam nadzieję, że nie.

— Jak się czujesz?

Uśmiecha się, jakbym opowiedział dowcip.

— Jakbym była blisko końca. Widzisz, odczuwam mnóstwo dolegliwości. Kiedy lekarz powiedział, że to tylko kwestia tygodni, zdałam sobie sprawę, że mam... mam... mam przed sobą tylko dwa lata. Maksymalnie trzy. Wiedziałam więc, że spotkanie ze mną będzie dla ciebie bezpieczne. Rozumiesz, bezpieczniejsze...

Nie ma to żadnego sensu. Jeśli nadal martwi się o bezpieczeństwo, to dlaczego mówi otwarcie o własnym wieku?

W pomieszczeniu znajdują się również inni ludzie. Głównie siedzący na krzesłach, zatopieni we wspomnieniach bądź krzyżówkach.

— Byłeś prawdziwą miłością Rose. Nie mówiła o niczym poza tobą. Miałam stoisko z kwiatami tuż obok miejsca, w którym wraz z młodszą siostrą sprzedawały owoce. Tom to, Tom tamto, wszystko Tom. Odżyła po tym, jak cię poznała. Stała się inną dziewczyną.

— Tak bardzo ją kochałem — mówię. — Była taka silna. Była najwspanialszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Uśmiecha się z lekką sympatią.

— W tamtych czasach byłam tylko smutnym starociem. Cierpiałam z powodu złamanego serca.

Rozgląda się po pomieszczeniu. Ktoś skacze po kanałach w telewizorze. Pojawia się czołówka programu zatytułowanego *A New Life in the Sun*². Następnie na ekranie ukazują się para prowadząca hiszpańską restaurację o nazwie „Blue Marlin”. Wyglądają na zestresowanych podczas płukania omułek w garnku.

Kiedy Mary ponownie zwraca twarz w moją stronę, jest zamyślona i niemal drży od natłoku myśli. A następnie mówi:

— Spotkałam twoją córkę.

Jest to tak wyrwane z kontekstu, że nie do końca zdaję sobie sprawę, co powiedziała.

— Proszę?

— Twoje dziecko, Marion.

— Marion?

— Całkiem niedawno. Leżałyśmy razem w szpitalu.

Mój umysł przyspiesza, by pojąć znaczenie tych słów. W ludzkim życiu tak często bywa. Spędzasz masę czasu, oczekując na coś — osobę, uczucie bądź skrawek informacji — a gdy to coś znajduje się tuż przed twoim nosem, nie jesteś w stanie tego przyjąć. Dziura nauczyła się być dziurą i nie wie, jak może się zasklepić.

— Co?

— To był szpital psychiatryczny w Southall. Byłam tam pacjentką ambulatoryjną, zaledwie szaloną, starą, łkającą na krześle ptaszyną. Ona była tam osadzona na stałe. Poznałam ją. Jeśli się nie mylę, wyjechałam z Londynu jeszcze przed jej narodzinami, prawda?

— Skąd więc wiedziałaś, że to moja córka?

Patrzy na mnie, jakbym zadał niepoważne pytanie.

— Sama mi powiedziała. Wszystkim o tym mówiła. Głównie z tego powodu została umieszczona w szpitalu. Nikt jej nie wierzył. Była szalona. A przynajmniej tak myśleli... Czasami mówiła po francusku i dużo śpiewała.

— Co śpiewała?

— Stare piosenki. Stare, *stare* piosenki. Zwykła płakać podczas śpiewu.

— Nadal tam przebywa?

Kręci głową.

— Odeszła. Było w tym coś dziwnego...

— Dziwnego? Co masz na myśli?

— Pewnej nocy po prostu odeszła. Ludzie mówili, że był jakiś hałas i zamieszanie...

A następnego dnia po prostu jej nie było.

— Dokąd odeszła? *Dokąd?*

Mary wzdycha. Przez chwilę milczy. Wygląda na smutną i zdezorientowaną, gdy o tym myśli.

— Nikt nie wiedział. Po prostu powiedzieli nam, że została wypisana. Ale nigdy nie dowiedzieliśmy się tego na sto procent. To brzmi dziwnie, ale nie zawsze wiedzieliśmy, co się tam działo. Taka już była specyfika tego miejsca.

Nie mogę odpuścić. Od tak dawna czekam na nadzieję, a gdy ta się pojawia, trwa dziesięć sekund, tylko po to, żeby znów zgasnąć. — Gdzie mogła się udać? Czy kiedykolwiek sugerowała, dokąd chciałaby się wybrać? Musiała coś powiedzieć.

— Nie wiem. Szczerze. Po prostu nie wiem.

— Czy wspominała o jakichś miejscach?

— Podróżowała. Mówiła o miejscach, które odwiedziła. Była w Kanadzie.

— W Kanadzie? Gdzie? Ja byłem w Toronto.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Spędziła też sporo czasu w Szkocji. Wydaje mi się, że miała bardzo szkocki akcent. Sądzę, że dużo podróżowała. Po Europie.

— Myślisz, że może być w Londynie?

— Szczerze, nie wiem.

Opieram się na krześle. Próbuję pomyśleć. Czuję jednocześnie ulgę, że Marion żyje — albo przynajmniej jeszcze niedawno żyła — i martwię się cierpieniami, jakich musiała doznać.

Zastanawiam się, czy to stowarzyszenie ją dorwało. Zastanawiam się, czy ktoś próbował ją uciszyć. Zastanawiam się, czy Hendrich o tym wie i mi o tym nie powiedział. Zastanawiam się, czy ktoś ją uprowadził. Instytut w Berlinie. Lub ktoś inny.

— Mary, posłuchaj mnie — mówię do niej, nim opuścę szpital. — Bardzo ważne jest,

żebyś przestała opowiadać o swojej przeszłości. Może to być niebezpieczne zarówno dla Marion, jak i dla ciebie. Możesz o niej myśleć, ale mówienie o twoim prawdziwym wieku jest bardzo niebezpieczne.

Na jej twarzy pojawia się grymas jakiegoś niewidzialnego bólu, kiedy przesuwa się, z ostrożnym wysiłkiem, na swoim krześle. Mija minuta. Analizuje moje słowa i je odrzuca.

— Kiedyś kogoś kochałam. Kobieta. Kochałam ją do szaleństwa. Rozumiesz mnie? Żyłyśmy ze sobą w sekrecie przez niemal dwadzieścia lat. Mówiono nam, że nie możemy rozpowiadać o tej miłości... ponieważ to niebezpieczne. Niebezpiecznie było kochać.

Kiwam głową. Rozumiem to.

— Nadchodzi moment, w którym jedynym sposobem na rozpoczęcie życia jest powiedzenie prawdy. Bycie tym, kim się naprawdę jest, nawet jeśli to niebezpieczne.

Trzymam ją za rękę.

— Pomogłaś mi bardziej, niż mogłabyś to sobie wyobrazić.

Jedna z pielęgniarek podchodzi i pyta, czy życzyłbym sobie herbaty. Dziękuję za propozycję.

I wtedy pytam Mary ściszone głosem:

— Słyszałaś o Stowarzyszeniu Albatrosów?

— Nie. Nie wydaje mi się.

— Dobrze, zatem po prostu bądź ostrożna. Proszę, nie mów już więcej o... Sama wiesz.

Patrzę na wiszący na ścianie zegar. Jest za kwadrans piętnasta. Za trzy godziny muszę być w samolocie do Sydney z międzylądowaniem w Dubaju.

— Uważaj na siebie — mówię do Mary.

Kręci głową. Zamyka oczy. Jej westchnienie przypomina syknięcie kota.

— Jestem za stara, by się jeszcze bać. Jestem za stara, by kłamać. — Pochyla się do przodu na krześle i zaciska dłoń na lasce tak mocno, że kostki jej bieleją. — I ty też.

Wychodzę ze szpitala i dzwonię do Hendricha.

— Tom? Co słychać?

— Wiedziałaś, że ona wciąż żyje?

— Kto?

— Marion. *Marion*. Znalazłeś ją? Wiesz, gdzie jest?

— Tom, uspokój się. Nie. Masz o niej jakieś wieści?

— Żyje. Była w szpitalu w Southall. A potem zniknęła.

— Zniknęła? Urowadzona przez kogoś?

— Nie wiem. Mogła sama uciec.

— Ze szpitala?

— To był szpital psychiatryczny.

Listonosz z trudem przemieszcza się po chodniku.

— Nie wiem, gdzie ona jest — szepczę do telefonu. — Ale nie mogę lecieć do Australii. Muszę ją znaleźć.

— Jeśli ją porwano...

— Tego akurat nie wiem.

— Jeśli ją porwano, sam jej nie znajdziesz. Posłuchaj mnie. Poproszę Agnes, żeby jej źródło w Berlinie nadstawiło ucha tu i ówdzie. Po Australii będzie to dla nas operacja priorytetowa. Znajdziemy ją. Jeśli została porwana, prawdopodobnie jest w Berlinie, Pekinie lub Dolinie Krzemowej. Sam jej nie znajdziesz. Spójrz tylko — tyle czasu byłeś w Londynie i nie trafiłeś na żaden jej ślad.

— Bo jej nie szukałem. To znaczy nie skupiałem się na tym.

— Dokładnie, Tom. W końcu to dostrzegasz. Przestałeś się skupiać na tym, co istotne. To właśnie to. Ale się tym zajmiemy. Tymczasem musisz jednak zdążyć na samolot.

— Nie mogę. Naprawdę, nie mogę.

— Jeśli chcesz odnaleźć Marion, musisz się znowu skupić, Tom. Musisz polecieć i wprowadzić swojego przyjaciela do naszej organizacji. Kto wie? Może ma dla nas jakieś informacje, które nam pomogą. Sam wiesz, jak to działa. Najlepszymi osobami, które można spytać o alby, są inne alby. Musisz znowu skoncentrować się na tym, co ważne. Prawda jest taka, że nie masz pojęcia, gdzie Marion może się znajdować. Wiemy jednak, gdzie jest twój przyjaciel. Berlin też o tym wie. Marion dawała sobie radę przez ponad cztery stulecia. Z pewnością poradzi sobie jeszcze przez tydzień. Wykonaj swoją pracę w Australii, a przysięgam — *przysięgam* — że będziemy wspólnie pracować nad jej znalezieniem i się nam uda. Przecież masz już jakiś trop, prawda?

Nie mogę powiedzieć mu o Mary Peters. Nie chcę narażać kobiety, która nigdy nie zgodzi się na wstąpienie do stowarzyszenia.

— Ja ją po prostu muszę odnaleźć.

— I ją odnajdziemy, Tom — mówi, a ja nienawidzę go niemal tak samo, jak mu wierzę. Zwątpiłem w niego tak wiele razy, lecz prawda wygląda tak, że też to czuję. Czuję każde słowo, które wypowiada. — Mogę to wyczuć. Doświadczyłem już tak wiele przeszłości, że mogę wyczuć przyszłość. Wiem. Po prostu wiem. Jesteśmy już niemal u celu, Tom. Znowu ją zobaczysz. Ale najpierw musisz ocalić swojego przyjaciela. Naprawdę powinieneś już wyruszyć na lotnisko. Omai cię potrzebuje.

Rozmowa kończy się jak zawsze. Zrobię to, czego Hendrich ode mnie oczekuje. Zrobię to, bo daje mi on jedyną nadzieję, na jaką mogę liczyć.

Tahiti, rok 1767

Miałem za zadanie spalić wioskę.

— Spal to! — ryknął Wallis. — Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał wrócić do domu, spalisz chatę dzikusa, Frears! A potem kolejne!

Trzymałem w ręku płonącą pochodnię, ramię osłabło mi od jej ciężaru, a całe ciało zdrętwiało od stania. Tak łatwo byłoby opuścić rękę, ale nie mogłem spalić chaty. Po prostu stałem tam, na czarnym piasku, podczas gdy wyspiarz wpatrywał się we mnie. Młody człowiek nic nie powiedział. Nic nie zrobił. Po prostu stał przed chatą i na mnie patrzył. Jego oczy były szeroko otwarte. Patrzył na mnie z mieszaniną przerażenia i przekory. Miał zmierzwiłone, długie, sięgające do piersi włosy i nosił więcej biżuterii niż większość wyspiarzy. Bransoletki wykonane z kości. Naszyjniki. Powiedziałbym, że miał około dwudziestu lat. Lepiej niż inni wiedziałem jednak, że jeśli chodzi o wiek, pozory mogą być bardzo zwodnicze.

Kilka wieków później, widząc na filmie na YouTube tego samego mężczyznę wychodzącego z oceanu, zauważyłem, że te oczy patrzą wciąż z tym samym wyrazem. Gdzieś pomiędzy buntem a dezorientacją.

Nie byłem święty. Nie czułem wstydu z powodu odkrywania nowych ziem ani tworzenia imperium. Nawet wówczas byłem przecież człowiekiem z innych czasów. A jednak nie mogłem podpalić domu wyspiarza. Nie wiem, czy sprawiły to jego oczy, fakt, że rozpoznałem w nim podobnego do mnie odrzutka, czy świadomość, jakie szkody może wyrządzić duszy nagromadzenie przez długie życie grzechów. Do dziś tego nie wiem.

Odszedłem, mimo że Wallis na mnie warczał. Zaniósłem pochodnię na gładki, mokry piasek i pozwoliłem, by morze ją zabrało. Wróciłem do człowieka, którego chata wciąż stała,

wyciągnąłem zza pasa pistolet, który dostałem przed zejściem na brzeg od osłabionego przez szkorbut oficera, i również położyłem go na piasku. Nie sędzę, żeby ten człowiek rozumiał, czym jest pistolet ani o co mogło mi chodzić, ale gest, gdy na piasku położyłem też nóż, zrozumiał już w pełni.

Miałem w kieszeni małe lusterko. Wyjąłem je i pokazałem tubylcowi w nim jego twarz, a on wpatrywał się w nią zafascynowany.

Wallis znowu był przy mnie.

— Co wy, do diabła, wyrabiacie, Frears?

Próbowałem wpatrywać się w Wallisa z tą samą milczącą godnością, z jaką obserwował mnie wyspiarz.

Na szczęście, był tam również Furneaux.

— Jeśli zniszczymy ich domostwa, nigdy nie będziemy tu mile widziani. Niekiedy lepiej ich omamić, zamiast wystraszyć bardziej niż to konieczne. Czasami wystarczy, że bestia tylko zaryczy.

Wallis po prostu coś bełkotał, po czym spojrział na mnie i powiedział:

— Nie każ mi żałować, że cię ze sobą zabrałem.

A chaty i tak zostały spalone. W ten sposób wyspa, która pewnego dnia będzie znana jako Tahiti, została po raz pierwszy doświadczona przez Europejczyków. Zaledwie dwa lata później kapitan James Cook skorzysta z niej w swojej pierwszej podróży jako miejsca, z którego on i jego astronom będą obserwować tranzyt Wenus na tle Słońca. To właśnie z tego powodu — dogodnego umiejscowienia wyspy, z której można coś obserwować — możliwe stało się nie tylko poszerzenie wiedzy naukowej, ale również obliczenie długości geograficznej.

Gdy wioska została strawiona przez ogień, ostatni dwaj jej żyjący mieszkańcy udali się z artystą, Joe Webberem, do lasu deszczowego, by go zbadać. Nie byliśmy tam, aby przejąć władzę, ale po to, by — przynajmniej we własnym mniemaniu — *odkrywać*.

Jednak zrobiliśmy to, co tak często zdarzało się w dumnej historii odkryć geograficznych. Znaleźliśmy raj. A potem go podpaliliśmy.

Dubaj, obecnie

Na lotnisku w Dubaju jest bardzo jasno, choć to środek nocy. Przechadzam się po sklepie, w którym kobieta chce mnie spryskać wodą po goleniu.

— Nie, dziękuję bardzo — odmawiam.

Ona mi jednak nie wierzy. Rozpyła perfumy — Sauvage — na cienki, idealnie prostokątny pasek papieru, a następnie mi go wręcza. Uśmiecha się tak promiennie, że biorę go i odchodzę. Wącham papier. Wyobrażam sobie wszystkie te rośliny, z których pochodzi zapach. Myślę o tym, jak bardzo jesteśmy oderwani od natury. Jak wiele musimy zrobić, aby tego dokonać, a następnie móc zabutelkować ten zapach i nadać mu „dziką” nazwę. Aromat perfum nie porusza żadnej struny w moim umyśle. Idę dalej i wchodzę do znajdującej się na lotnisku księgarni. Niektóre książki są w języku arabskim, ale większość jest napisana po angielsku.

Szukam czegoś do poczytania, lecz początkowo widzę same poradniki biznesowe. Patrzą na okładkę jednego z nich. Znajduje się na niej fotografia autora. Jest w garniturze, a na twarzy ma nienaturalny, pseudoprezydencki uśmiech. Zęby lśnią arktyczną bielą. Nazywa się Dave Sanderson. Poradnik nosi tytuł *The Wealth Within You*, a podtytuł brzmi *How to Harness Your Inner Billionaire*³.

Przez pewien czas patrzę na tę książkę, będąc w czymś na kształt transu. To popularny współczesny pomysł. Twierdzenie, że nasze wnętrze jest czymś innym niż to, co na zewnątrz. Że

istnieje bardziej rzeczywista, lepsza i bogatsza wersja nas samych, którą możemy wykorzystać, tylko kupując rozwiązanie. Idea, że jesteśmy oddzieleni od naszej natury, tak samo jak butelka perfum Diora jest odległa od leśnych roślin.

Na ile jestem w stanie to ocenić, taki jest właśnie problem z życiem w XXI wieku. Wielu z nas ma wszystkie materialne rzeczy, których potrzebuje, więc zadaniem marketingu stało się powiązanie ekonomii z naszymi emocjami, abyśmy poczuli, że potrzebujemy więcej, a co za tym idzie, zapragnęli czegoś, czego nigdy wcześniej nie chcieliśmy. Wywołuje się w nas poczucie biedy, jeśli zarabiamy trzydzieści tysięcy funtów rocznie. Czujemy, że nie jest nam dane podróżować, jeśli odwiedziliśmy dziesięć innych krajów. Czujemy się starzy, jeśli mamy zmarszczkę. Brzydzy, jeśli nie zostaliśmy przerobieni komputerowo i poddani retuszowi.

W XVII wieku nikt nie chciał odnajdywać swojego wewnętrznego miliardera. Ludzie marzyli, by dożyć chociaż wieku młodzieńczego i uniknąć wszy.

E tam!

Zdaję sobie sprawę, że nie jestem w dobrym nastroju.

Oczy mam suche od zmęczenia i siedmiu godzin spędzonych w samolocie. Nie lubię latać. Ale nie odczuwam większego niepokoju, będąc w powietrzu. Nie podoba mi się jednak możliwość znalezienia się w innym kraju o całkowicie odmiennej kulturze i w innym klimacie, zaledwie kilka godzin po opuszczeniu Gatwick. Może jest tak dlatego, że wciąż pamiętam wielkość i znaczenie wielu rzeczy. Nikt tego nie rozumie. Ludzie teraz nie czują ogromu świata ani własnej małości. Kiedy pierwszy raz podróżowałem po całym globie, zajęło mi to ponad rok, a podróż odbyła się na łodzi pełnej mężczyzn, wśród których za szczęśliwców mogli uznać się ci, którzy dotarli do celu. Teraz świat jest na wyciągnięcie ręki. I to cały. Za godzinę będę w samolocie do Sydney, a przed południem dotrę na miejsce. Wywołuje to we mnie uczucie klaustrofobii, jakby cały świat kurczył się niczym balon, z którego schodzi powietrze.

Przechodzę do innego działu księgarni. Ów dział, zawierający głównie książki napisane w języku angielskim lub na niego przełożone, nosi nazwę „Rozważania”. Zajmuje znacznie mniejszy obszar niż ten poświęcony książkom biznesowym. Konfucjusz. Starożytni Grecy. Potem widzę książkę z prostą, akademicką oprawą, ułożoną okładką w moją stronę.

Michel de Montaigne. *Próby*⁴.

Niemal obraca mnie ona w popiół. Nawet wypowiadam głośno do siebie imię swojej córki. Jakbym znów był blisko niej. Jakby część nas zawarta była w każdej książce, którą kochaliśmy. Podnoszę ją, otwieram na wybranej losowo stronie i czytam zdanie: „Nic tak mocno nie utrwała rzeczy w pamięci, jak chęć ich zapomnienia”. Czuję, że za chwilę się rozpłaczę.

Słyszę dźwięk telefonu. Pospiesznie odkładam książkę. Sprawdzam komórkę. Wiadomość tekstowa. Od Omai: „Szmata czasu. Nie mogę się doczekać nadrobienia zaległości. Zarezerwowałem dla nas na ósmą stolik w restauracji »Drzewo Figowe«. Chciałem dać ci trochę czasu na przespanie jet laga”.

Jet lag.

Zabawnie brzmi to słowo w jego SMS-ie. W moim umyśle przynależy on do czasów, w których koncepcja latania była równie fantastyczna, jak dla dzisiejszych ludzi pomysł życia na Neptunie. A może nawet dziwniejsza.

Odpisuję: „Do zobaczenia na miejscu”.

Odkładam Montaigne’a, wychodzę z księgarni i kieruję się do dużego okna, przy którym będę czekać, aż zapowiedzą mój lot. Opieram głowę o szybę i wpatruję się poza swoje odbicie w nieskończoną ciemność pustyni.

Plymouth, Anglia, rok 1772

Po powrocie zatrzymałem się w Plymouth. Podobało mi się tam. Podobnie jak w wypadku Londynu, było to miejsce, w którym łatwo się znikać. Miasto marynarzy, obdartusów, zbrodniarzy, uciekinierów, włóczęgów, muzyków, artystów, marzycieli i samotników, a ja byłem po części każdym z nich.

Pewnego ranka opuściłem swoją kwaterę w Minerva Inn i poszedłem do nowej stoczni. Na wodzie unosił się wielki okręt wojenny.

— Imponujący, prawda? — zapytał stojący na nabrzeżu mężczyzna, widząc mój podziw.

— Tak. Zaiste, imponujący.

— Stworzony do odkrywania nowych światów.

— Nowych światów?

— *Aye*. To statek Cooka.

— Cooka?

Wtedy usłyszałem za sobą kroki. Czyjaś dłoń opadła na moje ramię. Podskoczyłem.

— Mój Boże, panie Frears, wydajecie się nieco wstrząśnięci.

Odwróciłem się i zobaczyłem wysokiego, szczupłego, elegancko ubranego dżentelmena, który się do mnie uprzejmie uśmiechał.

— Och, pan Furneaux... Dobrze pana widzieć, sir.

Jego przenikliwe oczy przyglądały mi się przez chwilę.

— Nie wyglądacie na choćby o dzień starszego, Frears.

— To przez morskie powietrze, sir.

— Chcecie go więcej zażyć? Chcecie wrócić na morze?

Wskazał na horyzont za portem.

— Tym razem będzie inaczej. Cook przygotował wszystko nieco lepiej niż Wallis.

— Będzie pan zeglował na okręcie Cooka?

— Niezupełnie. Będę mu towarzyszył — powiedział. — Podczas rejsu. Jako dowódca na „Adventure”. Właśnie kompletuję załogę. Chcielibyście do niej dołączyć?

Gdzieś nad Australią, obecnie

Lecę z Sydney do Gold Coast. Jestem zmęczony. Ostatnie dni spędziłem głównie w samolotach lub na lotniskach. Na tyłach samolotu płacze dziecko. Przez chwilę powracam wspomnieniami do Marion z okresu, gdy zaczęła ząbkować, i tego, jak bardzo Rose martwiła się, że ból może mieć dla niej śmiertelne skutki. Na sposób, w jaki każdy pies jest podobny do innego psa, każdy płacz dziecka odbija się echem w każdym płaczącym dziecku, jakie kiedykolwiek istniało.

A skoro już przy tym jesteśmy, siedzi przede mną para młodych ludzi. Głowa jednej osoby spoczywa na ramieniu drugiej. Głowa mężczyzny na ramieniu drugiego mężczyzny w sposób, jakiego nie zwykło się nigdy widywać. Przypuszczam, że to wzruszający widok, ale we mnie wzbudza on zazdrość. Chcę czuć czyjąś głowę na ramieniu, tak jak spoczywała tam głowa Camille tuż przed telefonem od Hendricha. Czy tak było kiedyś, na samym początku, z Rose? Czy było to coś innego? A może *to jest* inny rodzaj miłości. Czy to ma znaczenie?

Zastanawiam się nad tym, jak rzadko rozmawialiśmy ze sobą w szkole przez ostatni tydzień. Myślę o niezręcznej chwili w pobliżu czajnika w pokoju nauczycielskim. Grzebała w herbatach, szukając rumianku. Zapadła cisza.

Matka kazała mi żyć. Musiałem żyć po tym, jak odeszła. Łatwo było jej mi to nakazać, ale oczywiście miała rację. A jej życzenie było w pełni zrozumiałe. Kiedy umierasz, ostatnią

rzeczą, jakiej pragniesz, jest to, by twoja śmierć przeciekała i infekowała tych, którzy pozostali przy życiu. Nie chcesz, by zamienili się oni w coś w rodzaju żywych trupów. A jednak często okazuje się to nieuchronne. To właśnie mi się przydarzyło.

Ale wyczuwam, że się ono zbliża. Życie. Wyczuwam je, zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Marion jest jego częścią. To, że pomysł znalezienia jej nagle stał się bardzo realny. Śpię i śnię o Omai. Śnię o tym, że widzę go stojącego na plaży na południowym Pacyfiku, wpatrującego się w zachód słońca. A kiedy do niego podchodzę i chwytam za rękę, on rozpada się jak piasek i okazuje się, że w jego wnętrzu jest ktoś inny. Ktoś mniejszy, ukryty w nim niczym w matryosce. Dziecko. Dziecko z długim warkoczem, ubrane w zieloną bawełnianą sukienkę.

— Marion — mówię.

A potem ona również rozpada się na piasek, sama stając się plażą, podczas gdy ja staram się utrzymać ją w dotychczasowym kształcie, nawet gdy woda odbiera mi jej resztki.

Kiedy się budzę, dziecko już nie płacze, a ja jestem tam — czyli tutaj. Samolot wylądował i wiem, że tylko godziny dzielą mnie od spotkania z kimś, kogo nie widziałem od stuleci. I nie mogę nic na to poradzić, że jestem przerażony.

Huahine, Wyspy Towarzystwa, rok 1773

Arthur Flynn, spalony słońcem podporucznik na „Adventure”, ukląkł na piasku, gotując się w swojej białej ko-szuli. Trzymał w rękach jaskrawoczerwone i białe wstążki. Następnie z niezdaną, wymowną mimiką przywiązał je sobie do włosów. Uśmiechnął się, naśladując ładną dziewczynę, co nie bardzo pasowało do jego spieczonej twarzy i skóry głowy, jak również nieokielznanej brody.

Mimo to widowia złożona z małych dzieci była pod wrażeniem. Podróżowałem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że śmiech jest uniwersalny, przynajmniej wśród dzieci. Nawet starsi wyspiarze, stojący nieco za nimi, nagle uśmiechnęli się do tego dziwnie czerwonoskórego Anglika robiącego z siebie głupca. Arthur wręczył wstążkę długowłosej dziewczynce, która stała najbliżej niego — mogła mieć nie więcej niż sześć lat — a ta, gdy matka zaaprobowała dar, przyjęła wstążkę.

Arthur odwrócił się do mnie i powiedział łagodniejszym niż zwykle głosem:

— Macie koraliki, Frears?

Za tubylcami były widoczne dwa statki, osiadłe niczym nieożywione, eleganckie bestie przeniesione z innej rzeczywistości.

Kiedy tam przebywaliśmy, rozdając podarki i budując pokojowe relacje za pomocą wstążek, zobaczyłem w tłumie twarz, którą rozpoznałem. To był człowiek, którego już wcześniej widziałem.

Trzymał drewnianą deskę i był mokry od morskiej wody. Widziałem podobne drewniane deski podczas mojej ostatniej wizyty na wyspach Australii i Oceanii. Rybacy wykorzystywali je do wyjścia w morze. Stawali na nich, by sunąć po falach. Czasami zdawali się ujeżdżać falę tylko dla zabawy. Ale to nie wyjaśniało, jak mogłem rozpoznać tego człowieka. Jak to możliwe? Nigdy wcześniej nie odwiedziłem tej wyspy. Próbowałem myśleć. Nie minęło wiele czasu i prawda do mnie dotarła. To był ten sam mężczyzna, którego chaty nie chciałem podpalić. Ten przystojny, z długimi włosami i szeroko otwartymi oczami. Ale to było na Tahiti. Nie był to olbrzymi odcinek oceanu do przebycia, niemniej koncepcja, jakoby miał dokonać tego na drewnianej desce, wydawała się absurdalna. Poza tym na Tahiti był obwieszony naszyjnikami i bransoletkami, które podkreślały jego status. Tymczasem teraz jego pierś i ramiona były nagie.

Wyglądał dokładnie tak samo, jak go zapamiętałem. Przypuszczam, że cztery lata to nie był zbyt długi czas. Jego twarz patrzyła na mnie z tęsknotą i wyrażała desperacką potrzebę zakomunikowania mi czegoś.

Rozejrzałem się wokoło, patrząc na Arthura i kilku pozostałych mężczyzn i mając nadzieję, że uwaga mężczyzny jest zwrócona na kogoś innego. Ale nie. Wpatrywał się właśnie we mnie. Mówił słowa, których nie mogłem zrozumieć. Następnie zacisnął końce palców prawej ręki i przytknął je do klatki piersiowej. Palce uderzyły w szybkim staccato. Zrozumiałem ten gest.

Ja.

Ja.

On.

Potem wskazał na morze, na łodzie, a potem na horyzont. Później spojrzął na piasek i przywołał minę wyrażającą strach lub obrzydzenie. Zachował ten wyraz twarzy, odwracając się, by spojrzeć za siebie, na drzewa chlebowe i zieloną dżunglę za plażą, po czym znów skierował wzrok na łodzie i ocean. Zrobił to kilka razy, dopóki nie uzyskał jasności w kwestii tego, co chciał mi przekazać.

Usłyszałem zbliżające się kroki. Zobaczyłem kapitana Cooka i dowódcę Furneaux, którzy przypatrywali mi się ze zmarszczonymi brwiami.

— Co tu się dzieje, Fines? — spytał Cook.

— Frears — poprawił Furneaux z łagodną powagą.

Cook odpędził od siebie jego uwagę niczym natrętną muchę.

— Powiedzcie nam coś. Wydaje się, że ten... dżentelmen wywołuje w was niejakie zakłopotanie.

— Owszem, kapitanie.

— A zatem o co chodzi?

— Wygląda na to, że dalej chciałby płynąć z nami.

Ocean Spokojny, rok 1773

Nazywał się Omai.

Później, kiedy jego angielski był już lepszy, dowiedzieliśmy się, że jego imię w rzeczywistości brzmiało Mai, a Omai w języku tahitańskim oznaczało: „Jestem Mai”. W każdym razie imię przyłgnęło, a on nigdy nas nie poprawiał.

Kiedy zatrzymywaliśmy się na innych wyspach, próbował nakłonić mnie, bym stanął na swojej desce. Miało upłynąć jeszcze wiele czasu, nim po raz pierwszy użyto słowo *surf* jako czasownika, ale to właśnie wówczas robił i wydawało się, że potrafi utrzymać się na desce tak długo, jak tylko chciał, niezależnie od wielkości fali. W przeciwieństwie do mnie, ponieważ ciągle spadałem z deski i wywoływałem salwy śmiechu, próbując na niej ponownie stanąć. Mimo to lubię myśleć, że byłem pierwszym Europejczykiem w historii, który użył deski surfingowej.

Omai był pojętym uczniem. Przyswajał język angielski z niezwykłą szybkością. Lubiałem go, nie tylko dlatego, że pozwolił mi uciec od bardziej przyziemnych obowiązków na pokładzie. Zwykliśmy siadać w cieniu lub znajdowaliśmy cichy zakątek pod pokładem, a następnie mknęliśmy przez rzeczowniki i czasowniki, dzieląc się przy tym słoiem marynowanej kapusty.

Trochę opowiadałem mu o Rose i Marion. Pokazałem mu szczęśliwą monetę od mojej córki. Nauczyłem go słowa „pieniądz”.

On z kolei pokazywał mi, jak postrzega świat.

Wszystko zawierało w sobie coś o nazwie *mana* — każde drzewo, zwierzę i człowiek.

Mana była szczególną mocą. Nadprzyrodzoną mocą. Mogła być dobra lub zła, ale zawsze trzeba było ją szanować.

Pewnego pięknego dnia znaleźliśmy się na pokładzie, a Omai wskazał na deski.

— Jak to się nazywa? — zapytał.

Podążyłem wzrokiem za jego palcem.

— Nazywamy to cieniem — rzekłem.

Powiedział mi, że mana żyje w cieniach oraz że istnieje cały szereg zasad dotyczących obchodzenia się z nimi.

— Zasad? Jakiego rodzaju?

— Bardzo niedobrze jest stanąć w cieniu... — zaczął się rozglądać, jakby słowo było czymś, co odnalazłby w znajdującym się wokół nas powietrzu. Wtedy zobaczył Furneaux kierującego się w stronę pokładu rufowego i wskazał na niego.

Zrozumiałem, co chciał mi powiedzieć.

— Dowódcy? Lidera? Wodza?

Kiwnął głową.

— Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie stanąłeś w moim cieniu. Przeszedłeś blisko niego. Ale nie stanąłeś w nim. To był znak, że mogę ci zaufać. Twoja mana zaufała manie we mnie.

Uznałem za interesujący fakt, że dla niego to było ważniejsze niż moja decyzja o niepodpalaniu jego domu. Odsunąłem się nieco od Omai.

Zaśmiał się, dostrzegając, co robię. Położył dłoń na moim ramieniu.

— To nie jest złe, gdy już kogoś znasz. Dotyczy to tylko pierwszego spotkania.

— Byłeś wodzem?

Kiwnął głową.

— Na Tahiti.

— Ale nie na Huahine?

— Nie.

— Dlaczego więc przenieśliś się z Tahiti, by zamieszkać na Huahine?

Zasadniczo był dość beztronską osobą i sprawiał wrażenie wyjątkowo odprężonego jak na kogoś, kto porzucił wszystko, co kiedykolwiek znał, ale kiedy zadałem to pytanie, zmarszczył brwi, przygryzł górną wargę i wydawał się niemal zraniony moimi słowami.

— Wszystko w porządku — zapewniłem. — Nie musisz odpowiadać na to pytanie.

I właśnie wtedy mi wszystko zdradził.

— Wiem, że mogę ci zaufać — rzekł. — Jestem tego pewien tak jak wszystkiego innego. Byłeś dobrym nauczycielem. I dobry z ciebie przyjaciel. Wyczuwam też w tobie coś. W sposobie, w jaki mówisz o przeszłości. W spojrzeniu twoich oczu. W monecie, którą mi pokazałeś i która, jak sam stwierdziłeś, jest stara. W całej tej wiedzy, jaką posiadasz. Sądzę, że jesteś taki sam jak ja. Jesteś dobrym przyjacielem — ciągle to powtarzał, jakby potrzebował potwierdzenia.

— Tak, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— *Muruuru*. Dziękuję.

Zawiązało się wówczas między nami jakieś porozumienie — pewność, że możemy sobie wszystko wyjawić.

Hollamby przeszedł obok nas. Ten sam, koło którego spałem i który powiedział mi, że przyjęcie Omai na pokład było złym pomysłem.

— Stanowi dla nas obciążenie. Zjada nasze racje żywnościowe i przynosi ze sobą nieznane nam kłątwy.

Teraz obszedł nas bokiem i poszedł w swoją stronę, ale jego zmarszczone brwi powiedziały wszystko, co chciał przekazać.

— Jestem starszy niż inni ludzie — wyznał Omai. — Sądzę, że ty też. Przez te pięć lat twoja twarz wcale się nie zmieniła. Ani trochę.

— Tak — powiedziałem, zniżając głos do szeptu.

Byłem w zbyt wielkim szoku, by powiedzieć cokolwiek więcej. Odnalezienie kogoś takiego jak ja i możliwość powiedzenia tej osobie całej prawdy stanowiły dla mnie najbardziej przerażające i cudowne doznanie, mające w dodatku miejsce sto lat przed spotkaniem z doktorem Hutchinsonem. To było jak znalezienie drugiego rozbitka po dziesięcioleciach spędzonych na bezludnej wyspie.

Patrzył na mnie i się uśmiechał. Teraz było w nim więcej ulgi niż strachu.

— Jesteś taki jak ja. A ja taki jak ty. Wiedziałem. — Zaśmiał się z poczuciem ulgi. — Wiedziałem.

Przytulił mnie. Nasze cienie się połączyły.

— Nieważne! Nasza mana jest taka sama. Nasze cienie stanowią jedność.

Nie potrafię wyrazić doniosłości tego momentu. Tak, Marion była taka jak ja, ale wciąż jej nie znalazłem. A Omai sprawił, że poczułem się mniej samotny. Sprawił, że poczułem się normalny. I natychmiast chciałem *wszystko* wiedzieć. Rozejrzałem się, sprawdzając, czy reszta załogi znajduje się pod pokładem, czy gdzieś indziej, a następnie zaczęliśmy rozmawiać.

— To dlatego z nami popłynąłeś? To z tego powodu chciałeś opuścić wyspy?

Kiwnął głową. Ten gest zdawał się uniwersalny. Podobnie jak przesady.

— Tak. To było trudne. Na początku dobrze mi się żyło na Tahiti. Postrzegano mnie tam jako kogoś... wyjątkowego. To właśnie dlatego zostałem... *wodzem*. Uznawali to za... dowód, że mana w moim wnętrzu jest dobra. Że *ja* byłem dobry. Że byłem w połowie człowiekiem, a w połowie bogiem. Nikt nie miał śmiałości w świetle dnia podejść blisko mnie, by niechcący nie wejść w zasięg mojego cienia. — Zaśmiał się, a następnie zapatrzył w morze, zupełnie jakby wspomnienie było czymś, co mógłby niemal ujrzeć na horyzoncie. — Ja z kolei robiłem co w mojej mocy. Sądzę, że byłem dobrym wodzem, ale po upływie wielu, wielu księżyców sprawy uległy zmianie. Przez innych ludzi. Takich, którzy też chcieli być wodzami. A ja nie mogłem po prostu przestać być wodzem. Jedynym sposobem na to była śmierć. A więc ja...

Zaczął pokazywać na migi klaustrofobię. Dłonie mlóciły powietrze dokoła głowy.

— Byłeś uwięziony.

— Tak, uwięziony. Musiałem więc odejść. Musiałem zacząć od nowa niczym od świtu. Ale dzień ma trwać tylko określony czas, a potem wszyscy chcą nocy. Skończyły mi się miejsca, do których mogłem się udać. Chciałem po prostu żyć.

Powiedziałem mu, co spotkało moją matkę. Opowiedziałem o Manningu. I o Marion. I o tym, że Marion była taka jak my. Opowiedziałem o Rose i o tym, jak znalazła się w niebezpieczeństwie z mojego powodu. Opowiedziałem mu, jak bardzo za nią tęsknię.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Ludzie, których kochasz, nigdy nie umierają.

Nie miałem pojęcia, co mogą znaczyć te słowa, lecz zostały one ze mną przez całe stulecia.

Ludzie, których kochasz, nigdy nie umierają.

— W Anglii też nas nie akceptują — powiedziałem, powracając do głównego tematu rozmowy. — Nie możesz rozmawiać o swojej przypadłości z nikim na tym statku. Kiedy wrócimy do Anglii, znowu będę musiał stać się kimś innym. Pan Furneaux już nabrał podejrzeń.

Omai wyglądał na zmartwionego. Dotknął swojej twarzy. Zapewne zastanawiał się, jak

miał się schować.

— Nie martw się — powiedziałem. — Jesteś egzotyczny.

— Egzotyczny? Co to słowo znaczy?

— Inny. Pochodzący z daleka. Z bardzo, bardzo daleka. Jak ananas.

— Ananas? Nie macie w Anglii ananasów?

— W Anglii jest ich pewnie około trzydziestu. Stojących na gzymsach kominków.

Wyglądał na zmieszanego. Morze uderzało łagodnie o dziób łodzi.

— Co to jest kominek?

Byron Bay, Australia, obecnie

Siedzimy na werandzie, otoczeni blaskiem lampek choinkowych i niewyraźnym szumem radosnej rozmowy.

Kiedy ostatnio widziałem Omai, Australia była, przynajmniej w moim umyśle, nowym odkryciem. A jednak Omai wciąż można z łatwością rozpoznać. Jego twarz nieznacznie się poszerzyła — nie dlatego, że utył, ale to przychodzi z wiekiem — a wokół oczu pojawiło się kilka zmarszczek, które pozostają na swoim miejscu nawet wtedy, gdy mój przyjaciel przestaje się uśmiechać. Sądzę jednak, że postronny obserwator oszacowałby jego wiek na trzydzieści sześć lat. Omai ma na sobie wyblakły T-shirt z nadrukiem autoportretu Fridy Kahlo, reklamujący wystawę jej dzieł w Art Gallery of New South Wales w Sydney.

— Minęło już tyle czasu — mówi z namysłem. — Tęskniłem za tobą, koleś.

— I ja za tobą. I mówisz teraz: koleś? Pasuje do ciebie.

— Od lat sześćdziesiątych. To jest tutaj obowiązkowe. Takie surferskie.

Na dobry początek pijemy kokosowe martini z -chili, którego Omai próbował już wcześniej, i nalega, żebym też go posmakował. Widzę stąd morze, szumiące za przysadzistymi palmami i rozległą plażą. Migocze łagodnie w blasku połowicznie oświetlonego księżyca.

— Nigdy wcześniej nie próbowałem kokosowego martini z chili — mówię do niego. — To jest właśnie minus bycia coraz starszym. Zaczyna ci brakować nowych rzeczy do wypróbowania.

— Och, sam nie wiem — mówi, najwyraźniej wciąż będąc optymistą. — Żyłem nad oceanami przez większość życia i jeszcze nie widziałem dwa razy tej samej fali. Widzisz, to jest właśnie mana. Jest wszędzie. Nigdy nie pozostaje w bezruchu. Czyni świat nowym. Cała planeta to kokosowe martini z chili.

Śmieję się.

— A jak długo jesteś Solem Davisem?

— Siedemnaście lat, jak sądzą. To wtedy przybyłem do Byron.

Rozglądam się po wszystkich szczęśliwych Australijczykach, cieszących się piątkowym wieczorem. Ktoś obchodzi urodziny. Narasta wrzawa zbiorowej ekscytacji, gdy pojawia się ciasto z wetkniętymi trzema zimnymi ogniami. W momencie, gdy tort trafia przed kobietę u końca stołu, słychać brawa. Do sukienki ma przypiętą ogromną odznakę. Widnieje na niej jej wiek — -czterdzieści lat.

— To jeszcze dziecko — mówię.

— Czterdziestoletnie — stwierdza ironicznie Omai. — Pamiętasz, kiedy sam tyle miałeś? Kiwam głową.

— Tak — odpowiadam ze smutkiem. — Pamiętam. A ty?

Na jego twarzy również pojawia się smutek.

— Taaak. To był rok, w którym musiałem opuścić Tahiti. — Patrzy w dal, jakby ten inny

czas i przestrzeń można było dostrzec gdzieś w rozciągającej się poza werandą ciemności. — Byłem człowiekiem-bogiem. Słońce świeciło z mojego powodu. Byłem w zмовie z pogodą, oceanem i owocami na drzewach. I musisz pamiętać, że zanim Europejczycy przybyli nas chrystianizować, no cóż, ludzie-bogowie nie byli tacy niezwykli. Bóg nie był istotą w chmurach. Spójrz na mnie. Mógłbym uchodzić za boga, prawda?

— Mocne to martini — rzucam.

— Zapewne już ci to wszystko opowiadałem.

— Zapewne. Dawno temu.

— Bardzo, bardzo, bardzo dawno temu.

Podchodzi kelnerka. Zamawiam sałatkę z dynią jako przystawkę i lucjana czerwonego jako danie główne. Omai decyduje się na potrawy, które, według kelnerki, „obie zawierają wieprzowy boczek”.

— Wiem o tym — mówi, błyskając uśmiechem.

Nadal jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dane mi było poznać.

— Pomyślałam tylko, że zwrócę panu na to uwagę, w razie gdyby chciał pan jakiegoś urozmaicenia.

— To już jest urozmaicenie. Mówimy o dwóch różnych daniach.

— Zatem w porządku, proszę pana.

— I jeszcze dwa razy to — mówi, podnosząc szklankę.

— Już wiem, skąd pana kojarzę.

Wytrzymuje spojrzenie kelnerki, która nie spuszcza z niego wzroku.

— Ja pana znam — mówi. — Jest pan tym surferem, prawda?

Omai się śmieje.

— Jesteśmy w Byron Bay. Wszyscy są tutaj surferami.

— Nie. Nie takimi jak pan. Bo to pan jest Sol Davis, prawda?

Kiwa głową, po czym patrzy na mnie z zakłopotaniem.

— Za jakie grzechy...

— Jesteś sławny w tej okolicy.

— Nie powiedziałbym.

— Ależ tak. Jestem pewien, że jesteś sławny. Widziałem nagranie, jak surfujesz. To było *niesamowite*. Można to obejrzeć w internecie.

Omai uśmiecha się uprzejmie, ale wyczuwam jego speszenie. Kiedy kelnerka odchodzi, on spogląda na swoją prawą rękę. Rozsuwa szeroko palce, jakby imitował rozgwiazdę, a następnie z powrotem je łączy, zaciska pięść i odwraca dłoń. Jego skóra jest gładka, karmelowa i wygląda młodzieńczo. Zabezpieczona falami oceanu. Zabezpieczona anagerią.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, aż na naszych stołach pojawiają się przystawki.

Omai zaczyna zajadać. Zamyka oczy po pierwszym kęsie i wydaje pochlebne odgłosy. Zazdroszczę mu, że tak łatwo potrafi cieszyć się przyjemnościami.

— A więc — pyta — co porabiałeś?

Opowiadam mu. O moim życiu nauczyciela. O wcześniejszym życiu. Swoją ostatnią historię. Islandia. Kanada. Niemcy. Hongkong. Indie. Ameryka. I wtedy przechodzę do 1891 roku. Mówię o Hendrichu. I o Stowarzyszeniu Albatrosów.

— To tacy sami ludzie jak my. No, może nie wszyscy.

Omawiam zakres pomocy, jaką zapewnia stowarzyszenie. Wyjaśniam, na czym polega zasada ośmiu lat. Opowiadam o albach i jętkach. Zdumiony Omai wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

— Czym więc się zajmujesz? — pyta. — Chodzi mi konkretnie o ciebie.

— Udaję się tam, gdzie Hendrich, szef, każe mi pojechać. Wykonuję *zadania*. Wprowadzam ludzi. Nie jest to nawet takie złe. Niedawno wybrałem się na Sri Lankę. To wygodne życie.

Nawet dla moich uszu „wygodne” brzmi w tym wypadku jak eufemizm.

Omai śmieje się nieco zmieszany.

— Gdzie wprowadzasz tych ludzi?

— Nie chodzi tutaj o żadne konkretne miejsce. Mam na myśli to, że pomagam im stać się członkami stowarzyszenia.

— Pomagasz im się nimi stać? W jaki sposób?

— Cóż, nie wymaga to większego wysiłku. Wyjaśniam, jak stowarzyszenie może ich ochronić, zajmując się zmianami tożsamości. Hendrich ma rozległe kontakty. To coś w rodzaju wspólnoty. Takie ubezpieczenie. Różnica polega na tym, że zarabiamy tym, że żyjemy.

— Jesteś jak sprzedawca. Naprawdę idziesz z duchem czasu, prawda?

— Posłuchaj mnie, Omai. To nie jest temat do żartów. Jesteśmy zagrożeni w takim samym stopniu jak zawsze.

— Taaak. Niemniej wciąż żyjemy. Nadal oddychamy. Robimy wdechy i wydechy.

— Istnieją jednak zagrożenia. Ty, w tym właśnie momencie, jesteś zagrożony. W Berlinie mieści się pewien instytut. Wiedzą tam o twoim istnieniu. Przez całe lata porywają takich jak my.

Omai się śmieje. Tak naprawdę to *zanosi się śmiechem*. Myślę o Marion, która prawdopodobnie została uprowadzona, oraz o wszystkich tych ludziach, którzy na przestrzeni lat również zostali porwani. I czuję gniew. Czuję, że wystawia mnie na próbę niczym ateista katolika.

— Porywają ludzi? Wow.

— To prawda. I nie tylko oni stanowią teraz problem. W Dolinie Krzemowej i w wielu innych miejscach istnieją biotechnologiczne firmy, które chcą uzyskać ostateczną przewagę nad konkurencją, a tacy jak my mogliby im ją zapewnić. Dla takich firm nie jesteśmy ludźmi, tylko szczurami laboratoryjnymi.

Przeciera oczy. Nagle zaczyna wyglądać na zmęczonego. Chyba go nużę.

— W porządku. Co więc robisz za tę „ochronę”? A gdzie haczyk?

— Haczyk tkwi w tym, że musisz wywiązywać się z pewnych zobowiązań.

Śmieje się, wciąż przecierając oczy, zupełnie jakby moje słowa sprowadzały na niego sen, który trzeba odegnąć.

— Zobowiązania?

— Co jakiś czas musisz coś zrobić dla Stowarzyszenia Albatrosów.

Śmieje się jeszcze głośniej.

— Przepraszam, ale ta *nazwa*...

— Taaak, wiem, że jest nieco przestarzała.

— Jakiego rodzaju zadania musisz dla nich wykonywać?

— Różne. Takie jak to, które właśnie wykonuję. Musisz rozmawiać z ludźmi. Przekonywać ich do zapisania się.

— Zapisania się? Czy wymaga to podpisywania oficjalnych dokumentów?

— Nie, nie ma żadnych dokumentów. Tylko działanie w dobrej wierze. Zaufanie. Najstarszy ze znanych kontraktów.

Zdaję sobie sprawę, jak bardzo teraz przypominam Hendricha, mówiąc to, co mówię. Ostatnim razem miałem takie poczucie w Arizonie i nie skończyło się to dobrze.

— A co się dzieje, gdy ludzie ci odmawiają?

— To się właściwie nie zdarza. Przedstawiam dobrą ofertę. — Zamykam oczy.

Wspominam rozbłyski wystrzałów z rewolwerów na pustyni. — Omai, posłuchaj mnie. Mówię ci, że nie jesteś bezpieczny.

— Co zatem powinienem zrobić?

— Cóż, cała koncepcja opiera się na tym, aby ludzie nie zapuszczali korzeni. Hendrich zawsze przestrzega przed zbyt silnym przywiązywaniem się do ludzi. Ma to również pokrycie w koncepcji zmieniania życia co osiem lat. Zaczynania w nowym miejscu. Zostawiania kimś innym. A ty przebywasz tutaj już zdecydowanie dłużej...

— Nie mogę tego zrobić. Mam na myśli tę część z przeprowadzką.

Wygląda na całkowicie nieugiętego. Wiem, że muszę być szczery.

— Nie masz wyboru. Wszyscy członkowie stowarzyszenia...

— Ale ja wcale nie zdecydowałem się zostać członkiem stowarzyszenia.

— Zostajesz nim automatycznie. Każda alba namierzona przez stowarzyszenie staje się jego członkiem.

— Alba, alba, alba... bla, bla, bla...

— Wiedza o istnieniu stowarzyszenia oznacza bycie wcielonym w poczet jego członków.

— To tak jak z życiem.

— Tak sędzę.

— A co dokładnie się stanie, jeśli powiem: nie? Jeśli zrezygnuję z członkostwa?

Zbyt długo zwlekam z odpowiedzią.

Opiera się na krześle i kręci głową.

— Wow, koleś. To jak mafia. Wstąpiłeś do mafii.

— Nigdy nie wyraziłem zgody na uczestnictwo w stowarzyszeniu — mówię. — I o to w tym chodzi. Ale zaufaj mi. To ma sens... Bo widzisz, gdyby choć jedna alba została zdekonspirowana, sprowadziłaby zagrożenie na *wszystkie* alby. Dobrze wiesz, że musisz się ukrywać. Dotychczas to robiłeś. Sam mi powiedziałeś, że...

Kręci głową.

— Od trzydziestu lat mieszkam w Australii.

Analizuję jego słowa.

Od trzydziestu lat mieszkam w Australii.

— Powiedziano mi, że żyjesz tu od dwudziestu lat.

Wyraz jego twarzy staje się nieco twardszy. To niedobrze. Nic z tego, co się dzieje, nie jest dobre. Myślę o tym, jak spędzaliśmy czas na pokładzie statku, śmiejąc się. Myślę o tym, co działo się później, w Royal Society w Londynie, kiedy to Omai nalegał, abym z nim został. O całym ubawie, jaki razem mieliśmy. O picciu ginu i kłamaniu Samuelowi Johnsonowi i ówczesnym celebrytom.

— Powiedziano? Kto ci tak powiedział? Byłem pod obserwacją?

— Po prostu nie rozumiem, jak udało ci się przetrwać trzydzieści lat. Czy przez ten czas się przemieszczałeś?

— Mieszkalem w Sydney przez trzynaście lat, a później przenieśliśmy się do Byron, gdzie żyłem przez kolejne siedemnaście. Trochę podróżowałem po wybrzeżu. Wybrałem się w Góry Błękitne. Głównie jednak mieszkalem w tym samym domu.

— I nie wzbudzałeś niczyich podejrzeń?

Przypatruje mi się. Widzę, jak jego nozdrza rozszerzają się i kurczą pod wpływem intensywnych oddechów.

— Ludzie zwykle widzą to, co chcą zobaczyć.

— Ale jesteś w internecie. Widziała cię tam nawet ta kelnerka. Ktoś cię sfilmował. Wzbudzasz zbyt duże zainteresowanie.

— Ty. Ty ciągle myślisz, że jesteś tym, który trzyma pochodnię, a ja nadal jestem tym „innym”, któremu możesz narzucić własną wolę. Cóż, wiedz, że możesz wziąć ten ogień i wetknąć go sobie w ocean.

Uważaj, bo upadniesz.

— O Jezu, Omai. Próbuję ci tylko pomóc. I nie chodzi w tym wszystkim o mnie. Jestem tylko pośrednikiem. Przedstawicielem Hendricha. On się na tym zna. Potrafi powstrzymać straszne rzeczy, ale może także — dociera do mnie ta potworna prawda — dokonać strasznych rzeczy.

— Wiesz co? — Omai wyciąga portfel, sięga do środka, wyjmując kilka banknotów i kładzie je na stole, wstając. — Jeśli tak naprawdę nie mówisz w swoim imieniu, to nie będzie niegrzeczne, jeśli sobie pójdę, prawda?

A ja tam po prostu siedzę, podczas gdy on odchodzi. Pojawiają się zamówione dania, więc mówię kelnerce, że mój towarzysz wróci do stolika. Tak się jednak oczywiście nie dzieje.

Szczerze mówiąc, myślałem, że będzie inaczej. Myślałem, że nadrobimy zaległości, wspominając stare dobre czasy i będziemy rozmawiać o wszystkich cudownych i przerażających rzeczach, jakie nam się przydarzyły, a których nie byliśmy w stanie sobie nawet wyobrazić. Myślałem, że będziemy rozmawiać o rowerach, samochodach lub samolotach. Pociągach, telefonach, fotografiach, żarówce elektrycznej, programach telewizyjnych, komputerach, lotach na Księżyc. Drapaczach chmur. Einsteinie. Gandhim. Napoleonie. Hitlerze. Prawach obywatelskich. Czajkowskim. Rocku. Jazzie. *Kind of Blue*. *Rewolver*. O tym, czy lubi *The Boys of Summer*. Hip-hopie. Sushi barach. Picassie. Fridzie Kahlo. Zmianie klimatu. Denializmie klimatycznym. *Gwiezdnych wojnach*. Kryzysie kubańskim. Beyoncé. Twitterze. Emojis. Reality show. Fake newsach. Donaldzie Trumpie. Ciągłym zwiększaniu się i zmniejszaniu empatii. O tym, co robiliśmy na wojnach. Powodach, dla których nadal żyjemy.

Ale nie. Nie rozmawialiśmy o żadnej z tych spraw.

Schraniłem to.

Mówiąc krótko, byłem pieprzonym idiotą. Teraz w dodatku pozbawionym przyjaciół.

Ludzie, których kochasz, nigdy nie umierają.

To właśnie powiedział Omai przed wielu, wielu laty.

I miał rację. Oni nie umierają. Przynajmniej nie całkowicie. Żyją w twoim umyśle, tak jak zawsze żyli w tobie. Utrzymujesz ich światło przy życiu. Jeśli pamiętasz ich wystarczająco dobrze, mogą cię prowadzić, tak jak blask dawno zgasłych gwiazd może prowadzić statki na nieznanym wodach. Jeśli przestaniesz ich opłakiwać, a zaczniesz słuchać, wciąż będą mieli moc, by zmienić twoje życie. Krótko mówiąc, mogą być dla ciebie zbawieniem.

Omai mieszka na obrzeżach miasta, przy 352 Broken Head Road. W jednopiętrowym, obitym deskami domu.

Można stąd dostrzec morze. Oczywiście, że można. Gdyby to było możliwe, Omai żyłby w morzu.

Pukam, a następnie czekam kilka minut. Moja głowa pulsuje tęnym bólem. Słyszę ciche dźwięki z wnętrza domu. Drzwi się uchylają. Stara kobieta o krótkich siwych włosach wзира z za łańcucha zasuwki. Na oko wygląda na dobiegającą dziewięćdziesiątki. Jej twarz jest poznaczona zmarszczkami niczym mapa. Niesymetryczna postawa ciała zdradza zmiany osteopatyczne i artretyczne. Ma zamartwione, dotknięte zaćmą oczy. Nosi oślepiająco żółty sweter, a w dłoni trzyma elektryczny otwieracz do puszek.

— Tak?

— Och, przepraszam. Najwyraźniej pomyliłem adresy. Przepraszam, że niepokoję panią o tak późnej porze.

— Nic się nie stało. Już nie sypiam o tej porze.

Zamyka drzwi, więc mówię pospiesznie:

— Szukam Sola. Sola Davisa. Czy to jego dom? Jestem jego starym przyjacielem.

Byliśmy na wspólnej kolacji i obawiam się, że go zdenerwowałem.

Waha się przez chwilę.

— Tom. Mam na imię Tom.

Kiwa głową. Najwyraźniej o mnie słyszała.

— Poszedł surfować.

— Po zmroku?

— To jego ulubiona pora. Ocean nigdy nie idzie do domu. Zawsze mi to powtarza.

— Gdzie zwykle surfuje?

Zastanawia się. Spogląda na cementową ścieżkę przed drzwiami, jakby leżała tam jakaś wskazówka.

— Cholera, mój stary mózg... Tallow Beach.

— Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Siadam na piachu i obserwuję go, oświetlonego blaskiem księżyca w pełni. Mały cień ślizgający się po powierzchni fali. Wtedy czuję, że telefon w mojej kieszeni wibruje.

To Hendrich.

Nieodebranie mogłoby tylko wzbudzić jego podejrzenia.

— Jest z tobą?

— Nie.

— Słyszę szum oceanu.

— Surfuje.

— Więc możesz rozmawiać?

— Tak, ale nie długo. Później się z nim spotkam.

— Dał się kupić?

— Da.

— Wszystko wyjaśniłeś?

— Jestem w trakcie. Jeszcze nie wie wszystkiego.

— Jego nagranie na YouTube ma już cztery tysiące odsłon. On musi zniknąć.

Omai znika pod falą. Po chwili znowu pojawia się jego głowa. To idealny sposób na życie. Płynięcie na fali, spadanie, powrót na jej szczyt. Tak wiele elementów życia zdaje się opierać na idei *wznoszenia*, budowania czegoś — dochodu, statusu lub siły. Życia polegającego na pięciu się w górę niczym wieżowiec. Ale życie Omai jest tak naturalne jak sam ocean. Równie szerokie i otwarte jak horyzont. Znowu jest na desce, na jej przedniej części, wiosłując ramionami na wzbierającej fali.

— Jestem pewien, że zniknie.

— Och, nie wątpię w to. Ze względu na nas wszystkich. Chodzi nie tylko o Berlin.

W Pekinie jest firma badawcza zajmująca się biotechnologią i oni...

Już od ponad stulecia tego słucham. Wiem, że powinienem być bardziej zaniepokojony, szczególnie przez wzgląd na znajdującą się gdzieś tam Marion, ale w tym momencie jego słowa są dla mnie tylko jednym z wielu dźwięków słyszanych na tym świecie. Jak fala uderzająca o brzeg.

— Tak. Posłuchaj, Hendrichu, muszę kończyć. Wygląda na to, że wychodzi już z wody.

— Plan A. Tym właśnie jesteś, Tom. Pamiętaj jednak, że zawsze istnieje jakiś plan B.

— Słyszę, co mówisz.

— Lepiej, żeby tak rzeczywiście było.

Po wszystkim po prostu siedzę na piasku. Z miejsca, w którym się znajduję, odgłosy wydawane przez fale przypominają oddechy. Wdech. Wydech.

Dwadzieścia minut później Omai wychodzi z wody.

Widzi mnie, lecz się nie zatrzymuje i idzie dalej, trzymając pod pachą swoją deskę.

— Hej! — Podążam za nim wzdłuż plaży. — Wysłuchaj mnie. Jestem twoim przyjacielem. Próbuję cię tylko chronić.

— Nie potrzebuję twojej ochrony.

— Kim jest ta kobieta, Omai? Ta w twoim domu.

— Nie twój interes. I trzymaj się z dala od mojego domu.

— Omai. Jezu, Omai. Kurwa. To naprawdę ważne.

Zatrzymuje się na szorstkiej trawie na skraju plaży.

— Mam dobre życie. Nie chcę się więcej ukrywać. Po prostu chcę być sobą. Chcę żyć uczciwie.

— Możesz przenieść się w dowolne miejsce na świecie. Hawaje. Indonezja. Dokądkolwiek byś chciał się udać. Surferzy mają się dobrze w naprawdę wielu miejscach. Z oceanami rzecz wygląda tak, że łączą wszystkie miejsca na ziemi. To ta sama masa wody. — Próbuję myśleć. Próbuję znaleźć coś w naszej wspólnej przeszłości, co przełamie mury jego umysłu. — Pamiętasz, co powiedział nam doktor Johnson w pierwszym tygodniu po rejsie? Podczas tego posiłku, jaki przygotowali dla ciebie w Royal Society. Co powiedział o uczciwości?

Omai wzrusza ramionami.

— To było tak dawno temu.

— Daj spokój. Naprawdę tego nie pamiętasz? Jedliśmy przepiórkę. Powiedział nam, że zawsze trzeba być przygotowanym na nową wiedzę. *Podczas gdy wiedza bez uczciwości jest niebezpieczna, uczciwość bez wiedzy jest słaba i bezużyteczna.* Próbuję ci dać wiedzę, a wszystkim, co mi oddajesz, jest uczciwość. Uczciwość, która cię zabije i każe wszystko zaryzykować.

— A czy ty chcesz otrzymać trochę wiedzy, Tom?

Odpowiadam gestem „dawaj, śmiało”.

Zamyka oczy, wygląda, jakby wyciągał odłamek szkła z własnej stopy.

— W porządku, zapewnię ci trochę informacji. Byłem taki jak ty. Przeprowadzałem się z miejsca na miejsce. Po całym Pacyfiku. Wszędzie, gdzie nie zadawano by pytań. Samoa. Wyspy Salomona. Lautoka na Fidzi. Sugar City. Nowa Zelandia. Wróciłem nawet na Tahiti. Przeskakując z miejsca na miejsce. W razie potrzeby tworzyłem stosowne więzi. Znalazłem nieco dojść do podziemia. Zdobywałem fałszywe dokumenty. Zawsze zaczynałem od nowa. Z czystym kontem dwa razy na przestrzeni dekady. A potem wszystko zaczęło się zmieniać.

— Jak?

Mija nas mężczyzna. Jest w średnim wieku i ma na sobie wyblakłą koszulkę Quiksilvera, postrzępione džinsy i klapki. Wędruje ścieżką ku plaży, zmierzając ku piaskom, ze skrzyżowaną w jednej ręce i puszką coli w drugiej. Pomrukuje jakąś smutną, niedającą się zidentyfikować melodię. Jest spokojnym, najwyraźniej naćpanym pijakiem, który nie chce mieć z nami nic wspólnego. Siada ciężko na piasku, by palić i patrzeć na fale, znajdując się już poza zasięgiem słuchu.

Omai również siada, kładąc mokrą deskę na pokrytej piaskiem trawie, a następnie się na niej sadowiąc ze skrzyżowanymi nogami. Dołączam do niego.

Patrzy na morze ze smutną czułością, jakby przywoływało jakieś wspomnienia. Chwile mijają niezauważenie.

— Zakochałem się.

Oczywiście rodzi to pytania, ale na razie milczę.

— Kiedyś opowiadałeś mi o miłości, prawda? Mówiłeś o tej dziewczynie, w której się zakochałeś. Tej, którą poślubiłeś. Matce Marion. Jak ona miała na imię?

— Rose.

Wymówienie jej imienia na plaży w Australii w XXI wieku wywołuje u mnie dziwne, pełne oszołomienia odczucia. Odległość czasu i miejsca miesza się z bliskością emocji. Kładę ręce na trawie i piasku, jakbym musiał poczuć coś solidnego, jakbym wyczuwał tam ślady żywiołów.

— Ja również znalazłem swoją Rose. Była taka piękna. Na imię miała Hoku. Teraz, gdy o niej myślę, zaczyna mnie boleć głowa.

Przytakuje.

— Bóle związane ze wspomnieniami. Ostatnio też mi często dokuczają.

Przez chwilę zastanawiam się, czy Hoku może być tą staruszką, która otworzyła mi drzwi domu Omai, lecz szybko odpieram tę myśl.

— Byliśmy ze sobą przez zaledwie siedem lat. Zginęła podczas wojny...

Zastanawiam się, o jaką wojnę może chodzić. Obstawiam, że o drugą wojnę światową, i okazuje się, że trafiłem.

— Doszło do tego, kiedy przeniosłem się do Nowej Zelandii, załatwiłem więc sobie fałszywe dokumenty i zaciągnąłem się do wojska. Nie było lepszego momentu na stworzenie fikcyjnej tożsamości. Potrzebowali wówczas każdego, kto chciał walczyć. Nie analizowali niczego zbyt dogłębnie. Nie, dopóki wykazywałem się na polu walki. Zostałem wysłany do Syrii, gdzie tylko stacjonowałem. Potem do Tunezji, gdzie już walczyłem. Widziałem tam różne rzeczy. A co z tobą? Walczyłeś wtedy?

Wzdycham.

— Nie pozwolono mi. Hendrich uważał, że łączenie nauki z ideologią jest dla nas najbardziej niebezpieczne. I miał rację, ale przecież byli ci wszyscy naziści z tą ich zwodniczą obsesją stworzenia idealnej rasy. I z tą swoją pseudonaukową eugeniką skupili się na nas. Przejęli -Instytut Badań Eksperymentalnych w Berlinie i przeprowadzali doświadczenia na albach, wyłapując tak wielu z nas, ilu tylko byli w stanie znaleźć... W każdym razie Hendrich przeszedł fazę paranoi. Nie chciał, aby jakakolwiek alba zaangażowała się w wojnę. I tak, gdy ty walczyłeś o ocalenie cywilizacji, ja byłem astmatycznym, krótkowzrocznym bibliotekarzem w Bostonie. Nadal siebie za to nienawidzę. Sądzę, że starałem się unikać miłości tak, jak Hendrich chciał, żebyśmy unikali wojny. Próbowałem pozostać przy życiu bez odczuwania jakiegokolwiek bólu.

Gdzieś w oddali zawodzą syreny.

Omai wodzi dłonią po kroplach widocznych na desce.

— Nie. Nie dla mnie. Miłość jest tam, gdzie odnajdujesz znaczenie. Te siedem lat, kiedy byliśmy razem, zawierało w sobie więcej niż cokolwiek innego. Rozumiesz mnie? Możesz przeanalizować wszystkie wcześniejsze lata, jak również te, które nastąpiły od tamtej pory, a w porównaniu z naszym związkiem nie będą miały żadnego znaczenia. Tak to jest z czasem, nieprawdaż? Niektóre dni, niektóre lata, niektóre *dekady* są po prostu puste. Niczego w nich nie ma. Są jak spokojna tafla wody. I wtedy nastaje po nich jakiś rok, dzień lub zaledwie jedno popołudnie, w którym jest wszystko. Dosłownie wszystko.

Myślę o Camille siedzącej na ławce w parku i czytającej *Czuła jest noc*, podczas gdy Omai kontynuuje.

— Próbowałem znaleźć w tym jakiś sens. Niegdyś wierzyłem w manę. Wówczas wszyscy wypiarze w nią wierzyli. W pewnym sensie wydaje mi się, że nadal w nią wierzę. Nie jak w przesąd, ale raczej jak w zamysł *czegoś*. Czegoś w nas. Czegoś, co nie przybywa z nieba,

chmur czy niebiańskiego pałacu, ale stąd — mówi, uderzając lekko dłonią w klatkę piersiową. — Nie możesz zakochać się i nadal nie wierzyć, że naszym losem kieruje jakaś siła wyższa. Rozumiesz, coś, *co nie do końca jest nami*. Coś, co żyje w nas i jest w nas zamknięte. Coś, co jest zarówno gotowe nam pomóc, jak i nas orznać. Sami stanowimy dla siebie tajemnicę. Nawet nauka o tym wie. Nie mamy pieprzonego pojęcia, jak funkcjonują nasze umysły.

Po tych słowach zapada chwila ciszy.

Pijany facet leży teraz na piasku, wpatrując się w gwiazdy. Zgasił skręta.

Mija minuta. Może dwie. W końcu Omai gotów jest mówić dalej.

— Mieliśmy córkę. — Jego głos faluje niczym morze. — Daliśmy jej na imię Anna.

Próbuję to sobie przyswoić. Znaczenie tych słów. Myślę o Marion.

I wtedy wszystko trafia na swoje miejsce.

— To była ona, prawda? Kobieta w twoim domu to...

Najmniejsze z możliwych skinienie głową.

— Nie jest taka jak twoja córka. Starzeje się. Tak jak inni. Wyszła za męża. Ale jej małżonek, mój zięć, zmarł na raka trzydzieści lat temu. Od tamtej pory mieszka ze mną.

— A więc zna prawdę o tobie?

Śmieje się. To było głupie pytanie, ale nadal trudno jest mi zrozumieć, że jętka może wiedzieć coś takiego o ukochanej osobie i jej to nie przeszkadza, jak również nie doskwiera jej związane z tym ryzyko. Oczywiście Rose wiedziała o mnie i o mojej matce, ale ta wiedza stanowiła źródło udręki i oddalała mnie od kobiet, które kochałem.

— Wie. Wie. Jej mąż też wiedział.

— I twój sekret nie rozszedł się dalej?

— A kto by uwierzył w coś takiego?

— Pewni ludzie. Niebezpieczni ludzie.

Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że czuję się słaby, żaloszny. Jak tchórz w trakcie ucieczki.

— Fala może cię zabić. Możesz też na niej popłynąć. Czasami bardziej niebezpieczne jest unikanie czegoś. Nie możesz przeżyć życia w strachu, Tom. Musisz być przygotowany, aby wejść na swoją deskę i stanąć na nogi. Jeśli jesteś na pędzącej fali, musisz zignorować strach. Musisz być w pełni obecny w tym właśnie momencie. Musisz przez to przejść. Boisz się, a następną rzeczą, jakiej doświadczasz, jest upadek z deski i rozbicie głowy o skały. Nigdy nie będę żył w strachu. Nie mogę tego dla ciebie zrobić, Tom. Po prostu nie mogę. Zbyt często uciekałem. Teraz czuję się jak w domu. Kocham cię, stary. Naprawdę. Ale nie obchodzi mnie, czy duch kapitana Furneaux spaceruje po piasku. Nigdzie z tobą nie pójde.

Wstaje, podnosi deskę i odchodzi.

— Zmierzam to naprawić — mówię. — *Zmierzam to naprawić.*

Kiwa głową, ale wciąż idzie przed siebie. Jego bose stopy maszerują teraz po betonowej ścieżce, a ja odwracam się, by zobaczyć, jak ćpun na plaży podnosi w moim kierunku dłonie. Odpowiadam mu tym samym gestem. Kładę się na piasku i myślę o wojnie, w której walczył Omai, a ja nie, i to z powodu Hendricha. Wyczuwam, że dla mnie zbliża się ponownie czas walki. Telefon znowu zaczyna wibrować, uderzając o moje udo jak coś żywego, a ja po prostu pozwalam mu dzwonić i zastanawiam się, co do diabła powinienem zrobić.

Zapadam w sen na plaży. Kiedy się budzę, światło poranka rozlewa się krwawą luną. Wracam do hotelu, jem i sprawdzam zostawione dla mnie wiadomości. Dziwię się, że Hendrich tylko raz próbował do mnie zadzwonić. Wracam do pokoju i mam małe problemy z wi-fi, ale w końcu udaje mi się połączyć z internetem. Wchodzę na Facebooka i widzę, że Camille nie zamieściła żadnych nowych wpisów. Chcę z nią porozmawiać. Chcę coś jej przekazać. Ale

wiem, że nie mogę tego zrobić. Jestem niebezpieczny. Podczas gdy sam nadal jestem członkiem Stowarzyszenia Albatrosów, to jest ono zarazem tym, przed czym chcę ochronić Camille.

Zwijam się na łóżku do pozycji płodowej i płaczę, szlochając spazmatycznie i zastanawiając się, czy właśnie przechodzę załamanie nerwowe.

— Pierdol się, Hendrichu — szepczę w kierunku sufitu. — Pieprzyć to wszystko.

Wychodzę z hotelu i spaceruję, starając się odegnąć od siebie łyzy i pomyśleć. Muszę myśleć. Przechadzam się po szczycie klifu i wzdłuż plaży. Kieruję się do latarni morskiej w Cape Byron i spoglądam na morze.

Wspominam, jak przypatrywałem się z pokładu „Adventure” Oceanowi Południowemu, uwikłany w głupią, napędzaną chciwością pogoń Cooka za krajem większym niż Australia.

W życiu każdego człowieka następuje taki moment, kiedy zdajemy sobie sprawę, że poza granicą lodu nie ma już żadnego lądu. Jest tylko jeszcze więcej lodu. Żyjemy więc tak jak do tej pory.

Czasami musisz popatrzeć na to, co, jak wiesz, znajduje się przed tobą, a następnie na nowo to coś odkryć. Tak jest z ludźmi, których kochasz.

Myślę o Camille. O jej głosie. O tym, jak wystawia twarz do słońca. O strachu, który odczuwała po tym, jak spadła z krzesła.

Nagle zdaję sobie sprawę, że to wszystko nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia, że starzejemy się inaczej niż reszta. Nie ma znaczenia, że nie sposób opierać się prawom czasu. Czas, jaki ci pozostał, jest jak ląd leżący za lodem. Możesz zgadywać, co się za nim znajduje, ale nigdy nie możesz być tego pewny. Jedyne, co jest pewne, to chwila, którą właśnie przeżywasz.

Idę w głąb lądu i odnajduję lagunę. Woda ma barwę głębokiej, wybornej zieleni, a wokół niej leżą skały i rozkwita bujna roślinność. Żyję już tak długo, a nie znam nazw większości roślin. Nie znam też nazwy samej laguny. Miło jest być w miejscu, o którym zbyt wiele nie wiem. Być w jakimś nowym miejscu, gdy świat wydaje się tak bardzo zwietrzały i dobrze znany. Dwa małe wodospady wlewają się do laguny, zagłuszając wszelkie inne dźwięki. Patrzę na spadającą wodę, aż upodabnia się ona do welonu panny młodej.

Nie działa wi-fi. Komórka też nie ma zasięgu. Jest tu tak spokojnie. Powietrze pachnie. Nawet woda brzmi jak szum uciszający hałasy świata. Siadam na kłodzie i coś zauważam. Głowa mnie nie boli.

Jest coś, czego jestem absolutnie pewien.

Nie ma mowy, że będę dalej próbował przekonać Omai. I nie ma mowy, że go zabiję. Wdycham świeże, pachnące kwiatami powietrze i zamykam oczy.

Słyszę dźwięk, którego nie wydaje spadająca woda.

Szelest krzaków przy wąskiej ścieżce za moimi plecami. Może to zwierzę. Ale nie, mam przeczucie, że ktoś się zbliża. Jakaś istota ludzka. Może turysta.

Odwracam się.

Widzę kobietę trzymającą wycelowany we mnie pistolet. Doznaję szoku.

Nie jest on spowodowany widokiem broni.

Wywołuje go u mnie *jej* widok.

Na pierwszy rzut oka bardzo się zmieniła. Włosy ma ufarbowane na niebiesko. Jest wysoka. Wyższa niż myślałem, że kiedykolwiek będzie. Na ramionach ma tatuaże. W swojej koszulce (na której widnieje napis „Ludzie mnie przerażają”), dzinsach, z kolczykiem w dolnej wardze, pomarańczowym plastikowym zegarkiem i emanującym z niej gniewem wygląda na idealnie dopasowaną do XXI wieku. Wygląda jak kobieta po trzydziestce, a nie dziewczynka, z którą się pożegnałem przed czterystu laty. Ale to ona. Oczy są na to niezbitym dowodem.

— Marion.

- Nie wymawiaj tego imienia.
- To ja.
- Odwróć się z powrotem w kierunku wody.
- Nie, Marion. Nie zrobię tego.

Stoję i patrzę na nią. Wstrząs jest ogromny. Tak bardzo staram się nie myśleć o broni, która znajduje się centymetry od mojej twarzy, jak również o śmierci, od której dzieli mnie być może zaledwie kilka sekund. Próbuję nie widzieć niczego poza swoją córką.

— To z twojego powodu ciągle żyję. Twoja matka kazała mi cię odnaleźć. Wiedziałem, że musisz gdzieś być. Po prostu wiedziałem.

— Porzuciłeś nas.

— Tak, zrobiłem to. I bardzo żałuję, że tak postąpiłem. Zostawiłem was same, by uratować twoje życie. Twoje i twojej matki. Ona chciała, żebym odszedł. To był jedyny sposób. Mogliśmy uciec z Londynu, ale niemożliwa była ucieczka od rzeczywistości. Widziałem, jak *topią* moją matkę z mojego powodu. Czy wiesz, jak to jest nosić w sobie poczucie winy? Uwierz mi, nie chciałabyś tego doświadczyć. Z tego samego powodu nie chcesz mnie zabić. To sprawa Hendricha? Czy to on kazał ci mnie zabić? Zwerbował cię? Wyprał ci mózg? Bo on właśnie to robi, Marion. Robi ludziom pranie mózgu. Potrafi być przekonujący. Żyje od niemal tysiąca lat. Dobrze wie, jak manipulować innymi.

— Nigdy mnie nie chciałeś. To właśnie mi powiedział. Nigdy nie chciałeś zostać ojcem.

Przeżywam kolejny szok. Hendrich odnalazł Marion i mi o tym nie powiedział. Ukrył jedyną informację, na jakiej mi zależało. Wiedział, gdzie była. Jak długo należeliśmy do tego samego stowarzyszenia, a ja o tym nie wiedziałem?

Z trudem zaczerpnąłem tyle powietrza, by móc cokolwiek powiedzieć.

— Nie. Nie. To nieprawda. Posłuchaj mnie, Marion. Próbowałem cię odnaleźć. Proszę! Kiedy zostałeś... kiedy on to zrobił?

Pistolet nadal jest tam, gdzie był. Rozważam, czy uda mi się złapać Marion za rękę i przechwycić broń. Ale przecież to moja córka. To Marion. To właśnie ta nieobecność, którą zawsze odczuwałem. Mogę z nią rozmawiać. Jeśli Hendrich może z nią rozmawiać, to ja również.

— Chciałeś mnie znaleźć, ponieważ byłam jedyną osobą na tym świecie, która wiedziała o tobie i której nie ufałeś. Nie zależało ci na mnie. Nie widziałeś mnie od stuleci. Chciałeś tylko ochronić siebie i poprosiłeś Stowarzyszenie Albatrosów o odnalezienie i pozbycie się mnie.

— W tym wypadku jest dokładnie odwrotnie.

— Widziałam list, który napisałeś do Hendricha przed kilkudziesięciu laty.

— Jaki znowu list?

— Widziałam go. Rozpoznałam twój charakter pisma. Widziałam kopertę. Widziałam, co napisałeś. Widziałam warunki, jakie postawiłeś przed przystąpieniem do stowarzyszenia. To mnie wewnętrznie zabiło. Wpędziło w pieprzony obłąd. Depresję. Zaburzenia lękowe. Psychozę. Kurwa, miałam to wszystko, ponieważ dowiedziałam się, że mój własny ojciec, którego kochałam bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, chciał mnie zabić. Bo widzisz, też chciałam cię znaleźć. Ty napędzałeś *mnie* do działania. Wiedza, że jedyna osoba, którą próbowałam odnaleźć, przez cały ten czas starała się mnie zabić, była dla mnie nie do przyjęcia. Nie jestem ci nic, kurwa, winna, *tato*.

Teraz już płacze. Jej twarz jest spokojna, ale po policzkach spływają łzy. A ja kocham ją tak bardzo, że odczuwam siłę tych łez, tak jak moc wiecznie płynących wodospadów, i chcę, żeby wszystko było w porządku. Chcę, żeby wiedziała, że to jest możliwe.

— Hendrich kłamie. Przeinacza fakty. Przekonuje innych ludzi, by wierzyli w kłamstwa.

Czasami to działa na naszą korzyść, a czasami przeciwko nam. On ma kontakty i pieniądze, Marion. Zyskał bogactwo na handlu tulipanami i nigdy nie stracił zarobionych wówczas pieniędzy.

— Agnes wszystko potwierdziła. Powiedziała, że to, co mi mówił, jest prawdą. Powiedziała, że to z mojego powodu musiałeś odejść i mnie za to zniechędziłeś. Ty skurwielu.

— Nigdy nie powiedziałem, że cię nienawidzę. Agnes siedzi tak głęboko w kieszeni u Hendricha, że już dawno nie widziała słońca, Marion. Kocham cię. Nie jestem idealnym człowiekiem. Nie byłem też idealnym ojcem. Ale zawsze cię kochałem. Od zawsze próbowałem cię znaleźć. Od zawsze, Marion. Byłaś takim niezwykłym dzieckiem. Nigdy nie przestałem cię szukać. Codziennie za tobą tęskniłem.

Przypominam ją sobie siedzącą przy oknie, chwytając ostatnie światło dnia, żeby tylko dokończyć czytanie *Królowej wieszczek*. Wspominam ją siedzącą w łóżku i grającą na fujarce, zdeterminowaną, by znaleźć właściwe tony.

Ciągle płacze, lecz jej pistolet jest nieustannie we mnie wycelowany.

— Obiecałeś, że wrócisz i nigdy tego nie zrobiłeś.

— Wiem, wiem. Chyba pamiętasz, że zrobiłem tak, by nie sprowadzić na was zagrożenia, prawda? Pamiętasz znaki i słowa wydrapane na drzwiach? A łowcę czarownic? Plotki? Sama wiesz, co się działo. Wiesz też, co przytrafiło się mojej matce. To ja byłem problemem. Musiałem więc odejść. Tak samo jak ty.

Zaciska oczy, jakby została uderzona pięścią w twarz.

— *Sukinsyn* — mówi.

Mógłbym teraz z łatwością pozbawić ją broni, lecz tego nie robię.

Przez całe stulecia była jedynym powodem, dla którego utrzymywałem się przy życiu. Zdaję sobie jednak sprawę, że teraz naprawdę chcę żyć. Ze względu na samo życie. Ze względu na możliwości, przyszłość i perspektywę doświadczenia czegoś nowego.

— Pamiętam, jak grałaś *Under the Greenwood Tree* — mówię. — Na fujarce. Tej, którą kupiłem dla ciebie na bazarze w Eastcheap. Przypominasz to sobie? Pamiętasz, jak uczyłem cię na niej grać? Z początku miałaś trudności. Wydawało się, że nigdy nie uda ci się zakryć palcami wszystkich otworów, lecz pewnego dnia dopięłaś swego. I grałaś na fujarce na ulicy, chociaż matka była temu przeciwna... Nigdy nie chciała przyciągać uwagi. Z przyczyn, które teraz, jak sądzę, rozumiesz.

Nic nie mówi. Wpatruje się w wodę oraz drzewa rosnące po drugiej stronie laguny. Słyszę jej oddech.

Wkładam dłoń do kieszeni.

— Co ty wyrabiasz? — pyta głosem tak cichym, że zostaje niemal zagłuszony przez szum wody.

Wyciągam portfel.

— Zaczekaj sekundę.

Wyjmuję małą, zapieczętowaną polietylenową torebkę, a następnie podnoszę ją do góry. Marion patrzy na znajdującą się w środku monetę.

— Co to takiego?

— Nie pamiętasz tamtego dnia w Canterbury? Świeciło słońce. Grałaś na fujarce, a ktoś włożył ci tę monetę w dłoń. W dniu, w którym się rozstaliśmy, dałaś mi ją i powiedziałaś, że dzięki niej będę o tobie ciągle myślał. Oto i ona. Pensówka, która dawała mi nadzieję. Pozwalała pozostać *przy życiu*. Chciałem ci ją pewnego dnia zwrócić. To więc czynię. Oto twoja moneta — mówię, po czym podaję jej torebkę z zawartością.

Powoli wyciąga po nią rękę, w drugiej wciąż trzymając wycelowany we mnie pistolet.

Kładę monetę na jej palcach. Niespodziewanie opuszcza broń. Palce powoli zaciskają się na monecie jak kwiat lotosu zamykający płatki.

Wygląda na oszołomioną. Mówi coś, czego nie jestem w stanie usłyszeć, pochylając się w moim kierunku. Nim dochodzi do mnie, co się dzieje, płacze spazmatycznie na moim ramieniu, a ja trzymam ją i chcę w jakiś sposób odepchnąć wszystkie te utracone już dla nas stulecia.

Chcę dowiedzieć się absolutnie wszystkiego. Pragnę spędzić kolejne czterysta lat na słuchaniu o jej życiu aż do dnia dzisiejszego. Ale kiedy się ode mnie odsuwa i ociera oczy, maluje się w nich niepokój.

— On tu jest — mówi, wpatrując się we mnie zielonymi oczami swojej matki. — Hendrich jest tutaj.

Hendrich postanowił towarzyszyć Marion do Australii. Zarezerwował pokój w Byron Sands, w tym samym hotelu co ona. Od pierwszej rozmowy ze mną na temat Omai obawiał się, że nie zdołam sprostać temu zadaniu. Martwił się o mnie — o czym, prawdę mówiąc, wiedziałem — już od jakiegoś czasu. Od czasów Sri Lanki i momentu, w którym zdecydowałem się wrócić do Londynu.

Marion miała mnie śledzić niezauważona. Nie spodziewała się, że mnie zabije, co było jedynym czynnikiem, jaki działał na naszą korzyść.

— Wszystko będzie dobrze, Marion — powiedziałem sparaliżowany faktem, że znowu ją okłamuję. — Wszystko. Wszystko się ułoży.

Zapadł już wieczór. Marion i Hendrich jedzą wspólnie posiłek w Byron Sands.

— Nie możesz choćby mrugnąć — powiedziałem jej. — Musisz być tą samą osobą, którą byłaś godzinę temu. Będąc z nim, musisz absolutnie wierzyć, że chcesz, żebym umarł.

Zostaję na zewnątrz. Chodzę wzdłuż przybrzeżnej drogi niedaleko Byron Sands na wypadek, gdyby Marion mnie potrzebowała. Wieczorny spokój pobliskich traw, plaży i morza kontrastuje z intensywną pracą mojego umysłu, wędrującego w ciemności poza zasięgiem światła ulicznych latarni.

Wiszę na telefonie. Próbuję się dodzwonić do Camille. Hendrich słyszał jej głos w tym dniu, kiedy podpity byłem z nią w parku. Na podstawie tego, co o nim wiem, mogę się spodziewać, że w tej właśnie chwili jakaś alba w Londynie wykonuje na nią zlecenie. Może to być Agnes lub ktoś inny, kto jest gotowy zabić Camille i upozorować jej śmierć jako samobójstwo.

— Odbierz — mówię, lecz to na nic. — Odbierz, odbierz...

Ale tego nie robi. Piszę więc SMS.

„Przepraszam za swoje zachowanie. Muszę ci coś jeszcze wyjaśnić. I zrobię to. Chcę ci tylko powiedzieć, że powinnaś wyjechać. Możesz znajdować się w niebezpieczeństwie. Opuść swoje mieszkanie. Udaj się gdzieś. W jakieś publiczne miejsce”.

Wysyłam wiadomość.

Serce mi wściekle bije.

Uświadamiam sobie, że przez całe życie się bałem. Hendrich obiecał, że skończy z moimi lękami, lecz jedynym, co osiągnął, było ich wzmocnienie. On kontrolował ludzi poprzez strach. Robił to zarówno ze mną, jak i z Marion. Kiedy chodziło tylko o mnie, trudno było to dostrzec, ale gdy widzę, jak manipulował Marion, okłamując zarówno ją, jak i mnie, zrozumiałem, że Stowarzyszenie Albatrosów opiera się na tajemnicach i manipulowaniu jego członkami, by ci służyli narastającej paranoi Hendricha na punkcie zewnętrznych zagrożeń. Źródłem jego najnowszego niepokoju były firmy biotechnologiczne, które chciały powstrzymać proces starzenia się: jedna pod nazwą GeneControl Therapies, inna o nazwie StopTime. Obie

inwestowały w technologię komórek macierzystych, która pewnego dnia mogłaby zapobiec starzeniu się ludzi.

Hendrich utrzymywał, że naukowcy z berlińskiego instytutu byli zabójcami i zawsze miał na podorędziu nową teorię spiskową. Alby wiedziały, że trudno być im naprawdę sobą i często musiały żyć z okrutnymi wspomnieniami, tak jak było to w moim wypadku. Ale nie byłem już w stanie dłużej znosić tego, by na każdą moją decyzję padał cień Williama Manninga. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że to sam Hendrich stanowi zagrożenie.

Splugawił wszystko. Nawet moje ponowne spotkanie z Marion.

Otrzymuję SMS-a od Camille. Brzmi on: „?????”.

Mija mnie taksówka. To jedyne auto na drodze.

Potem wibruje mój telefon.

To nie Camille, lecz Marion.

— Zamierza się spotkać z Omai.

— Co takiego?

— Właśnie wychodzi z restauracji. Wyszedł. Wsiada do taksówki. Będzie u niego w ciągu dziesięciu minut.

Wielka jaszczurka w żółte prążki przemyka pośród palm.

— Dopiero co widziałem taksówkę. Co on zamierza zrobić?

— Nie zdradził tego. Kazał mi na siebie zaczekać. Nie mogłam go zanadto naciskać. I tak był już wystarczająco podejrzliwy.

— Marion, czy on ma broń?

— Nie wiem. Ale...

Zanim kończy zdanie, biegnę na północ w kierunku Broken Head Road.

Canterbury, Anglia, rok 1617

— Ojciec.

Marion patrzyła na mnie, leżąc na poduszce. Jej oczy były pełne niepokoju. Westchnęła. Opowiadałem jej o ptakach, które zniknęły na Księżycu i żyły tam, po jego drugiej stronie, gdzie nie mogliśmy ich zobaczyć.

— Tak, Marion?

— Chciałabym, żebyśmy i my zamieszkali na Księżycu.

— Dlaczego, córeczko?

Zmarszczyła mocno brwi. Tak mocno, jak tylko mogła to uczynić.

— Ktoś opluł matkę. Podszedł do straganu i tam stał. Miał ładne rękawiczki. Ale wykrzywił twarz niczym gargulec i tak jak gargulec nie wypowiedział choćby słowa, ale obrzucił ją najstraszniejszym spojrzeniem. Później spojrzał tak samo na mnie, co nie spodobało się mamie, więc zapytała: „Czy życzy pan sobie jakieś kwiaty, proszę pana?”. Jak sądzę, powiedziała to nieco szorstkim tonem, ale tylko dlatego, że się zdenerwowała.

— I dlatego ją opluł?

Marion kiwnęła głową.

— Tak. Odczekał jeszcze chwilę, po czym splunął jej w twarz.

Zacisnęła szczęki tak mocno, że mogłem dostrzec mięśnie twarzy uwydatniające się pod skórą.

Kontynuowałem temat.

— I ten mężczyzna nie powiedział nic więcej? Nie wyjaśnił, czemu to zrobił?

Marion zmarszczyła brwi. Cierpienie w jej oczach sprawiło, że wyglądała na starszą.

Z łatwością mogłem sobie wyobrazić kobietę, którą miała się stać.

— Nic nie powiedział. Zostawił mamę ocierającą twarz, podczas gdy wszyscy domokrażcy i mieszczenie gapili się na nas.

— A czy zachował się równie osobliwie wobec kogokolwiek innego?

— Tylko w stosunku do nas.

Pocałowałem ją w czoło, po czym podciągnąłem koc.

— Czasami — powiedziałem — świat nie jest taki, jak byśmy chcieli. Czasami ludzie nas rozczarowują. Czasami ludzie robią innym okropne rzeczy. W tym życiu musisz być ostrożna. Bo, widzisz, różnię się od innych. Wiesz o tym, prawda? Reszta świata starzeje się szybko, a ja, jak się wydaje, robię to nieco inaczej.

Przybrała bardziej zacięty wyraz twarzy. Była zagubiona w pełnych brutalności wyobrażeniach.

— Mam nadzieję, że ten mężczyzna zachoruje. Mam nadzieję, że umrze w agonii za to, że zawstydził mamę. Chciałabym zobaczyć, jak go wieszają, a jego nogi dziko mlóć powietrze, potem zostaje poćwiartowany, a jego wnętrzności się wylewają. Chciałabym wydłubać mu oczy i nakarmić nimi psa.

Spojrzałem na nią. Jej furia była tak intensywna, że dało się ją wyczuć w powietrzu.

— Marion, wciąż jesteś dzieckiem. Nie wolno ci myśleć w ten sposób.

Uspokoila się nieco.

— Byłam przerażona.

— Ale czego uczy nas na temat strachu Montaigne?

Pokiwała z namysłem głową, zupełnie jakby Montaigne we własnej osobie przebywał z nami w tym pokoju.

— Ten, który boi się, że będzie cierpiał, już cierpi z powodu tego, czego się boi.

Kiwnąłem głową.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie, Marion. Na wypadek gdyby ci się cokolwiek przytrafiło, gdybyś stała się taka jak ja, musisz nauczyć się budować powłokę wokół siebie. Powłokę tak twardą jak skorupka orzecha. Powłokę, której nikt nie może zobaczyć, ale taką, o której istnieniu będziesz wiedziała. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Sądzę, że tak.

— Bądź orzechem.

— Ludzie kruszą orzechy. I je zjadają.

Powstrzymałem uśmiech. Czasami nie potrafiłem jej przegadać.

Nieco później, po wypiciu słoja ale, leżałem obok Rose, obawiając się, że przyszłość, jak już zdołałem się przekonać, jest przeciwko nam. I czułem się źle ze świadomością, że nadejdzie czas, w którym będę musiał je opuścić. Kiedy będę musiał uciekać, a następnie pędzić przed siebie już przez całe życie. Z dala od Canterbury. Z dala od Rose. Z dala od Marion. Z dala od siebie. Czułem już tęsknotę za terażniejszością, w której wciąż żyłem. Leżałem tam, próbując znaleźć drogę do odległej przyszłości, gdzie wszystko mogłoby okazać się lepsze. Gdzie w jakiś sposób kierunek mojego życia mógłby ulec zmianie i pozwolić mi na powrót do domu.

Byron Bay, Australia, obecnie

Na Broken Head Road dość wyraźnie słychać uderzenia fal. Dźwięk dobiega z miejsca, w którym rozbijają się o podstawę urwiska. Bardzo łatwo jest dzięki nim wytłumić odgłos rozpryskującej się na drewnie benzyny. Czuję ją, zanim dostrzegam, co robi.

— Hendrichu — mówię — przestań!

W ciemności niemal wygląda na swój wiek. Przygarbiony, chudy i uschnięty, niczym rzeźba Giacomettiego ubrana w dżinsy i hawajską koszulę. Jedno z jego ramion zwisa w dół, wykrzywione, zmagające się niezgrabnie z ciężarem kanistra z benzyną. Ale w ruchach Hendricha kryje się niezwykle gwałtowna energia.

Zatrzymuje się na chwilę i patrzy na mnie pustymi oczami. Nie uśmiecha się. Zauważam to, ponieważ rzadko widywałem Hendricha, gdy ten się nie uśmiechał.

— Powiedziałeś mi, że nie mogłeś podpalić jego domu na Tahiti. Nigdy niczego nie doprowadzałeś do końca, prawda, Tom? Historia ma jednak sposób na naprawienie błędów.

— Nie rób tego. Omai nie stanowi zagrożenia.

— W miarę jak się starzejesz, zyskujesz nie tylko pewną umiejętność oceny ludzi, Tom, ale także wgląd w sam czas. Prawdopodobnie nie jesteś jeszcze na tym etapie, ale są chwile, w których zrozumienie czasu jest tak głębokie, że widzisz obie jego strony. To, co z przodu, i to, co z tyłu. Kiedy mówią: „Aby zrozumieć przyszłość, musisz zrozumieć przeszłość”, nie sądzę, by znali prawdziwe znaczenie tych słów, Tom. Możesz zobaczyć przyszłość. Nie całość. Po prostu kawałki. Przebłyski. Jak odwrócone wspomnienia. Wygląda na to, że zapominamy o części naszej przyszłości, tak jak zapominamy o przeszłości. Ale ja widziałem wystarczająco dużo. Wiedziałem, że nie można ci już ufać w kwestii dokończenia zadania. Wyczułem to jakiś czas temu. Wiedziałem, dokąd to zmierza.

— To nie ma znaczenia. Nic z tego nie ma znaczenia.

— Ależ oczywiście, że ma. Musimy się nawzajem chronić.

— Kurwa, Hendrichu. Skończ z tym pieprzeniem. Masz na myśli chronienie *siebie*. Tylko to zawsze miałeś na myśli. To stowarzyszenie ma tylko jednego prawdziwego członka. Daj spokój. To już nie jest XIX wiek. Wiedziałeś o Marion. Wiedziałeś i mnie okłamywałeś.

Potrząsa głową.

— Zrobiłem coś, co jest trudne. Dotrzymałem obietnicy. Powiedziałem ci, że ją znajdę, i ją znalazłem. Zrobiłem coś, czego ty nie byłeś w stanie dokonać. Ja zapewniam ludziom bezpieczeństwo.

— Przez podkładanie ognia pod ich domy?

— Przytknąłeś nos do płótna, Tom. Odsuń się, a ujrzysz cały obraz. Jesteśmy zagrożeni jak nigdy wcześ-niej. Berlin, biotechnologia, wszystko. Nie idzie ku lepszemu. Spójrz na świat, Tom. Wszystko jest popieprzone. Jętki nie żyją wystarczająco długo, aby się czegoś nauczyć. Rodzą się, dorastają, wciąż popełniają te same błędy. To wielkie koło, wirujące wokół, powodujące za każdym razem większe zniszczenia. Spójrz na Amerykę. Spójrz na Europę. Spójrz na internet. Cywilizacja tylko czeka na rychły ponowny upadek Cesarstwa Rzymskiego. Zabobony powróciły. Kłamstwa powróciły. Polowania na czarownice powróciły. Wracamy do wieków ciemnych, Tom. Nie, żebyśmy tak naprawdę kiedykolwiek je opuścili. Musimy utrzymać nasze istnienie w sekrecie.

— Ale to, co robisz, jest zastępowaniem jednych zabobonów innymi, w jeszcze większej liczbie. Kłamiesz. Odnalazłeś moją córkę i wysłałeś ją z misją zabicia mnie.

— Ale nie tylko ja tutaj kłamię, nieprawdaż, Tom?

Wyciąga z kieszeni chromowaną zapalniczkę. To ta sama zapalniczka, którą widziałem podczas naszego pierwszego spotkania w Dakocie.

— Rzuciłem palenie już dawno temu. W Los Angeles zlinczowali cię za coś znacznie mniejszego. Ale zachowałem ją sobie na pamiątkę. Jest dla mnie tym, czym dla ciebie ta głupia pensówka. Jednak benzynę musiałem kupić.

Rozpala płomień. Nagle rozumiem, że to wszystko prawda. Nie ma nic dziwnego w tym, że Hendrich chce zabić Omai albo mnie, albo że utrzymywał w tajemnicy miejsce pobytu

Marion. Odkąd wstąpiłem do stowarzyszenia, wiedziałem, do czego jest zdolny. Zaskoczeniem jest to, że jest gotów narazić samego siebie na niebezpieczeństwo, podchodząc tak blisko żaru.

— Omai! — krzyczę. — Omai! Omai! Uciekajcie z domu!

I wtedy to się dzieje.

Apogeuem crescendo. Kaskada wszystkiego. Wszystkie ścieżki mojego życia przecinają się w jednym miejscu.

Kiedy zaczynam biec w kierunku Hendricha, rozlega się przebijający noc głos:

— Stop!

To oczywiście Marion.

A potem Hendrich zatrzymuje się na chwilę i wydaje się nagle słaby i podatny na zranienie jak zagubiony w lesie mały chłopiec. Spogląda raz na Marion, raz na mnie. Jednocześnie Omai wychodzi boso z domu, niosąc w ramionach swoją wiekową córkę.

— Tylko na to popatrz. Czyż to nie słodkie? Zjazd ojców z córkami. I to właśnie jest wasza słabość. To właśnie was ode mnie oddziela. To pragnienie bycia jak oni. Jak jętki. Ja nigdy tego nie doświadczyłem. Już zanim zdobyłem swoją pierwszą fortunę, wiele lat przed tym nim sprzedałem swojego pierwszego tulipana, wiedziałem, że jedynym sposobem na uwolnienie się było nieposiadanie nikogo bliskiego.

Rozlega się wystrzał. Jego odgłos wstrząsa wszystkim, spadając na nas z nieba. Twarz Marion wygląda na twardą — tak, twardą niczym orzech — ale oczy ma teraz wypełnione łzami, a ręce jej drżą.

Dosięga celu. Czarne linie krwi ściekają mu z łopatki, biegnąc wzdłuż ramienia. Ale wciąż podnosi kanister z benzyną i przechyla go, wylewając na siebie płyn.

— Ostatecznie wychodzi na to, że to *ja* okazałem się lkarem.

Opuszcza kanister, gdy zbliża płomień do własnej klatki piersiowej. Sądzę, lub tylko to sobie wyobrażam, że dostrzegam niewielki uśmiech, lekki sygnał opartej na zadowoleniu akceptacji na chwilę przed tym, gdy na jego ciele gwałtownie rozkwitną płomień. Jego płonące ciało chwieje się w kierunku przeciwnym niż dom. Idzie dalej przez trawę, w stronę morza. W stronę klifu.

Kieruje się do krawędzi, jego stopy z wysiłkiem stawiają kolejne kroki przez trawę, która im bliżej klifu, tym jest bujniejsza. Trawa dymi, osmala się i jarzy na czubkach liści, co upodabnia ją do setki maleńkich świetlików. On idzie dalej. Nie ma chwili przerwy ani refleksji, ani też krzyku bólu. Jest tylko ciągły, szokujący pęd ku przepaści. Determinacja, ostatni akt kontroli.

— Hendrichu? — mówię.

Nie mam pojęcia, dlaczego jego imię pojawia się jako pytanie. Podejrzewam, że stało się tak, ponieważ nawet w swoich ostatnich chwilach człowiek ten pozostawał pełen tajemnic. Żyję już bardzo długo, ale nigdy nie istnieje się wystarczająco długo, by nic nie mogło nas zaskoczyć.

— Och, stary — powtarza Omai. — Och, stary, och, stary...

Odruchowo, jako dobra osoba, chce podejść do niego. Stawia więc córkę na trawę.

— Nie! — mówi Marion. Wciąż trzyma w dłoni broń.

Teraz wyczuwam, że Hendrich jest nie tylko mężczyzną, który chciał, żeby mnie zabiła, ale również tym, który splunął w twarz jej matki. Tym, którego wypływające wnętrzości chciała zobaczyć. Jest również nigdy nieukaranym Williamem Manningiem. Jest każdym, kto skrzywdził ją do tego momentu, i wyczuwam, że było wiele takich osób.

— Zostaw go. Tego skurwiela. Cofnij się. Zostań tam, gdzie jesteście. Zostaw go.

Tak też robimy. Nikt nie wypowiada choćby jednego słowa. Nie przejeżdża żadne auto i nie ma postronnych świadków. Jedynym świadkiem, jak zawsze, pozostaje nasza strona

księżycy. Ta z rozdziawionymi ustami. A pionowy słup ognia, niegdyś będący Hendrichem, wciąż idzie i idzie, aż nagle marsz się kończy. Odszedł. Ziemia, która świeciła i zmieniała się w blasku ognia, teraz została ogarnięta nagłą ciemnością. Spadł. Czasowy dystans pomiędzy jego marszem a nieobecnością jest tak mały, że niemal niedostrzegalny.

Jest świat, w którym on żyje, i jest świat, w którym jest martwy. I przejście między tymi światami odbywa się przy dźwięku nie większym niż szum fal rozbijających się na odległych skałach.

I tak, jak tylko chwili potrzeba, by umrzeć, wystarczy tylko chwila, by żyć. Po prostu zamknij oczy i pozwól odejść całemu bezsensownemu strachowi. A potem, w tym nowym stanie, wolnym od strachu, spytaj siebie: Kim jestem? Gdybym mógł żyć bez wątpliwości, co bym zrobił? Gdybym mógł być dobry bez obawy, że mnie ktoś orznie? Gdybym mógł kochać bez lęku przed zranieniem? Gdybym mógł posmakować dzisiejszej słodyczy, nie myśląc o tym, że jutro będę tęsknił za jej smakiem? Gdybym nie bał się upływu czasu i ludzi, których zabierze? Tak. Co bym zrobił? Na kim by mi zależało? W jakiej bitwie bym walczył? Jakie ścieżki bym ominął? Na jakie przyjemności bym sobie pozwolił? Jakie wewnętrzne tajemnice bym rozwiązał? W skrócie, jak bym żył?

Londyn, obecnie

Marion.

Moja córka. Córka Rose.

Ciągle jest tą samą małą dziewczynką.

Tak zwykle mówią ludzie, prawda? O dzieciach, które dorosły. Cóż, a ja nie mogę tego samego powiedzieć o Marion. Ona nie jest już tą samą dziewczynką.

Tak, ta intensywność zawsze w niej była. Wrażliwa inteligencja. Zamiłowanie do książek. Pragnienie — niegdyś będące niczym więcej jak dziecinną fantazją — wywarcia krwawej zemsty na tych, którzy ją skrzywdzili.

Ale teraz są w niej również tysiące innych rzeczy.

W końcu nie jesteśmy tylko tym, kim się urodziliśmy. Jesteśmy tym, kim się stajemy. Jesteśmy tym, co robi z nas życie. A ona, urodzona czterysta lat temu, doświadczyła wiele.

Na przykład boi się Abrahama. Ma teraz „pewien problem z psami”. Nie odważyłem się zapytać, z czego on wynika.

Abraham polubił ją od razu, czyli od momentu, gdy go odebraliśmy od psiego opiekuna, lecz Marion siedzi daleko od niego, rzucając w jego kierunku nerwowe spojrzenia.

Jest bardzo otwarta, jeśli chodzi o rzeczy, jakie dotychczas robiła.

Opowiada mi o miejscach, w których żyła, nie licząc Londynu, Heidelbergu i Los Angeles. O Rouen, gdzie osiedliła się po swojej pierwszej zamorskiej podróży. Następne było Bordeaux. Zawiodła ją tam zarówno znajomość języka, jak i wspomnienia związane z -Montaigne'em. Ale odwiedziła również inne miejsca: Amsterdam, -Vancouver, Szkocję. Mieszkała w Szkocji przez jakieś sto lat, najwyraźniej od 1840 roku. Ciągle się przeprowadzała. Highland. East Neuk of Fife. Szetlandy. Edynburg. Była tkaczką. Miała własne krosno.

— Krosno podróżnicze — mówi i trochę się śmieje, co jest u niej rzadkością. Zażywa citalopram na depresję. — To mnie przytępia, lecz jest mi potrzebne.

Mówi, że cały czas nawiedzają ją dziwne sny i często ma ataki paniki. Czasami wynikają one z obawy przed atakami paniki. Błędne koło. Doznała jednego z nich w samolocie podczas powrotu z Australii, ale prawie tego nie zauważyłem, bo jedynym objawem był jej całkowity bezruch.

Opuściliśmy Australię bez jakichkolwiek problemów. Nie przyleciała tam wraz z Hendrichem, a jego ciało jeszcze nie zostało odkryte, więc nie zadawano nam żadnych pytań. Oczywiście zmienił on swoją tożsamość, by przybyć do Australii, więc w pewnym sensie w ogóle tam nie istniał. Tak dobrze maskował własne życie, że jego śmierć stała się, jak każdy inny aspekt, jeszcze jedną tajemnicą.

Pożegnałem się z Omai. Powiedziałem mu, że w pewnym momencie przeprowadzka może okazać się dobrym pomysłem, a on odpowiedział, że o tym pomyśli, i to by było na tyle. Nie zamierzał się stamtąd ruszać i, cóż, tylko przyszłość wie, co to może oznaczać.

Piszę e-mail. Piszę go i prawie naciskam „Wyślij”. E-mail do Kristen Curial, która kieruje StopTime, wiodącą, finansowaną przez rząd firmą biotechnologiczną, prowadzącą badania nad sposobami na powstrzymanie uszkodzeń komórek spowodowanych przez choroby i proces starzenia. Jest to jedna z firm, na punkcie których Hendricha ogarniała paranoja.

*Droga Kristen,
mam 439 lat i mogę tego dowieść. Wierzę, że mógłbym pomóc w prowadzonych przez
ciebie badaniach.*

Tom

Następnie załączam zdjęcie z „Ciro’s” i selfie z widoczną blizną na ramieniu. Przypatruję się wiadomości i widzę, jak absurdalnie ona brzmi, a następnie zapisuję ją w folderze „Robocze”. Może później.

Marion nie mówi wiele. Ale kiedy mówi, znacznie częściej przeklina. Z radością przyjmuję przekleństwa, które, jak podejrzewam, odziedziczyła po ciotce Grace. W szczególności lubi słowo „skurwiel”. (Nie to, żeby było to ulubione przekleństwo ciotki). Wszystko potrafi być dla niej skurwielem. Na przykład telewizor jest skurwielem. („Niczego nie da się obejrzeć na tym skurwielem”). Jej buty to skurwiele. Amerykański prezydent jest skurwielem. Tkanie przędzy przez krosno to skurwielstwo. *Dzieje zachodniej filozofii* Bertranda Russella to również skurwielstwo.

Mówi mi również, że miała „krótki okres” z twardymi narkotykami, od 1963 do 1999 roku.

— Och — mówię, czując, że poczucie bycia ojcem jest czymś, co straciłem. — To...
hmm...

Przypatruje mi się przez krótką chwilę. Siedzi na krześle, z dala od Abrahama, zaciąga się e-papierosem i nuci starą melodię. Bardzo starą. *Flow My Tears* Johna Dowlanda. Melodię, którą grałem na lutni, kiedy była małą dziewczynką, jeszcze zanim zagrała na fujarce. Nic o tym nie wspomina, więc ja również milczę. W jej głosie słychać wibrację. Miękkosć. Pod skorupką wciąż kryje się miękkosć.

— Tęsknisz za mamą? — pyta.

— Codziennie. Pomimo upływu lat. Prawda, że to niedorzeczne?

Uśmiecha się smutno, po czym znów przytyka do ust e-papierosa.

— Miałeś po niej kogoś innego?

— W zasadzie... nie.

— W zasadzie?

— Cóż, nikogo nie miałem. Przez stulecia. Teraz jednak jest ktoś taki w szkole. Camille. Jest jak mama. Ale czuję, że mogłem to zepsuć.

— Miłość to skurwielstwo.

Wzdycham.

— Zaiste.

— Powinieneś się za nią uganiać. Powiedz jej, że nawaliłeś. Powiedz, dlaczego tak się

stało. Bądź szczerzy. Szczerłość naprawdę działa. Cóż, szczerłość też zamyka cię na oddziale psychiatrycznym. Ale czasami działa.

— Szczerłość to skurwielstwo — mówię, a Marion wybucha śmiechem.

Na pewien czas zapada cisza. Najwyraźniej coś wspomina.

— Mówiłam prawdę nie tak często, jak bym chciała, ale tak często, jak się na to odważyłam. A wraz z wiekiem coraz częściej znajduję na to odwagę.

— Czy to...?

— Montaigne we własnej osobie.

— Wow. Wciąż go lubisz?

— Część jego dzieł już nieco trąci myszką, ale tak. Był mądrym człowiekiem.

— A co z tobą? Miałaś kogoś?

— Owszem. Kiedyś tak. Nawet nie jednego. Ale dobrze mi samej. Jestem wtedy szczęśliwsza. Z innymi sprawy się zanadto komplikują. Wiesz, kwestie związane z wiekiem. Ogólnie uważam, że mężczyźni są rozczarowujący. Montaigne powiedział, że celem życia jest oddanie siebie samemu sobie. Pracuję nad tym. Czytanie, malowanie, gra na fortepianie. Strzelanie do dziewięciusetletnich mężczyzn.

— Grasz na fortepianie?

— Odkryłam, że daje on większe możliwości niż fujarka.

— Ja też na nim gram — mówię, radując się tą myślą. To jest nasza pierwsza prawdziwa rozmowa od czasu Australii. — Kiedy przekłułaś sobie wargę?

— Mniej więcej trzydzieści lat temu. Zanim wszyscy zaczęli to robić.

— Bolało?

— Nie. Próbujesz mnie osądzać?

— Jestem twoim ojcem. Od tego jestem.

— Mam też tatuaże.

— Właśnie widzę.

— Jeden mam na ramieniu. Chcesz zobaczyć? — Zdejmuje sweter i pokazuje mi drzewo.

Poniżej są wytatuowane słowa: *Under the Greenwood Tree*. — Zrobiłam go, żeby mi o tobie przypominał. To ty nauczyłaś mnie tej piosenki, pamiętasz?

Uśmiecham się.

— Pamiętam.

Wciąż nieco doskwiera jej jet lag. Tak jak i mnie. Chcę, żeby została, ale mówi, że Londyn wywołuje u niej ataki paniki, a nie chce wrócić do szpitala. Mówi, że na Fetlar, jednej z wysp na Szetlandach, jest dom. Mieszkała tam w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Dom wciąż stoi i nadal jest opuszczony. Twierdzi, że chce do niego wrócić. Mówi, że ma trochę gotówki. I że po następnym weekendzie — czyli po moim powrocie do szkoły — wyjedzie tam. Smuci mnie to, ale ją rozumiem i obiecuję odwiedzić tak szybko, jak tylko będę mógł.

— Czas się tam zatrzymał — mówi. — Na tych wyspach. To sprawia, że czuję się normalna. Otoczona całą tą niezmienną się naturą. Miasto wymaga większego wysiłku. Za dużo się w nim dzieje.

Jej ręce lekko drżą. Zastanawiam się nad okropnościami, przez które przeszła. Sprawami i wydarzeniami, które zablokowała w swoim umyśle. Zastanawiam się nad przyszłością, nad tym, co się stanie zarówno z nią, jak i ze mną teraz, gdy tajemnica albo prawdopodobnie ujrzy światło dzienne. Teraz i my, i Omai możemy zostać tymi, którzy ją ujawnią.

Ale chodzi o to, że nie możesz poznać przyszłości. Patrzą na wiadomości i jawi się ona przerażająco. Jednak nigdy nie możesz być tego pewien. O to właśnie chodzi z przyszłością. Nic o niej nie wiesz. W pewnym momencie musisz zaakceptować to, czego nie wiesz. Musisz

przestać przerzucać kartki do przodu i po prostu skoncentrować się na stronie, na której jesteś.

Abraham zsuwa się z sofy i zmyka do kuchni. Marion podchodzi i siada obok mnie. Chcę ją objąć, jak ojciec córkę. Nie sędzę, żeby tego chciała, ale potem kładzie głowę na moim ramieniu i nic nie mówi. Pamiętam, jak tamtej nocy w powozie ta sama głowa spoczywała na tym samym ramieniu, kiedy Marion miała dziesięć lat. Pamiętam, że wówczas jawiło się to jako koniec wszystkiego. A teraz wydaje się nowym początkiem.

Czas potrafi cię czasem zaskoczyć.

Jadę na rowerze do szkoły.

Widzę, jak Anton wchodzi samotnie do głównego budynku. Ma na uszach słuchawki i czyta książkę. Nie widzę, jaki jest jej tytuł, ale to z całą pewnością książka. Ilekroć widzę kogoś czytającego książkę, zwłaszcza jeśli jest to osoba, po której się tego nie spodziewałem, czuję, że cywilizacja stała się trochę bezpieczniejsza. Podnosi wzrok. Widzi mnie. Unosi rękę na powitanie.

Lubię tę pracę. Nie mógłbym teraz wymyślić lepszego celu w życiu niż bycie nauczycielem. Nauczanie sprawia, że czuję się strażnikiem czasu chroniącym przyszłe szczęście świata przez umysły, które będą go kształtować. Nie jest to gra na lutni dla Szekspira ani na fortepianie w „Ciro’s”, ale coś równie dobrego. A dobro ma swój własny rodzaj harmonii.

Jasne, nie mam pojęcia, jak długo tu zostanę, gdy ujawnię, kim jestem. Mogę mieć tę pracę przez tydzień, miesiąc lub dekadę. Nie wiem. Ale to bez znaczenia. Wszystko w życiu jest niepewne. Właśnie ta niepewność sprawia, że wiesz, iż istniejesz. Oczywiście, dlatego chcemy czasami powrócić do przeszłości, bo ją znamy lub tak nam się przynajmniej wydaje. To piosenka, którą już wcześniej słyszeliśmy.

I dobrze jest myśleć o przeszłości.

Filozof George Santayana w 1905 roku stwierdził, że ci, *którzy nie pamiętają przeszłości, skazani są na jej powtarzanie*. I musisz tylko włączyć wiadomości, aby zobaczyć straszne powtórzenia, okropne lekcje, których nie odrobiono, wskutek czego XXI wiek powoli staje się brutalną przeróbką wieku XX.

Jednak, choć możesz spojrzeć w przeszłość, nie jesteś w stanie jej odwiedzić. Nie mogę usiąść pod drzewem w lesie i poprosić matki, by mi śpiewała. Nie mogę iść wzdłuż Fairfield Road i znowu zobaczyć Rose i jej siostry sprzedających owoce z koszów. Nie mogę przekroczyć starego London Bridge i dostać się do Southwark z czasów elżbietańskich. Nie mogę wrócić i zaoferować Rose więcej słów pocieszenia w tym mrocznym domu przy Chapel Street. *Nigdy więcej nie ujrzę Marion jako małej dziewczynki*. Nie mogę wrócić do czasów, gdy mapa świata nie była znana. Nie mogę spacerować po zaśnieżonych ulicach z pięknymi wiktoriańskimi latarniami i zdecydować się nie odwiedzać doktora Hutchinsona. Nie mogę wrócić do 1891 roku i powiedzieć sobie, by nie wsiadać z Agnes na „Etrurię”.

Żółty ptak siada na moment na parapecie, a następnie odlatuje. To właśnie jest natura. Są rzeczy, których doświadczyłem, a których nie doświadczę już ponownie po raz pierwszy: miłość, pocałunek, Czajkowski, tahitańskie zachody słońca, jazz, hot dog, Krwawa Mary. Taka jest natura rzeczy. Historia miała — ma — ruch jednokierunkowy. Musisz iść dalej. Ale nie zawsze trzeba patrzeć w przyszłość. Czasami możesz po prostu rozejrzeć się i być szczęśliwy tam, gdzie jesteś.

Nie doskwierają mi już bóle głowy. Nie doznałem żadnego z nich od czasu Australii. Wciąż jednak jestem zmartwiony.

Widzę, jak Camille patrzy przez okno pokoju nauczycielskiego. Początkowo się uśmiecha, ale potem mnie zauważa i nagle wygląda na zmieszaną lub przerażoną. Trudno powiedzieć. Stoję tam i czekam. Porozmawiam z nią. Wszystko wyjaśnię. Powiem jej, z kim

rozmawiałem przez telefon. Powiem jej o Hendrichu. Powiem jej o Marion. Może niedługo spróbujemy znowu, na innej ławce w parku. Nie wiem. Nie mogę tego wiedzieć.

Ale od teraz będę otwarty. Nie pozwolę, aby sekrety dalej raniły innych.

Tak.

Chodzi o czas.

Chodzi o czas, jaki *przeżyłem*.

O to, że oddycham powietrzem wschodniego Londynu, które wydaje się czystsze niż zwykle, i chodzę pośród nastolatków po raczej niezbyt inspirującym budynku szkolnym z lat sześćdziesiątych XX wieku. Chodzę po nim z dziwnym, dawno już zapomnianym uczuciem.

Czuję, że coś się właśnie dla mnie zaczyna.

Czuję się gotowy na to, by mi na kimś zależało. Na bycie zranionym. Na ryzyko życia.

I w ciągu dwóch minut spotykam ją. Camille.

— Cześć — mówi. Grzecznie, ale i oficjalnie.

Wyczytuję z jej oczu, że chce, żebym coś powiedział. A ja i tak zamierzałem to zrobić. Już chwilę po spotkaniu zdecydowałem, że zrobię to, co zawsze sprawiało mi taką trudność. Podejmę próbę wytlumaczenia się. Siebie oraz dziwnego uczucia, jakie się we mnie odzywa, gdy stoję tuż przed nią. Jest to poczucie całkowitego zrozumienia, tak jakbym w tej jednej chwili był w stanie ujrzeć również wszystko inne. Nie tylko te momenty, które przeminęły, ale również te, które dopiero mają nadejść. Cały wszechświat w ziarnku piasku. O tym właśnie mówiła Agnes w Paryżu prawie sto lat temu. I Mary Peters. W końcu mnie również dosięgło to doświadczenie całkowitego zrozumienia czasu. Tego, co jest, co było i co będzie. To tylko jedna sekunda, ale w środku czuję, że poprzez to jedno spojrzenie w oczy Camille mogę doświadczać tego już przez całą wieczność.

La Forêt de Pons, Francja, przyszłość

Od tamtego momentu na szkolnym korytarzu upłynęły dwa lata.

Francja.

Las w pobliżu Pons wciąż rośnie. Ten, który kiedyś znałem.

Abraham jest już stary. W zeszłym miesiącu usunięto mu kamień nerkowy, ale wciąż nie doszedł do siebie. Dziś jednak wydaje się szczęśliwy, węsząc pośród tysiąca nowych zapachów.

— Wciąż się boję — mówię, gdy spacerujemy z Abrahamem wśród buków.

— Czego? — pyta Camille.

— Czasu.

— Czemu boisz się czasu? Przecież będziesz żył wiecznie.

— Dokładnie. I pewnego dnia nie będzie cię już przy mnie.

Zatrzymuje się.

— To dziwne.

— Co w tym dziwnego?

— To, jak wiele czasu poświęcasz na martwienie się o przyszłość.

— Dlaczego? To się zawsze dzieje. Tak to już jest z przyszłością.

— Tak, to się zawsze dzieje. Ale nie zawsze musi być źle. Spójrz. Spójrz tylko na tę chwilę. Na nas. To też jest przyszłość.

Łapie mój nadgarstek i kładzie rękę na swoim brzuchu.

— Tutaj. Czujesz ją?

Czuję to — dziwny ruch — kiedy kopiesz. Ty. Mała siostrzyczka Marion.

— Czuję ją.

— Dokładnie.

— A pewnego dnia może wyglądać starzej ode mnie.

W tym momencie Camille się zatrzymuje. Wskazuje gdzieś pomiędzy drzewami. Jest tam jeleni. Odwraca głowę i spogląda na nas. Przez chwilę zatrzymuje na nas spojrzenie, po czym ucieka. Abraham bez entuzjazmu napina smycz.

— Nie wiem, co się wydarzy — mówi Camille, wpatrując się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stało leśne stworzenie. — Nie wiem, czy przetrwam popołudnie bez ataku. Kto wie wszystko?

— Tak. Kto to wie?

Wciąż wpatruję się w przestrzeń między drzewami, którą przed chwilą zajmował jeleni, i zdaję sobie sprawę, że to prawda. Jelenia już tam nie ma, ale wiem, że był w tym miejscu, więc przestrzeń jest inna, niż byłaby, gdyby tam się wcale nie pojawił. To wspomnienie ją zmienia.

— „Nie jesteś już w izolacji, lecz podejrzewam, że musisz dotknąć życia, by się z niej wyrwać”.

— Co to? Cytat? — pytam.

— Z Fitzgeralda.

Podejmujemy przerwany spacer.

— Wiesz, że go spotkałem.

— Tak, mówiłeś mi.

— Znałem też Szekspira. I spotkałem doktora Johnsona. Raz widziałem tańczącą Joséphine Baker.

— Nie popisuj się znajomościami.

— Kiedy to prawda.

— Skoro o imionach mowa... — mówi powoli, jakby dobierała słowa tak ostrożnie, jak stawia się kroki na nierównym gruncie. — Myślałam o tym. Nie wiem, co na to powiesz. Teraz, gdy już wiemy, że to będzie dziewczynka, sądzę, że powinniśmy dać jej na imię Sophie. Po mojej babci, Sophie Rose.

— Rose?

Trzyma moją dłoń. Następnie dodaje tytułem wyjaśnienia:

— Zawsze kochałam to imię. Oznacza zarówno kwiat, jak i powstanie... Tak jak w twoim przypadku. Teraz możesz być tym, kim naprawdę jesteś. I tak, wiem, jak dziwne jest nadawanie imienia dziecku po, sam wiesz.... Ale trudno jest być zazdrosnym o kogoś sprzed czterech stuleci. Poza tym lubię ją. Pomogła ci stać się sobą. Myślę więc, że byłoby to miłe. Wpleść ten wątek do pozostałych.

— Cóż, przekonamy się, jak to będzie.

Całujemy się. Stojąc pośród rosnących w lesie drzew. Tak bardzo ją kocham. Nie mógłbym jej kochać bardziej. I przerażenie powodowane perspektywą niepozwolenia sobie na kochanie jej pokonało lęk przed jej utratą. Omai ma rację. Trzeba wybierać życie.

— Wszystko będzie dobrze. A jeśli nawet nie, wszystko *będzie*, więc się o to nie martwmy.

Teraz widzę, jak bardzo się nie mylił. Czasami jestem w stanie dostrzec przyszłość wykraczającą poza tę chwilę. Mogę zobaczyć ją, jak bezskutecznie próbuje przypomnieć sobie moją twarz, mimo że stoję wprost przed nią. Mogę ujrzeć ją trzymającą w swojej bladej dłoni moją rękę, jak uczyniła to pod koniec życia schorowana Rose. Mogę wyczuć spazmy bólu, które mnie przytłoczą na długo po tym, jak jej już ze mną nie będzie. Ona wie, że o tym wiem. Ale nie chce, żebym się z nią dzielił tą wiedzą. I ma rację. Wszystko ma się wydarzyć. A każdy moment trwa przez całą wieczność. I żyje dalej. Gdzieś. W jakiś sposób. Tak więc, gdy idziemy

z powrotem ścieżką do miejsca, z którego przyszliśmy, zarazem stoimy, całując się, tak ja gratuluję Antonowi wyników z egzaminów, piję z Marion whisky w jej domu na Szetlandach, drzę od odgłosów artyleryjskiego ostrzału, rozmawiam w deszczu z kapitanem Furneaux, ściskam szczęśliwą monetę, przechodzę z Rose obok stajni, słucham śpiewu matki pośród wirujących i spadających nasion jaworu w tym samym lesie.

Istnieje tylko terażniejszość. Tak jak każdy obiekt na ziemi zawiera podobne i wymieniające się atomy, tak każdy fragment czasu zawiera aspekty każdej chwili.

Tak.

To jest jasne. W każdej pojawiającej się chwili terażniejszość trwa wiecznie i wiem, że jest jeszcze wiele terażniejszości do przeżycia. Rozumiem to. Rozumiem, że możesz stać się wolny. Rozumiem, że sposób, w jaki zatrzymujesz czas, polega na zaprzestaniu poddawania się jego władzy. Nie tonę już w przeszłości ani nie boję się czekającej mnie przyszłości. Jak mógłbym to zrobić?

Przecież przyszłość to ty.

1 *Aye* — ze szkockiego „Tak”.

2 *A New Life in the Sun* — z angielskiego „Nowe życie w słońcu”.

3 *The Wealth Within You. How to Harness Your Inner Billionaire* — z angielskiego „Bogactwo jest w tobie. Jak zaprząć do pracy swojego wewnętrznego miliardera”.

4 Eseje Montaigne’a zostały wydane pod tytułem *Próby*.

Podziękowania

Dziękuję za przeczytanie tej książki. To jest pierwsze z podziękowań, jakie tutaj wyrażę. Książka staje się prawdziwa dopiero wtedy, kiedy się ją przeczyta, więc dziękuję za nadanie realności moim snom na jawie. Chciałem napisać książkę, która sprawiałaby przyjemność czytelnikowi podczas czytania i mnie w trakcie pisania. Zapewniam, że udało mi się spełnić przynajmniej drugi z tych warunków. Jeszcze nigdy pisanie nie sprawiło mi tak wielkiej uciechy. To była podróż w czasie i sesja terapeutyczna w jednym, pomniejszona o opłaty dla psychiatry i koszty związane z deloreanem.

Pomysł na książkę *Jak zatrzymać czas* przyszedł mi do głowy, kiedy pisałem *Ludzi. Powieść dla Ziemi*, w której umieściłem nasze małe, lecz cudowne ludzkie istnienia w gigantycznym Wszechświecie. Miałem w niej na uwadze perspektywę miejsca, natomiast w przypadku tej powieści główną rolę miał odegrać czas. Sposób, w jaki może on nas zarówno uspokajać, jak i przerażać, ale również to, że dopiero jego upływ pozwala docenić skalę i ogromną wartość naszego życia.

W każdym razie sama chęć napisania czegoś innego nie przesądzała o tym, że rzeczywiście tego dokonam. I jestem bardzo szczęśliwy, że mam takiego redaktora jak Francis Bickmore, który zawsze rozumie istotę tego, co próbuję zrobić, i pomaga mi to osiągnąć. Jestem szczerze wdzięczny Jamiemu Byngowi i wszystkim z Canongate za umożliwienie mi pisania dokładnie takich książek, jakie chcę, i ich wydawanie. Szczególnie pragnę wymienić tu: Jenny Todd, Jenny Fry, Pete'a Adlingtona, Claire -Maxwell, Jo Dingley, Neala Price'a, Andreę Joyce, -Caroline -Clarke, Jessicę Neale, Alice Shortland, Alana Trottera, Ronę -Williamson i Megan Reid.

Jestem wielkim szczęściarzem, że mam wspaniałą agentkę, Clare Conville, dzięki której moje eklektyczne bazgroły robią karierę.

Chciałbym także podziękować Katherine Boyle, Kirkowi McElhearnowi i Joanne Harris za pomoc w czynieniu mojego języka francuskiego nieco bardziej naturalnym, jak również Gregowi Jennerowi za pełne wiedzy historycznej e-maile, wystrzelujące mój umysł w różnych kierunkach czasu. Oczywiście, muszę również podziękować -Benedictowi Cumberbatchowi i wszystkim ze -StudioCanal i SunnyMarch za dostrzeżenie w tej powieści potencjału do nakręcenia filmu.

Nade wszystko podziękowania należą się jednak mojej żonie i najlepszej przyjaciółce — Andrei Semple, pierwszej czytelniczce, dla której piszę, i pierwszej osobie, która sygnalizuje, jeśli coś nie gra. A także mojej codziennej inspiracji. Tej, dla której zawsze chcę zatrzymać czas.

Dziękuję ci.

